Przegląd Historyczno-Wojskowy

Organ Wojskowego Biura Historycznego

Zeszyt I

WARSZAWA 1929
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

TREŚĆ ZESZYTU:

PRZEGLĄD HISTORYCZNO-WOJSKOWY

Revue
d'Histoire Militaire

Publiée par le Bureau Historique Militaire

Redacteur

Cmdt. Otton Laskowski

Tom I

VARSOVIE 1929
LIBRAIRIE MILITAIRE

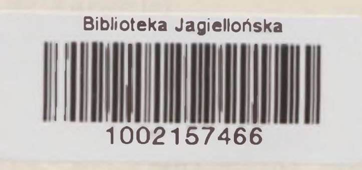
Przegląd Historyczno-Wojskowy

Wydawany przez Wojskowe Biuro Historyczne

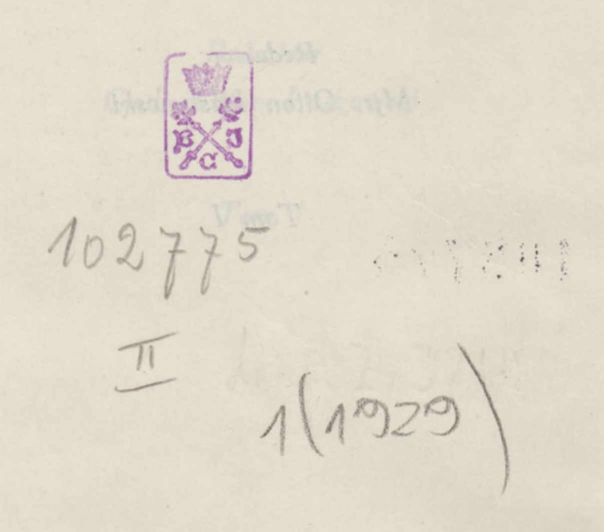
Redaktor

Mjr. Otton Laskowski

Tom I



WARSZAWA 1929
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA


102775
II
1(1929)

OD REDAKCJI.

Od czasu wojny światowej wzrosło u nas ogromnie zainteresowanie historją wojskową, leżącą dotąd niemal odłogiem. Ostatnie zwłaszcza dziesięciolecie zupełnie wyraźny pod tym względem stanowi etap.

Odrodzenie naszej państwowości i odrodzenie wojska były silnym bodźcem do podjęcia studjów w tym kierunku. Wzrosło zainteresowanie dla spraw z wojskiem i wojną związanych, a równolegle do tego zainteresowanie do dziejów wojen i wojskowości. Zwłaszcza samo wojsko, dla którego historja wojskowa stanowi jedną z głównych podstaw wychowania i wykształcenia korpusu oficerskiego, jeden z głównych środków urabiania jego umysłowości w kierunku zrozumienia realności wojny i przyzwyczajenia do myślenia realnemi jej kategorjami, dość wielką pod tym względem rozwinęło działalność. Napięcie jej najlepiej charakteryzuje fakt, że w produkcji wydawniczej wojska w ciągu ubiegłego dziesięciolecia historja wojskowa—o ile pominiemy wydawnictwa o charakterze regulaminów, instrukcyj i wszelkiego rodzaju przepisów—pierwsze pod względem ilościowym zajmuje miejsce.

O ile zarówno dla wyższych czynników wojskowych, jak też dla ludzi, pracujących w wojsku naukowo, doniosłe znaczenie historji wojskowej od początku było zupełnie jasne, o tyle dla szerokich mas doświadczenia wojny światowej i ostatniej wojny polskiej przesłoniły w znacznym stopniu jej znaczenie. Dopiero w ostatnich latach dotychczasowa praca na tem polu zaczyna dawać poważniejsze wyniki. Zainteresowanie historją wojskową coraz to szersze w wojsku zaczyna zataczać kręgi, wzrastać stopniowo i pogłębiać.

Podobnież w kołach naukowych, które do niedawna zagadnienia wojny poruszały jedynie w ramach historji po-

litycznej, ujmując je narracyjnie i nie probując dotrzeć do jej istoty jako odrębnego zjawiska, w ostatnich czasach budzić się zaczyna zrozumienie konieczności pracy w nowym kierunku, historja wojskowa zaczyna stopniowo zdobywać sobie stanowisko jako odrębna gałęź wiedzy historycznej.

Ogólny wzrost zainteresowania historją wojskową daje obecnie możność Wojskowemu Biuru Historycznemu zrealizowania, kiełkującej oddawna, myśli stworzenia specjalnego czasopisma, poświęconego zagadnieniom historji wojskowej.

Przegląd Historyczno-Wojskowy, będący organem Wojskowego Biura Historycznego, pragnie skupić dookoła siebie wszystkich tych, dla kogo sprawy związane z dziejami naszej wojskowości stanowią przedmiot zainteresowań, zapewniając na swych łamach całkowitą możność swobodnego wypowiedzenia się, w tem zrozumieniu, iż wszelka dyskusja, prowadzona na terenie naukowym, byle prowadzona sine ira et studio, zawsze przyczynia się do wyświetlenia prawdy i stanowi o pewnym postępie nauki.

Ze względu na to, że sprawy najnowszej historji wojskowej, jako posiadające nader aktualne znaczenie dla wojska, zawsze znajdą dla siebie odpowiedni teren na łamach innych czasopism wojskowych, Przegląd Historyczno-Wojskowy jest pismem, poświęconem w pierwszym rzędzie zagadnieniom dawnej historji wojskowej.

Kładąc specjalny nacisk na prace z dziedziny własnej historji wojskowej, Przegląd Historyczno-Wojskowy będzie uwzględniał również historję wojskową obcą, gdyż uchylanie się od pracy w tym kierunku mogłoby sprowadzić badania nad własną wojskowością na manowce.

W dziale artykułów i rozpraw Przegląd Historyczno-Wojskowy będzie dążył zarówno do uwzględnienia zagadnień, związanych z historją wojskowości, ustrojem wojska i rozwojem sztuki wojennej, jak też i z historją wojen, na którą ze względu na jej wartość dydaktyczną będzie zwracał

specjalną uwagę, starając się przytem uwzględniać również kampanje i bitwy, posiadające już pewne opracowania, i dążąc do wydobycia z tej rewizji poglądów tego, co jest dla nas najistotniejszem — elementów decyzji dowódców, oraz do wykazania ich pracy twórczej. W tym samym dziale baczną uwagę Przegląd Historyczno-Wojskowy pragnie poświęcić zagadnieniom metody i programu pracy, zwłaszcza, że historja wojskowa, jako gałęź nauki stosunkowo młoda, nietylko na naszym gruncie szuka dopiero własnych dróg. Niemniej znajdą tu również należyte uwzględnienie sprawy związane z nauczaniem historji oraz artykuły o charakterze informacyjnym.

W dziale Miscellaneów Przegląd Historyczno-Wojskowy będzie podawał zarówno materjały źródłowe, jak też wiadomości o całych kompleksach materjałów, dotyczących pewnych zagadnień.

Na artykuły o charakterze dyskusyjnym Przegląd poświęca dział specjalny.

Duży nacisk będzie położony na dział sprawozdań, które nieraz równie doniosłe znaczenie posiadają dla postępu wiedzy, jak artykuły oryginalne, i znakomicie ułatwić mogą pracę nad urobieniem metody badań.

Od drugiego zeszytu Przegląd Historyczno-Wojskowy wprowadzi obszerny dział bibljograficzny.

Wreszcie kronika będzie informowała czytelnika o sprawach bieżących w dziedzinie historji wojskowej, podając wiadomości z życia instytucyj i towarzystw naukowych oraz sprawozdania z posiedzeń naukowych Sekcji Historycznej Towarzystwa Wiedzy Wojskowej.

---

specjalną uwagę, starając się przytem uwzględnić zwłaszcza kampanje i bitwy, posiadające już pewne opracowanie. Dążąc do wydobycia z tego zasobu poglądów tego, co przedstawia nas najbardziej [illegible] elementów drogi [illegible] do wykazania ich w pracy twórczej. W tym samym dziale [illegible] Przeglądu Historyczno-Wojskowego [illegible] poświęcone [illegible] ewolucji [illegible] że historja wojskowa, jako gałąź nauki [illegible] niewątpliwie [illegible] [illegible] [illegible] z [illegible] historji [illegible] informacyjnym.

W dziale „Miscellanea" Przegląd Historyczno-Wojskowy będzie podawał zarówno [illegible] materjały [illegible] też wiadomości o nowych kompletniejszych materjałach, dotyczących pewnych zagadnień.

Na artykuły o charakterze dyskusyjnym Przegląd poświęca dział specjalny.

Duży nacisk będzie położony na dział sprawozdań, które nietylko również [illegible] postępu wiedzy, jak [illegible] zaznajomienie, ułatwić mogą pracę nad [illegible] metody badań.

Od drugiego zeszytu Przegląd Historyczno-Wojskowy wprowadzi obszerny dział bibljograficzny.

Wreszcie kronika będzie informowała czytelnika o sprawach bieżących w dziedzinie historji wojskowej, podając wiadomości z życia instytucyj i towarzystw naukowych oraz sprawozdania z posiedzeń naukowych Sekcji Historycznej Towarzystwa Wiedzy Wojskowej.

JÓZEF PIŁSUDSKI.

ZARYS HISTORJI MILITARNEJ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

WYKŁADY, WYGŁOSZONE W 1912 ROKU W SZKOLE NAUK SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH W KRAKOWIE

OD REDAKCJI.

Wykłady, które ogłaszamy z upoważnienia autora, wygłosił Józef Piłsudski w roku 1912 w serji wykładów Szkoły Nauk Społeczno-Politycznych w Krakowie. Znakomitą większość słuchaczy stanowili uczniowie kursów oficerskich „Strzelca" krakowskiego. Stenografował je ówczesny uczeń wyższego kursu oficerskiego, Juljan Stachiewicz.

Stenogram był przepisany współcześnie i doręczony Komendantowi Piłsudskiemu; miał on go przed oczyma, pisząc swą książkę, wydaną w roku 1914 u Rzepeckiego w Poznaniu p. t. „22 stycznia 1863". Książka ta nie objęła całości tematu, poruszonego w wykładach. Pozatem, obliczona na szerokie warstwy czytelników, nieprzygotowanych do analizy zjawisk wojennych, była utrzymana w tonie bardzo popularnym, w przeciwieństwie do wykładów, wygłoszonych wobec grona ludzi, studjujących nauki wojskowe.

Stenograf ówczesny przepisał te wykłady z oryginalnego stenogramu, zachowanego w jego prywatnych zbiorach. Okazało się przytem, że w skrótowych notatkach było wiele niedokładności i luk w miejscach, gdzie prelegent odczytywał ustępy z książek, skrótów, dziś już, po latach szesnastu, niemożliwych do odczytania. To też manuskrypt musiał być zrewidowany i w miarę możności uzupełniony. Pracy tej dokonali gen. Juljan Stachiewicz i kpt. Stefan Pomarański; postawili oni sobie za cel unikać jakichkolwiek przeróbek, ażeby nie oddalać pracy od realnie wypowiedzianych prelekcyj. Zachowano tedy styl i formę, charakterystyczną dla wykładu, nie wahając się pozostawić je nawet w tych ustępach, które w pracy pisanej niewątpliwie powinnyby być przerobione. Nie poprawiano również ani uzupełniano tych rzeczy, które przy obecnym stanie wiedzy o 1863 roku mogłyby być traktowane jako nieścisłości.

Oryginał stenogramu jest przechowywany w Archiwum Instytutu dla Badań Najnowszej Historji Polskiej.

WYKŁAD I. (13.II.1912).

Wykłady swoje muszę poprzedzić paroma uwagami.

Pierwsza będzie się tyczyła treści. Zatytułowane one zostały „Historją militarną powstań polskich". Jest to przedmiot tak obszerny, że objąć go nie byłbym w stanie. To z konieczności zmusiło mnie ograniczyć wykłady do pewnej tylko epoki. Wybrałem rok 1863. Zatrzymałem się na nim, gdyż zbliża się jego pięćdziesięciolecie i chciałbym przyczynić się do uczczenia tej rocznicy. Prócz tego do wszystkich innych powstań mamy wiele prac cennych, które ujmują stronę militarną w sposób wyczerpujący, podczas gdy tu pracy takiej właściwie niema. Przedmiot zatem nęcił mnie i chciałem w ten sposób zapełnić lukę, jaka istnieje w historji tego powstania.

Po tym roku bowiem panował pogląd, którego dewizą stały się słowa Aleksandra II: „Żadnych marzeń". Pod sugestją tego poglądu rozwijało się po powstaniu społeczeństwo polskie. W myśl tego hasła wszystko, co było związane z walką zbrojną, zostało przez społeczeństwo odrzucone. Skutkiem tego stosunku i w historji 1863 roku strona militarna w zupełności jest zaniechana.

Kiedy zastanawiałem się nad ogromem pracy, przyszedłem do przekonania, że ujęcie w całości dziejów powstania styczniowego ze strony militarnej jest rzeczą niemożliwą ze względu na czas i na pewne braki w źródłach, o których będę jeszcze mówił. Wobec tego zatrzymałem się na przedstawieniu ewolucji wojennej, jaka zaznaczyła się u bojowników 1863 roku, oraz na jej rozwoju pod wpływem tych czy innych okoliczności. Krytykę swoją chcę mieć możliwie objektywną, staram się stanąć w położeniu tych, którzy wtedy działali. Nie spotkacie się u mnie z napaściami, czy z krytyką postanowień co do powstania. Biorę je jako fakt. Wszyscy ci, którzyby oczekiwali innego ujęcia, zawiodą się zatem.

Druga uwaga tyczy się źródeł, któremi rozporządzamy dla danego przedmiotu. Każda historja opierać się musi na źródłach i krytyka ich stanowi podstawę opracowania historycznego. Niestety, dla tej strony, która ma stanowić przedmiot moich wykładów, źródeł jest nadzwyczaj mało. Każdy, pracujący nad historją 1863 roku wogóle, musi narzekać na dotkliwy brak materjałów, a specjalnie dla strony militarnej jest on przerażający. Zwykłych, bezpośrednich źródeł brak prawie zupełnie. Są to zawsze rozkazy, raporty, słowem cała kance-

larja wojenna. Te źródła właściwie nie istnieją dla polskiej strony z powodów zrozumiałych, dla rosyjskiej zaś są zamknięte dla każdego badacza nieurzędowego [1]). Zatem przedstawienie ich, czy krytyka jest niemożliwa.

Przechodząc do tych źródeł, jakie mamy w ręku, dzielę je na rosyjskie i polskie. Skutkiem specjalnych cech tej wojny, rosyjskie władze i drobni naczelnicy fałszowali historję w straszny sposób. Opisywali bitwy, których nie było, czasem napaści na zupełnie bezbronnych ludzi przedstawiali, jako walki ze zbrojnemi bandami, ukrywali swoje straty, przeceniając straty nieprzyjaciela.

Ze źródeł tych wymienię dzieła: 1) Sergjusza Gesketa [2]), będące najprzyzwoitszem opracowaniem początków powstania, oraz — 2) Mikołaja Berga [3]) i Mikołaja Pawliszczewa [4]). Te dwa ostatnie, które również weszły jako podstawa dla ujmowania historji 1863 roku przez wielu polskich pisarzy, opierają się przeważnie na zeznaniach zdrajców, złożonych w komisjach śledczych. Zdumiewać się trzeba, jak można ze strony polskiej korzystać z takich źródeł; tłumaczy to tylko ogólny ich brak.

Berg opiera się na zeznaniach 1) Oskara Awejdy i 2) Karola Majewskiego [5]). Obaj ci panowie najbezczelniej sypali A na tomach ich zeznań opiera się również i jeden z polskich historyków, mianowicie Przyborowski. Wiemy dobrze, że nawet ludzie, którzy sypią, w swoich zeznaniach kłamią. I czyż na kłamstwach można opierać swe sądy?

Jeżeli przejdę do materjałów polskich, to przedewszystkiem należy stwierdzić, że one strony militarnej prawie nie ujmują.

[1]) Dziś akta te i materjały są dostępne; znajdują się one w Archiwum Akt Dawnych oraz w Archiwum Wojskowem. *(Przyp. red.).*

[2]) S.(ergjusz) Gesket. *Wojennyja diejstwja w Carstwie Polskom w 1863 godu. Naczało wozstanja, janwar, fiewral i pierwaja polowina marta sostawił ..pod riedakcjej gienieral-lejtienanta* Puzyriewskago. Warszawa 1894, oraz tegoż *Galicyjskija i poznanskija bandy w wozstanji 1863 g. w Carstwie Polskom* w *Wojennom Sbornikie* 1899 r. Nr. 11 i 12.

[3]) Mikołaj Berg. *Polskoje wozstanje 1863—1864 gg.*, w *Russkoj starinie* 1870 r. t. XXIV — XXVI, toż w *Russkom Archiwie* r. 1873—4; przekład polski Karola Jaskłowskiego w 3 tomach. Kraków 1898—1900.

[4]) Mikołaj Pawliszczew. *Siedmicy polskago miatieża 1861 — 4.* Petersburg 1887, 2 tomy.

[5]) Wyszły one następnie w rosyjskim przekładzie, nakładem Sztabu Warszawskiego Wojennego Okręgu. Stanowią wielką rzadkość bibljograficzną, drukowano je bowiem w kilkudziesięciu egzemplarzach i tylko na użytek służbowy.

Z opracowań wymienię historję Bolesława Limanowskiego[1]), która, choć stronie militarnej mało poświęca uwagi, jest ważna dla ogólnej znajomości tej epoki, oraz dzieło Walerego Przyborowskiego[2]), które znacznie więcej stroną militarną się zajmuje. Ponieważ to ostatnie jest najszerszą pracą, poświęconą dziejom tego powstania, stanowi konieczne oparcie, z którem każdy musi mieć do czynienia. Ma ono wszakże dwie wady: opiera się na zeznaniach zdrajców i z tych bierze podstawę do ujmowania najróżniejszych zjawisk. Co się tyczy strony militarnej, to Przyborowski opracował ją przeważnie na podstawie prac rosyjskich oraz pamiętników polskich. Drugą ogromną wadą tej pracy jest polityczna jej strona, która stawia rok 1863 w stan oskarżenia przed społeczeństwem polskiem. Jest to odbicie tej opinji publicznej, która ten rok starała się wymazać z pamięci i serc polskich. Dlatego wiele jego twierdzeń, opisów i sądów należy przyjmować z wielkim krytycyzmem. Trzecia wada polega na tem, że autor tej książki, mając szczęście służyć w powstaniu pod dowództwem Langiewicza, ze specjalnem zamiłowaniem traktuje tego wodza, zupełnie niesprawiedliwie sądząc o działaniu innych ludzi, aby tem piękniej przedstawić swego ulubieńca[3]).

Osobną kategorją źródeł są bardzo liczne pamiętniki. Ale odznaczają się one z jednej strony bardzo często wielką chełpliwością i przesadą. tak że mimowoli wywołuje to pewien niesmak; z drugiej strony bardzo często ulegają opinji, tak jakby pisane były nie dla prawdy historycznej, lecz dla usprawiedliwienia błędów i grzechów młodości. Wobec tego również wiele z tych pamiętników traktować należy z dużą ostrożnością[4]).

Wreszcie jeszcze jednem źródłem, specjalnie ważnem dla mnie, jest doświadczenie niedawno ubiegłego okresu rewolucyj-

---

[1]) Bolesław Limanowski. *Historja Powstania Narodu Polskiego 1863 i 1864 r.* wyd. II przerobione. Lwów, 1909.

[2]) (Walery Przyborowski — Z. L. S.). *Dzieje 1863 roku przez autora „Historji dwóch lat"* tomów 4. Kraków 1897 — 1903. (Tom V wyszedł dopiero w 1919 r. *Przyp. red.).*

[3]) Trzeba pamiętać, że — jak zaznaczono na wstępie — wykłady te powstały 1912 r., zatem autor nie mógł poddać analizie rzeczy późniejszych, jak np. *Pamiętników* sekretarza Rządu Narodowego Józefa Kajetana Janowskiego, będących właściwie również historją powstania *(Przyp. red.).*

[4]) Odnośnie pamiętników patrz: Janusz Gąsiorowski. *Bibljografja druków, dotyczących powstania styczniowego 1863 — 65.* Warszawa 1923, oraz Edward Maliszewski. *Bibljografja pamiętników polskich i Polski dotyczących.* Warszawa 1928. *(Przyp. red.).*

nego. Gdybym tej rewolucji nie przeżył, nie miałbym klucza do bardzo wielu zagadnień z 1863 roku. Ponieważ wszelkie rewolucje są do siebie podobne, kto rewolucji nie przeżył, ten rewolucjonistów nie jest w stanie należycie ocenić. Kiedy brałem różne książki o 1863 roku przed rewolucją, bardzo wiele rzeczy było dla mnie niezrozumiałych; nie mogłem sobie wyobrazić, jak takie, czy inne fakty dziać się mogły. I w tem należy szukać przyczyn, dlaczego krytycy nieraz stronniczo rozumieją różne zjawiska tej epoki: gdyż sądzą oni o czasach rewolucyjnych z punktu widzenia czasów pokojowych, z drugiej strony sądzą wojnę nieregularną z punktu widzenia armij regularnych.

Jako trzeci punkt podkreślić należy dane, tyczące się geografji historycznej i statystyki. Przedewszystkiem ważny jest podział kraju ze strony wroga i ze strony rewolucji. Rewolucja dzieliła Królestwo na województwa; było ich 8. Cztery z nich najzupełniej odpowiadały podziałowi na gubernje. Województwo: 1) sandomierskie — gubernji radomskiej, 2) lubelskie — gubernji lubelskiej, 3) podlaskie — gubernji siedleckiej, 4) mazowieckie — prawie zupełnie odpowiada gubernji warszawskiej. Inne cztery województwa niezupełnie temu podziałowi odpowiadają. Znika gubernja łomżyńska i piotrkowska; 5) województwo krakowskie — odpowiada gubernji kieleckiej i południowej części piotrkowskiej; 6) do kaliskiego włączona była gubernja kaliska i pozostałe części piotrkowskiej. Z województw północnych: 7) augustowskie obejmowało późniejszą gubernję suwalską i część łomżyńskiej, zaś 8) płockie — drugą część łomżyńskiej oraz gubernję płocką.

Ludność Królestwa wynosiła wtedy 4 i ½ miljona, zatem na tej samej przestrzeni było jej ponad dwa razy mniej, niż obecnie. Warszawa liczyła 170 tysięcy mieszkańców, zatem tyle, co dziś Wielki Kraków.

Typ ludności był nieco odmienny, niż teraz. Przeważała ludność rolnicza, typ życia mieszkańców był także rolniczy. Fabryczny przemysł znajdował się zaledwie w początkach rozwoju; przeważały cukrownie, zakłady żelazne, w niektórych miejscowościach tkactwo. Warszawa była wówczas największem centrum przemysłowem.

Ważną jest również we wszystkich wojnach sieć komunikacyjna. Była ona niepodobna do dzisiejszej. Koleje znajdowały się w początkowym rozwoju i nie odgrywały wybitniejszej roli. Istniały wtedy trzy linje następujące: warszawsko-wiedeńska, warszawsko-

bydgoska i warszawsko-petersburska. W tym wypadku szosy mają tem większe znaczenie. Zbiegają się one do Warszawy. Główne: na lewym brzegu Wisły krakowska przez Radom i Kielce i dwie szosy w stronę Berlina; na prawym — lubelska na Garwolin, petersburska przez województwo płockie i augustowskie, wreszcie szosa do Brześcia. Pozatem należy brać pod uwagę drobniejszą sieć gościńców, rozchodzących się z głównych miast w Królestwie: z Lublina, Radomia, Kalisza, Płocka i t. d. Wzdłuż nich biegły wszędzie linje telegraficzne.

Trochę historji.

Przed powstaniem, w czasie krymskiej kampanji 1855 r. zaszedł ważny wypadek: śmierć Mikołaja I. Syn jego, Aleksander II w początkach panowania odznaczał się tak zwanym liberalizmem i zaczął wprowadzać duże reformy. Wywołało to w Rosji ogromny ruch liberalny i rewolucyjny. Był on na tyle silny, że wdzierał się do wszelkich zakamarków urzędowego życia państwa rosyjskiego. Żadna kancelarja nie była zabezpieczona od pewnych wpływów i udziału liberałów. Zwracam na to uwagę dlatego, że stan ten we wszystkich kombinacjach w 1863 roku odgrywał niesłychanie wielką rolę. Wiara i nadzieja, że rosyjskie sfery urzędowe, a specjalnie wojskowe, mogą wziąć udział w rewolucji nietylko polskiej, ale i rosyjskiej, stanowiły w początku powstania przez dłuższy czas podstawę dla różnych planów militarnych.

Wybuch powstania w Polsce poprzedziło pewne wrzenie w formie patrjotycznych demonstracyj. Rząd ustawicznie chwiał się w swych decyzjach tak, że sprawiał wrażenie rządu słabego, co wywoływało u ludzi pewność siebie, która nader sprzyjała wytworzeniu się partji ruchu rewolucyjnego. Na czele tej partji stanął t. zw. Centralny Komitet Narodowy, ostatecznie ukonstytuowany w połowie 1862 roku.

Jak dalece przedtem społeczeństwo nie myślało o zbrojnem powstaniu, można sądzić stąd, że kiedy w marcu 1861 roku z powodu manifestacyj rząd w Warszawie oddał pewne atrybuty władzy t. zw. delegacji miejskiej, delegacja ta, wraz ze swymi funkcjonarjuszami, zwanymi konstablami, którymi przeważnie byli akademicy, zajmowała się głównie szukaniem i odbieraniem od ludności broni, jako że to miało być prowokacją rządu. Myśl bojowa zatem w społeczeństwie polskiem wtedy nie istniała. O przygotowywaniu więc militarnem możemy mówić dopiero od połowy 1862 roku, kiedy z pośród „czerwonych“ wyłonił się wspomnia-

ny Komitet Centralny z siedmiu osób, który wziął na siebie kierownictwo ruchu. W skład Komitetu weszli również oficerowie organizacji rewolucyjnej napoły rosyjskiej i polskiej, która powstawała wśród korpusu oficerskiego w armji. Najwybitniejszymi z pomiędzy nich byli Jarosław Dąbrowski, który zginął w czasie komuny paryskiej, oraz Zygmunt Padlewski, stracony następnie w czasie powstania — obaj członkowie Komitetu. Byli to jedyni wojskowi z zawodu w Komitecie Centralnym i jedyne prawdziwe autorytety, na których odpowiedzialności spoczywało przygotowanie i plan powstania 1863 roku [1]).

W celu przygotowania sił, przystąpiono wówczas do zorganizowania sprzysiężenia. Było ono oparte na systemie dziesiątkowym. Z dziesiątek tworzyły się setki. Na czele organizacji w każdem województwie stali komisarze Centralnego Komitetu.

Spisek ten rozszerzał się bardzo szybko i przed wybuchem powstania, w styczniu 1863 r. doszedł do rozmiarów, które swemi cyframi wzbudzają podziw dla energji i dla wielkiej konspiracji, jaką włożono do tej pracy. Podawane w tym zakresie cyfry wydają się nieco podejrzane, gdyż pochodzą z zeznań Awejdy. Nieco przed powstaniem jako podstawę obliczenia przyjmowano: w Płockiem — 5000 ludzi, w Lubelskiem — 5000, w Mazowieckiem — 4000, w Podlaskiem — 4000, w Kaliskiem — 2000, w Sandomierskiem — 2000, w Krakowskiem — 1000, w Augustowskiem — 700.

Inny członek ówczesnego Komitetu, Bronisław Szwarce, człowiek, który nie zdradzał, który długie lata spędził w katordze, do tych cyfr wprowadza pewne zmiany bardzo wiarogodne, które odpowiadają zupełnie temu wrażeniu, jakie ja odniosłem przy studjowaniu tego zagadnienia [2]). Ze względów konspiracyjnych nie można było sprawdzać szeregowców, a trzeba było poprzestać na dowództwie tak, że same „dziesiątki“musiały zostać w wyobraźni. Tak pisze człowiek, który został aresztowany miesiąc

[1]) Dzieje owego spisku oficerskiego, jak i późniejszego sprzysiężenia Komitetu Centralnego por.: Eugenjusz Przybyszewski. *Jarosław Dąbrowski i jego rola w organizacji narodowej 1861—2 r.* w *Sprawozdaniach z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego Wydziału II. Rok XX, 1927.* Warszawa 1928. *(Przyp. red.).*

[2]) Bronisław Szwarce. *Założenie Komitetu Centralnego w r. 1862* w książce zbiorowej *W 40-ą rocznicę powstania styczniowego.* Lwów 1903 r. str. 441 — 449, oraz uwagi tegoż w t. IV *Wydawnictwa materjałów do Historji powstania 1863 — 1864.* Lwów 1894.

przed powstaniem. Dla mnie cyfry powyższe wydają się mocno przesadzone. Rzeczywiście — prawdopodobnie, że te dziesiątki istniały tylko w wyobraźni. Faktem, który utwierdza w tem mniemaniu, jest, że w samej nocy styczniowej liczba powstańców jest znacznie mniejsza, dalej, że w ciągu całego powstania nigdy nie było więcej na placu boju, jak 30.000 ludzi.

Kółka spiskowe, sformowane przed wybuchem powstania, zajmowały się przedewszystkiem rozszerzaniem się, to jest propagandą i dalszem zorganizowaniem spisku. Mnóstwo prac agitacyjnych pochłaniało w ogromnej większości siły tych ludzi.

To również absorbowało czas i kierownictwu organizacyjnemu. Musiało ono być z konieczności zawalone kłopotami organizatorskiemi i wystąpieniami w rodzaju manifestacyj i różnych psikusów, tak że na przygotowanie wojenne bardzo mało zwracano uwagi. Zaledwie w niektórych miejscowościach uczono się pewnych zaczątków musztry, prowadzono pewne przygotowania wojenne.

Drugą rzeczą konieczną dla powstania, jest broń; — broń, której Królestwo nie miało, albowiem od czasu stanu wojennego w 1861 r. kilka razy je rozbrajano, odbierając od ludności wszelkie uzbrojenie. Broni więc było bardzo mało. Było zatem koniecznością broń tę przygotować. Jakoż Komitet Centralny zaczął o niej myśleć. W tym celu wysłano za granicę delegatów, którzy mieli czynić zakupy i następnie dostarczyć ją do kraju. W Paryżu jednak aresztowano naszych agentów i nawet papiery, przy nich znalezione, oddano władzom rosyjskim. Stało się to w grudniu 1862 roku, tak że niemal w przeddzień wybuchu władze rosyjskie były powiadomione o przygotowaniach. Mimo tego kupowano rozmaitą broń — głównie w Leodjum i w Londynie i układano drogi, któremi miała ona dojść do kraju. Pozatem starano się w samym kraju ściągnąć, jakie się tylko dało, uzbrojenie, lecz rezultaty pod tym względem były bardzo nikłe. Do nocy styczniowej ściągnięto, według współczesnych relacyj, zaledwie 600 strzelb myśliwskich w różnych częściach kraju. Do tego doliczyć trzeba trochę pistoletów oraz rewolwerów i wreszcie pewną ilość broni białej, mianowicie kos.

Tyle zrobiono pod względem uzbrojenia do wybuchu powstania.

Wreszcie zastanówmy się nad naczelnikami, których przygotowywano do objęcia kierowniczych stanowisk powstańczych.

Takim naczelnikiem głównym był Zygmunt Padlewski, oficer względnie wykształcony, odznaczający się jedną cechą, którą wykazał w całej działalności, mianowicie brakiem uporczywości. Człowiek ten zrażał się bardzo szybko i łatwo ulegał wpływom. Drugą indywidualnością, wysuwającą się na czoło wypadków, był Jarosław Dąbrowski, człowiek znacznie energiczniejszy, bardziej śmiały i przedsiębiorczy. Niestety, aresztowany przed powstaniem [1]), siedział w czasie całego powstania w cytadeli.

Pozatem sprowadzono naczelników na prowincję. Wyznaczono ich kilku. Jednym był na województwo sandomierskie Langiewicz, który wyjechał z Warszawy 12 stycznia na teren obcy, z którym nigdy przedtem żadnych stosunków nie miał. Na Podlasie wysłany został Walery Lewandowski, który wyjechał tam w początkach stycznia. W szczęśliwszem położeniu był dowódca wojenny województwa krakowskiego Apolinary Kurowski, który był obywatelem miejscowym.

Jeżeli weźmiemy innych dowódców niższych, którzy udawali się na stanowiska, to wszyscy wyjeżdżali dopiero w styczniu. Np. Antoni Jeziorański wyjechał do rawskiego powiatu 16 stycznia, Józef Oxiński w Kaliskie w tym samym dniu. Jeden Roman Rogiński w Podlaskiem pracował nieco dawniej.

Taki był w najogólniejszych zarysach stan przygotowań ze strony polskiej przed wybuchem powstania.

WYKŁAD II. (14.II. 1912).

Żeby zakończyć z przygotowaniami do powstania, muszę wspomnieć o dwóch instytucjach, które w wielkim stopniu przyczyniły się do lepszego prowadzenia i stanowiły pewną dumę powstania. Pierwsza z nich — to szkoła w Genui, potem w Cuneo, przeniesiona tam z powodu specjalnych warunków politycznych. Założona ona była przez koło emigrantów wojskowych i młodzież z Paryża. Szkoła owa istniała cały rok i została zamknięta przez rząd włoski we wrześniu 1862 roku. Wychowała ona około 200 ludzi, dając im wyszkolenie niższego oficera. Przy braku wykształcenia wojskowego szkoła ta w wielkim stopniu przyczyniła się do polepszenia sytuacji w Polsce. Była ona również pewnem centrum życia wychowawczego pod względem politycznym. To też z tej szkoły wyszło bardzo dużo działaczy powstańczych, z których prawie wszyscy spłacili swój dług krwią własną na

[1]) 14 sierpnia 1862 r. *(Przyp. red.)*.

polach bitew lub niewolą na Syberji. Bardzo nieliczni ludzie z tej szkoły nie zostali upamiętnieni w historji powstania.

Drugą specjalną zasługą Centralnego Komitetu jest organizacja cywilna późniejszego Rządu Narodowego, wybudowana przezeń przed powstaniem. Organizacja ta odznaczała się pewnemi cechami, które bodaj że w żadnym innym kraju w czasach rewolucyjnych spotkać się nie dają. Była to organizacja o tyle sprężysta i silna, sięgająca do najdalszych zakątków, że gdyby szło o wzór dla organizacji rewolucyjnej, to ją można jako taki postawić. Dla celów wojennych ważną była organizacja komunikacji, która, specjalnie opracowana, przez cały czas powstania niesłychane oddawała usługi sprawie wojennej. Cywilna ta organizacja musiała jednak pochłaniać całe mnóstwo sił ludzkich, które trzeba było czerpać z tego samego zapasu spiskowych. Zmniejszało to znacznie materjał ludzki do walki orężnej na polu bitwy na rzecz organizacji cywilnej, która działała w czasie całego powstania [1]).

Oto w ogólnych zarysach stan przygotowań, jakie osiągnęła organizacja ruchu pod przewodem Centralnego Komitetu dla powstania ze strony militarnej. I czas jest, abym dał wam pewną krytykę postępowania ówczesnych działaczy, krytykę — jak powtarzam — możliwie objektywną, wychodzącą z założenia, że staje się w położeniu tych, którzy wówczas pracowali.

Przedewszystkiem zwraca uwagę niedostateczne przygotowanie materjału ludzkiego, którym powstanie rozporządzało. Materjał ten składał się głównie z mieszczuchów, robotników, dość licznej inteligencji, wreszcie z wiejskiego elementu, z oficjalistów prywatnych przy dworach, czy zakładach fabrycznych. Główną podstawą było mieszczaństwo, w którem wtedy przeważał element rzemieślniczy. Jeżeli wziąć spiskowych, to główną ich cyfrę stanowili mieszkańcy miast i miasteczek Królestwa. Element ten cały pod względem wojennym nie był do jakiejkolwiek wojny przygotowany, albowiem wówczas przygotowanie wojenne państw było formowane inaczej, niż obecnie. Armje ówczesne nie tworzyły się na zasadzie powszechnej służby wojskowej, lecz przez rekrutację, przytem rekrut w Królestwie szedł do wojska na dziesięć lat. Jego doświadczenie wojskowe najzupełniej nie dawało się przez społeczeństwo

---

[1]) Zarys dziejów cywilnej i wojskowej organizacji powstańczej opracował Edward Maliszewski. *Organizacja powstania styczniowego.* Warszawa (1924 r.). *(Przyp. red.).*

zużytkować. Dlatego też mamy tu do czynienia z elementem do wojny nieprzygotowanym.

Obok tego dłuższy czas względnego zacisza z jednej strony, z drugiej stałe rozbrajanie Polski sprawiły, że ludność z bronią oswojona nie była. Broń, zwłaszcza dla mieszczaństwa, nawet najprymitywniejsza, jaką była kosa, stanowiła zupełną nowość.

I oto nie spostrzegam w pamiętnikach żadnych działań ze strony głównych kierowników, aby tę ludność do nadchodzącej wojny przygotować. Jeżeli niektórzy wspominają o pewnych próbach musztry, to jednak widocznie było to tak rzadkie, że przeważnie pamiętnikarze opuszczają ten dział roboty. We wspomnieniach wybitnych członków Centralnego Komitetu nie znajdziemy nawet myśli, że należy ludzi do wojny przygotować. Zajęci oni byli pracą koło dalszego zorganizowania spisku, naprawianiem szczerb organizacji, zdarzeniami wewnętrznemi w rodzaju manifestacyj, zajęci byli sprawami cywilnemi, zorganizowaniem konspiracji cywilnej, wreszcie byli pochłonięci wypadkami, idącemi w tak żywem tempie — ale o tych rzeczach technicznych, związanych z wojną, prawie nie myślano. Powiadam „prawie" jedynie przez sumienność, gdyż bodaj tylko u jednego pamiętnikarza jest o tem wzmianka.

Tem przykrzej mnie to uderza, że, czytając pamiętniki, opisujące powstanie, napotkałem we wspomnieniu Beliny[1]) z powiatu łęczyckiego na wiadomość, że gdy w maju czy czerwcu 1863 r., a więc po rozpoczęciu powstania, przyjechał nowy naczelnik, to pierwszym krokiem jego było założenie szkoły podoficerskiej. Czyż nie czas było te szkoły zakładać poprzednio? Czyż nie należało zawczasu głowy zaprzątać tem, co następnie pod strzałami robić musiano? Jeżeli można było urządzić tak świetnie służbę cywilną, komunikacyjną etc., to, zdawałoby się, tem łatwiejszem jest zwrócenie uwagi na przygotowania, konieczne do wojny.

Niechybnie każda organizacja konspiracyjna, istniejąca i rozwijająca się w warunkach zaboru rosyjskiego, a więc pod stałym naciskiem prześladowczym rządu, przedewszystkiem dbać musi o własne bezpieczeństwo. Zmiana takiej organizacji na jawną nie jest łatwą i wymaga czasu, aby ją przeprowadzić. Ale ten czas potem byłby wygrany, gdyby poprzednio zostały zrobione przygotowania w celu wychowania wojennego ludzi. Obok tego

[1]) (Wiktor Jaworski) Stanisław Belina. *Notatki o powstaniu w Łęczyckiem* w Agatona Gillera. *Polska w walce* t. I. Paryż 1868.

praca nad przygotowaniem wojennem tego elementu niechybnieby się przyczyniła nawet do uzdrowienia stosunków wojskowych. Dałaby pewne zajęcie ludziom, któreby ich powstrzymało czasem od różnych wystąpień, jakie wówczas nieraz miały miejsce. Ludzieby wtedy bardziej się liczyli z trudnościami technicznemi, które mogłyby niechybnie się przyczynić do zmniejszenia lekkomyślności, z jaką wojnę wydano. Powołam się tutaj na opinję człowieka, któremu w tym wypadku najwięcej wierzyć można, na słowa Szwarcego, który nie kłamał dla polityki, czy też dlatego, aby przed żandarmami się wykręcić. Otóż twierdzi on, że niemożliwem jest wszechstronne przygotowanie w takich warunkach. Nic dziwnego, że organizacja ta poważnie chromać musiała.

Drugą sprawą niemniejszej doniosłości jest kwestja uzbrojenia. Znane i słuszne są napaści na brak broni i przygotowania pod tym względem. Lecz spójrzmy, skąd się ją bierze? Kupuje się w Londynie, Paryżu, Belgji i Włoszech, a więc w krajach, niesąsiadujących z Królestwem, narażając się na najrozmaitsze trudności i przeszkody przy jej przewozie. Na kraje najbliższe nie zwrócono uwagi; a przecież one przedewszystkiem powinny być powołane do tego, aby stać się dostarczycielem broni. Stamtąd nie trzeba było transportować broni przez rozliczne granice. Wynik to bardzo świeżej tradycji świętego przymierza trzech państw zaborczych; wynik to niepewności, jaką spiskowcy odczuwali na gruncie Austrji i Prus; wynik to był wreszcie tego stanu rzeczy, że rewolucja ówczesna miała podstawę w Kongresówce i w emigracji. W Galicji czy w Prusach element polski był znacznie bardziej skrępowany, niż na zachodzie. Również nieobojętnym był wpływ pewnego sprzymierzenia się naszej irredenty z ruchem wolnościowym w całym świecie, który był silnym na Zachodzie, a słabym w Niemczech i Austrji.

Obok tego zwrócić musi uwagę centralizowanie dostarczania broni, które znajduje się w rękach jedynie Centralnego Komitetu. Władze lokalne i wojewódzkie od tego są zupełnie usunięte. Zgadza się to z polityką Centralnego Komitetu niedolewania oliwy do ognia. Bardzo możliwe, że daleko posunięta ostrożność kierowała Komitetem, kiedy centralizował dostawę broni. Jednak przyznać trzeba, że ten sposób przy szerokich przygotowaniach musi dać w warunkach konspiracyjnych ujemne rezultaty, przedewszystkiem z powodu znacznego ryzyka, jakie pociąga za sobą każde centralizowanie. Uniknęłoby się może zbytniego narażenia przygotowań na najrozmaitsze nieprzewidziane okoliczno-

ści, które doprowadzają do takich katastrof, jak wspomniana z grudnia 1862 r. Lokalne siły wojewódzkie w swoim zakresie, licząc się z miejscowemi warunkami, mogłyby znacznie lepiej i znacznie pewniej przygotować i zebrać tę broń z najbliższych okolic z Prus i Austrji, choćby ona była mniej liczna. Niektórzy z tych lokalnych przedstawicieli władzy wyłamywali się z pod silnej ręki Centralnego Komitetu, niektórzy dowódcy o tę broń niezależnie podjęli starania, co — jak się okazało — było tylko z korzyścią dla sprawy.

Przypuszczam jednak, że postawić pod tym względem Centralnego Komitetu w stan oskarżenia nie można. Ta jego ostrożna polityka była w istniejących warunkach wskazana. Komitet Centralny, zdaniem mojem, popełnił błąd, że nie stworzył sobie odpowiednich organizacyj wojennych na prowincji. Wszędzie potworzył tam organizacje cywilne, ale organów wojennych nie miał. Lecz nie dziwię się wcale, że Centralny Komitet wahał się poruczyć broń organizacjom cywilnym.

To samo, co z bronią, było ze wszystkiem absolutnie, co dotyczyło uzbrojenia żołnierza. Nie było przygotowane kompletnie nic. Nie myślano o tem wcale. I jeden z wybitnych mężów tych czasów, Langiewicz, słusznie powiada, po obejrzeniu wyznaczonego mu województwa sandomierskiego, że wydawało mu się, jakoby powstanie miało być kilkugodzinnem polowaniem [1]). Takie były przygotowania.

Podnoszę to jako niezaprzeczoną winę Centralnego Komitetu. Był to brak organizacji wojennej i mężów zaufania w tej dziedzinie — komendantów wojennych na prowincji. Naczelnicy ci wyjechali z Warszawy dopiero w styczniu, na parę tygodni, czasem kilka dni przed wybuchem. Przeważnie nie znają oni terenu. Każdy gubi się na miejscu w miljonie szczegółów; każdy potrzebuje czasu, aby się oswoić z nowem położeniem. Tego czasu mu nie dają. Brak owych naczelników wojennych na miejscu jest jednym z najcięższych grzechów, jakie Komitet Centralny w stosunku do sprawy wojennej popełnił. Gdyby ci naczelnicy byli na miejscu choć parę miesięcy, to niechybnie inne byłyby skutki ich pracy.

Każdy plan, powstały w tej czy innej głowie, wymaga wykonawców. Żaden plan objąć wszystkich szczegółów nie jest w stanie. I te szczegóły, które decydują o powodzeniu planu, ktoś musi przygotować i opracować. To było obowiązkiem woje-

[1]) Marjan Langiewicz. *Relacje o kampanji własnej w r. 1863.* Wydał Bertold Merwin. *Kwartalnik Historyczny.* Lwów 1905, str. 255.

wódzkich komendantów. Obowiązkiem ich było obmyślenie na miejscu, jak ten materjał wykorzystać, jak ten czy inny plan Centralnego Komitetu przeprowadzić. Niechybnie ludzie, którzyby nad tem pracowali na miejscu i od dłuższego czasu, bardzo wiele mogliby przygotować pod względem wojennym; prace ich wywołałyby narady i poprawki Centralnego Komitetu, zbliżając plany bardziej do realnych warunków.

Kiedy występuję z tem oskarżeniem, że oni o wojnie zgoła nie myśleli, że, wojnę wypowiadając, do wojny się nie przygotowali, muszę, rozpatrując tę sprawę i znając psychikę rewolucji, powiedzieć sobie, że z wielu win da się ich rozgrzeszyć, jako rewolucjonistów. Potęgę rewolucji przed rewolucją stanowi technika, czy co innego? Nie! siłę rewolucji stanowi to, co się dzieje w głowach ludzkich, wzrost namiętności ludzkich; one stanowią bazę, bez której żadna rewolucja istnieć nie może. W podobnych zjawiskach dziejowych dajcie najwspanialszą technikę, a niech namiętności nie będzie — nie będzie rewolucji; dajcie gorszą technikę, ale przy silnej namiętności — a rewolucja będzie. W tem jest siła, w tem jest podstawa rewolucji. I oto w owym zapale, w chęci budowania siły, kiedy się widzi, że siła namiętności wywołuje przewrót we wszystkiem, co istnieje, nie dziwcie się, że jest chęć wzmocnienia tej podstawy, że tu idą główne wysiłki przywódców.

Zastanowić się warto, kto tą rewolucją kieruje? Student, oficerek, urzędniczek, ludzie normalnie bez wpływu, których głos nic nie znaczy. I oto tych ludzi cały kraj słucha. Ta bajeczna karjera, ten bajeczny rozwój roli, jaką ludzie ci odgrywają, ta bajeczna metamorfoza, która z ludzi, nic nieznaczących, robi potęgę, ta metamorfoza musi zawrócić ludziom głowy. Ludzie w siłę wierzą. Powolne narastanie techniki obok tej żywiołowej namiętności sprawia wrażenie, że tam jest siła, robi wrażenie, że tu głównie na sile namiętności oprzeć się trzeba. Albowiem cechą znamienną wszystkich czasów przedrewolucyjnych jest, że rządy przed rewolucją się cofają. Ludzie to widzą, są przekonani, że dzieje się to pod wpływem tych bajecznych sił.

I oto psychiczne warunki rewolucji wytwarzają daltonizm, dający przesadną wiarę w te siły, jakie mamy. Stąd wynika pewnego rodzaju zaślepienie, które daje jeszcze większe usunięcie na plan drugi tego, co potem będzie potrzebne i niezbędne, gdy bój zawrze. Jeżeli rozważymy warunki, w których jakakolwiek rewolucja zwycięża, to powiedzieć musimy, że żadna zwyciężyć by nie mogła, gdyby na technice oparła swe rachuby.

WYKŁAD III. (15.II.1912).

W zeszłym wykładzie starałem się wytłumaczyć, dlaczego kierownictwo zamierzonej rewolucji w Królestwie niedostatecznie pomyślało o technicznych przygotowaniach. Starałem się wytłumaczyć, że bazą wojenną każdej rewolucji są namiętności ludzkie. Byłoby błędem ze strony kierownictwa rewolucji, gdyby ono na tę podstawę i na jej opracowanie nie zwróciło uwagi, tembardziej, że stan podniecenia i zrewolucjonizowania daje widoczny rezultat w okresie przedrewolucyjnym w postaci cofania się rządu. Zwycięstwa już odniesione upoważniają do sądzenia o sile i potędze ruchu. Powstanie 1863 roku pod tym względem było podobne do bardzo wielu rewolucyj, a raczej do wszystkich rewolucyj, jakie kiedykolwiek istniały na świecie. W czasach spokojnych ludzie w rewolucję nie wierzą i dlatego się nie przygotowują. Kiedy zaś przychodzi okres rewolucyjny, czasu już na to niema.

Nie usprawiedliwia zaniedbania tego również fakt, że powstanie miało wybuchnąć później, gdyż Centralny Komitet odkładał je na kilka zaledwie miesięcy. Nie upoważniała więc owa zwłoka do tego niedbalstwa w dziedzinie prac technicznych. Pod tym względem osobiście podzielam zdanie wojennego przedstawiciela obcego państwa, który się zjawił w Polsce w czasie wojny 1863 roku jako obserwator, coś w rodzaju attaché przy wojsku polskiem. Był nim major sztabu generalnego Erlach, Szwajcar, który zostawił książeczkę, opisującą swoje z tego czasu wrażenia [1]). Różne jego bardzo pochlebne zdania cytowane są często w opracowaniach dziejów powstania. Natomiast z wielką siłą przekonania podkreśla on w konkluzji, że powstanie nie było przygotowane, i twierdzi, iż dla Szwajcarji płynie stąd nauka, że im wojna ludowa lepiej i dłużej jest przygotowana, tem pomyślniejszą bywa w skutkach.

Przechodząc teraz do planu Komitetu Centralnego dla powstania, zastanowić się wypada nad pytaniem, co właściwie podlega planowaniu? W wojnach regularnych nie planuje się wojny od początku do końca. Podlega planom zaledwie jej początek: mobilizacja i koncentracja strategiczna. Dalsze sprawy, sam przebieg wojny już planowanym być nie może, gdyż zależy w wielkim stopniu od przeciwnika. Zatem wojna planowana jest tylko

[1]) Franciszek L. Erlach. *Die Kriegführung der Polen im Jahre 1863 nach eigenen Beobachtungen von März bis August an Ort und Stelle gesammelt von...* Lipsk 1866. (Przekład polski Jana Gagatka i Wacława Tokarza. Warszawa 1919. *Przyp. red.*).

dla swego początku. Na dalszy okres istnieją tylko główne myśli wytyczne. Bieg wypadków ginie we mgle niepewności. Tylko sam początek sztaby przed wojną planować są w stanie.

Jeżeli jednak zwrócimy się do warunków rewolucyjnych, tam, gdzie istnieje wrogi rząd, który nad całem terytorjum panuje i na niem gospodaruje, to odrazu spostrzeżemy, że sam plan, jakiby mógł być skonstruowany, podlega zawsze znacznie większym wątpliwościom, niż w armji regularnej. Armja ta ma zawsze znajomość i pewność terenu, na którym stoi, oraz dokładne wiadomości co do swoich własnych sił i co do swoich pierwszych zamiarów. W rewolucji nawet ta podstawa podlega znakom zapytania.

Już sama mobilizacja, jako podlegająca obserwacji nieprzyjaciela, jako podlegająca działaniu jego złej woli, sama koncentracja staje się niepewną, chwiejną we wszelkich obliczeniach. Dlatego też wszystkie plany rewolucyjne zwykle są dla spokojnego i rozważnego oka szalonemi, zuchwałemi planami, które rozważny umysł uważa za niemożliwe do wykonania.

Rewolucja planować również może tylko swój początek, ten początek, który nazywam bojem wstępnym, jaki trzeba stoczyć, aby mieć możność prowadzenia rewolucji. Planowanie tego boju jest obowiązkiem sztabu rewolucyjnego. Jest on koniecznością psychologiczną, jest to, że tak powiem, wrzód, który pęknąć musi, jest to narastanie psychiczne; konieczność psychiczna, do której zmierza tak jedna, jak i druga strona. Rządy rozumne usiłują sprowokować rewolucję do przedwczesnego wybuchu, kiedy siły rządowe nie są zupełnie zdemoralizowane przez owo żywiołowe przejawienie się ducha rewolucji. Do tego dążą również najczęściej rewolucjoniści pod wpływem parcia z dołu: decyduje dół, który nie rozumuje, nie rachuje, nie myśli.

Rewolucja, która do wybuchu jawnej walki fizycznej nie doszła, nie jest rewolucją. I tu jest wszystko jedno, czy ten wybuch nastąpi w jednem tylko miejscu, jak się to bardzo często zdarzało; czy to będzie walka, toczona w głównem siedlisku wroga, czy w innem jakiem miejscu; czy też to będzie „rozlana“ rewolucja, wybuchająca jawnie w różnych miejscach, jak to bywa zwykle w rewolucjach narodowych; czy daje ona natychmiastowe rezultaty, czy też potem znowu będzie przez długi okres czasu zmagać się z przemocą; jest to wszystko jedno. W każdym razie istnieje konieczność zrobienia wstępnego boju, który musi być rozplanowany.

Bój ten jest zawsze niespodzianką nietylko dla rządu, prze-

ciw któremu wybucha, ale i dla otoczenia, dla wszystkich tych, którzy bezpośrednio w spisku udziału nie biorą. Otóż jest to jednym ze zwykłych błędów, że rewolucjoniści nie liczą się z niespodzianką, jaką wybuch stanowi dla ogółu. Jest to znowu ten daltonizm psychiczny u rewolucjonistów, którzy czasu koniecznego dla oswojenia się z bojem szerszym masom dać nie chcą.

Od sposobu prowadzenia tej pierwszej bitwy i jej rezultatów, od wrażenia, jakie ona wywrze, najczęściej zależą dalsze losy rewolucji. Gdy ten pierwszy bój jest przegranym, wówczas najczęściej rewolucja przegrywa i odwrotnie, gdy on jest wygrany, wtedy daje rozpęd wielkiej rewolucji, prowadzący do zwycięstwa. Dlatego obowiązkiem kierowników rewolucji jest przed wybuchem wstępny bój możliwie opracować, możliwie do niego się przygotować; ten wstępny bój zrobić możliwie zwycięskim. A pod tym względem ogólne prawa strategiczne i taktyczne są obowiązujące. Trzeba rzucić wszystko na szalę wypadków, aby ten bój wywalczył podstawy istnienia rewolucji, żeby umożliwił on mobilizację i koncentrację sił rewolucyjnych.

Specjalnie ten wstępny bój w warunkach Królestwa Polskiego jest prawie obowiązkiem z tego względu, że Królestwo, jako kraj podbity, nie ma własnego rządu, który rewolucja względnie łatwo obala, a jest rządzone przez władzę obcą, niewyrastającą z łona społeczeństwa. Dlatego wszelkie starania rewolucji są w Królestwie znacznie trudniejsze, niż gdzieindziej. Toteż wstępny bój musi być tu szeroko planowany. Uderzenie w jeden punkt nie da rezultatu.

Jeżeli przejdziemy do planów, jakie układali dowódcy powstania, to z nich znam dwa. Pierwszy plan — Jarosława Dąbrowskiego był przedstawiony jeszcze przed utworzeniem Komitetu Centralnego na początku 1862 roku, kiedy najrozmaitsze grupy rewolucyjne nie zlały się jeszcze w jedną organizację, kiedy były one złączone węzłami jakby federacyjnemi, kiedy Centralny Komitet jeszcze się nie wyłonił. Wówczas Dąbrowski, jako przedstawiciel miejskiej organizacji i wojskowego spisku w wojsku rosyjskiem, wystąpił z projektem następującym: spiskowi, których miało być 7000 (w Warszawie 2500), zbiorą się wokoło cytadeli (26 czerwca), uzbrojeni w byle co. Wtajemniczeni oficerowie otwierają im bramę cytadeli i przez nią powstańcy wchodzą do wnętrza twierdzy, rozbrajają załogę, opanowując magazyny i t. p. Pewna część spiskowych rozbiega się w tym czasie po mieście, w celu aresztowania lub zabicia wyższych dowódców i oficerów.

Biją w dzwony, starają się opanować arsenał. Tymczasem wojsko, stojące w obozie powązkowskim, ma się zachować możliwie neutralnie. Oficerowie spiskowi mają otoczyć namioty dowodzących. W ostatecznym wypadku mają udać, że ze sztabu przyszedł rozkaz odprowadzenia wojska kilka mil za Warszawę. Mniej więcej to samo miało się odbyć pod Modlinem, w którym leżało 70.000 karabinów. Oficerowie i junkrzy mieli tam wpuścić przez otwartą bramę spiskowych. Na prowincji, w miastach gubernjalnych i powiatowych, dokonywa się napadów na garnizony i stara się te punkty opanować. Dąbrowski nalegał, aby termin ustalić na 26 czerwca z tego względu, że późniejszy termin pozbawi powstanie wielkiej pomocy ze strony oficerów spiskowych, gdyż rząd, przewidując wybuch, miał przystąpić do masowych przenosin oficerów Polaków z Królestwa wgłąb Rosji. Przytem twierdził on, że nietylko oficerowie, lecz i żołnierze są związani ze sprawą rewolucji i że żądają, aby im po wybuchu pozwolono sformować legjon rewolucyjny przeciw carskiej Rosji.

Plan ten nie wszedł w wykonanie dla bardzo wielu powodów, a głównie dlatego, że się okazało, iż wojsko rosyjskie nie znajduje się w takim świetnym dla rewolucji nastroju, jak Dąbrowski myślał. Abstrahując od tego, musimy go rozpatrzeć. Plan Dąbrowskiego przewiduje bój przedwstępny bardzo ryzykowny, ale dający w ręce, w razie powodzenia, szeroką podstawę dla dalszej rewolucji. Po drugie, opiera się on na spiskowych tam, gdzie oni istnieją. Nie wymaga skomplikowanych koncentracyjnych marszów etc. Jedynym wypadkiem dyslokat spiskowych byłby napad na Modlin. To są dobre strony tego planu. Niema tu niepotrzebnych manewrów, do których ludzie nowi nie będą najczęściej zdolni. Trzecią dobrą stroną jest to, że stawia się odrazu wszystko na kartę, że jest w tem rozpęd, który stanowi cechę i siłę rewolucji. I gdyby ten plan mógł być wykonanym, to niechybnie powstanie albo by stanęło odrazu silnie na własnych nogach, albo odrazu byłoby zamarło.

Złą stroną w tym planie, jak zresztą we wszystkich planach rewolucyj, stanowi opieranie się na „sztuczkach". To nie jest otwarta siła, lecz dowcipny sposób. Poleganie na możliwościach, na sprycie, na szybkiem zorjentowaniu się, działanie bez rezerwy — oto są słabe strony, jakie zawsze we wszelkich tego rodzaju planach być muszą. Gorszą słabą stroną jest to, że opiera się on nie na rzeczywistej sile, a na iluzorycznej, jaką ludzie obcy daćby dopiero mogli. Opiera się on na pomocy ze strony oficerów i żoł-

nierzy rosyjskich. To też nic dziwnego, że cała ta pomoc wydała się reszcie Komitetu niemożliwą. I pomimo, że Dąbrowski usilnie nalegał, by plan jego przyjęto, zażądano, aby przedtem zwołał on przedstawicieli wojskowych organizacyj dla rozmówienia się z nimi. Na tem zebraniu okazało się, że Dąbrowskiego uniósł fanatyzm. Nie było ani tak wielu oficerów, ani nie byli oni pewni własnych podwładnych. Zaledwie jeden był pewny swej kompanji, inni byli nawet przekonani, że żołnierze staną przeciw rewolucji.

Jarosław Dąbrowski był jednak znakomitym rewolucjonistą. Pewne dane upoważniały do takiego wnioskowania. Na dowód, jak szerokim był ten prąd w wojsku, opowiem państwu, zda się, brzmiącą anegdotycznie, historję, którą miał jeden z organizatorów wojskowych na prowincji w woj. kaliskiem — Oxiński [1]). Kiedy wyjeżdżał „na powstanie“ 16 stycznia, wówczas widział się z oficerem, kierującym sprzysiężeniem, który, nie mając pod ręką adresów oficerów-spiskowców w Kaliskiem, wskazał mu tylko ludzi, do których ma się udać po informacje. Powiedział mu tylko, że najwięcej spiskowych jest w artylerji. Oxiński przyjeżdża do Warty, w cukierni dowiaduje się o komendanta artylerji, idzie do niego, okazuje znak, jaki był odznaką sprzysiężonych. Oficer zdetonował się, wyjął taką samą kartkę z kieszeni i podał ją Oxińskiemu. Widocznie stan umysłów upoważniał do takich sposobów.

Wreszcie najgorszą stroną projektu Dąbrowskiego było to, że, ulegając sugestji siły ruchu rewolucyjnego w Rosji, przypuszczał, iż sprawy rewolucji w Polsce ze sprawą rewolucji w Rosji dadzą się złączyć w jedno i że sprawa polska w ten sposób może stać się sprawą wewnętrznej rewolucji dla całego państwa rosyjskiego. Dlatego też cały plan w swojej istocie ma cechy planu rewolucji wewnętrznej, który wojny nawet nie przewiduje.

Drugi plan wybuchu przedłożony został przez Zygmunta Padlewskiego. Plan jego jest całkiem inny: jest on mglisty, osnuty w stylu wielkiej wojny. Padlewski bierze pod uwagę przedewszystkiem komunikacje Warszawy z resztą państwa. Plan ten wymagał, aby powstanie z największą siłą wybuchło na wschodzie; aby w ten sposób rewolucja opanowała komunikacje Warszawy i Królestwa z resztą Rosji; żeby wreszcie, w razie niepowodzenia pierwszych napadów, nacisk szedł na wschód i północ ku Litwie, aby rozszerzyć pod tym względem obszar, objęty powsta-

[1]) Józef Oxiński. *Od 16 do 21 stycznia 1863 roku.* Urywek z pamiętnika w księdze zbiorowej: *W 40-tą rocznicę powstania styczniowego.* Lwów 1903.

niem, i aby dalsze komunikacje zrobić dla wojska niepewnemi. Natomiast na południu Langiewicz. niejako pod osłoną tej walki na wschodzie i północy, miał formować armję, która miała iść na Warszawę.

Wstępny bój jest w tym projekcie na planie drugim, właściwie brak go zupełnie; jest tylko ogólny rys kampanji, którąby mogła trwać lata w przyszłości. Niema w nim wywalczenia warunków dla kampanji. Jest tu pewna fikcja. Pokutuje w nim również myśl owładnięcia Modlinem i Zamościem dzięki stosunkom z armją rosyjską, nad czem, jak wspomniałem, stał znak zapytania. Wreszcie napady na garnizony zostały tu uwzględnione tylko jako rzecz dodatkowa, która nie jest specjalnie rozplanowywana.

Oto są dwa plany, które przed wybuchem rewolucji istniały. Pierwszy plan rewolucyjny, drugi natomiast, to plan wojny bez danych dla jej prowadzenia. Jedną z najpoważniejszych luk, osobliwie w planie drugim, jest zupełne niezwracanie uwagi na granice. Granice są zostawione zamknięte. I jeżeli Dąbrowskiego usprawiedliwić można, że o tem zapomina, gdyż bierze pod uwagę jedynie rewolucję wewnętrzną, to Padlewskiego uniewinnić pod tym względem niesposób.

Wreszcie pozostaje zagadnienie, które do końca rozstrzygniętem nie zostało, to sprawa naczelnego dowództwa. Na wojnie odgrywa ona bardzo wielką rolę. Pod tym względem kwestja ta wywoływała nieraz silne tarcia i spory i bodaj, że będę zupełnie ściśle trzymał się prawdy, jeżeli powiem, iż kwestja dyktatury była uważana za jedyny sposób rozstrzygnięcia tej sprawy.

Otóż chciałbym zwrócić uwagę na ten szczegół, gdyż on w historji militarnej powstania odegrał bardzo poważną rolę i bodaj w wielkim stopniu przyczynił się do zwiększenia słabych stron wybuchu 1863 roku. Z historji wiemy, że dyktatura wojenna w tych warunkach, jakie mieliśmy wtedy, była fikcją. Było dwóch wodzów, którzy nosili ten tytuł, to Mierosławski, potem Langiewicz. W obu wypadkach dyktator, panujący nad Polską, mógł kierować tylko setkami ludzi, którzy znajdowali się w jego obozie. I do takiej roli chciano zmuszać zarówno Mierosławskiego, jak i Langiewicza! Jedyna realna dyktatura, jakaby mogła istnieć, była połączona z Warszawą. Tam się zbiegały nici z całego kraju; tam wiodły linje komunikacyjne, szły wiadomości, nieraz może późne, ale tam się schodziły. Stamtąd nowe rozkazy płynąć mogły. I tam jedynie było miejsce dla dyktatora. Spostrzeżono to zbyt późno.

Tymczasem wówczas rewolucja była tylko wojną dla wodzów. Zapominali oni o tem, że, aby wojnę toczyć, przedtem rewolucji dokonać trzeba, że wojna jedynie po wywalczeniu warunków dla niej toczoną być mogła. Oni natomiast nawet w ujęciu kwestji dyktatury dawali świadectwo, jak fałszywie sprawę rewolucji sobie przedstawiali.

WYKŁAD IV. (16.II.1912).

Poprzednio scharakteryzowałem dwa plany przed wybuchem powstania. Wspomniałem, że pojęcie o wielkiej wojnie istniało powszechnie; że tem tłumaczy się plan dyktatury wojennej, jakgdyby ona bez wywalczenia możliwości jej była możliwa. Taką magiczną laseczką, która rozwiązywała wszystkie trudności liczbowe, techniczne etc., miało być pospolite ruszenie włościan.

Jest cechą charakterystyczną wszystkich ruchów rewolucyjnych, iż takie laseczki w wyobraźni ich przywódców istnieją. W 1905 roku była nią żywiołowa potęga mas ludowych, które miały rozwiązać różne trudności techniczne walki rewolucyjnej. Tak samo w 1863 roku wszelkie techniczne trudności miały być usunięte przez pospolite ruszenie.

Nie moją rzeczą obalać takie czy inne pod tym względem poglądy polityczne i społeczne, jakie istniały w głowach ówczesnych przywódców. Moją rzeczą jest wskazać na przeoczenie faktu, że taka siła magiczna, ażeby móc urzeczywistnić to, czego się po niej spodziewa, musi być przedtem przepracowana przez świadomą swych celów i świadomą swych środków grupę. Pospolite ruszenie polega na użyciu, na poruszeniu ludzi, nienależących do żadnej organizacji. Dlatego też było obowiązkiem pomyśleć o tem, jak świadoma swych celów i środków organizacja rewolucyjna ma przygotować rewolucję, ażeby tą magiczną laseczką, niezorganizowaną i narazie nierealną masą, wywalczyć urzeczywistnienie celów rewolucji.

Przejdę teraz do planu trzeciego, który został urzeczywistniony, który stał się wyrazem realnym w noc styczniową. Aby zrozumieć i ocenić go należycie, trzeba wejść w położenie ludzi, którzy go wytworzyli. Działo się to podczas niespodziewanej branki w Warszawie. Brankę tę rząd ogłosił, lecz termin jej nie był znany. I oto, dzięki podnieceniu dołu, termin wybuchu łączył się w umysłach z terminem branki. Wszechpotęga Centralnego Komitetu i organizacji pozwoliła spiskowym mieć nadzieję, że Centralny Komitet obroni od branki i na brankę odpowie powstaniem.

Już przed samą branką Centralny Komitet, wiedząc o aresztowaniu agentów, wysłanych po broń, rozpoczął w swojem łonie debaty, jak zachować się, jeżeli branka przyjdzie przedwcześnie. Postanowiono urządzić masową dyslokację spiskowych; przypuszczano, że można będzie dowiedzieć się o brance wcześniej i w ten sposób uchronić przed nią ludzi.

Branka jednak wypadła nie tak, jak Centralny Komitet się spodziewał; spadła niespodzianie. O ostatecznej decyzji dowiedziano się na parę godzin przed jej rozpoczęciem. Zdążono tylko porobić pewne zarządzenia, a więc wyznaczono naprędce punkty zborne tak, że branka w samej Warszawie ciosu organizacji nie zadała. Na 2000 proskrybowanych w mieście, wzięto tylko pięciuset kilkunastu. Reszta wyszła z Warszawy do lasów okolicznych.

Fakt branki wywołał tak silną presję z dołu, że Komitet Centralny musiał powziąć szybkie postanowienie wybuchu powstania. Trzeba było śpieszyć, gdyż branka na prowincji miała się odbyć dnia 26 stycznia. Miano zatem od branki w Warszawie 10 dni czasu.

Mamy tutaj ten wypadek, kiedy rząd, przeciwko któremu rewolucja idzie, w poczuciu siły bierze inicjatywę, ruchu rewolucyjnego się nie boi. Inicjatywa wzięta została przez rząd, trzeba było na nią odpowiedzieć inicjatywą rewolucji. Lecz, jeżeli weźmiemy pod uwagę stan głów i serc ówczesnego Komitetu, a specjalnie Padlewskiego, to stan ten nie upoważniał do oczekiwania od nich tej mocnej, pewnej siebie inicjatywy. Wszyscy pamiętnikarze, którzy zajmują się tą chwilą, piszą o utracie wszelkiej nadziei, o rozpaczy. Ludzie potracili głowy. Różne rozpaczliwe projekty snuły się w mózgach i bodaj jedyną realną myślą było ratowanie honoru rewolucji. Tu nie było mocnego umysłu, mocnego charakteru. Padlewski, mimo bardzo wielu świetnych cech i osobistego męstwa, mocą charakteru się nie odznaczał; brak mu było wytrwałości, przytem był to człowiek chwiejny, poddający się łatwo nastrojowi chwili. Takim go charakteryzują wszystkie późniejsze wypadki.

I oto przed takim człowiekiem leży konieczność decyzji. Na niego skierowały się oczy wszystkich, był to bowiem jedyny autorytet wśród tego elementu cywilnego, do niego więc się zwracają, oczekują rozkazu, instrukcji. I jak chcecie, by człowiek, który jest w stanie rozpaczy, mógł myśleć? Dla myśli trzeba spokoju, trzeba opanowania się. Tego u Padlewskiego w tej chwili nie było.

Dlatego plan ten jest nieprzemyślany, nie stanowi on jakiejś całości, lecz raczej fantazję, jakieś fragmenty nieskoordynowane. Stąd przedewszystkiem płyną najboleśniejsze zawody późniejsze.

Najpierw zaszła konieczność stoczenia wstępnego boju, w tym celu decyduje się napaści na poszczególne garnizony. Gdzie i jak? O tem czasu niema pomyśleć. Ową paniczną bezmała sytuację ratuje ta powszechność nastrojów, owa magiczna laseczka, która właściwie powinna była nastąpić potem, zamiast tutaj na samym początku akcji ratować sytuację. Napadać mają wszędzie, gdzie się tylko da. Jednem słowem, zwala się z siebie odpowiedzialność konieczności myślenia; odpowiedzialność rozkłada się na barki zbyt szerokie, skutkiem czego powstaje faktycznie brak wszelkiej odpowiedzialności.

I oto sam Padlewski z tej rozpaczy opuszcza Warszawę i jedzie do tych „dzieci warszawskich", obozujących w pobliskiej puszczy kampinoskiej, stanowiących niezorganizowany tłum, aby ich ratować od obławy, już wysłanej z Warszawy.

Dla reszty spiskowych rozsyła się rozkazy. Dzień 22 stycznia wybrano na moment ogólnego wybuchu, a dopiero 16-go idą rozkazy. Podlasie, najbliższe części Augustowskiego, województwo płockie, jako sąsiadujące z Warszawą, otrzymują rozkaz 17 stycznia, dalsze województwa otrzymają go 18-go, Langiewicz i Kurowski w Kielcach 18 stycznia wieczorem. Oxiński 17-go rano wyjeżdża w Kaliskie. Jeziorański 18-go rano w Rawskie. Ludzie ci mają pozostawione 4 do 5 dni dla wykonania planów Centralnego Komitetu.

Jako skutek tej niespodzianki, z prowincji sypią się zapytania, czy to prawda? Takie zapytanie idzie z Lubelskiego, gdzie przywieziono rozkaz 18-go. Takie same zapytania szły z Kaliskiego. Gdzieindziej rozkazy doszły na 12 godzin przed terminem, wyznaczonym dla powstania.

Tak wyglądał ten trzeci plan w życiu. Jest w nim realną rzeczą walka z załogami, wyznaczona na 22 stycznia, mająca być możliwie powszechną. Ma on dla rewolucji wywalczyć swobodę ruchu i organizacji, przyczem bezwiednie polega na powszechnem ruszeniu, wcale nieprzygotowanem.

Przejdziemy do szczegółów donioślejszej wagi.

Z mapy, przedstawiającej dyslokację wojsk rosyjskich 22 stycznia, widać sieć załóg; wojska tego było wówczas w Królestwie 110.000. Po odliczeniu chorych etc., jedni obliczają stan bojo-

wy na 99.000, inni na 92.000. Nie będziemy się upierali przy tej lub innej cyfrze.

Każda rewolucja ma to do siebie, że w czasie przedrewolucyjnym zmusza rząd do rozrzucenia wojska z tego powodu, że najrozmaitsze wypadki, najróżniejsze wystąpienia tej, czy innej części ludności wymagają udziału wojska. Jest ono ostatnim atutem i ten ostatni atut rzuca się wszędzie tam, gdzie zachodzi potrzeba. W ten sposób wojsko, normalnie skupione, rozchodzi się po całym kraju. Takie zjawisko miało miejsce i wtedy, gdy władze znalazły się w konieczności wysyłania wojsk z normalnych kwater do różnych zagrożonych punktów. Wreszcie samo przygotowanie branki zawczasu zmuszało do dalszego rozrzucenia wojska.

Punktów, zajętych w ten sposób przez wojsko, jest sto sześćdziesiąt kilka; nie jest to cyfra zupełnie ścisła, gdyż nie da się dokładnie ująć stanu rozlokowania straży pogranicznej. Głównem siedliskiem siły wojennej przeciwnika jest przedewszystkiem Warszawa, jako centrum, dalej fortece Modlin, Dęblin i Zamość. Pozatem komendy główne w poszczególnych ośrodkach spoczywały w rękach generałów dywizji w Płocku, Kaliszu, Radomiu, Lublinie i Warszawie. Sama Warszawa liczyła załogi 22.000. W porównaniu z obecną Warszawą jest to takie nasycenie wojskiem, do którego nawet teraz Rosja u nas nie doszła. W ośrodkach gubernjalnych wojsko skoncentrowane było silniej. Pozatem rozlało się ono po całym kraju, tak że, jeżeli weźmiemy przeciętną ilość na każdy punkt po odrzuceniu Warszawy, to otrzymamy załogi po 400 mniejwięcej ludzi. O ile odrzucimy i główne ośrodki, to na każdy punkt wypadnie 200 do 300 ludzi: zwrócić przytem należy uwagę na fakt, że działały jeszcze wpływy niewojenne, wskutek czego najrozmaitsze bronie w rodzaju artylerji, parków, które bezpośrednio nie są potrzebne, pozostawione były bez dostatecznej osłony. Tak wyglądała ogólna charakterystyka dyslokacji rosyjskiej.

Co się tyczy jej gęstości, to można powiedzieć, że poza północną częścią, względnie mało obsadzoną, miało miejsce dość równomierne rozrzucenie, z nieznaczną może przewagą zachodu, gdzie załogi były rzadsze.

Jeżeli przejdziemy do samej nocy styczniowej, to na wstępie zaznaczam, że nie wchodzę najzupełniej w to, w jaki sposób wykonane były poszczególne napady, albowiem rzeczy taktyki z mego wykładu świadomie usuwam. Na załączonej mapie wyznaczone są miejscowości, gdzie były dokonane napady. Widzimy, jak mało

owa, podkreślona przezemnie, „powszechność" zrobiła. W cyfrach wyrażają się napady następująco: starć, według mego obliczenia, było 19, z nich jedno poza granicami Królestwa: w Surażu; na Królestwo przypada 18. Z nich dwa urządzono na Podlasiu, trzy w Płockiem i Augustowskiem, dwa w Sandomierskiem, dwa w Krakowskiem, jedno w Lubelskiem, jedno, którego można nawet nie liczyć, w Kaliskiem, żadne w Mazowieckiem. Oprócz tego, zbierając najrozmaitsze dane o tej nocy, wynotowałem 14 miejsc, gdzie tej nocy powstańcy się zbierali, nie dokonawszy napadu. Prawdopodobnie miejsc tych było więcej, tylko brak o nich wiadomości w pamiętnikach.

Z tych wszystkich napadów ośm było udanych, to znaczy, że cel został osiągnięty. Cztery były zupełnie nieudane. Do nich należy doliczyć i te 14, gdzie powstańcy się zebrali i przed zadaniem się cofnęli. Wreszcie siedm uważać można, jako nawpół tylko udane. Za chwilę to wyjaśnię.

W paru miejscach, np. w Radzyniu i Lubartowie, powstańcy, napadając w nocy na armaty, stojące osobno w szopach, zdołali niemi owładnąć, lecz utrzymać ich w swoich rękach nie potrafili, gdyż piechota zdążyła do tych armat dopaść i powstańcom odebrać. Armat nawet nie popsuto. Zdobyto w tej walce pareset karabinów. Specjalnie udanym był pod tym względem napad w Kodniu pod Brześciem, gdzie znajdował się magazyn, którym powstańcy pod dowództwem Nenckiego owładnęli, biorąc około 80 żołnierzy do niewoli, resztę rozpędziwszy. W niektórych miejscach zdołano pozbierać część broni po zabitych.

Jeżeli idzie o liczbę powstańców, którzy brali tej nocy udział w bitwach, którzy stanęli do apelu, to tak jest trudno zorjentować się przy sprzecznych cyfrach u różnych autorów, że doprawdy każdą cyfrę musiałbym zaopatrzyć znakiem zapytania. Aby jednak mieć podstawę rachunku, starałem się do niej dojść. Według moich obliczeń, suma ludzi wynosiła około 6000. Przypuszczam jednak, że jest to cyfra zaduża.

O ile weźmiemy kwestję uzbrojenia, to było ono wszędzie bardzo liche. W niektórych miejscach walczono między sobą o kosy, albowiem brakło ich. Często wycinano drągi w lesie, jako jedyną broń. Od tego czasu pochodzi nazwa drągaljerów.

Jeżeli idzie o organizację, to wszędzie ona zawiodła. Nigdzie nie stanęło tylu, ilu się spodziewano, wszędzie liczba była o trzy czwarte zmniejszona. Obok tego wszędzie powstańcy wykazali

dużo płochliwości. Przy najmniejszym oporze masa ta okazywała się bardzo bojaźliwą.

Największym, najpoważniejszym i najdonioślejsze znaczenie polityczne mającym, był zupełnie nieudany napad na Płock. Jest to jedyny znaczniejszy punkt, jaki przy napadach był wybrany. Mimo, że powstańców zebrało się zgórą tysiąc, a załoga wynosiła 200 do 400 ludzi, jednak napad najzupełniej się nie powiódł.

Z pomiędzy udanych napadów wymienię napad Zameczka-Cichorskiego na Suraż w województwie białostockiem. W województwie podlaskiem, które najenergiczniej wystąpiło i najwięcej dokonało, wymienić trzeba, wspomniany już, napad na Kodeń pod dowództwem Nenckiego, na Łomazy pod dowództwem Szaniawskiego, gdzie ułanów w puch rozbito; z bardziej nieszczęśliwych, tam gdzie armaty wzięto i stracono, wspomnieć trzeba napad na Radzyń, prowadzony przez Deskura. W województwie sandomierskiem pod dowództwem Langiewicza dokonano trzech napadów: dwa z nich udane na Bodzentyn i Jedlnię pod dowództwem Figetiego, trzeci pod dowództwem samego Langiewicza na Szydłowiec. W województwie krakowskiem udanym był napad w Michałowicach na straż graniczną. Wreszcie jako udane nazwać trzeba starcie w Ciołkowie pod Płockiem pod dowództwem Rogalińskiego, w którem 100 powstańców spotkało się z silniejszym oddziałem rosyjskim; skutkiem naiwnego humanitaryzmu dowodzącego pułkownika, oddział jego został prawie zupełnie zniszczony.

Komunikacje telegraficzne prawie wszędzie zostały przerwane.

Dla charakterystyki stanu ówczesnych umysłów, przenikniętych brakiem wiary w powodzenie, wspomnę o, tak dla mnie zrozumiałem, opowiadaniu Daniłowskiego, który wówczas był w grupie rządowej, jaka pozostała w Warszawie. Powiada on, że 22-go rano poszedł do drugiego członka Komitetu inż. Marczewskiego z pewnym strachem, aby dowiedzieć się, co się stało. Czy może nic się nie stało? I dopiero westchnienie ulgi, kiedy dowiedział się, że komunikacja przerwana [1]).

Jeżeli teraz zwrócimy się do napół udanych przedsięwzięć, to z pewnego punktu widzenia są one raczej zupełnie nieudałemi. Takiego punktu widzenia trzymają się Gesket i Przyborowski, którzy uważają, że czego się nie dokonało i nie osiąg-

[1]) Władysław Daniłowski. *Notatki do pamiętników.* Wydał Jan Czubek. Kraków 1908, str. 200.

nęło bezpośrednio, należy zaliczyć do niepowodzeń. Jest to czysto taktyczny punkt widzenia, który nie uwzględnia moralnego wpływu, jaki dane przedsięwzięcie wywiera na wypadki i sytuacje. Zaliczyłem tu te wszystkie, które, wywierając swój wpływ na wroga i na otoczenie, pozostawiły swoje dobre dla powstania ślady, pozwoliły odetchnąć głębiej, organizacji powstania dały pewną ilość czasu i wreszcie w umyśle wroga zostawiły pojęcie o szerokości ruchu.

Chciałbym wkońcu zwrócić uwagę na to, jak pierwotny plan Padlewskiego wywołał jednak swój wpływ na przebieg nocy styczniowej. Napady są najbardziej skoncentrowane na wschodzie; w pierwszym planie Padlewski kładł na to nacisk i tu poprzednie prace przygotowawcze wywierały swój nacisk. Widać tu potężny wpływ myśli ludzkiej w dziedzinie wojny, widać, jak myśl ta znajduje swój wyraz w realnych przejawach wojny. Zauważmy, że Lubelskie, mające najwięcej spiskowych, ale bez wojennego naczelnika, ma tylko jeden napad. W województwach mazowieckiem i kieleckiem, gdzie brakło naczelników, nie było też napadów. Poprzednie przygotowania dają jednak odpowiednie rezultaty, a brak ich doprowadza do takich właśnie ujemnych wyników, jak wyżej przytoczone.

WYKŁAD V. (3.V. 1912).

W poprzednim wykładzie przedstawiłem owo bardzo słabe uderzenie ze strony powstania. Chciałbym jednak nad paru kwestjami, tyczącemi się nocy styczniowej, zatrzymać jeszcze nieco uwagi; przedewszystkiem chcę podnieść pewną nadzwyczaj cenną cechę u powstańców, która, daj Boże, aby istniała u wszystkich rewolucjonistów polskich.

Kiedy się mówi o niespodziance, jest rzeczą bardzo ważną, aby tajemnica była zachowana. Otóż pod tym względem napięcie moralne było nadzwyczajne. Mimo, że dziesiątki tysięcy ludzi wiedziało o nocy 22 stycznia, wiadomość ta nie doszła do wroga i we wszystkich wypadkach wybuch był dlań niespodzianką. Ta umiejętność dotrzymania tajemnicy świadczy o wysokim poziomie moralnym, jakim było ożywione powstanie 1863 roku.

Druga rzecz, którą podnieść trzeba w związku z omówionemi przedtem planami, to najzupełniejsze nieudanie się obliczeń co do oficerów i żołnierzy rosyjskich. Przeważnie próbowano wejść z nimi w porozumienie, aby wspólnie akcję tej nocy przeprowa-

dzić. W niektórych wypadkach doprowadziło to do zdrady, w innych pomoc ich była zupełnie nieokreślona. W jednym tylko wypadku przeszli kanonierzy Polacy na stronę rewolucji. Oficerowie zaś, nawet Polacy, w ogromnej większości zawahali się; dopiero po pewnym czasie ci ostatni przechodzili na stronę powstania.

Poprzedni swój wykład zakończyłem twierdzeniem, że jeżeli idzie o zwycięstwa taktyczne, to w nocy styczniowej było ich bardzo mało. Natomiast zwycięstwo zostało odniesione w dziedzinie moralnej. Do przedstawienia wpływu nocy styczniowej w tej dziedzinie przejdę obecnie.

Trzeba sobie przedstawić położenie głównodowodzącego armją rosyjską, stacjonowaną w Królestwie, po nocy styczniowej, kiedy zaczęły go dobiegać sztafety konne z różnemi przesadnemi wieściami z kraju. Wojsko, którego położenie opisałem, znajdowało się w stanie prawie bezbronnym; było ono wysyłane do różnych miejsc nie dla celów wojny, a po to, by podtrzymać władze cywilne przy uspakajaniu wrzenia rewolucyjnego. Dlatego w poszczególnych oddziałach dawał się odczuwać brak odpowiedniej ilości nabojów, dzięki czemu do dłuższej walki były one niezdatne. Same kwatery, wobec rozesłania całego mnóstwa wojska ze stałych miejsc postoju, wydawać się musiały niedostatecznie ochronione. To samo się działo z artylerją, która w noc styczniową była łatwym łupem i która w oczach i w wyobraźni dowódców mogła stać się łupem prędzej czy później. Magazyny, tabory, artylerja — wszystko to wydawało się w stanie niedość osłoniętym. Same zaś wojska, rozrzucone po kraju, wydały się również w położeniu niezbyt bezpiecznem, gdyż mogły stać się łatwą ofiarą silnego uderzenia. I mimo tego, że we wszystkich prawie miejscowościach powstańców odparto, wojsko jednak wydawało się dowódcom niezdatnem do prowadzenia wojny, zwłaszcza zaczepnej, na którą zdobyć się musiało. Wydawał się im koniecznym pewien niezbędny okres czasu dla nowego urządzenia wojska i przygotowania go do ruchów zaczepnych przeciw powstaniu. Oto jest położenie, które zmuszało do pewnego rodzaju skoncentrowania się wojska i jego zorganizowania się dla celów wojny.

I oto idą rozkazy od generała Ramsaya, zarządzające koncentrację podległego mu wojska. Cele te są bardzo wyraźnie podkreślone. Rozkaz został rozesłany już 23 stycznia. Generał Ramsay był usposobiony o tyle gorączkowo, że, wobec protestów z prowincji od różnych podległych mu dowódców, 27 stycznia potwierdza raz jeszcze ten rozkaz koncentracyjny w sposób bardziej jesz-

cze bezwzględny. W planie koncentracyjnym przebija staranie Ramsaya, aby armję uczynić możliwie silną i pewną tak, aby każde jej uderzenie miało silną podstawę, aby biło silnie w wyobraźnię ludzką.

Ten śpieszny i bezwzględny rozkaz koncentracji wywołał u późniejszych krytyków 1863 roku dość ostre zarzuty, jak ze strony polskiej, tak i rosyjskiej. P r z y b o r o w s k i twierdzi, że cała koncentracja była czarną intrygą przeciw Konstantemu i Wielopolskiemu. Że w ten sposób chciał on dać rozrosnąć się powstaniu, aby wykazać, że tylko siła zbrojna może doprowadzić do uspokojenia. Hipotezę powyższą opiera na tem, że kiedy pewne lojalne koła szlacheckie zwracały się do Wielkiego Księcia Konstantego, aby wojsko zostawił na prowincji dla osłony dworów, wówczas Konstanty zwrócił się z tem do Ramsaya. Na to Ramsay odpowiedział, że im więcej buntowników zginie, „tem lepiej dla nas będzie". Na tej dość mętnej polityce, która nic dla sprawy wojny nie stanowi, jest oparta czarna intryga tego generała, zmierzająca do obalenia Wielopolskiego. Jest to hipoteza, której genezę tłumaczę sobie późniejszą tendencją polityczną; sądzę, że zrodziła się ona w czasie, kiedy powstanie 1863 roku chciano wymazać z pamięci i serc ludzkich, kiedy chciano je przedstawić, jako czyn zbrodniczy wobec narodu. A najpewniejszemi argumentami tej teorji stało się „łaskawe" usposobienie miarodajnych wysokich czynników rosyjskich.

W istocie z punktu widzenia wojskowego generał Ramsay znacznie większą miał rację, niż W. Książę Konstanty, który chciał zarządzoną przezeń dyslokację zatrzymać. Ze stanowiska wojennego nie miał on prawa zostawiać armji w stanie nawpół bezbronnym, nie miał prawa przypuszczać, że noc styczniowa nie powtórzy się w najbliższych dniach; z punktu widzenia wojny musiał on dbać o swoje wojsko. Że pod tym względem liczenie się z późniejszą wojną było słuszne i miało rację bytu, świadczą następne wypadki.

Krytyka G e s k e t a, jako wojskowego, jest inna. Twierdzi on mianowicie, że koncentracja była konieczna; sądzi jednak, że generał Ramsay działał zbyt pośpiesznie, że nie liczył się z warunkami wojskowemi i stąd zbyt schematycznie ją zarządził. G e s k e t przypuszcza, że generał Ramsay w decyzjach swoich przeceniał siłę powstania, zanadto się go bojąc, że powinien był okazać więcej zimnej krwi i koncentrować nie tak silnie, mógł pozostawić luźniejszą dyslokację i w ten sposób pozo-

stawić mniej pola dla swobodnego działania powstania. Ta krytyka, ujęta z punktu widzenia wojskowego i historyka, który znał całość późniejszych wypadków i mógł ocenić wartość militarną powstania na podstawie faktów już dokonanych, jest tylko w pewnej mierze do przyjęcia. Całkowicie zgodzić się na nią niesposób. Niewątpliwie było błędem Ramsaya, że koncentracja była przeprowadzona zbyt nerwowo tak, że w wielu wypadkach wyglądała, jakgdyby była robiona pod wpływem strachu, robiła wrażenie ucieczki.

Jeżeli przejdziemy do faktów, to najlepiej ilustruje nową sytuację mapa, przedstawiająca ugrupowanie wojska po koncentracji. Oto zamiast 180 punktów mamy ich czterdzieści pare; resztę kraju pozostawiono zupełnie bez osłony. Zachodzi przytem jeszcze jedna ciekawa omyłka ze strony rosyjskiej, mianowicie zupełne zapomnienie o straży pogranicznej. Jest to wynik systemu urzędniczego, w jakim znajdowała się Rosja, bo niczem innem nie można sobie wytłumaczyć faktu, żeby wojsko innego rodzaju wypadło z pamięci. I ta straż pograniczna, rozsypana po całej granicy, została pozbawiona pomocy linjowego wojska, gdyż cofnęło się ono wgłąb kraju. Dopiero po dłuższym czasie władze rosyjskie spostrzegły się i zaczęły robić wysiłki, aby straż pograniczną ocalić, lecz wtedy już większość jej legła pod razami powstania.

Dla charakterystyki tej koncentracji wspomnę, że z 40 miast powiatowych opuszczono aż 14. Zatem koncentracja wielkie szmaty kraju uwalniała od wojska. Najsilniej przeprowadzono ją w województwie sandomierskiem i krakowskiem. Wynikało to ze względnie małej ilości wojska, jakie tam znajdowało się przed powstaniem. Drugą charakterystyczną cechą jest pozostawienie koncentracji w znacznie gęstszym stanie na zachodzie w porównaniu z południem i wschodem. Warto zastanowić się nad przyczynami tego stanu rzeczy, dlaczego na zachodzie gen. Brunner, który w powstaniu odznaczył się niezwykłem tchórzostwem, przeprowadza koncentrację typowo tak, jakgdyby był najodważniejszym ze wszystkich dowódców w Królestwie. Pisze on pare razy do Ramsaya, prosząc, aby dał spokój zbyt ostrej koncentracji, że i bez tego da sobie radę. Inni generałowie chętniej wykonywują koncentrację, chociaż są mniej tchórzliwi. Otóż tłumaczy to fakt, że cały zachód, dzięki nieprzygotowaniu tam powstania, został przez akcję styczniową pominięty; zachód nie drgnął, nie dał znaku życia. Nie wytworzył bicza, którzyby Brunnera zmusił do lęku, któryby w wyobraźni jego wywołał grozę położenia. Zachód milczał i oto mamy skutek tego milczenia.

Lecz mamy i inne wytłumaczenie przytoczonej wyżej krytyki G e s k e t a, krytyki bardzo krzywdzącej działania gen. Ramsaya, która posądza go poprostu o tchórzostwo wobec rewolucji. Jest ona mianowicie oparta już na doskonałej znajomości całej historji powstania. Istotnie, gdy się zastanowimy nad materjalnym naciskiem, zrobionym przez powstanie, i porównamy go ze skutkiem, jaki wywarł, to mimowoli przychodzi do głowy pytanie, poco był ten pośpiech? Przecież wszystkie prawie napady były odparte, wojsko rosyjskie zostało zwycięskiem, więc pocóż było właściwie tak spieszyć? Oto na podstawie tego porównania powstały zarówno te plotki i gawędy, jakie streścił P r z y b o r o w s k i, jak i owa krytyka G e s k e t a. Jednak zdaje mi się, że krytyka ta nie jest dostatecznie usprawiedliwioną. G e s k e t bowiem przechodzi do porządku dziennego nad czynnikiem moralnym, jaki wytworzyła ówczesna sytuacja, bierze natomiast pod uwagę tylko czynniki czysto materjalne. Jeżeli jednak wnikniemy w stan moralny Ramsaya, a jeszcze bardziej jego wszystkich podkomendnych, to łatwo spostrzeżemy, iż oni, którzy dotąd przed rewolucją się cofali, nie mogli nie wyobrażać sobie, że ta rewolucja jest znacznie silniejszą, niż była w rzeczywistości. Jest przecież rzeczą niemożliwą nie popełniać błędów.

Aby jasno przedstawić ogrom owej siły moralnej, przytoczę jeden obrazek z nocy styczniowej, mianowicie napad Rogińskiego na Białą, napad nieudany skutkiem zdrady dwóch oficerów Polaków, którzy poszli do komendanta gen. Mamajewa i uprzedzili go w porę. Generał Mamajew zbiera o 9-ej wieczorem całe swoje wojsko: dwie kompanje piechoty, baterję artylerji, sotnię kozaków. O niespodzianym napadzie mowy niema. Rogiński zbiera 80 ludzi, których broń palną stanowi jedenaście strzelb myśliwskich, reszta ma kosy. I oto naprzeciw siebie stają dwie potęgi, które pod względem materjalnym wyglądają rzeczywiście zabawnie. Lecz Mamajew nie śmiał uderzyć na tych 80 ludzi i pozwala nawet, by przemaszerowali oni na kilka kroków od jego frontu. Dopiero po ich przejściu generał puszcza na nich kozaków [1]). Oto co czyni potęga moralna, która uderzenia słabe robi uderzeniami olbrzyma. To nie jest ta siła materjalna słaba i nikła; to jest owa potęga moralna rewolucji, która działa, potęgując słabiznę fizyczną. I w nocy styczniowej potęga moralna, potęga ducha sprawiła to, że mapa koncentracji rosyjskiej tak wygląda świetnie.

[1]) Roman R o g i ń s k i. *Zaczątki powstania na Podlasiu i na Litwie.* Poznań 1896; przedruk *Z Pamiętnika Romana...* Kraków 1898.

Jednak technika i siła fizyczna ma swoje działanie i swój wpływ. Wpływ braku techniki widzimy na przykładzie generała Brunnera. Nawet w tej fazie wojny, kiedy jeszcze siła moralna jest siłą dużą, jest ona konieczna.

Tak czy inaczej, koncentracja została nakazana. W czasie jej trwania wojsko nie jest zdatne do boju. Przejść musi pewien okres czasu, nim ta koncentracja się zakończy i nim wojsko stanie się znów zdolnem do zadawania powstaniu ciosów silnych, szybkich i skutecznych. Pewien czas zatem został wygrany.

Widzimy po stronie rosyjskiej wyraźny cel. Możemy uważać, że mogła ona postąpić omyłkowo, ale cel jest jasny i jednolity dla całej armji; cała armja ma na pewien okres czasu postawione wyraźne, jasne zadanie. Jak zobaczymy, po stronie polskiej było akurat odwrotnie. Polacy ani czasu nie wykorzystali, ani też nie mieli w tym czasie żadnej wyraźnej myśli wojennej, nie mieli jej też w postaci jednolitego prowadzenia sprawy na całym terenie.

Zobaczmy przedewszystkiem, jaki był stan tej armji polskiej po nocy 22 stycznia. Oddziały, w różnych miejscach odrzucone przez przeciwnika, nie zatrzymując się na punktach napadu, zdezorganizowane nawet zwycięstwem, nietylko przegraną, rozepchnięte w różne strony, znajdują się w stanie najzupełniejszej dezorjentacji i nieświadomości, co z sobą mają czynić. Przedewszystkiem biegną gońcy ze wszystkich okolic do Warszawy. Stamtąd żadnej odpowiedzi niema. Rząd Narodowy wyniósł się do Płocka, a raczej chciał się tam wynieść, i w Warszawie zostało trzech ludzi: dwóch studentów Bobrowski i Daniłowski i jeden inżynier — Marczewski, jako przedstawiciele Rządu.

Jeżeli natychmiast kurjera nie odesłano, to za nim przyjeżdżał nowy. Co ci nieszczęśliwi ludzie mieli dawać za wskazówki? Komu, jak? Kiedy oni sami chcieliby od kogo otrzymać jakąkolwiek radę, czy dyrektywę. Żadnej myśli wojennej z tego centrum spisku! Zadawalniano się załatwieniem najpilniejszych interesów. Posłano kilka kożuchów, trochę broni.

Kierownictwo? — do tego ich nikt nie przygotowywał; kierownika rzeczywistego nie było. I oto widzimy zupełny brak myśli kierowniczej, łączącej te wszystkie ruchy w owej chwili w jakąś jedność. Tego niema. Rząd Narodowy złożył dyktaturę na barki Mierosławskiego, który był jeszcze w Paryżu, i stamtąd czekał odeń rozkazów i wskazówek. Od tego czasu kierownictwo akcją nie spoczywało na barkach władz centralnych. Spadło ono z konieczności na niższe organy. Tam mamy dowódców, jak: Pa-

dlewski, Lewandowski, Langiewicz, Jeziorański, Kurowski, Oxiński. Oto przed nimi stanęły kwestje, niech oni je rozstrzygają! Jeżeli idzie o jednolitość, to już ta myśl zepchnięcia decyzyj na podwładnych jest zgubna. Tutaj mamy początek tego kardynalnego błędu powstania 1863 roku: brak myśli wojennej, obejmującej cały kraj.

Te pretensje możemy postawić i wtedy, kiedy będziemy mówili o znacznie mniejszych częściach kraju. Weźmy np. Podlasie, gdzie ruch był najsilniejszy. Tam też każdy oddział szuka odpowiedzialnego za województwo dowódcy, Lewandowskiego; nikt jednak znaleźć go nie może, bo oddział, jakim on dowodził, rozsypał się w boju, a on sam jeden błądził, szukając również swoich oddziałów.

Na powstańców ten brak decyzji działał fatalnie; jest to rzeczą zupełnie naturalną, zwłaszcza dla ludzi, nieobeznanych z rzemiosłem wojennem, mających zupełnie świeżo z wojną do czynienia. Trzeba dawać albo zawczasu pewne przygotowanie, albo bardzo jasne i ścisłe rozkazy. W tym wypadku ich zabrakło. I stąd chwiejność i niepewność najbardziej charakteryzują stan moralny powstania po nocy styczniowej.

WYKŁAD VI. (7.V.1912).

Mówiłem poprzednio o stanie oddziałów powstańczych po nocy styczniowej. Charakteryzowałem go, jako stan pewnej dezorjentacji, którego główną cechą był brak zorganizowanego kierownictwa wojną z polskiej strony. Aby dać przykład, wystarczy wskazać na brak naczelnego kierownictwa w Warszawie. Poza Warszawą, w województwach było absolutnie to samo. Na Podlasiu pułkownik Lewandowski, po nieudanym zamiarze napadu na Siedlce, błąkał się po swem województwie tak, że go znaleziono dopiero po dłuższym czasie. Każdy dowódca był pozostawiony sam sobie. W Lubelskiem znajdziemy całkiem to samo. Tam nawet nie wyznaczono wcześniej naczelnego dowódcy; i tam również widzimy poszczególne oddziały, niezłączone żadnemi węzłami. W województwie sandomierskiem Langiewicz chciał mieć ingerencję we wszystkich sprawach. Pomiędzy innemi nakazał on, aby wszystkie oddziały, bez względu na powodzenie w pierwszej akcji, skoncentrowały się w Szydłowcu, na który on sam prowadził napad. Wobec nieudania się napadu na Szydłowiec, punkt ten jako koncentracyjny przestał istnieć, — nieopanowany przez Polaków, został w ręku Rosjan. Z chwilą więc, kiedy Langiewicz

poszedł zpod Szydłowca w stronę Wąchocka. już w jego województwie znalazły się oddziały, zupełnie z nim niepołączone.

W województwie krakowskiem Kurowski, który w nocy styczniowej prawie nic nie zrobił, stara się koncentrować swe siły w pobliżu granicy, prowadzi tam nawet z powodzeniem walkę ze strażą pograniczną, pozatem jednak kierownictwo jego rozciąga się jedynie na jeden drobny południowo-zachodni kąt województwa, na powiat olkuski, w którym on panuje.

Na zachodzie mamy absolutnie to samo. Tam również, jak w Lubelskiem, kierownik nie został wyznaczony, kierownictwa wojennego nie było i poszczególne oddziały zbierały się zupełnie samorzutnie. Najzręczniej prowadził swoją akcję dotychczasowy wódz naczelny, a obecnie wojewoda płocki, Padlewski. Sprawnie obejmował on poszczególne tereny i miejscowości swego województwa, mimo, że i jemu w nocy styczniowej się nic powiodło. Niestety, materjał historyczny do jego działalności w tym czasie jest tak mały, że trudno z zupełną ścisłością przedstawić tę jedyną robotę naprawdę wojenną. O ile sądzić można z tych źródeł, jakie posiadamy, myśl jego polegała na tem, że — wobec niemożliwości skoncentrowania w jednem miejscu wszystkich sił wojskowych — zajmował się przygotowaniem lokalnem ludzi w różnych powiatach, ćwicząc ich tak, aby ten materjał ludzki opanować na miejscu i mieć przygotowanym do walki w odpowiedniej chwili. Bardzo być może, iż dzięki temu właśnie, że Padlewski wykazał więcej umiejętności organizatorskiej, zdołał on wytrzymać dłużej w walce początkowej.

Jednak, powtarzam raz jeszcze, jakiegoś planu kierowniczego ze strony polskiej dla całości nie było. Dano w ten sposób początek brakowi kierowniczej myśli wojennej, brakowi organizacji wojennej, ujętej w ramy hierarchji, któraby bezładne wojsko trzymała w karbach posłuszeństwa. Dano początek tej chorobie, która rozsadzała wszelkie próby działania jakichkolwiek oddziałów. Nie szło o to, aby wojewoda miał pełen autorytet władzy. Dano początek zawiści, nieorganizacyjnemu zachowywaniu się w sprawach wojennych. Odtąd będziemy mieli stale, przy każdem połączeniu się dwóch oddziałów, walkę wewnętrzną w obozach między dwoma dowódcami. Tych paru dowódców zawistnych, którzy w ten sposób podrywali wszelką możność skoordynowania działań, będziemy mieli całe mnóstwo. W Kaliskiem widzimy Mierosławskiego, który w swoim obozie miał wroga Mielęckiego. Na południu mamy Langiewicza, który w swoim oddziale miał

wroga Jeziorańskiego, z którym ciągle staczał walki, oraz Czachowskiego, który się kłócił z Kononowiczem. Będziemy mieli na północy Padlewskiego, walczącego z Cichorskim i t. d. Stale mamy te tarcia wewnętrzne, które robiły niemożliwemi działania skoordynowane.

Jeżeli wejrzymy do teorji wojennej, traktującej o organizacji armij nieregularnych, znajdziemy w niej wszędzie jedno twierdzenie: najsłabszą jej stroną jest brak ustalonej hierarchji wojskowej. Przeciw temu należało zawczasu zapobiec. Tymczasem ze strony kierownictwa nie widzimy wcale starania, aby wcześniej ułożyć te sprawy tak, żeby nie uderzyły one w najsłabszą stronę: niezorganizowanie armji. A przecież w czasie przygotowawczej pracy przed powstaniem był czas do wytworzenia tego, co było najłatwiejszem, t. j. kierownictwa.

Tego powstanie w poprzedzającym wybuch okresie nie uczyniło, natomiast w czasie samego wybuchu uczyniło jakby wszystko, aby zniszczyć już wytworzoną organizację. Mamy Padlewskiego, który, zamiast kierować wojną, zrzuca z siebie odpowiedzialność za jej losy, za całość sprawy. Mamy potem wszystkich dowódców, którzy stają się dowódcami tylko drobnego kawałka swego województwa, tego, w którym w danym momencie naczelnik województwa stoi ze swojemi oddziałami. W jaki sposób nawet chcieć, aby ten naczelnik kierował działaniami wojennemi, jeżeli w każdej chwili los będzie go przerzucał z jednego miejsca na drugie.

I oto powoli wszczepia się w ludziach przekonanie, że każdy z dowódców nie jest tem kołem w mechaniźmie wojennym, lecz jest on, zupełnie nieodpowiedzialnym przed kimkolwiek, kierownikiem swego oddziału i jest pewnym tego tylko, co koło niego się skupia. Odtąd myśl wojenna zaczyna z konieczności wyrabiać się niejednolicie i bez żadnego wpływu centralnego. Myśl wojenna ciąży na względnie jednolitych elementach, które każdej chwili ulegają wpływowi, jakiemu muszą poddać się w danej chwili. Niema żadnego organu, któryby to wszystko jednoczył.

Jednak jakąś myślą, jakimś celem kierować się trzeba. I oto natychmiast po wybuchu myśl ta kierownicza w głowach poszczególnych dowódców zaczyna się wyrabiać. Nie jest ona świadoma; jest to pewne instynktowne szukanie większej siły. Każdy czuje się słabym, czuje się niezdatnym do walki. Każdy oddział czuje się niepewnym, a jego dowódca nie wie, co ma przedsięwziąć. Zjawia się instynktowne połączenie się z sobą dla wytworzenia większych

oddziałów na przestrzeni całego kraju, bezwiedne tworzenie zawiązków armji polskiej.

U niektórych dowódców ta myśl była nawet zupełnie świadoma. Do takich niewątpliwie należał Langiewicz, który we wszystkich swoich działaniach szukał możliwie większej siły. Lecz jeżeli zanalizujemy pojęcie jego w tym względzie, to zauważymy, że niema tu myśli tworzenia armji, lecz tworzenia większego oddziału dla przedsięwzięcia czegoś, co zdarzyć się może. Myśl świadoma o armji musiałaby doprowadzić do myśli, czego trzeba do jej stworzenia.

Tej świadomości ja, przynajmniej w działaniach ówczesnych dowódców, nie znajduję. Albowiem chociaż zewnętrznie działania ich wydają się zupełnie świadomemi i rozumnemi, zwłaszcza tych, którzy łączyli się w większe grupy, to jednak nie znajdziemy niczego, żadnych działań, któreby mówiły, że są one zupełnie skrystalizowane. Przeciwnie, sądzę, że był to wynik instynktu szukania oparcia w liczbie. Albowiem gdyby dowódcy ci zastanowili się tylko nad tem, jak się armje tworzą, to niechybnie każdy z nich przyszedłby do przekonania zupełnie wyraźnego, że do tego trzeba mieć przedewszystkiem czas, a następnie, że trzeba osłaniać czemkolwiek tworzenie się armji; armja bowiem w chwili organizowania się nie jest zdatną do walki.

Dla armji potrzebni są ludzie, potrzebna jest broń i potrzebne jest zorganizowanie się. W warunkach, w jakich powstanie 1863 roku walczyło, wszystkie te czynniki sprowadzają się do kwestji czasu. Ludzie, materjał ludzki istnieje, było go poddostatkiem. Ale i tu chciałbym wskazać na jeden specjalny błąd ogromnej większości umysłów rewolucyjnych, mianowicie, że one z kwestją czasu bardzo mało się liczą i, wierząc w rewolucyjne usposobienie ludności, przypuszczają, że ludność ta jakimś cudem stanie się zdolna do przeprowadzenia rewolucji.

Tymczasem wybuch rewolucji robi niespodziankę nietylko rządowi, ale i całemu narodowi. Cały naród w jednej chwili przejść nie może ze stanu poddańczego do stanu otwartej walki. Musi przejść pewien czas przygotowania psychicznego, dla zyskania wiary i nadziei, musi przejść pewien czas, potrzebny dla wytworzenia ram organizacyjnych. Do tego, by ten materjał ludzki był materjałem wojennym, trzeba czasu i ten czas wygrać musi to wszystko, co już poprzednio zorganizowaniem rewolucyjnem było. Jeżeli weźmiemy tylko sprawę uzbrojenia, to nawet przypuściwszy, że ta broń była złożona, zakopana etc. w kraju i nad

granicami, nie możemy negować czynnika czasu, jaki jest nam potrzebny, by owa broń doszła do tych, którzy chcą się zbroić i walczyć. A cóż dopiero wtedy, gdy broń nawet nie jest przygotowana?

Wreszcie broń przychodzi. Są ludzie. Ale trzeba czasu, aby ich wojennie zorganizować, żeby nie byli zbiorowiskiem, które przy pierwszem zetknięciu z nieprzyjacielem rozprasza się, gdzie ludzie jedni drugich nie znają, gdzie niema tej spoistej całości, jaką przedstawia każda armja.

Jeżeli przejdziemy teraz do kwestji czasu, jak ona wyglądała w 1863 roku, to widzimy, że powstanie po wybuchu miało 9 do 10 dni swobodnych. Nastąpiła koncentracja rosyjska, która zajęła pewną ilość czasu; w Radomskiem pierwsze działania wojenne ze strony Rosjan nastąpiły 1 lutego, ma więc Langiewicz 9 dni. W Lubelskiem 6 lutego, zatem Zdanowicz ma 14 dni. W Miechowie załoga rosyjska występuje na pierwszy rekonesans w ostatnich dniach stycznia starego stylu, Kurowski ma więc do 20 dni. Pierwszy ruch nie daje żadnych rezultatów i poruszenia wojska w kierunku Ojcowa zaczynają się dopiero 16 lutego, zatem nawet 24 dni. Na Podlasiu przeciw Rogińskiemu 31 stycznia — zatem 8 dni czasu; wyprawa na Węgrów 2 lutego, zatem 11 dni. Z Kalisza Brunner robi pierwsze rekonesanse 31 stycznia, niedające żadnych rezultatów, mają więc powstańcy 8 dni, a następny rekonesans ma miejsce dopiero 15 lutego, zatem właściwie 23 dni przed jakiemkolwiek starciem. Jeziorański miał 13 dni czasu. W Płockiem pierwsze większe starcie nastąpiło 28 stycznia, więc znowu 5 dni i t. d. i t. d.

Jeżeli z powyższych cyfr i następnych, których już tu nie wymieniam, weźmiemy przeciętną, to otrzymamy 10, 9, 12 dni czasu, jakie miało powstanie przed powzięciem inicjatywy ze strony Rosjan. I ten czas okazał się niewystarczającym. Powstanie nie zdążyło zebrać ani dostatecznej siły wojskowej, ani nie wytworzyło dostatecznej spoistości wewnętrznej, albowiem jej zawiązki prysły już z końcem marca. Tych 12 dni czasu było zatem zamało dla powstania, aby się dostatecznie silnie przeciwstawić wojsku rosyjskiemu. I oto naturalnie powstaje kwestja, czy można było wygrać czasu więcej, czy w działaniach powstańców nie było jakiegoś błędu, czegoś takiego, co wpłynęło na jego ograniczenie? Jeżeli w tym wypadku stawiam powyższe pytanie, to również należy się zastanowić, czy nie wymagam od powstania rzeczy niemożliwych, czy nie wymagam rzeczy, których pow-

stańcy w żaden sposób wykonać nie mogli, i w ten sposób staję wobec faktów, jako krytyk nieobjektywny?

Te dwa pytania musimy rozstrzygnąć.

Przy pierwszym namyśle nad tem, co się działo w nocy styczniowej, rzuca mi się w oczy to wielkie zapomnienie o centrach życia ówczesnego. Cały kraj staje do walki; padły pierwsze strzały a główne centrum życia, w którem rewolucja wrzała i gdzie została przygotowana, to główne centrum pod względem wojennym milczy. W Warszawie niema nic, tam niema wojny.

Kiedym analizował koncentrację wojska rosyjskiego, starałem się uzasadnić, że była ona wynikiem wpływu na wyobraźnię wodzów rosyjskich, który wywołało u nich pewne uczucie strachu za wojsko, im powierzone. Czy sądzicie, że gdyby stolica nie milczała, to ten wpływ byłby mniejszym? Gdyby w stolicy rewolucja wrzała, czy sądzicie, że wyobraźnia wodza nie byłaby bardziej skuta? Tymczasem mamy w całym ruchu powstańczym emigrację z centrów: z Warszawy wychodzą do lasów okolicznych, z Radomia poto, aby napaść na Jedlnię. Jedynie Płock uczuł na sobie szpony rewolucji. Wszystkie inne centra, wszyscy inni generałowie są zdala od wpływu jakichkolwiek działań rewolucyjnych; oni czują tchnienie rewolucji tylko przez odbicie. To milczenie centrum jest jednym z wielkich błędów, który niechybnie musiał powiększyć siły moralne wroga.

Jeżeli przypomnimy sobie plany Dąbrowskiego, to zauważymy, że nie opuszczały one centrów, a przeciwnie: były ściśle z niemi związane. W planach Padlewskiego już to wszystko minęło, mamy w nich emigrację rewolucji z centrów na prowincję. Coprawda— natychmiast po wybuchu—Bobrowski i Daniłowski przypomnieli sobie coś z planów Dąbrowskiego i snuli szalone pomysły dla podtrzymania rewolucji w samej Warszawie, jak łapanie Konstantego na ulicy i wywożenie do lasu, rzucanie się w mieście i robienie rozruchów. Jednak na nich zwalił się zaraz cały nacisk interesów i kłopotów bieżących, związanych z podtrzymaniem ognisk walki nazewnątrz. Oni sami byli w stanie pewnej rozterki duchowej. I oto, jako skutek tego stanu rzeczy, Warszawa stała się rezerwą dla działań wojennych rosyjskich. Z Warszawy wychodziły oddziały dla zwalczania ognisk rewolucji tam, gdzie tego było trzeba. Przez cały czas powstania była ona rezerwą dla wroga.

Pod tym względem mimowoli nasuwa się porównanie z rokiem 1905, gdy Warszawa odwrotną rolę odgrywała, gdy Warszawa

ściągała wojska do siebie; gdy musiano z prowincji zbierać siły dla uśmierzenia rewolucji w stolicy. W 1863 roku to zapomnienie centrów było jednym z tych błędów, które niechybnie odbić się musiały na dalszym biegu wypadków.

WYKŁAD VII. (10.V.1912).

Jak Warszawa została zapomniana, przez co nie odegrała w wojnie większej roli, tak było i z wszystkiemi innemi centrami wojennemi w Królestwie, z wyjątkiem Płocka. Pozwoliło to rządowi rosyjskiemu i wojsku w tych głównych punktach wojskowych skupić swoją rezerwę, która w każdej chwili była używaną do odpowiednich czynności. Niewątpliwie w początkach powstania centra te mogłyby odegrać rolę powstrzymywania na sobie sił wojennych tak, aby wygrana czasu na początku mogła być możliwie wielka.

Drugim takim środkiem bardzo silnym i, zdawałoby się, nadzwyczaj zgodnym z tem, co teorja wojny mówi o partyzantce, a jednak w powstaniu zapomnianym i nierozplanowanym, było działanie na komunikacje wroga. Wojsko, aby planować jakieś manewry, musi być ze sobą w łączności. Z chwilą, kiedy jej niema, manewry jego stają się niepewne, często są chybione. Dlatego też komunikacje odgrywały na wojnie zawsze nadzwyczaj poważną rolę. Partyzantka między innemi ma za zadanie oddziaływanie na komunikacje wroga, psucie komunikacyj i wywoływanie możliwie wielkiego w nich tarcia tak, by nieprzyjaciel musiał na utrzymanie ich i zabezpieczenie możliwie dużo sił poświęcić. W wypadkach wojny rewolucyjnej komunikacje te są zarazem najłatwiejszym objektem działania. Wojsko bowiem poświęca na nie bardzo mało sił, dzięki czemu działania te są względnie łatwe.

Przedewszystkiem zasługiwały na uwagę komunikacje z Warszawy, skąd rozchodziły się we wszystkich kierunkach szosy. Obok tego uwagę należało zwrócić na linje kolejowe, a szczególnie na petersburską, łączącą Warszawę z resztą państwa. Chociaż w tym czasie kolej nie odgrywała takiej roli, jak dziś, jednak w życiu wojennem 1863 roku zaważyła bardzo poważnie. Skutkiem nieopanowania linji petersburskiej, mamy zaraz w pierwszym miesiącu przypływ wojsk z zewnątrz Królestwa przy jej pomocy. Dwa pułki jazdy przybyły tą właśnie drogą do Warszawy.

Linje telegraficzne wprawdzie zostały narazie przerwane,

jednak w bardzo prędkim czasie zostały one naprawione; i chociaż potem nieraz je przerywano, jednak telegraf stale był w rękach rosyjskich i służył do koordynowania zarządzeń przeciw powstaniu. Tymczasem łatwo możemy sobie wyobrazić, że psucie telegrafu nie sprawiało żadnej trudności; wystarczało zwrócić na to baczniejszą uwagę, aby telegraf wogóle przestał działać.

To samo się tyczy konnych posłańców pomiędzy poszczególnemi oddziałami. Czytając opis wszelkich działań wojennych w tym pierwszym roku powstania, widzimy, jak to psucie komunikacyj między oddziałami odbywało się najzupełniej wypadkowo. Jedyna szosa brzeska, najbardziej opanowana przez powstańców, sprawiała Rosjanom najwięcej kłopotu, bowiem wszelkie komunikacje na niej nadzwyczaj długo nie dochodziły do tej normy, aby działać sprawnie. To też największe zamieszanie po stronie rosyjskiej było na Podlasiu. We wszystkich innych miejscowościach spotykamy ciągłe umowy i porozumienia między różnemi oddziałami, którym powstanie nie stawiało przeszkód. I jeżeli niekiedy te złożone nieraz manewry wojenne Rosjan, zmierzające do otoczenia poszczególnych oddziałów powstańczych, chybiały, to nie jest to wynikiem braku porozumienia, gdyż jednak do tego manewru dochodziło. Tymczasem zwracanie większej uwagi na komunikację i otoczenie wiankiem przeszkód każdego centrum rosyjskiego byłoby zwiększeniem tarcia, któreby niechybnie musiało przedłużyć okres czasu, wolny od działań wojennych.

Przerwanie komunikacji ma zasadniczy wpływ moralny; powoduje brak wiadomości, który działa zawsze demoralizująco na stan głównych kierowników i na wojsko. Gdyby zawczasu było uplanowane działanie przeciw komunikacjom wroga, możnaby było oczekiwać tego, że pierwszy zwrot nieprzyjaciela poszedłby w kierunku zapewnienia sobie łączności wewnętrznej, koniecznej do skoordynowanych działań wojennych. Na to trzebaby było przeznaczyć większe oddziały, a przedewszystkiem musianoby zużytkować kawalerję; musianoby sztafety wysyłać całemi oddziałami i można stanowczo stwierdzić, że czas w tym wypadku — rzecz najdroższa dla powstania — byłby temi walkami, systematycznie prowadzonemi, wygrany. Należało tylko dla tej pracy wojennej wyznaczyć zawczasu pewne oddziały, które otoczyłyby dookoła wszelkie rosyjskie centra wojskowe. Oto czytamy naprzykład w jednym z pamiętników, że przez dziedziniec pewnego dworu przejeżdżali rosyjscy posłańcy wojskowi z Janowa do Lublina. Takich posłańców było bardzo wielu i nietrudno

było ich wyłapać, tymczasem tylko wypadkowo te sztafety wpadały w ręce powstańców.

W zarządzeniach powstaniowych jakiegoś planu w tym kierunku nie widać wcale. I bodaj jedyny z wodzów powstania, wojewoda kaliski, Bronisław Rudzki, już po wybuchu powstania, przy pierwszym swym planie działania w województwie kaliskiem, ułożył rodzaj planu izolowania od siebie poszczególnych garnizonów tak, by im komunikację możliwie utrudnić. Ale plan ten powstał wtedy, gdy już inicjatywa była w rękach wroga, gdy wszelkie kombinacje mogły być przez wroga zniesione, a nie wówczas, kiedy inicjatywa cała spoczywała w rękach polskich i gdy szło przedewszystkiem o przedłużenie czasu utrzymania inicjatywy w swoich rękach. Plan ten pękł najzupełniej z tego powodu, że oddziały rosyjskie rozbijały wszelkie tego rodzaju próby.

Punkt ten uważam osobiście za rzecz bardzo ważną i dlatego chciałbym przedstawić trochę wyraźniej tę akcję, którąby w tym wypadku ze strony powstania mogła być prowadzona, i skutki, jakieby ona za sobą pociągnęła.

Gdy na jakimkolwiek trakcie komunikacja staje się niepewną, wtedy okoliczność zmusza do zabezpieczenia tej łączności. Prowadzi do tego albo zwiększenie ochrony, eskortującej daną sztafetę, a więc zwiększenie ilości wojska, zużytego na czynności nie bezpośrednio bojowe, albo też lepsze zabezpieczenie punktów, najbardziej zagrożonych. Kiedy wojsko, przeznaczone do bezpośredniej akcji wojennej, jest w ten sposób uszczuplone, łączność będzie mniej szybka, chociaż pewniejsza; w drugim wypadku rozporządzalne siły będą większe, ale bezpieczeństwo komunikacji nie jest w dostatecznej mierze zapewnione. Zmusiłoby to do takiego tarcia wewnętrznego, któreby moment inicjatywy rosyjskiej mogło usunąć na jakiś czas. Uzyskane dni w każdym razie byłyby wygrane.

Wreszcie jedno jeszcze działanie wojenne nadzwyczaj łatwe, niewymagające większych sił, którego powstańcy powinni byli używać. Tem działaniem są alarmy. O alarmach w pierwszych początkach nie czytamy zupełnie. Później były one, chociaż nieplanowo, czynione. Nastrój zaś nerwowy wojska rosyjskiego po napadach styczniowych był dość silny i alarmy mogły wywołać odpowiednie zmęczenie wojska i niezdolność do orjentowania się w sytuacji; odsuwałyby zatem moment inicjatywy na pewien okres czasu. Jako dowód służyć mogą raporty komendanta fortecy brzeskiej, generała Stadena, posłane 17 lutego do Warszawy,

z których wynika, iż nie czuł on się dobrze, że czuł się nieco chwiejnie; żałuje on swego ruchu zaczepnego przeciw Białej, musi specjalnie ubezpieczyć się od urojonych napaści powstańców na twierdzę. Naturalnie, że jeżeli ten stan chwiejności i niepewności jest u komendanta, to tem silniejszy będzie wśród żołnierzy. I ten stan właśnie uniemożliwiał narazie przedsięwzięcie jakichkolwiek ruchów zaczepnych.

W samej Warszawie zarządzenia wojskowe były takie, że część garnizonu ustawicznie stała w pogotowiu. Były specjalne zarządzenia alarmowe, któreby wojsko uczyniły zdolnem do odparcia jakiegoś nagłego napadu.

W stanie nerwowym ówczesnego wojska fałszywe alarmy musiały wywołać te skutki, co napady rzeczywiste. Musiałyby one opóźnić chwilę inicjatywy ze strony Rosjan.

Z pierwszych działań powstańczych przypominam sobie jeszcze obraz Kielc, kiedy Czengieremu również wydało się, że go mają zamiar atakować. I oto wojsko całą dobę czeka na napad w ostrem pogotowiu. Nazajutrz po takiej nocy zmęczeni żołnierze nie są zdolni do jakichkolwiek czynności zaczepnych.

Nieco obszerniej zatrzymałem się nad temi trzema rzeczami, które, zdaniem mojem, gdyby były rozplanowane zawczasu, mogły niechybnie opóźnić moment przejścia Rosjan do działań zaczepnych, a jednocześnie, dając wygraną czasu, mogły zmęczyć wojsko rosyjskie.

Coprawda, mimowoli przychodzi mi na myśl zła strona takiego postępowania, zwłaszcza w miastach, mianowicie wywoływanie drapieżnego wilka z lasu, prowokowanie załóg miejskich, które zdenerwowane mogłyby wywołać rzezie na ulicach miast. Przecież potem, już w czasie walk planowych, w miasteczkach grabieże były na porządku dziennym, a mieścina, z której padły strzały, bywała potem niszczona. Ale z punktu widzenia wojennego takich skrupułów niema. Na bezwzględność odpowiedzią musi być tylko bezwzględność. Kto jej nie ma, ten musi przegrać.

Inną stroną ówczesnej sytuacji, zapomnianą przez pierwsze zawiązki armji powstańczej, była ich ochrona. Ochrona jest to jeden z pierwszorzędnych działów pracy wojennej. Żołnierz musi być w chwilach, kiedy nie jest zdatny do boju, ochroniony przez części wojska, gotowe w tej chwili do walki. Czy żołnierz spoczywa, czy zajęty jest czemś niewojennem, co absorbuje jego siły i uwagę, musi być chroniony przed możliwym zawsze napadem

przez oddziały, zdatne natychmiast do boju. Wojsko improwizujące się, które dopiero się organizuje, wymaga ochrony takiej, jaką powinno mieć w czasie snu. W chwili organizacji nie jest ono zdatnem do natychmiastowego boju i w takich chwilach o jego ochronie zapominać nie wolno. Niewątpliwie nie zapomnieliby o niej ludzie wojskowi, jakimi byli Padlewski, Langiewicz i Lewandowski; u wszystkich tych dowódców musiałaby ona wypłynąć, jako prosta i naturalna konieczność, gdyby oni świadomie przystąpili do formowania zawiązków armji. Zapomnienie o ochronie, chociażby z poświęceniem oddziałów ubezpieczających i to u wszystkich wodzów, świadczy o nieświadomości u nich myśli formowania armji, do czego zostali oni popchnięci jedynie przez instynktowne i przypadkowe szukanie większej siły bojowej.

Wszystkie te, analizowane przezemnie, a zapomniane wówczas, czynności mogłyby dostatecznie spełniać rolę ochrony organizujących się oddziałów, trzebaby tylko pomyśleć o stałej komunikacji pomiędzy poszczególnemi ich częściami, o stałej wymianie rozkazów i raportów, aby ludzie, zajęci organizacją, byli powiadomieni o tem, co się dzieje dookoła nich.

I jeżeli zastanawiam się, gdzie jest właściwe źródło błędu ze strony powstania, skąd pochodzi, że ludzie, skądinąd dzielni, rozsądni i niechybnie znający się na wojnie, zapominali nieraz o tych elementarnych, podstawowych wiadomościach wojennych, to muszę stwierdzić, że jedynem źródłem jest najzupełniejsze niewżycie się w te warunki, w jakich powstanie znajdzie się po wybuchu, najzupełniejsze nieprzedstawienie sobie, czem będzie powstanie po 22 stycznia, najzupełniejsze niezdawanie sobie sprawy z tych warunków, w których wojna będzie toczona. Ta wielka łatwość, z jaką wówczas przechodzono od zera do armji, z jaką przeskakiwano przez ogrom przeszkód, stojących na drodze do wytworzenia armji, oto jest błąd zasadniczy ówczesnego pokolenia i jego przywódców.

Bo że tak lekko przez te trudności przeskakiwano, świadczy najwymowniej łatwość, z jaką rozwiązywano kwestję naczelnego dowództwa za pomocą dyktatury. Mamy już w samym początku wyznaczoną zgóry dyktaturę Mierosławskiego, który z Paryża ma dopiero przyjechać; prawdopodobnie przypuszczano, że, zebrawszy wielką armję, będzie mógł sprawować dyktaturę rzeczywistą. a nie operetkową. Mamy potem znów tę łatwość w przyjęciu dyktatury przez Langiewicza; druga dyktatura, gdzie dyktator panuje nad kilkoma morgami lasu, gdzie conajwyżej przenosi się

on z jednego lasu do drugiego i panuje na długość swoich kos. Ta dyktatura operetkowa, która tak łatwo w głowach ówczesnych ludzi powstawała, świadczy o tem, że warunki wojny całkiem inaczej sobie wyobrażano, że nie przewidywano tych ciężkich okoliczności, w jakich powstanie znalazło się zaraz po wybuchu.

Na tej kwestji dość zasadniczej, dość poważnej dla zrozumienia wojny 1863 roku, zatrzymam się jeszcze wtedy, gdy przejdziemy do ostatecznych wyników, kiedy postaram się zespolić wszystkie te myśli, jakie wywołują we mnie ówczesne działania. Wskazuję tu tylko na nie, jako na główne źródło tych błędów.

Przejdźmy jednak do faktów, ilustrujących wyżej omówione sprawy.

W dziesięć dni po wybuchu rozpoczyna się inicjatywa ze strony Rosjan. Ze wszystkich centrów wyrusza wojsko, narazie w celu zrobienia poszukiwań, sprawdzenia wiadomości. Są to właściwie oddziały wywiadowcze, które nawet były formowane jako takie. A więc, są to oddziały o niewielkiej sile, nieodpowiadającej stanowi garnizonów, jakie istnieją w tem, czy innem miejscu; są to oddziały, liczące najwyżej parę kompanij, pół szwadronu jazdy, niekiedy jedną lub dwie armaty.

Niektóre z tych oddziałów spotykają przeciwnika w stanie takiej słabości, że z nim te niewielkie siły mierzyć się mogą, ale nietylko mierzyć, lecz nawet go zwyciężać. Oto pierwsze wrażenie, jakie wróg otrzymuje o tej dość przesadnej sile powstania, o której dotąd dochodziły do niego tylko pogłoski. Wszędzie te małe oddziały zmuszają powstańców do odwrotu, gdzieindziej nawet ich zwyciężają.

WYKŁAD VIII. (14.V. 1912).

Pierwszą czynnością bojową ze strony rosyjskiej, było — jak powiedziałem — wysłanie oddziałów wywiadowczych bardzo nielicznych. Oddział niewielki, liczący 2 do 3 kompanij piechoty, ½ szwadronu kawalerji, kilka armat, oto jakie siły wychodziły zrazu na spotkanie powstania. Wszystkie te pierwsze zetknięcia dały zwycięstwo Rosjanom; plac boju zostawał stale w ich ręku. Jedynie w obozie ojcowskim odniesiono sukces, lecz tam do starcia nawet nie doszło i Rosjanie cofnęli się zpowrotem do Miechowa.

Ten zgoła niespodziewany skutek wywiadów nie mógł nie dać Rosjanom przekonania o ich własnej sile; z jednej strony musiał on wpłynąć demoralizująco na stan moralny powstania, z dru-

giej — podnieść stan moralny wojska moskiewskiego. Odtąd próba inicjatywy rosyjskiej, niedostatecznie odparta przez Polaków, pozostaje najzupełniej niepodzielnie w ręku Rosjan. Ostatnie resztki inicjatywy polskiej są to napady, wykonywane jeszcze przez niektórych dowódców. Te napady są wielką rzadkością, a dowodzą one, że u tych właśnie dowódców idea walki i nadzieja zwycięstwa nie wygasła, że oni moralnie poczuwali się do pewnej siły; to też z wielką przyjemnością je wymienię, tembardziej, że historja dotychczas je lekceważyła. Taką właśnie akcją zaczepną polską były: Jeziorańskiego napad na Rawę, napad udany, w którym Rawa zostaje zdobyta; napad Kurowskiego na Miechów, choć nieudany, lecz świadczący o tem, że Kurowski miał w sobie rozpęd i chęć utrzymania inicjatywy w swem ręku. Tutaj zwrócę uwagę, że obaj oni w noc styczniową nie brali najzupełniej udziału, że ich duch pewności siebie nie przebył próby ogniowej w noc styczniową. Tem większa zatem zasługa musi być tych, którzy, przeszedłszy próbę, mieli dość siły, by wojnę zaczepną prowadzić.

Do takich wyjątków należą Rogiński i Lewandowski. Po zebraniu wojska w Siemiatyczach, Rogiński zdobywa Prużany, idzie dalej wgłąb Litwy, zagraża Pińskowi i do końca istnienia swego oddziału na Litwie działa zaczepnie, jako świetny partyzant. Lewandowski, cofając się na Podlasie, również zachowuje się ofensywnie i wykonywa napad na szańce przedmostowe pod Woskrzenicami, bijąc Rosjan i napędzając strachu dowódcy twierdzy brzeskiej, generałowi Stadenowi.

Pominąwszy jednak te cztery wypadki chęci utrzymania inicjatywy w swem ręku, już nie znajdujemy u Polaków siły ducha, zdolnego do postawienia na kartę zwycięstwa. Stale widzimy poddawanie się temu, co wróg przedsięweźmie, uleganie jego inicjatywie.

Jak widzimy zatem, owe dziesięć dni, a dla niektórych więcej, ta cała ilość czasu okazała się zupełnie niedostateczną, by wytworzyć odpowiednie siły nietylko dla zwyciężenia wroga, ale nawet często i dla jego odparcia. Czas ten nie wystarczył również, aby w sobie wytworzyć dosyć pewności siebie, by dalej prowadzić wojnę zaczepną. Już było w tem poczucie słabości, które nie pozwala na zaczepienie nieprzyjaciela; już był brak nadziei w zwycięstwo, który nie pozwala iść naprzód.

Okres tworzenia armji na Podlasiu, w Płockiem i na południu pod Langiewiczem, to słabe próby, wyglądające wistocie tak, że

nie dawały dowódcom prawa podejmowania inicjatywy. Bo jeżeli przyjrzymy się tym oddziałom pod różnemi względami, to niechybnie przyjdziemy do wniosku, że trzeba było nadzwyczajnej siły woli, by zdobyć się w tych warunkach na inicjatywę.

Największe skupienie było u Langiewicza, który w najwyższym okresie rozwoju liczył nie więcej nad 3000 ludzi. Lewandowski na Podlasiu w chwili największego skupienia miał dwa tysiące kilkuset. Padlewskiego siły na północy nie dadzą się ściśle określić, gdyż trzymał się on innego systemu: nie skupiał armji w jednem miejscu, lecz organizował oddziały w różnych powiatach. Jednak, o ile przeliczymy całość sił Padlewskiego, to dojdziemy do cyfry trochę większej, niż 3000. Jeżeli na całej przestrzeni reszty kraju siły polskie określimy na 3000, to będzie bardzo dużo. Wobec tego ze strony powstania mamy maximum 13.000 ludzi. Jest to siła zbrojna, którą kraj mógł wystawić. Gdyby wiara w ruch zbrojny była większa, to niechybnie i ta siła byłaby znacznie liczebniejsza. Cyfra powyższa świadczy o bardzo niskim poziomie pewności siebie po stronie polskiej.

Jeżeli przejdziemy do uzbrojenia, to wyglądało ono jeszcze gorzej. Skutkiem braku przygotowań ze strony Centralnego Komitetu, broń dopiero była w drodze z krajów dalekich. Brakło też amunicji. Wobec tego powstańcy w pierwszym okresie byli uzbrojeni bardzo licho, przeważnie w kosy. Broń palna była bardzo marna, przeważnie myśliwska i zaledwie do Langiewicza doszły pierwsze transporty sztucerów zagranicznych, nieustępujących broni rosyjskiej.

Temu stanowi uzbrojenia, oraz stanowi liczebnemu odpowiadał również stan organizacyjny nadzwyczaj słaby, który z oddziałów nie wytworzył spoistego jednolitego organizmu. Mówiłem już o intrygach wewnętrznych. Obok tego w samej organizacji zaufanie wzajemne było bardzo nikłe. Jeżeli weźmiemy pewne jej przejawy, to znajdziemy np. fakt, że po bitwie grochowiskiej oddział, z powodu braku spoistości, rozsypuje się. Każda praca wojenna w takich warunkach dezorganizowała.

Przejdźmy teraz do analizy liczby sił rosyjskich, wystawionych dla stłumienia powstania. Z liczb, jakiemi rozporządzamy, można również wnioskować o względnie słabej potędze strony polskiej. Najwięcej wojska wystawiono dla zwalczenia Langiewicza. Brało ono udział w bitwie grochowiskiej. Są to trzy bataljony, pięć szwadronów i sześć dział. Razem trzy tysiące kilkaset ludzi. W porównaniu do stanu liczebnego wojsk, stojących w Kró-

lestwie, mamy na południu największe ich skupienie, które absorbuje jedynie trzydziestą część całej armji. I ta znikoma część armji daje sobie radę z największem skupieniem powstańczem. Coprawda bitwa grochowiska skończyła się dla Rosjan niepomyślnie, gdyż, mimo że Polacy nie mieli armat, zostali oni, dzięki niedołężności wodzów swych, pobici. Ale jeżeli spojrzymy na to, co się dzieje po bitwie, to znajdziemy z jednej strony armję pobitą, która się skupia i gotuje do nowej akcji zaczepnej, z drugiej zaś strony armję zwycięską, która nazajutrz nie jest zdatna do boju. Nic zatem dziwnego, że nazajutrz pobici Rosjanie doprowadzają do ostatecznego rozproszenia cały zwycięski oddział powstańczy.

Wspomniane tu przezemnie, trzy główne skupienia polskie, odpowiadają również poprzedniemu planowi. Większych skupień gdzieindziej, gdzie nie było przygotowań wojennych, i teraz w całym tym okresie nie posiadamy. Próba pewnego rodzaju, wobec przyjazdu Mierosławskiego, była uczyniona na północnym zachodzie Królestwa; wspominam o niej jedynie dlatego, że sam Mierosławski nie może być pominiętym w historji militarnej powstania, bo siła tego skupienia, jak i kilkudniowy okres pobytu Mierosławskiego na terenie Królestwa nie zasługują najzupełniej na porównanie z tamtemi oddziałami. Jest to raczej jeden z epizodów, których dość było i na innych terenach; jeden z tych epizodów, które nietylko nie powodują systemów w sytuacji na terenie okolicznym, ale wogóle nie zostawiają na nim śladu widoczniejszego.

W drugiej połowie marca wszystkie pierwsze przygotowania powstańcze zostają ostatecznie rozbite. Znika Langiewicz ze swoim oddziałem, ginie Lewandowski z oddziałem i giną siły Padlewskiego. Myśl tworzenia większych związków, która dotąd bezwiednie rodziła się u ludzi, a w której jeszcze tkwiła nadzieja zwycięstwa, myśl ta, w której widzimy jeszcze dalszy rozpęd pierwszego rzutu, zostaje od połowy marca złożona w archiwum. Myśli wojennej dalej w powstaniu niema; powstanie przeradza się w manifestację i demonstrację zbrojną, której dzieje są bardzo ciekawe, ale której właściwie wojną nazwać już nie można.

O losach tej demonstracji, o pewnych charakterystycznych jej cechach powiem w następnym wykładzie. Tutaj chcę wyjaśnić, że jeżeli zatrzymałem się tak długo na pierwszym okresie i dążyłem do przykucia uwagi do tych pierwszych prób, to zrobiłem to dlatego, że one jedynie są czemś w rodzaju wojny; one je-

dynie są nacechowane jakąś nadzieją zwycięstwa, one jedynie są rzeczywistem przeciwstawieniem się sile rządowej; wreszcie dlatego, że wszystkie złe strony, wszystkie wady i słabości w tym właśnie pierwszym okresie mają swój początek i w nim dają się jasno określić. Cała podstawa słabości powstańczej już nie ustąpi i sytuacja powstania nie poprawi się w przyszłości, mimo, że nadeszła większa ilość broni, pomimo, że w dalszych walkach ludzie nabierają doświadczenia, stają się istotnie żołnierzami. Już tej słabości, idącej z pierwszych błędów, powstanie z siebie nie zrzuci.

Dlatego też ten pierwszy okres jest właściwie dla powstania decydujący; można było w nim albo wywalczyć w sobie możliwość prowadzenia dalszej wojny, albo też zginąć. Niewątpliwie można było zdobyć podstawy dla dalszych działań wojennych. Z chwilą, gdy powstanie tego nie uczyniło, sprawa jego pod względem wojennym została przegraną.

To samo się dzieje i dziać będzie z każdą rewolucją. Pierwsze początki jej są decydujące; albowiem podstawą rewolucji jest tylko wiara. Gdzie wiara jest poderwana, tam nie może być mowy o zwycięstwie. Wiara była w początkach powstania; mógł jej nie mieć Padlewski, kiedy szedł ginąć; mogli jej nie mieć poszczególni dowódcy, ale mieli ją wszyscy spiskowi, ona trwała, dając spiskowym możność prowadzenia wojny z nadzieją i myślą zwycięstwa. Z chwilą, kiedy wiara została podcięta, kiedy pierwszy krok wykazał słabość, kiedy wszystkie pierwsze próby dają przewagę nieprzyjacielowi, wyjątkowe tylko wypadki i siła moralna dać mogły podniesienie moralne rewolucji.

Jeżeli zatrzymałem się na tym pierwszym okresie tak długo, zrobiłem to najzupełniej rozmyślnie, gdyż tu była kuźnia tej myśli wojennej, która ma nadal trwać w Polsce. Tu ważyły się losy powstania.

Streszczając pierwszy okres, przypomnieć muszę, co się złożyło na ten nieszczęsny stan powstania, na owe poderwanie wiary i nadziei na zwycięstwo, z powodu wadliwych przygotowań i wadliwego prowadzenia sprawy w jej początkach.

Przedewszystkiem więc znajdujemy powstanie militarnie nieprzygotowywane. Widzimy dbanie bardzo usilnie o rozwój ducha, moralu, nadzwyczaj zaś małą dbałość o to, co jest techniką. Mamy bardzo małe przygotowania pod względem przerabiania materjału ludzkiego, mamy bardzo niewielkie przygotowanie pod względem broni, mamy wreszcie plany, nieoparte na rzeczywi-

stych warunkach. Skutkiem tego stanu, z chwilą sprowokowania ruchu zbrojnego przez rząd, do czego każda rewolucja musi być przygotowana, mamy uderzenie polskie nader słabe, nader mało podrywające moralną siłę nieprzyjaciela, a raczej zostawiające ją prawie nietkniętą, mamy uderzenie, niedające wyników, któreby nazwać można było zwycięstwem. Wobec zaś tego, że ówcześni powstańcy wyobrażali sobie wojnę i warunki wojenne całkiem inaczej, niż okazały się one w rzeczywistości, mamy natychmiast po tem słabem uderzeniu powszechną dezorjentację, mamy rozchwiane i zepsute nawet te początki organizacji wojennej, które zostały założone w okresie przygotowawczym.

Powstanie zastaje brak myśli kierowniczej nietylko w Warszawie, jako głównem centrum kraju, lecz i w ośrodkach władzy prowincjonalnej; skutkiem tego myśl wojenna idzie na łaskę losu, rozpryskuje się na tyle kierunków, ilu jest dowódców, przez co do szeregów polskich wkrada się dezorganizacja, która najbardziej osłabia już i tak najsłabszą stronę każdej armji ochotniczej, mianowicie jej spoistość organizacyjną i pewność siebie, zaufanie do dowódców i odwrotnie.

Powstanie ówczesne nie wyobrażało sobie realnie tych warunków wojny rewolucyjnej, w których z konieczności znaleźć się musiało, nie obrachowało ono należycie niezmiernie doniosłego czynnika wojennego, jakim jest rozgospodarowanie się nieprzyjaciela w kraju, przez co nie wzięło w rachubę faktu, że nawet najbardziej powstańcze usposobienie ludności potrzebuje czasu, by wyjść ze stanu niewoli do stanu walki; dzięki tym błędom nie zostały ze strony powstania przygotowane wszelkie sposoby do wygrania możliwie wielkiej ilości czasu w pierwszym okresie. Skutkiem tego zaś, że powstanie po pierwszem uderzeniu miało zbyt mało czasu, wytwarzają się w początkowym okresie tak małe siły, że w walce z równie małemi siłami rosyjskiemi uległy one rozdarciu; przez to wiara i nadzieja na możliwość odniesienia zwycięstwa swojemi własnemi siłami znikła, a tem samem rewolucja została w korzeniu swoim poderwana.

Następuje więc drugi okres wojny, który właściwie wojną już nie był. Jest to wojna tylko pod względem technicznym, trudno jednak nazwać wojną działanie, które jedna ze stron prowadzi nie dla zwycięstwa. W tych warunkach, w jakich powstanie istniało, wojna przeradza się w manifestację zbrojną, idzie tu bowiem jedynie o wywarcie wrażenia, o cele postronne, — nie o samą wojnę, lecz o pewną politykę. Więc dla stronnictwa „białych"

będzie to manifestacja zbrojna, robiona dlatego, by wywrzeć wrażenie na gabinety zachodniej Europy, by wywołać w ten sposób interwencję zbrojną mocarstw. Jeżeli weźmiemy stronnictwo demokratyczne, t. zw. czerwonych, to i w tem stronnictwie powstanie stało się manifestacją, robioną dla tłumów włościańskich, by przygotować je moralnie, do walki zbrojnej zbliżyć i doczekać się owoców tej przemiany w postaci powszechnego poruszenia ludowego.

Mamy więc wojnę, której celem jest trwanie i to trwanie możliwie bez strat. Oto do czego doprowadził system wojny, w którym inicjatywa najzupełniej spoczywa w rękach Rosjan, nigdy nie przechodzi do rąk polskich (jeżeli pominiemy pare zaledwie wypadków ruchu zaczepnego ze strony polskiej); w którym za zwycięstwo uważane będzie jedynie odparcie wroga i szczęśliwe wycofanie oddziału bez rozsypki; w którym bitwy przybiorą charakter bojów arjergardy, kiedy z jednej strony będzie pościg, z drugiej ucieczka.

Oto jest ten nowy okres walki, jako zbrojnej manifestacji, walki, zrodzonej w niewierze, której już zwycięstwo własne nie przyświeca.

O ile zastanowimy się nad taktyką i sposobem walki ze strony Rosjan, to przedewszystkiem zwracają uwagę skargi i narzekania na bezwzględność prowadzonej wojny, na okrucieństwa wojenne, popełniane na ludziach bezbronnych. Jest to jednak system wojny, sposób wojowania, którym zawsze muszą się odznaczać wszelkie wojny domowe. Bezwzględność nieprzyjaciela, chęć szybkiego zakończenia wojny, steroryzowanie ludności, oto jest jego racjonalna taktyka. Z punktu widzenia wojennego nie wolno na to narzekać, gdyż zawsze tego spodziewać się należy. To jest sposób wojenny, którym każdy, czy to będzie Rosjanin, czy Anglik, wszędzie i zawsze będzie dusić rewolucję. Sentymentalizm, który gwałtuje o te rabunki, nie jest na miejscu, gdy rozważa się sprawy wojny. Jest to bowiem sposób, za pomocą którego oddziaływa się na stan moralny ludności. Każda rewolucja otoczona jest najrozmaitszemi przejawami moralnej siły, która stanowi właściwą jej podstawę. I czyż można wymagać od przeciwnika, by on na tę właśnie siłę nie zwrócił uwagi? Bezwzględność stanowi wojenny sposób, skuteczny dla zwalczania rewolucji, i brak jej mógłby zawsze być postawiony jako zarzut złego sposobu wojowania.

WYKŁAD IX. (15.V. 1912).

W zeszłym wykładzie mówiłem o systemie bezwzględności wojennej, jaki był zastosowany przez Rosjan. Ze strony polskiej nie umiano przeciwstawić odpowiedniej bezwzględności. Polacy cofali się przed tą koniecznością wojenną i stąd nawet celowość tej metody musieli Rosjanie rozumieć. Wkrótce po pierwszych wypadkach niszczenia wiosek i miasteczek, wyszedł rozkaz Rządu Narodowego, aby dowódcy starali się unikać wszelkich bojów przy miastach i wsiach. Z tego powodu dowódcy nieraz musieli przyjmować bitwy w miejscach nieodpowiednich, często musieli się wycofywać z zajętych już pozycyj, pomimo że te wsie i miasteczka dawały dogodniejsze pozycje dla silnej obrony. Ta bezwzględność Rosjan byłaby niechybnie słabsza, gdyby Polacy przedstawiali odpowiednio wielką siłę i gdyby swojem cofaniem się nie dawali świadectwa swej słabości. Na wojnie na bezwzględność jedynie odpowiadać można bezwzględnością. Strona wahająca się okaże się zawsze słabszą w działaniach.

Przy analizie taktyki wojennej Rosjan uderza, że przeważnie starali się oni skoncentrować ruch różnych kolumn wojska do pewnego punktu środkowego, w którym przypuszczano istnienie siły polskiej. Ruchy te przedsiębrano na podstawie porozumienia, które świadczy o tem, że komunikacje rosyjskie nie były odpowiednio zagrożone przez siły powstańcze, nie było odpowiedniego przeciwdziałania skombinowanym ruchom rosyjskim. System powyższy należy również do tych, jakie stosować można tylko przeciw słabszemu przeciwnikowi, albowiem każda kolumna zosobna jest słabszą od nieprzyjaciela; siłę znacznie większą dają dopiero wtedy, kiedy są zebrane razem. Wobec tego oddział, poczuwający się do pewnej siły, ma możność wyjścia z takiej pozycji zapomocą bicia poszczególnych kolumn. System ten, był w swoim czasie zasadą działania Napoleona, który nim świat cały przeszedł. Lecz na to zdobyć się można jedynie w poczuciu siły. W poczuciu słabości, jak to bywało u Polaków, ratowano się wymknięciem się z tej sieci. Nie było to znowu tak trudnem i zwykle się udawało.

Ze strony rosyjskiej innego systemu chwytać się nie można było z tego względu, że ludność odmawiała pomocy w służbie wywiadowczej; wprost przeciwnie, nieraz naprowadzała na fałszywe tory oddziały rosyjskie lub odmawiała wyjaśnień. Stąd wojsko musiało chwytać się tych środków. W wojnie angielsko-burskiej np. mamy także kolumny, idące dośrodkowo ku pewnym centrom.

Tak samo Burowie, jak w 1863 roku Polacy, względnie łatwo wyślizgiwali się z tych sieci nieprzyjacielskich.

Po tym pierwszym okresie, którego analizie poświęciłem więcej czasu, następuje to, czego, jakby się zdawało, powstanie oczekiwało. Następuje wzrost sił, wzmocnienie stanu ilościowego jakością materjału żołnierskiego, następuje jakby zwiększenie potęgi, którą przedstawia powstanie. Jeszcze zatem trzy tygodnie przetrwania okresu bez rozbicia tych wszystkich usiłowań i próba tworzenia armji dałaby niechybnie wzrost potęgi jej zawiązków w porównaniu z tem, co się stało w początkach marca; tu właśnie widzimy, jak ważną była kwestja czasu, o której poprzednio mówiłem.

Coprawda przybytek sił nie idzie z tej strony, z której spodziewali się go kierownicy. Zwiększenie to powstaje wskutek przystąpienia do rewolucji stronnictwa umiarkowanego, które, dzięki nadziejom na interwencję mocarstw, schodzi z chwiejnego stanowiska, stając otwarcie po stronie rewolucji. Dzięki temu, że była to warstwa majętniejsza i inteligentna, wzrasta potęga rządu cywilnego, który swoją siecią obejmuje cały kraj, który wszędzie ma swoich przedstawicieli, umiejących nakazać sobie posłuszeństwo, który wreszcie staje się tym rządem, którego ani złapać, ani uchwycić nie można.

Z drugiej strony pomoc przychodzi z Galicji i Poznańskiego, gdzie nadzieje polityczne na interwencję są jeszcze żywsze i gdzie łatwiejszem jest przygotowanie się do walki, niż na terenie Królestwa. Stąd nadchodzi pomoc w ludziach i broni. Odtąd oddziały powstańcze są znacznie lepiej uzbrojone, niż w pierwszym okresie. Już teraz nie będziemy widzieli ogromnej przewagi ludzi nieuzbrojonych, uzbrojenie większości powstańców dorównywa jakością nieprzyjacielowi. Oddziały zaczynają liczyć do połowy uzbrojonych w sztucery i karabiny. W ustawicznej akcji wytwarza się prawdziwe rzemiosło żołnierskie; ludzie zyskują doświadczenie. Wreszcie zaczyna się dopływ sił fachowych, oficerów armji rosyjskiej, austrjackiej i pruskiej; nadto dość znaczny jest przypływ emigracji z zagranicy. Mamy więc warunki, w których powstanie znacznie lepiej czuć się mogło i przedstawiało znacznie większą potęgę.

Lecz powstanie, jak skorupka w młodości nasiąkła, przeniknięte dezorganizacją, kiedy w samych początkach wiara i nadzieja zostały w niem poderwane, nie zdołało się już z konsekwencyj pierwszych swych kroków wyzwolić. Przedewszystkiem

ogromny brak kierownictwa wojennego pozostaje w całej sile, a nawet jeszcze bardziej daje się odczuć. Warszawa i ośrodki wojewódzkie tego kierownictwa w ręce swoje nie biorą. Istnieje coprawda Wydział Wojny, lecz zajmuje się on bardziej załatwianiem spraw bieżących administracyjnych, nominacjami, dostarczaniem broni, amunicji, mundurów etc.; wydział ten zajmuje się całą kancelarją wojenną, a nie kierownictwem wojny w ścisłem jego znaczeniu.

Kierownictwo to próbują wziąć w swe ręce poszczególni wojewodowie. Jedni chcą zebrać całe siły zbrojne województwa w jednem miejscu, jak np. w Sandomierskiem, czy Lubelskiem. Nie doprowadza to do niczego. Zebranie w jednem miejscu większej siły ściąga natychmiast uwagę wroga, który zmusza zebrane już oddziały do ponownego rozproszenia.

Z drugiej strony nawyczki do anarchji, uważanie oddziału za własność dowódcy, biorą górę, wytwarzając tarcia tak silne, że oddziały raz zebrane rozpryskiwały się na tyle części, ile ich było poprzednio.

Wojewoda mazowiecki, pułkownik Callier, organizując swoje województwo, sam na czele oddziału konnego przebiegał województwo, biorąc władzę nad poszczególnemi partjami na pewien czas i wkrótce rzucając je, aby iść gdzieindziej, a jednocześnie osłaniając w ten sposób rozdrobnione swoje siły ruchomemi oddziałami jazdy.

Lecz teraz wszystkie wysiłki pryskają dlatego, że wróg ma inicjatywę i każdy plan rozbija swojem działaniem, któremu przeciwstawić się strona polska nie jest w stanie. Widzimy zatem, jak myśl wojenna zostaje znowu bez kierownictwa, jak wyrabia się w kilkudziesięciu głowach dowódców, pozostawionych samym sobie. I oto myśl ta, jak mówiłem poprzednio, w ogólnym zarysie brzmi: trwać. Jedni będą mówili o przyszłej interwencji zbrojnej mocarstw, inni będą oczekiwać powszechnego powstania ludu. W owem trwaniu system wojny jest narzucony przez tych, którzy mają inicjatywę, którzy są, że tak powiem, na ręku, mając pierwsze wyjście, — przez Rosję. Do tego systemu walki przystosowują się w różny sposób Polacy. A wobec tego, że każdy oddział czuje się słabym, przeważnie jest to system marszów, system uciekinierstwa, który nuży wojsko, doprowadzając do tego, że każdy oddział w marszach traci od dezercji więcej, niżby stracił w najokrutniejszej walce. Oddziały po miesiącu takiego działania zostają zniszczone nie bojem, lecz nadmiernym trudem.

Mistrzem w tym wypadku niedoścignionym był stary Czachowski, który wytrzymywał w najcięższych warunkach w województwie sandomierskiem. Stanowił on ze swoim oddziałem długo jedyną siłę na przestrzeni dwóch województw i na tej przestrzeni odgrywał rolę wilka, pędzonego przez lasy i knieje. Był to bowiem jedyny może wódz, który walczył naprawdę ze znajomością terenu [1]).

Rzadko więc będziemy w tym okresie spotykali boje, przyjęte z premedytacją, z postanowieniem zwycięstwa, boje przygotowane. Wszystkie one noszą cechę przypadkowości, bezmyślności. Nad wszystkiem króluje nie siła. lecz ślepy traf. Rzadkie są walki, przyjęte z rozmysłem, i te doprowadzają zawsze do najdłuższych, najkrwawszych starć, które przynoszą zaszczyt młodemu wojsku. Takim np. jest bój pod Ignacewem, przyjęty po długich marszach przez gen. Taczanowskiego. Był to jeden z bojów najkrwawszych w 1863 roku. Drugim jest dwukrotny bój, stoczony przez gen. Jeziorańskiego pod Kobylanką, gdzie, dzięki dobrze wybranej pozycji i umiejętnemu zastosowaniu fortyfikacji, dwa razy odparto Rosjan, przyczem raz wzięto nawet ich artylerję. Trzecim jest bój, toczony pod wodzą Józefa Trąmpczyńskiego w Płockiem dwa dni przez małą garstkę 200 ludzi przeciw 1500 z czterema armatami, któremi przez dwa dni bombardują stanowiska powstańcze, by potem odejść ze wstydem. Te boje, przyjęte z postanowieniem walczenia, również pozwoliły wprowadzić system fortyfikacji.

Jeżeli rzadkiemi były wypadki przyjęcia boju z rozmysłem. to jeszcze rzadszą była decyzja walki zaczepnej, rzucanie się do walki agresywnej. Na tę siłę, na tę odwagę wobec poczucia własnej słabości zdobywali się bardzo nieliczni. Tem przyjemniej mi tutaj oddać cześć ich imieniu. Do takich należeli Ignacy Mystkowski w województwie płockiem, który śmiało rzucał się na najsilniejszego wroga, i Zygmunt Chmieliński w województwie sandomierskiem, który z zasady szedł naprzód wstępnym bojem; do takich należał i Kruk-Heydenreich, który stoczył słynny bój pod Żyżynem, odnosząc najpełniejsze zwycięstwo w ciągu powstania, zwycięstwo zupełne, zadające oddziałowi rosyjskiemu absolutną klęskę. Inni próbowali niekiedy zaczepnych bojów, napadając na poczty, na magazyny, na patrole, nie prowadzą wszakże bojów w większym stylu.

[1]) O działalności jego por. studjum Stanisława Długosza *Czachowski.* Poznań 1914. *(Przyp. Red.).*

Najrzadszemi jednak były te walki, które mogłyby dać największe powodzenie, walki, połączone z manewrem oddziałów, złączonych ze sobą jedną myślą, według jednego planu. Do tego poziomu wojny powstańcy z powodu dezorganizacji nie dorośli zupełnie. Nie było komu nakazać tych skomplikowanych manewrów, nie było autorytetu, któryby zmusił oddziały do tego. W każdej chwili wypowiadano posłuszeństwo. Był to zbiór oddziałów, niemających ufności do siebie. A jednak te rzadkie wypadki koordynacji dawały zawsze piękne rezultaty. Takiem np. działaniem są działania wspólne Younga i Ludwika Oborskiego, którzy wspólną akcją, wspólnym manewrem nietylko rozbili, lecz wyrzucili za granicę państwa dość silny oddział rosyjski. Działo się to na polach Nowej Wsi. Lecz już nazajutrz po tem zwycięstwie oddziały te się rozpryskują z powodu niechęci poddania się pod ogólne kierownictwo, gdyż wodzowie pogodzić się nie byli w stanie. Tak samo bitwa drążdżewska została wygrana przez Trąmpczyńskiego nie jego własnemi siłami, lecz dlatego, że nadeszły na tyły przeciwnika inne oddziały powstańcze.

Jeżeli przebiegniemy historję powstania, to z wyjątkiem tych dwóch bitew, oraz pewnych prób bezskutecznych, podejmowanych przez Heydenreicha i Czachowskiego, nie znajdziemy innych tego rodzaju wypadków. Można stąd wnosić, jak daleko sięgała dezorganizacja i jak mocno utrwalił się brak kierownictwa w powstaniu.

Jeżeli idzie o cyfry, to dają one siłę oddziałów już znacznie mniejszych, niż w pierwszym okresie. Zbiorowiska większego, zaczątków armji już nie znajdziemy. Siły nawet zlanych oddziałów rzadko dojdą do 2000, najczęściej są mniejsze niż 1000.

Uzbrojenie jest znacznie wyższem. Sztucerami i karabinami, zdobytemi na powstańcach, zbrojono w broń palną kozaków. Jeżeli broni nie było poddostatkiem, to jednak jej nie brakowało w ten sposób, jak w pierwszym okresie. Jeżeli było czego brak, to tylko amunicji i to było nieszczęściem tego okresu. Trudność dostarczenia dostatecznej ilości amunicji, zabezpieczenia składów, trudność obciążania się taborami, zaciążyła bardzo na losach powstania w tym okresie. To też bardzo często spotykamy się z faktem, że oddziały, mając nawet dobrą broń, stawały się bezbronne, zostawały właściwie z pałką w ręku.

A teraz cyfry ogólne: obliczam, że w sierpniu, kiedy siła liczebna powstania stała najwyżej, wynosiła ona 30.000. Na to Rosjanie, zwiększając cyfrę wojska, wystawili mniej więcej 180.000. Mamy

więc w porównaniu z niewielką armją polską sześciokrotną przewagę dobrze uzbrojonego wojska, któremu nigdy nic nie brak. I jeżeli się zapytamy, skąd pochodzi to zjawisko, że z tak znikomą siłą, ta wielka armja tak długo rady sobie dać nie mogła, to jedynem wytłumaczeniem jest niesłychana moc, jaką wytworzyło powstanie w swojej organizacji cywilnej. Bez osłony, bez opieki tej organizacji, która, jak czuła matka, otaczała każdy oddział ciągłą troską, która poświęcała swoje siły na to, by nad nim czuwać, gdy oddział spoczywa, by mu dostarczać wiadomości, jedzenie i t. p., bez tej pomocy powstanie by nie wytrzymało dwóch miesięcy. Tylko ta sprężystość rządu niewidzialnego, niedającego się pochwycić, mającego tak ogromną powagę moralną wśród wszystkich [1]), ratowała trudną sytuację powstania. Tylko dzięki tej organizacji mogło ono trwać tak długo.

W końcu 1863 roku przychodzi do władzy centralnej, niestety zbyt późno, człowiek, który swoją potęgą woli, swoją umiejętnością rządzenia potrafił utrzymać powstanie i to przez najtrudniejsze, bo zimowe miesiące. Był to jedyny w powstaniu dyktator faktyczny, który na swoich barkach zdołał je jeszcze przeciągnąć ku wiośnie. Był nim generał Romuald Traugutt. O jego ostatnich próbach reformy wojennej powiem w następnym wykładzie.

WYKŁAD X. (17.V.1912).

Już z chwilą nastania zimy 1863 roku warunki klimatyczne zmuszały do zmniejszenia rozpędu wojennego, tem więcej, że rozpęd ten stanowczo coraz bardziej z natury swej malał. W październiku przybywa do Warszawy Traugutt, który wziął władzę w swe ręce i swoją nadzwyczajną energją zdołał podtrzymać powstanie aż do wiosny 1864 roku. Jego rządy była to jedyna dyktatura realna. On jeden faktycznie panował, stojąc na czele rządu cywilnego w Polsce. Był to zarazem po Padlewskim pierwszy wojskowy, który stał na czele rządu — wojskowy, który doświadczenie swe zyskał w kilku wojnach, jakie Rosja od 1849 roku wiodła [2]). Nic dziwnego,że musiał on zwrócić uwagę na dezorganizację, jaka się wkradła do całego kierownictwa wojny. To też zaraz po objęcie

[1]) Temu, zgoła wyjątkowemu autorytetowi Rządu Narodowego wśród ogółu ludności poświęcił Marszałek Piłsudski jeden z piękniejszych swych odczytów publicznych, wygłoszony 20 stycznia 1924 roku w Warszawie, który następnie wydany został p. t. *Rok 1863*. Warszawa 1924. *(Przyp. red.)*.

[2]) O tem por. Stefana Pomarańskiego *Wojskowa służba Traugutta* w zbiorowej księdze dla uczczenia 25-cioletniej działalności naukowej prof. Marcelego Handelsmana. Warszawa 1929. *(Przyp. red.)*.

ciu rządów próbuje reformować stan rzeczy, wprowadzając ład i porządek, z drugiej strony próbuje nadać pewne ogólne kierownictwo wojnie.

W kwestji organizacji stara się on zbudować istniejące oddziały na podstawach armji regularnej. Więc dzieli oddziały na bataljony, szwadrony etc., które oddaje pod komendę oficerom, dzieli całość na korpusy, których tworzy cztery i w ten sposób stara się nadać wojnie trwałą hierarchję, któraby uniemożliwiała oddziaływanie zgubnych czynników dezorganizacji.

Jego próba ożywienia ruchu polegała na tem, że surowo w imieniu Rządu zabraniał rozpuszczać oddziały, zabraniał tak zwanego uciekinierstwa za granicę, które weszło w krew i życie powstania. Specjalnym dekretem Rządu skazywał na infamję i wyrzucenie oficerów, którzyby tym prawom poddać się nie chcieli.

Wreszcie wprowadził sanację w galicyjskich i poznańskich oddziałach. Oddziały te organizowały się szalenie długo i zostawały stale nad granicą. Skutkiem zbyt długiego okresu organizacji oddziałów, samo organizowanie rozkonspirowywało je, tajemnica przechodziła przez kordony, dzięki czemu wojsko rosyjskie mogło być stale w pogotowiu. Traugutt zabronił formowania oddziałów w Galicji i Poznańskiem, natomiast nakazał ochotników bezzwłocznie wyprawiać do oddziałów, już konsystujących w Królestwie.

Ta próba utworzenia armji na podstawach już zorganizowanych przyszła stanowczo zapóźno, kiedy mowy już nie było o tem, aby powstanie mogło odżyć do tego poziomu, jaki niedawno w lecie lub na wiosnę posiadało. Siła moralna narodu została w wielkim stopniu poderwana i nadzieja, optymizm rewolucyjny już zdążył się zmienić w skrajny pesymizm. Dlatego też zaczęło brakować ludzi na wszelkich posterunkach. Rząd cywilny zaczynał odczuwać coraz większe luki, które wciąż wzrastały. Rząd Narodowy zmuszony był brać siły podrzędniejsze, mniej wprawne, aby jakotako na powierzchni się utrzymywać. Jednak niezłomna wola Traugutta nie dawała upaść powstaniu. Ostatnie jego zarządzenia dotyczyły pospolitego ruszenia. Opracowana przezeń instrukcja o powszechnem ruszeniu ludowem odznaczała się bezwzględnością rewolucyjną. Zdecydował się brać rekruta bez względu na to, czy on chciał, czy nie chciał.

Powtarzam, że ta siła woli Traugutta, jego energja i wiedza fachowa nie dały tych rezultatów, jakieby dały w początkach

rewolucji. Powstanie chyliło się już nieodzownie ku upadkowi. Znikła siła moralna i cała siła materjalna rewolucji zawisła najzupełniej w powietrzu. Widzimy postępujący szybko upadek rządu cywilnego i upadek zaczątków wojny polskiej, jaką toczono w 1863 roku. W ten sposób powoli gaśnie i sama demonstracja zbrojna. Jednak dzięki pewnej tężyźnie żołnierskiej, dzięki temu, że walki 1863 roku przeżyli najsilniejsi, najtężsi, najbardziej do sprawy przywiązani, dzięki temu nawet w ostatnich chwilach powstania są boje tęgie, boje silne. Kampanja zimowa gen. Bosaka-Haukego przy czynnym udziale pułkownika Chmielińskiego należy do najlepszych w tej wojnie. Daje ona bitwy, które odznaczają się większą wartością militarną, niż poprzednie boje powstania. Jeszcze w lutym 1864 roku jeden z oddziałów Haukego szturmem bierze Opatów; wojsko rosyjskie ponosi duże ofiary, aby ponownie odzyskać to miasto, przyczem zażarta bitwa trwa kilkanaście godzin. Jednak z chwilą upadku bazy rewolucyjnej, jaką była siła moralna, niema żadnej nadziei na odżycie powstania z wiosną 1864 roku.

Ostatecznym ciosem było aresztowanie 11 kwietnia Traugutta, przez co ostatni Rząd Narodowy zostaje zdezorganizowany. Powstanie w ten sposób upadło.

Jeżeli chciałbym streścić główny błąd myśli wojennej powstania, to powiedziałbym, że błędem tym jest niezdanie sobie sprawy z roli spisku w rewolucji. Mówiłem już o podziale ludzi na zorganizowanych i niezorganizowanych, o tem, że zorganizowanym jest tylko właściwy spisek. W powstaniu 1863 roku mieliśmy zorganizowanych dwadzieścia pare tysięcy, wobec czterech i pół miljona ludności niezorganizowanej. Tymczasem siła ruchu rewolucyjnego nie odpowiada najzupełniej tej nielicznej garstce zorganizowanych ludzi. I oto powstaje iluzja, że istniejąca siła moralna jest znacznie większa od siły, reprezentowanej przez zorganizowanych, że ta siła moralna, rozsiana w otoczeniu, daje się zużytkować materjalnie dla celów wojny; że daje się zorganizować jakimś cudownym sposobem dla celów walki, jakby to była już gotowa materjalnie siła.

Tę iluzję, ten mylny rachunek bardzo często spotykamy u rewolucjonistów. Rok 1863 pod tym względem nie jest wyjątkiem. Jednak rok ten również dowodzi, że dla celów wojny nie można liczyć na siłę moralną, jako na konkretną wartość materjalną. Dla celów wojny należy liczyć na to, co się ma w ręku i odpowiednio do tej siły planować swoje ruchy. Stąd wynikało

tak jaskrawe przeliczenie się powstańców co do swoich sił, tak jaskrawa nieumiejętność zdania sobie sprawy z tego, w jakiem położeniu znajdzie się powstanie nazajutrz po wybuchu; stąd wynika niechęć do szczegółowego rozplanowania swoich zamierzeń. Jest to poczucie, że się rośnie; czy warto planować coś z tem, co się ma w ręku dziś, kiedy to, co będzie jutro, będzie znacznie większe?

Dlatego też siła zorganizowana, czyli spisek nie dał tego rezultatu, jaki dać był powinien. Dać zaś powinien był kilka koniecznych elementów: rozplanowanie wybuchu rewolucji, który mógłby być niespodzianką zarówno dla wrogów, jak dla przyjaciół, i w ten sposób dać wygraną w czasie dla przejścia niezorganizowanych ludzi od stanu w sensie wojennym biernego do stanu czynnego. Wreszcie musiał dać ramy, chociażby nieliczne, lecz gęsto w kraju rozsypane, dlatego, by niezorganizowany element miał oparcie dla organizacji.

Bez tego powstanie wybuchło jak proch rozsypany, nie jak proch nabity; wybuchło bez celu, jak ten proch, eksplodujący w nieokreślonej sile w tem, czy innem miejscu, zależnie od przypadkowego rozsypania.

To jest zasadniczy błąd rewolucji, który przyczynił się w wielkim stopniu do tak słabego rozwoju wojennego powstania.

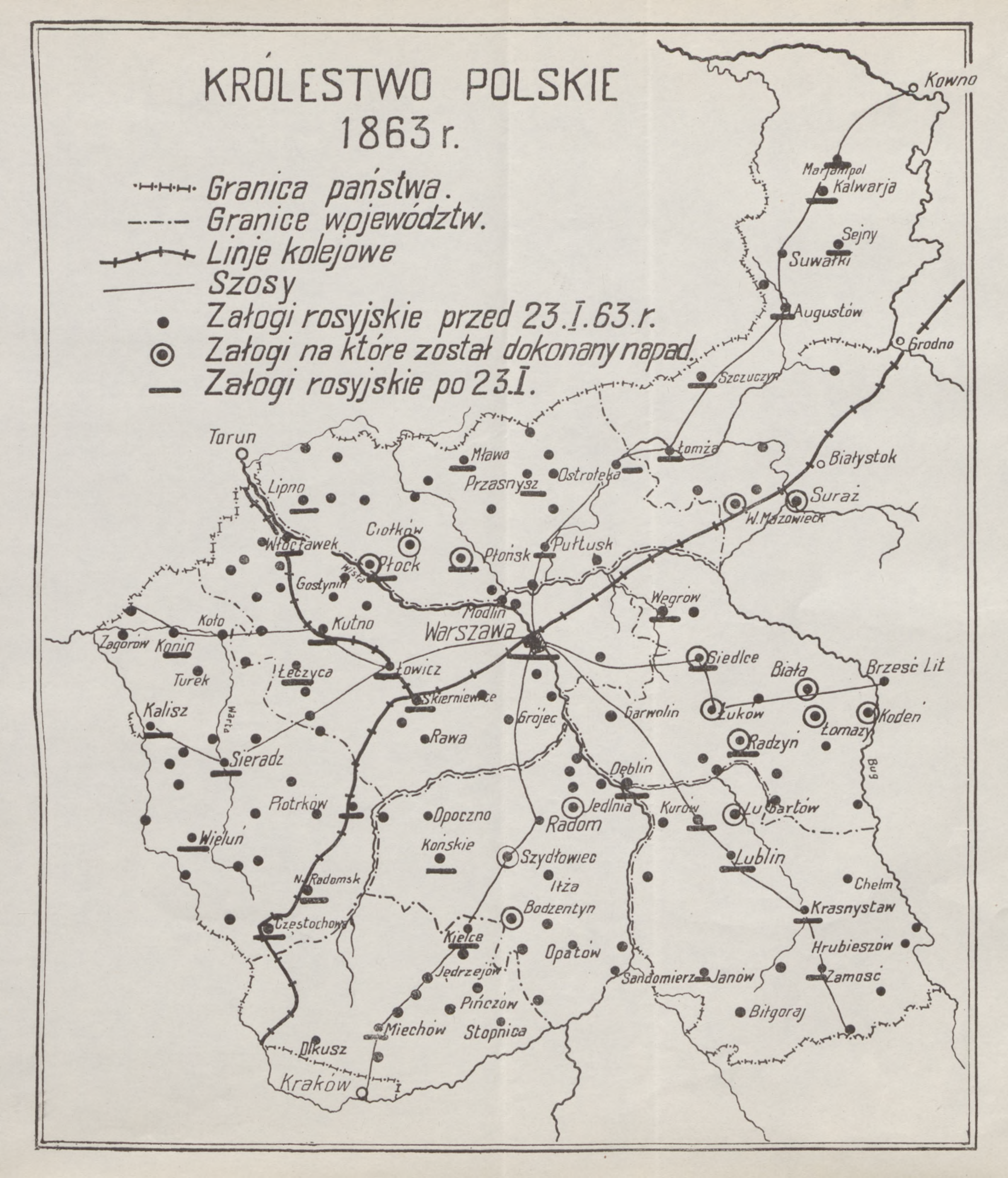
Jeżelibyście państwo zwrócili do mnie pytanie, czy przy wszelkich poprawkach powstanie byłoby zwycięskiem, to, sumiennie powiedziawszy, nie mógłbym na pytanie takie odpowiedzieć twierdząco, bowiem warunki polityczne nie upoważniały do optymistycznych pod tym względem przypuszczeń. Główna podstawa demokratów — rewolucja rosyjska zupełnie zawiodła; główna podstawa umiarkowanych — interwencja zachodu zawiodła również. Siły zaś polskie były tak dysproporcjonalne do rosyjskich, że trudno było niemi doprowadzić do zwycięstwa.

Jeżeli jednak szło mi o tę krytyczną ocenę wypadków i sytuacyj wojennych, to dlatego, że, jak przypuszczam, przy lepszem prowadzeniu wojny, niż w 1863 roku, powstanie umarłoby z innemi tradycjami, niż te, jakie synom zostawiło; umarłoby nie tak prawie bezpotomnie, jak skończyło.

Wreszcie pozwólcie na dygresję. Cały czas w swoich wykładach trzymałem wszystko, co jest uczuciem, na uwięzi. Starałem się możliwie objektywnie przedstawić błędy; starałem się usunąć na bok wszelką sympatję dla tych, którzy walczyli. Lecz w każdym wypadku, gdy z ust moich padało słowo krytyki, stale się

obawiałem, że mogę być zaliczony do rzędu tych, którzy tak haniebnie krytykowali to powstanie, a którym poświęciłem słów kilka na wstępie, którzy rok 1863 z pamięci, z serc chcieliby wymazać, a nad całym tym okresem wyryć słowo: zbrodnia.

Wyznaję otwarcie, że rola moja była bardzo trudna. Pocieszałem się tem, iż panowie zechcecie zrozumieć moją intencję, że zechcecie zrozumieć, jak szczerze pragnę zbudować most między teraźniejszem pokoleniem, a pokoleniem 1863 roku. I sądzę, że gdybym miał przed sobą ludzi z tamtych czasów, to powiedzieliby mi tak, jak ja to sobie nieraz sam mówię: „Zginęliśmy niedarmo i nauka dla was ze śmierci naszej płynąć może“.


KRÓLESTWO POLSKIE
1863 r.
Granica państwa.
Granice województw.
Linje kolejowe
Szosy
Załogi rosyjskie przed 23.I.63.r.
Załogi na które został dokonany napad.
Załogi rosyjskie po 23.I.
Kowno
Marjampol
Kalwarja
Sejny
Suwałki
Augustów
Grodno
Szczuczyn
Łomża
Białystok
Suraż
W. Mazowieck
Torun
Mława
Ostrołęka
Przasnysz
Lipno
Ciołków
Włocławek
Płock
Płońsk
Pułtusk
Wisła
Gostynin
Węgrów
Modlin
Koło
Kutno
Warszawa
Zagórów
Konin
Siedlce
Brzesc Lit
Łęczyca
Łowicz
Biała
Turek
Skierniewice
Kalisz
Grójec
Garwolin
Łuków
Łomazy
Koden
Warta
Rawa
Radzyn
Sieradz
Bug
Dęblin
Piotrków
Opoczno
Jedlnia
Kurów
Lubartów
Radom
Wieluń
Końskie
Szydłowiec
Lublin
Chełm
Iłża
N. Radomsk
Krasnystaw
Bodzentyn
Częstochowa
Kielce
Opatów
Hrubieszów
Jędrzejów
Sandomierz
Janów
Zamosc
Pińczów
Biłgoraj
Miechów
Stopnica
Olkusz
Kraków

MARJAN MAŁUSZYŃSKI

PRÓBA ANALIZY BITWY POD PŁOWCAMI [1])
(27.IX. 1331)

Największy wysiłek orężny, na jaki zdobyła się Polska piastowska w walce z Krzyżakami, mianowicie bitwa pod Płowcami dotychczas nie znalazła w historji naszej należytego opracowania. Uchodzi ona u nas powszechnie za zwycięstwo polskie. Na tem stanowisku stał jeszcze Korzon [2]). Ale w nauce niemieckiej utrzymuje się przekonanie o niewątpliwem ostatecznie zwycięstwie krzyżackiem.

Stajemy tu wobec dwu zupełnie sprzecznych ze sobą wersyj. Ten stan rzeczy znajduje wytłumaczenie w braku źródeł i wielkiej ich lakoniczności. Losy i przebieg bitwy płowieckiej bardzo prędko zasłonił mrok niepewności i zapomnienia. Burzliwa epoka Łokietka nie wydała historyka czy kronikarza, któryby przekazał potomności niezwykle dramatyczne losy tego władcy. Skąpe tylko i mało mówiące wiadomości znajdujemy w rocznikach. Z tego powodu już Długosz po upływie przeszło jednego wieku wiedział niewiele więcej od nas o wyniku bitwy płowieckiej, co słusznie podniósł Stanisław Kaniowski, autor krytycznej i sumiennej pracy o Płowcach [3]). Zadaniem niniejszego szkicu jest możliwie dokładne przedstawienie przebiegu i wyniku bitwy płowieckiej, ewentualnie poddanie rewizji, jeżeli tego zajdzie potrzeba, wyżej wzmiankowanej rozprawy Kaniowskiego,

---

[1]) Przy pisaniu tego szkicu korzystałem ze wskazówek prof. J. K. Kochanowskiego, na którego ćwiczeniach seminaryjnych przystąpiłem do opracowania walki Łokietka z Krzyżakami, tudzież z uwag dyrektora J. Siemieńskiego, ppłk. M. Łodyńskiego i mjr. O. Laskowskiego, wygłoszonych w dyskusji na zebraniu Sekcji Historycznej Tow. Wiedzy Wojskowej, w dniu 25 października 1928 roku.

[2]) Tadeusz Korzon: *Dzieje wojen i wojskowości w Polsce.* Wyd. I. T. I., str. 79 — 80.

[3]) Stanisław Kaniowski: *Uwagi krytyczne o bitwie pod Płowcami. Przegląd Historyczny,* t. XVIII str. 36 — 8.

który zajął się przedewszystkiem krytyczną oceną źródeł i należytą ich interpretacją, ułatwiając przez to znacznie pracę nad rekonstrukcją przebiegu samej bitwy.

Zdarzenia, poprzedzające bitwę płowiecką, nie były wcale pomyślne dla Polski. Krzyżacy w 1331 roku dwukrotnie zniszczyli niesłychanie Wielkopolskę. Szczególnie głęboko wdarli się oni w ziemie polskie, bo aż pod Kalisz, drugą swą wyprawą z września 1331 r. Są pewne poszlaki, że byli oni w porozumieniu z Janem Luksemburczykiem, królem czeskim, który przy końcu września właśnie zdobywał dla siebie Śląsk. Nie możemy z całą pewnością twierdzić, że napad krzyżacki z tegoż miesiąca był spowodowany tylko namowami Jana, aby razem zniszczyć wspólnego wroga, Łokietka. Źródła nie dostarczają nam wcale danych co do istnienia takiej ścisłej kooperacji między Zakonem a Czechami, ale w każdym razie nad Królestwem Polskiem zawisła groźba takiego współdziałania.

Przeciw Czechom połączył się wtedy cesarz, Habsburgowie i Węgry, chcąc im wydrzeć Karyntję. Starano się też wciągnąć do przymierza i Łokietka. Wprawdzie ta bardzo szeroko pomyślana liga celu swego nie osiągnęła i rozchwiała się, ale dyplomatyczne zabiegi cesarza mogły wzbudzić podejrzliwość Luksemburczyka, który postarał się przynajmniej króla polskiego unieszkodliwić i wykorzystał w tym celu swe dobre stosunki z Zakonem.

Krzyżacy od zaboru Pomorza zawsze byli w naprężonych stosunkach z Polską, wojnę prowadzili ustawicznie, od czasu do czasu wchodząc w rokowania, czyby nie udało się pozyskać ze strony Łokietka uznania dla swego panowania nad Pomorzem. Akcja Luksemburczyka mogła jeszcze dolać oliwy do ognia i pobudzić ich do tem większych wysiłków, choć trudno przypuścić, aby tylko na jego żądanie urządzili wielką wyprawę wojenną do Polski. Zrobili to niewątpliwie dla swoich celów, wyrządzając przytem królowi Janow przysługę [1]).

Na takiem tle politycznem rozgrywały się walki polsko-krzyżackie. Łokietek, jak wiemy, był w zatargu tym zupełnie osamotniony i na niczyją pomoc liczyć wtedy nie mógł.

Zakon wyprawił armję,jak na owe czasy dość znaczną, z wysokimi dostojnikami na czele, mianowicie: wielkim komturem Ottonem von Bonsdorf, zastępcą wielkiego mistrza, wielkim mar-

---

[1]) Adam Kłodziński: *W obozie cesarskim. Przegląd Polski,* 1904, t. 133. Kaniowski: *Uwagi...*, str. 210 — 14.

szałkiem Dietrichem von Altenburg, predystynowanym niejako z urzędu swego na dowódcę sił zbrojnych Zakonu [1]), i zwierzchnikiem pogranicznej ziemi chełmińskiej, zwykle służącej za punkt wyjścia dla wypraw na Polskę, landkomturem Ottonem von Luterberg. Obecność tych wysokich urzędników zakonnych dowodzi, iż była to wyprawa, do której przywiązywano duże znaczenie. Były to tak znaczne siły zbrojne, iż wielki mistrz nie wahał się o nich oświadczyć, że mogłyby wtedy wojska zakonne całą Polskę przejść, gdyby tylko tego chciały [2]). Przytem należy ten termin „Polska — Polonia“ rozumieć inaczej w znaczeniu „Wielkopolska“, jak to się często dzieje w ówczesnych źródłach [3]). Potwierdzeniem niejako słów wielkiego mistrza, nabrzmiałych pychą, jest zachowanie się Łokietka wobec najazdu krzyżackiego. Posuwał się on z rycerstwem polskiem za nieprzyjacielem, cofającym się z Wielkopolski, ale do decydującej walki przystąpić nie chciał, coby wskazywało, że widocznie Krzyżacy mieli znaczniejszą przewagę [4]).

Dziś po tylu wiekach nie można określić dokładnie liczebności armji zakonnej. Mamy wprawdzie pod tym względem dość bogaty materjał w kronikach, ale przeważnie fantastyczny. Źródła polskie na dziesiątki tysięcy liczą poległych Krzyżaków. Kaniowski, zestawiając te szczupłe dane liczbowe, jakie udało się wyciągnąć ze źródeł, doszedł do wniosku, że w armji zakonnej było do 2000 ciężkozbrojnych rycerzy, w tem około 200 braci zakonnych, a wszystkie wogóle siły krzyżackie nie przenosiły 20.000 ludzi.

Liczba ta jest jednak stanowczo zawysoka. Np. w bitwie pod Crécy (1346 r.) królowie angielski i francuski dysponowali każdy

---

[1]) Otton Laskowski: *Grunwald. Przegląd Wiedzy Wojskowej*, II, str. 32 i osobno 1926.

[2]) Kłodziński: *Ze studjów krytycznych nad rokiem 1331. Kwartalnik Historyczny*, t. XIX, str. 41.

[3]) Krzyżacy Łokietka stale nazywają królem krakowskim, natomiast królem polskim dla nich jest Jan Luksemburczyk, dziedzic czeskich Wacławów, w Gnieźnie koronowanych. Nie stawiając tego jako pewnik, można jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że wielki mistrz miał na myśli Wielkoplskę, przez którą rzeczywiście Krzyżacy przechodzili, jak im się podobało.

[4]) *Monumenta Poloniae Historica*, t. II, 856, t. zw. rocznik Traski, pochodzący z drugiej połowy XIV w., a więc dość bliski opisywanych wypadków.

14.000 armją [1]). Do ich potęgi daleko było jeszcze wielkiemu mistrzowi. Przytem Zakon nie zmobilizował wszystkich swych sił. Wyprawa nie była generalną, nosiła ona wyraźnie charakter lokalny. Nie tylko nie wziął w niej udziału sam wielki mistrz, ale we wszystkich źródłach ówczesnych i w akcie oskarżenia z procesu 1339 r. znajdujemy wymienionych tylko komturów z ziemi chełmińskiej, Pomorza i z nadbrzeżnych grodów prawego brzegu Wisły, jak Elbląg i Malborg [2]). Nie mamy wcale wzmianek, aby w wyprawach 1331 roku uczestniczyli komturowie z głębi Prus. Wobec tego przyjdzie cyfrę, podaną przez Kaniowskiego, zredukować, tembardziej, że nie opiera się ona na podstawach pewnych. Autor doszedł do przekonania, że na jednego ciężkozbrojnego przypadało koło 10 lżej zbrojnych, opierając się na cyfrach, zaczerpniętych z ówczesnych kronik. Materjał ten wymaga bardzo ostrożnego traktowania, bo średniowiecze skłonne było do przesady w wyliczeniach.

W rzeczywistości dopiero w końcu XIV wieku mieli zakonni wasale stawać na wojnę z pocztem, złożonym z 2 ludzi [3]). Przedtem mógł rycerz widać stanąć tylko z giermkiem, samowtór. Wykluczone jest, aby na 2000 rycerstwa było koło 18.000 wojska pomocniczego. Nawet samo to rycerstwo nie było wyłącznie ciężkozbrojne, jak chciałby Kaniowski. Bardzo mało takich wypadków znamy w XIV wieku na Pomorzu i ziemi chełmińskiej, żeby rycerz miał stawać na wyprawę w pełnej zbroi [4]). Powszechną była służba w lekkiej zbroi t. zw. blasze, osłaniającej tylko piersi. Rzeczywiście ciężko uzbrojonych, zakutych w stal od stóp do głów, było w armji zakonnej niewiele więcej ponad 200 braci. Do nich dodać można szczupły zastęp rycerzy świeckich.

Z całą pewnością nie było ich razem nawet 300. Reszta rycerstwa służyła tylko w hełmie i lekkiej blasze, na koniach, pozbawionych zupełnie zbroi, czem się tłumaczy, że wojska ówczesne potrafiły zdobywać się nawet na dość znaczną szybkość w marszu; były one w ogromnej większości lżej uzbrojone, niż się to przypuszcza. Ogólna cyfra zbrojnego rycerstwa koło 2000 wydaje

[1]) Laskowski: l. c., str. 26.

[2]) *Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum.* (Wyd. II). I, str. 71 — 2. Były to obszary niemal wyłącznie przez Polaków zamieszkiwane.

[3]) Laskowski: l. c., str. 43.

[4]) Stanisław Kujot: *Dzieje Prus Królewskich,* cz. II. *Roczniki Tow. Naukowego w Toruniu,* XXIX — XXXI, str. 257 — 8.

się prawdopodobną [1]). Do tego doliczyć należy drugie tyle giermków, którymi u braci zakonnych mogli być i sołtysi, obowiązani do służby bez zbroi [2]). Wreszcie, bardzo hojnie licząc, możemy ocenić ilość Prusaków, którzy pewnie stanowili piechotę, w ówczesnym systemie wojowania bez znaczenia i licho zbrojnych ubogich włodyków i sołtysów, również na 2000. Ostatecznie więc armja zakonna mogła liczyć 6000 — 7000, a z całą pewnością nie dochodziła do 10.000 ludzi.

Co się tyczy wojska polskiego, to tylko tyle możemy stwierdzić, że było znacznie słabsze od krzyżackiego. Z faktu, że stoczyło ono pod Płowcami walkę z landkomturem, który miał koło $^2/_3$ sił zakonnych, wynika, że nie ustępowało mu liczebnie, boć nie górowało nad niem ani lepszem uzbrojeniem, ani męstwem, na którem Krzyżakom nie zbywało. Mogła zatem armja Łokietka liczyć 4000 — 5000 ludzi. Ilu w niej było rycerzy, giermków i t. p., nie wiemy wcale.

Zaznaczyć trzeba, że nie odrazu Łokietek dysponował tą armją. Zbierała się ona i rosła stopniowo. Najpierw przy królu stanęło rycerstwo małopolskie, później przyłączyli się do niego wielkopolanie, ciągnący za Krzyżakami niekiedy całkiem luźno [3]). Tem się tłumaczy fakt, że dopiero pod Płowcami doszło do bitwy. Wcześniej Polacy nie czuli się na siłach do skutecznego zaatakowania armji zakonnej.

Był to czas najwyższy, aby unieszkodliwić wroga. Wspomnieliśmy już, że znaczną rolę w przygotowaniu tej wyprawy odegrał prawdopodobnie król Jan czeski [4]). Krzyżacy widać liczyli na współdziałanie z jego strony, bo udali się aż pod Kalisz, gdzie napróżno Czechów wyglądali. Król Jan późno wyruszył i zajął się po drodze zhołdowaniem Śląska. Szybko zmieniały się ówczesne

[1]) Kronikarz zakonny W i g a n d z Marburga, który pisał w końcu XIV w., też podaje, że pod Kalisz wysłał marszałek 3000 zbrojnych. Liczba ta zbliża się do przyjętej przez nas. Z obcych gości, jacy często przyjeżdżali na zakonne wyprawy, wiemy w tym czasie o Anglikach i Niemcach. Stanowili oni nikły odsetek w armji krzyżackiej, bo setkami ani tysiącami nigdy nie zjeżdżali się. *Scriptores rerum Prussicarum*, t. II str. 480 — 1.

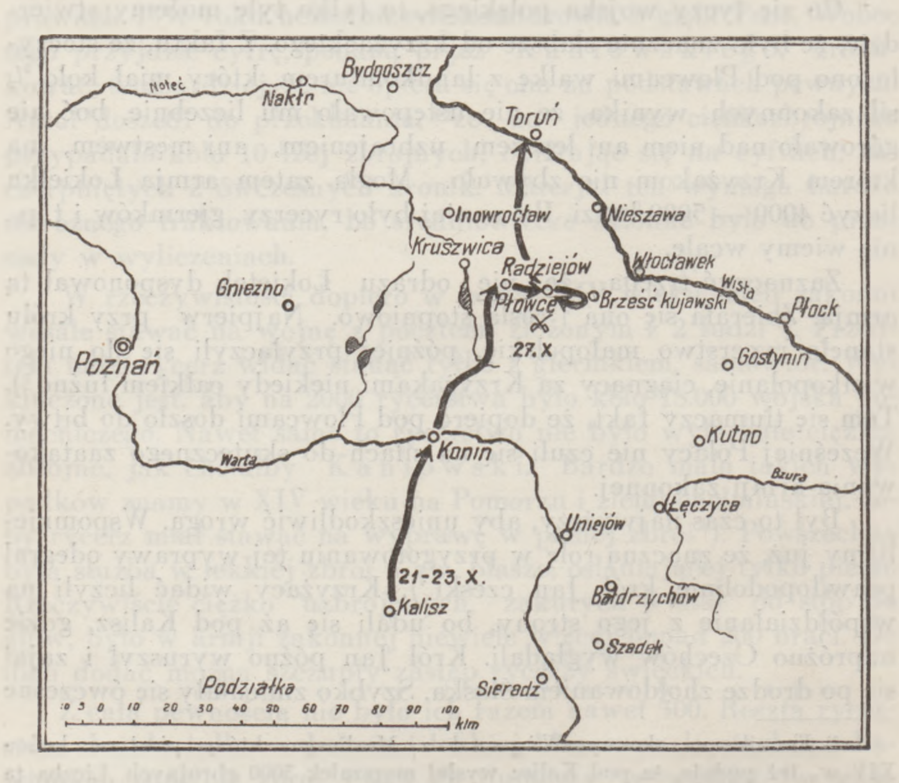
[2]) K u j o t: l. c., 259.

[3]) *Lites* I, 267. Świadek szedł za Krzyżakami, odkąd tylko pojawili się, aż do Płowiec. Widział nawet wiele trupów na pobojowisku, ale nie mówi, czy brał udział w walce.

[4]) K ł o d z i ń s k i: *Ze studjów...*, 30. K a n i o w s k i: *Uwagi...*, 212. Z faktu spóźnienia się Czechów nie wynika wcale wykluczenie ich kooperacji z Krzyżakami. Niezrozumiałą byłaby wtedy zupełnie wyprawa Jana na Śląsk w czasie, gdy Węgrzy i Austrjacy napadali na Morawy.

konstelacje polityczne. Koalicja nie była już groźną dla Czech. Krzyżacy wtedy zawrócili z pod Kalisza prosto na Brześć [1]), od którego zawsze zaczynał się podbój Kujaw. Był to jakby klucz tej dzielnicy Polski.

Koło Brześcia czekały już na nich posiłki, wysłane pewnie przez wielkiego mistrza, pod dowództwem komtura Plauena [2]). Zarówno słowa listu wielkiego mistrza o marszu z pod Kalisza na Brześć, jak i fakt wysłania posiłków w okolice tego właśnie



grodu wyraźnie świadczy, iż chodziło tu o celową akcję zagarnięcia Kujaw, a nie o jakiś dorywczy napad. Ze strony polskiej należało temu przeszkodzić i pod tym względem bitwa płowiecka nie zawiodła pokładanych nadziei, bowiem Krzyżacy po niej szybko cofnęli się i nawet myśleć nie mogli o jakiejś dalszej akcji wojennej.

---

[1]) „Et in redditu nostro de Calys vertentes aciem nostram versus Brest civitatem suam, quam vallare voluimus". Kłodziński: *Ze studjów...*, 41.

[2]) *Script. rer. Prus.*, II. str. 481. Bliższe szczegóły co do osoby tego komtura podaję dalej.

Szukał tedy Łokietek dogodnej sposobności, aby policzyć się z rabusiami, bo trudno innem mianem obdarzyć rycerzy zakonnych, dowodzących wyprawą, mającą na celu przedewszystkiem grabież i niszczenie spokojnej ludności miasteczek i wsi wielkopolskich [1]). Wysyłał tylko narazie podjazdy, chcąc pewnie zasięgnąć wiadomości o armji wroga. Raz tylko pod Koninem zetknęło się wojsko królewskie z Krzyżakami, ale było to drobne starcie [2]). W roli dowódców polskiej straży przedniej występują Paweł, wojewoda łęczycki, któremu król dał posiłki z pośród krakowskiego rycerstwa [3]), i Wincenty z Szamotuł, wojewoda poznański, oni też prowadzą rozpoznanie przeciwnika i śledzą wszystkie jego ruchy [4]). Obaj ci dostojnicy dobrze znali tę część kraju i znaczne usługi mogli oddać królowi, który ostrożnie posuwał się z główną armją.

Od potyczki pod Koninem Polacy unikali walk z Krzyżakami, ale bacznie śledzili ich poruszenia. Z drugiej strony wodzowie zakonni nie przypuszczali, że Łokietek idzie za nimi i spokojnie z wielkim łupem ciągnęli na Kujawy. Tak doszli do Radziejowa na granicy Kujaw i Wielkopolski.

Tu postanowili rozdzielić swe siły [5]). Landkomtur chełmiński Luterberg 27 września rano, o wschodzie słońca, „dum dies oriretur“, jak podaje bliski tym czasom kronikarz zakonny W i g a n d z Marburga, ruszył na zdobycie Brześcia Kujawskiego naprzełaj przez pola i lasy [6]). Oddział ten miał wynosić mniejwięcej dwie trzecie całej armji zakonnej, jak podaje wielki mistrz w liście, pisanym zaraz po bitwie płowieckiej do agenta swego t. zw. prokuratora przy dworze papieskim w Awinjonie [7]). Za nim pociągnął z pozostałą jedną trzecią wojska i taborami marszałek Dietrich von Altenburg. Na niego to właśnie pod Płowcami napadł Łokietek, urządziwszy zasadzkę, jak pisze wielki mistrz w wyżej wzmiankowanym liście.

---

[1]) Opisami krzyżackich łupiestw i okrucieństw przepełnione są zeznania świadków w procesie polsko-krzyżackim z 1339 r., opublikowane w *Lites*.

[2]) *Lites* I, 223, 304, 316. *Mon. Pol. Hist.*, II, 856.

[3]) *Lites* I, 180, 181, 190, 200, 208.

[4]) *Lites* I, 316. *Script. rer. Prus.* II, 481. „Et rex celeriter misit capitaneum suum explorare an per bella fratrum exercitus posset molestari“. W i g a n d miał tu na myśli tylko Wincentego, bo on jeden w tym czasie ma tytuł starosty. Nie używa go żaden inny polski dygnitarz.

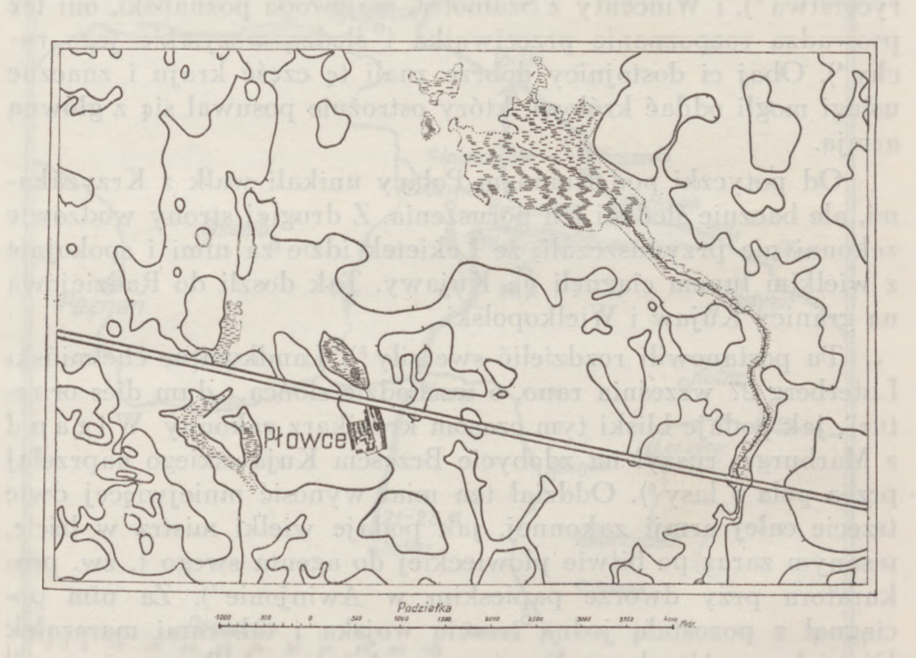
[5]) Krzyżacy dość często dzielili swą armję. *Lites* I, 310.

[6]) *Script. rer. Prus.* II, 481.

[7]) K l o d z i ń s k i: *Ze studjów...*, 41.

Ówczesna droga, łącząca oba te miasta, przebiegała mniej-więcej tak, jak dziś, trzymając się suchego grzbietu między bagniskami rzeczki Bachorzy, jej dopływów i odnóg z północy, a całym labiryntem pomniejszych bagienek z południa. Dziś te okolice są w dużym stopniu osuszone, ale jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku były tam znaczne bagna [1]).

Przyznać należy, iż miejsce było wybrane dobrze. Sama wieś Płowce leży na krawędzi najbardziej ku wschodowi wysuniętego cypla pagórkowatej wyżyny, wznosząc się od 300 do 400 stóp nad



poziomem morza. Niżej leży rozległa dolina, która od północo-zachodu otacza wyżynny cypel płowiecki, a ciągnie się na parę kilometrów ku wschodowi — pozostałość po dawnem lodowcowem jeziorze. Dolina ta nie była zalesiona już za czasów Długosza. Prawdopodobnie nigdy lasem nie była pokryta, gdyż zwykle takie obszary po wyschłych wodach porastają tylko trawą. Różnica wysokości między dnem doliny, a otaczającem ją płaskowzgórzem wynosi kilkadziesiąt stóp, przekraczając nawet w niektórych miejscach 100 stóp [2]).

---

[1]) K. Richter: *Topograficzna Karta Królestwa Polskiego.* 1839.

[2]) W poł. XIV wieku w tych stronach już rozwinęła się hodowla owiec. Świadczy to wyraźnie o istnieniu łąk. *Słownik geograficzny,* VIII, 323.

W północno-zachodnim kącie tej właśnie doliny rozegrała się walka między Łokietkiem a Krzyżakami. Równy teren sprzyjał poruszeniom większych oddziałów kawalerji. Powstaje tutaj jednak ciekawe pytanie, jak urządzili Polacy zasadzkę, skoro pole walki było niemal zupełnie płaską równiną, zlekka zaklęsłą ku środkowi, pozbawioną lasów, a więc niedającą osłony dla wojska.

Zdaje się, że armja polska była ukryta na wyżynie, zalesionej jeszcze w XVIII wieku[1]). Lasy, jak i zabudowania Płowiec, musiały stanowić zasłonę dla szyków Łokietka, bo innej nie dawał tu teren, jakkolwiek falisty i pogarbiony. Niemożliwością jest, aby zasadzka była urządzona w samej dolinie, bowiem Krzyżacy zdaleka spostrzegliby wtedy wroga.

Długosz, który pewnie zwiedzał Płowce, opisuje szczegółowo położenie tej wsi, podnosząc, że znajduje się tam wielka równina, sprzyjająca szykowaniu wojsk i dająca bardzo rozległe pole widzenia. W podobny sposób pisze o Płowcach jeszcze J. U. Niemcewicz, który był tam w 1817 roku[2]). Łokietek mógł armję swą ukryć tylko na wyżynie na południo-zachód od Płowiec wśród lasów i tam czekać przeciwnika.

Trzeba mu przyznać, iż okazał się wodzem przewidującym. Starannie obmyślił naprzód przyszłą walkę. Trafnie wybrał moment rozdwojenia sił krzyżackich, który wojsku polskiemu zapewniał przewagę liczebną. Przez zaskoczenie przeciwnika, atakując go niespodziewanie z zasadzki, spotęgował jeszcze przewagę polską. Poprzednio już mówiliśmy o wyborze miejsca, które nadawało się do akcji tego rodzaju.

Szczegółowo też przygotował Łokietek samo natarcie. Najprzód iść musiał wojewoda Wincenty, który miał Krzyżaków zatrzymać, za nim ruszyły pozostałe oddziały. Musiały one ukryć się na wyznaczonych zawczasu stanowiskach i czekać początku bitwy. Przeprowadzenie konsekwentne tych zamiarów królew-

[1]) J. A. B. Rizzi-Zannoni: *Carte de la Pologne,* 1772.

[2]) ...„opportunum ad explicandas copias, ad ordinandas acies vastam et expeditam habens planitiem, locum liberum nihil enim silvestre circa est, etiam ad ea que in remotioribus sunt, habens prospectum". Jan Długosz: *Opera omnia,* t. 12, str. 147. „...jak tylko oko, a może i zbliżające szkło zasięgnąć może, nieprzejrzana na wszystkie strony rozciąga się równina, gdzieniegdzie tylko mogiły z ogromnemi kamieniami, smutne bojów pamiątki, przerywają jednostajność widoku". Juljan U. Niemcewicz: *Podróże historyczne po ziemiast polskich od 1811 do 1828 r.* Wyd. II, str. 202. Dobrze widać tę dominującą sytuację Płowiec nad doliną na rysunku, który podał *Tygodnik Ilustrowany* z 1863 roku. T. VII, Nr. 189, str. 180.

skich przy ówczesnem wojsku, odbiegającem bardzo daleko od naszych pojęć o karności, zasługuje na najwyższe uznanie. Trzeba było przecież podzielić armję na poszczególne oddziały, wyznaczyć im miejsce ukrycia się pod Płowcami, wyzyskując zasłonę, jaką mógł dać teren, a następnie uzgodnić w czasie działania wszystkich oddziałów.

Po rozejrzeniu się w planie Łokietka, nasuwają się na myśl dość ciekawe uwagi. Musiał on wiedzieć nietylko o ruchach Krzyżaków, ale i o ich zamiarach. Gdyby dopiero rano dowiedział się o marszu Luterberga pod Brześć, nie zdążyłby przygotować zasadzki koło Płowiec. Źródła nic nam nie przekazały o istnieniu jakiegoś wywiadu polskiego, ale rozwój i przebieg wypadków wskazuje, że musiał on istnieć [1]).

Kiedy dotarł Altenburg do Płowiec, odległych od Radziejowa, mierząc w prostej linji, o przeszło 8 km., trudno powiedzieć z całą pewnością. Z polskich źródeł jeden tylko rocznik kujawski zapisał, że pod Płowcami walczono od wschodu słońca aż do południa, „ab ortu soli usque ad horam nonam" [2]). Nie wydaje się ta wiadomość bardzo prawdopodobną. Krzyżacy nie wspominają wcale, aby mieli z Radziejowa wyjść nocą. Nic ich do tego zresztą nie zmuszało, a czuli się zupełnie bezpieczni. Przytem pospieszny marsz Luterberga naprzełaj pod Brześć natrafiłby nocą na zbyt znaczne trudności, nie mówiąc już o taborze, który tylko bardzo powoli mógłby posuwać się po ówczesnych bezdrożach. Bardziej na wiarę zasługuje wiadomość W i g a n d a, że Polacy napadli pod Płowcami „hora autem terciarum" [3]). „Tercja" była modlitwą kapłańską, którą odmawiano w 3 godziny po wschodzie słońca (stąd jej nazwa), zwykle koło godziny 9-ej [4]). Do tego też czasu należy odnieść początek bitwy płowieckiej.

O przebiegu walki nie da się wiele powiedzieć.

Pierwszy ponoć uderzył na Krzyżaków Wincenty z Szamotuł,

[1]) Wiemy natomiast, że Krzyżacy mieli takich „mężów zaufania", którzy im donosili o zamiarach Łokietka. Rocznik T r a s k i pisze: „quia fraudatores nusquam desunt", stosując to do Polaków. Szpiegostwo było wtedy dość pospolite, jak wynika z tych słów. *Mon. Pol Hist.*, II, 857.

[2]) *Mon. Pol. Hist.*, III, 210. Słońce wschodzi przy końcu września kolo godziny $5^1/_2$ rano.

[3]) *Script. rer. Prus.*, II, 481. Wedle W i g a n d a o świcie wyruszyli z Radziejowa.

[4]) *Podręczna Encyklopdja kościelna*, t. 39—40, str. 123. W późniejszych godzinach mgła już nie opada. Z tego względu nie można przesuwać bliżej południa terminu rozpoczęcia walki.

wojewoda poznański[1]). Najwidoczniej zaatakował ich z frontu i zatrzymał cały tabor w momencie, gdy zjeżdżał na dół. Wykluczonem jest tu uderzenie z boku. W takim wypadku tabor, ciągnący długą kolumną, zostałby przerwany i rozsypałby się, a dalsza walka stałaby się bezładną gonitwą za ludźmi i wozami.

Tymczasem stało się inaczej: Krzyżacy zostali zewsząd otoczeni[2]). Możliwe to było tylko w takim razie, gdyby zatrzymał ich atakiem z czoła wojewoda Wincenty, co wywołałoby pewne zamieszanie i stłoczenie się ku przodowi, a tymczasem inne oddziały polskie zajeżdżały im na tyły i boki, wysuwając się stopniowo z lasów. Osaczenie taboru krzyżackiego odrazu na tym terenie wydaje się wprost niemożliwością. Wojsko polskie zgrupowane było na południe od drogi z Radziejowa do Brześcia, bo na północ i zachód rozciąga się już bezleśna równina, będąca właściwem polem bitwy. Łokietek mógł na wielkiego marszałka uderzyć tylko z przodu lub z boku, jeżeli zaś zdołał go otoczyć, to tylko dzięki temu, że najprzód zatrzymał go jednym ze swych oddziałów z czoła, a następnie wysuwał pozostałe jeden po drugim na boki, odcinając jednocześnie odwrót. Na ile części podzielił swą armję, nie wiemy[3]).

Niewątpliwie zaskoczeni znienacka i następnie osaczeni, Krzyżacy bronili się rozpaczliwie. Wielki mistrz lakonicznie pisze, że mężnie walczyli z przewagą. Ale po niezbyt długim zapewne czasie zaczęło się w krzyżackich szykach szerzyć zamieszanie. Przyczynił się do tego przedewszystkiem fakt zaskoczenia. Nie spodziewali się Krzyżacy napadu, nie mogli prowadzić planowej wal-

---

[1]) *Mon. Pol. Hist.*, II, 856. Może szedł on w przedniej straży.

[2]) „ordinate... circumquaque". *Mon. Pol. His.*, VI, 330.

[3]) Wigand podaje, że wielki marszałek podzielił swe siły na 5 hufców. Jest to możliwe, biorąc pod uwagę, że musiał ochraniać wielki tabor, w którym było sporo jeńców, a przytem jego celem było także furażowanie, a właściwie rabowanie wszystkich pobliskich osiedli ludzkich, jak to miało miejsce w Wielkopolsce. Również i Łokietek miał na 5 hufców wojska swe rozdzielić. Czy to rzeczywiście odpowiada prawdzie, dziś dla braku źródeł nie można już stwierdzić. Z całą pewnością obie armje podzielone były na kilka hufców, ale nie wiemy, ile ich było i kto nimi dowodził. Wigand używa tu terminu „vexilla", ale dopiero za jego czasów w końcu XIV w. wszedł w życie zwyczaj dzielenia wojska na chorągwie ziemskie lub rodowe. Przedtem dzielono tylko wojska stosownie do okoliczności na hufce o zupełnie nieokreślonej liczebności. W danym wypadku marszałek dysponował podobno tylko 350 rycerzami oprócz Prusaków, król natomiast miał dużo liczniejsze wojsko, nie były zatem ich hufce równe. *Script. rer. Prus.*, II, 481.

ki, broniąc się przed nieprzyjacielem, który wyrastał ze wszystkich stron, a miał po swej stronie przewagę i fizyczną i moralną.

Gdy spostrzegli, że zostali osaczeni, a próby przedarcia pozostały bez skutku, woleli poddać się, niż ginąć w nierównym boju. O kapitulacji wyraźnie pisze wielki mistrz w swym liście. Polacy przytem zapewnili Krzyżakom bezpieczeństwo, poczem dopiero ci dobrowolnie złożyli broń [1]). Taką gwarancję mógł dać tylko król, jako wódz naczelny, z nim zatem wielki marszałek, o którym wiemy, że został ranny w twarz [2]), i razem z innymi dostał się do niewoli, musiał wejść w układy.

Kronikarze zakonni starają się zatrzeć tę przykrą dla nich klęskę i nic nie piszą o kapitulacji całego oddziału Altenburga, lecz wszelkiemi sposoby starają się wytłumaczyć jego klęskę zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności. Tak np. twierdzą, że Łokietek napadł na Altenburga, korzystając z gęstej mgły, która wtedy opuściła się na ziemię. Tak również podkreślają, że wiele popłochu i zamieszania w wojsku krzyżackiem wywołać miał upadek chorągwi, powalonej na ziemię razem z chorążym bratem Iwanem. Wypadek ten rzeczywiście mógł się zdarzyć, a przy wielkiej zabobonności ludzi średniowiecza mógł śmiało ujść za zły „omen" i spowodować w szeregach krzyżackich pewne zamieszanie i upadek ducha. Ale stanowczo odrzucić należy wersję o mgle, sprzyjającej zaskoczeniu, bowiem niewątpliwie opadała ona dopiero wtedy, gdy walka już się zaczęła [3]).

Zostaje nam tylko możliwie sprecyzować datę zakończenia walki i ostatecznego zagarnięcia taboru przez Polaków. Takiej daty nie przekazało nam żadne współczesne źródło, to też skazani jesteśmy na domysły i przypuszczenia. Jeden tylko rocznik kujawski zapisał, że walczono „usque ad horam nonam". Termin ten spotykamy w statutach wiślickich, a oznacza on południe [4]). Jednak daty tego rocznika, jak to już widzieliśmy, nie zasługują zbytnio na zaufanie. Spróbujmy więc sprawdzić w inny sposób wiarogodność tego przekazu.

---

[1]) „qui tunc de nostris captivitati fuerunt, post datam fidem et securitatem sibi prestitam personarum armis sponte exutis fuerunt per Polonos miserabiliter macellati". Kłodziński: *Ze studjów...*, 42.

[2]) „Durch den Backen biz in Munt"... *Script. rer. Prus.*, II, 6, 481.

[3]) Tak podaje wielki mistrz w swym liście. Jest to przekaz chronologicznie najbliższy opisywanych wypadków i pochodzi od osoby najlepiej poinformowanej. Mgła była zjawiskiem czysto przypadkowem i nie mogła wchodzić zupełnie w rachuby Łokietka. Kłodziński: *Ze studjów...*, 41.

[4]) Antoni Helcel: *Starodawne prawa polskiego pomniki*, t. I, cz. I, str. 4. Zygmunt Gloger: *Encyklopedja staropolska*. t. II, str. 198.

Luterberg miał o wschodzie słońca, t. zn. przed godziną 6-ą rano wyruszyć pośpiesznym marszem na Brześć. Odległość od Radziejowa do Brześcia wynosi około 25 km. Przebyć ją mogli Krzyżacy nawet w bardzo niesprzyjających okolicznościach w ciągu pięciu godzin [1]). W chwili rozpoczęcia walki pod Płowcami landkomtur już od trzech godzin był w marszu. Mógł przebyć zatem około 18 km. i był pewnie oddalony od Płowiec o jakie 10 km. Jest to zupełnie możliwe, bo pomiędzy jego kolumną a taborem, musiała być przestrzeń kilkokilometrowa, skoro Polacy ośmielili się uderzyć. Nie zrobiliby tego z pewnością, gdyby wiedzieli, że Luterberg jest blisko i może zawrócić i wziąć ich, mówiąc językiem dzisiejszym, we dwa ognie. Nim do niego dotarli zbiegowie lub wysłańcy marszałka, stanął już zapewne pod Brześciem.

Zatem wiadomość o uderzeniu Polaków na tabor mogła dojść go najwcześniej około południa [2]). Gdyby nawet zaraz zawrócił i spieszył najbardziej, nie zdążyłby pod Płowce we dwie godziny. Mógł tam stanąć nie wcześniej, jak koło godziny 15-ej. Wtedy walka z toborem była skończona, a wielki marszałek był już w niewoli.

Jak długo bronił się, ściśle oznaczyć nie możemy. Był w ciężkiem położeniu; nie miał czasu na ustawienie w jakimś porządku wielkiego taboru z całemi stadami bydła i koni, który odbierał mu swobodę ruchu. Trochę czasu zajęło też wyprawienie do walki polskich hufców z zasadzki, ale zaskoczeni Krzyżacy wyzyskać tego nie mogli, bo wcale nie spodziewali się napadu. Ostatecznie datę rocznika kujawskiego możemy utrzymać z zastrzeżeniem, że

[1]) Wziąć trzeba pod uwagę, że wojska średniowieczne potrafiły posuwać się ze znaczną nawet szybkością. Ta sama armja krzyżacka jednego dnia, po zdobyciu Sieradza, stanęła pod Kaliszem, odległym o 48 km. Kaniowski: *Przyczynki do dziejów wojny polsko-krzyżackiej z roku 1331. Przeg. Hist.*, t. XII, 135. Wogóle w średniowieczu umiano podróżować dosyć szybko. Król Kazimierz Wielki, jeżdżąc z dworem swym, przebywał zwykle 40 km. dziennie, dochodząc niekiedy do 60. Stanisław Kętrzyński: *O momentach chronologicznych dokumentów Kazimierza W.*, 47—9, 67, 93. Przyjmuję, że Luterberg w szybkim marszu ciągnął z szybkością 6 km. na godzinę.

[2]) Licząc, że o 6-ej rano wyruszył z Radziejowa i maszerował około pięciu godzin, stanąć pod Brześciem mógł on blisko południa. Tam dogonili go gońcy, lub zbiegowie z taboru, którzy wyruszyli zaraz na początku starcia, t. j. koło godziny 9-ej. Nim zdecydował się na odwrót pod Płowce, zapewne wybadał owych zwiastunów klęski wielkiego marszałka i odbył jakieś narady co do dalszego działania. To wszystko też zabrało trochę czasu.

walka skończyła się w godzinach popołudniowych [1]), a nie ściśle w samo południe, i to zupełnie zdecydowanem zwycięstwem Polaków.

Z chwilą, gdy Luterberg stanął pod Płowcami, a więc około godziny 15-ej najwcześniej, jak to już ustaliliśmy, walka wybuchła nanowo. Zaczęła się druga faza bitwy płowieckiej, która zastała Polaków, triumfujących z okrzykiem „Kraków" na ustach, jeszcze na placu boju [2]).

O przebiegu walki z Luterbergiem, źródła nie przekazały żadnych bezpośrednich wiadomości. Każda ze stron uważa się za zwycięską. Kroniki pełne są pochwał dla swoich, a wzgardy i nienawiści dla przeciwnika, którego maluje się w najczarniejszych barwach, nie wdając się wcale w szczegóły walki. Chcąc zaś wywnioskować coś o ich przebiegu, rozpatrzymy najpierw możliwe hipotezy i spróbujemy ustalić stopień ich prawdopodobieństwa na podstawie szczupłych wzmianek, jakie przekazały nam źródła.

Najpierw nasuwa się na myśl możliwość taka: Krzyżacy zastali Polaków, zajętych rabowaniem taborów i nieprzygotowanych zupełnie do walki, wykorzystali to, odbili tabor i zadali im klęskę zupełną, o której piszą źródła zakonne. Byłoby to jednak dość dziwne, zwłaszcza, że Łokietek wiedział dobrze o wszystkich poruszeniu Krzyżaków i mógł zawsze spodziewać się ich powrotu z pod Brześcia.

Jako przypuszczenie drugie, można przyjąć, że Łokietek spostrzegł zbliżającego się landkomtura i stoczył z nim walkę, ale musiał ustąpić, zostawiając tabor, który Krzyżacy w ten sposób odzyskali, wiemy bowiem, że wrócili do Torunia z wielką zdobyczą. W takim razie musieliby Polacy walczyć w obronie tego właśnie taboru i odwrót ich poprzez skłębione wozy wkrótce zamieniłby się w paniczną ucieczkę. Tymczasem nie miało to widocznie miejsca. Przeczy temu szybki odwrót Krzyżaków z pola bitwy. Zostawili oni nawet ciała poległych braci, choć zwykle wozili je ze sobą, aby pogrzebać w kościołach zakonnych, i już nazajutrz 28 września byli w Toruniu [3]). Niezbyt to licuje taki pośpiech

---

[1]) To znaczy między 12 a 14 godziną najpóźniej. Trudno jest przypuścić, aby Krzyżacy mogli przez dłuższy czas stawić opór znacznej przewadze polskiej. Gdyby tak było, zdążyłaby odsiecz z pod Brześcia.

[2]) *Mon. Pol. Hist.*, III, 210.

[3]) „und brochen grossen raup mit yn". Kaniowski datę krótkich roczników pruskich „am abonde Michaelis" rozumie dosłownie „wieczorem 29 września". Wydawca roczników rozwiązał ją jako 28 września, co bardziej zgadza się ze średniowiecznem datowaniem (Abend — wigilja). Nie licuje też

z rolą zwycięzcy. Poco było tak forsownie cofać się i wyczerpywać swe siły, skoro wróg pobity i rozproszony?

Wyraźnie stoi w sprzeczności z zupełną rzekomo klęską polską fakt, że Polacy w walce z landkomturem zdołali jeszcze zdobyć jeńców, utrzymać ich i doprowadzić do Krakowa. Jednego z pośród nich szczególnie wyróżnia się rocznik T r a s k i. Ma to być jakiś szlachetny książę imieniem Rus, „nobilis princes nomine Rus in habitu eorum, ad quem vis tota belli et illius expedicionis pertinebat“ [1]). Niektóre z późniejszych źródeł krzyżackich wspominają, że pod Płowcami wzięty został do niewoli jakiś Russe von Plawen [2]).

Między komturami występuje rzeczywiście w tym czasie niejaki Henryk, zwany Rusinem. Był on najpierw komturem Balgi, a później Koprzywnicy [3]). Z drugiej strony W i g a n d podaje, że Luterbergowi z pomocą przybył „dominus de Plawen“, z którym razem ruszył on na Łokietka [4]).

Sprawa tego dostojnego jeńca, zwanego Russ, zasługuje na bliższe zbadanie. Zidentyfikowanie go z Plauenem W i g a n d a pozwoliłoby nam wydać nieco pewniejszy sąd o wyniku tej drugiej fazy bitwy płowieckiej. Ponieważ znane nam źródła zupełnie w tej kwestji milczą, ważne znaczenie ma dla nas każdy szczegół, który możemy ustalić. W rzeczywistości nic nie sprzeciwia się temu, aby uznać Russa z rocznika T r a s k i i Plauena W i g a n d a za jedną osobę, identyczną z komturem Henrykiem, który występuje w ówczesnych dokumentach [5]).

Spróbujmy z faktu tożsamości Reussa wyciągnąć jakieś wnioski co do wyniku starcia z Luterbergiem. Wiemy, że Reuss był tym Plauenem, który przywiódł posiłki. Do niewoli zatem mógł dostać się tylko w drugiem starciu właśnie z landkomturem chełmińskim. Fakt ten niezbicie dowodzi, że Polacy nie zostali by-

---

to wcale ze średniowiecznemi zwyczajami. Nigdy rycerstwo po wygranej bitwie nie ścigało i nie prześladowało energicznie przeciwnika. Zwycięzcy zostawali na placu boju i głośnemi okrzykami manifestowali swój triumf. Nie kwapili się wcale do opuszczenia zdobytego pola bitwy. Coś podobnego widzimy w radosnych okrzykach polskich „Kraków“ po zagarnięciu taboru.

1) *Mon. Pol. Hist.*, II, 856.

2) *Script. rer. Prus.*, III, 69.

3) K a n i o w s k i: *Uwagi...*, 35.

4) *Script. rer. Prus.*, II, 481.

5) Samo słowo Rus nie stanowi wcale nazwiska Jest to tylko przydomek. Najważniejszem jest dla nas nazwisko Plauen, które podał W i g a n d. Otóż z pośród całej szlachty niemieckiej jedna tylko rodzina pisała się wtedy

najmniej rozbici i nie cofnęli się w popłochu, a wprost przeciwnie: zdobyli jeńców i utrzymali ich. Opuścili zatem pole bitwy w porządku, ustępując je Krzyżakom.

Wszystkie szczegóły walki zginęły dla nas bezpowrotnie. Kronikarze zakonni piszą tylko o „ucieczce" Polaków, przemilczając zupełnie o walce z nimi. Nasze źródła rozpisują się szeroko o ciężkich stratach zakonnych i własnem męstwie, ukradkiem tylko wspominając o częściowem zbiegostwie z szyków Łokietka, co uniemożliwiło mu wyzyskanie zwycięstwa i zmusiło do odwrotu. Gdy wymarli uczestnicy bitwy, poszły łatwo w zapomnienie wszystkie szczegóły, a obie strony, z powodu niejasności i lakoniczności źródeł, zaczęły uważać się za zwycięskie.

Dziś, po upływie tylu wieków, bardzo trudno zrekonstruować rzeczywisty przebieg bitwy. Nie ulega wszakże żadnej wątpliwości, że Krzyżacy odzyskali tabor, a razem z nim wziętego do niewoli wielkiego marszałka. Nie przyszło im to łatwo, bowiem Polacy dzielnie walczyli, skoro armja zakonna po opanowaniu pola bitwy była tak znacznie osłabiona, że myślała już tylko o bezpiecznym natychmiastowym odwrocie i wypoczynku w swym własnym kraju.

---

z Plauen — von Plauen. Byli oni wójtami w mieście Plauen, położonem dziś w Saksonji. Już wtedy też używali przydomka Reuss, z czego w łacińskiej transkrypcji ówczesnych kronik i dokumentów zrobił się Rus, a nawet Ruthenus — Rusin. Od nich pochodzą późniejsi samodzielni książęta Reuss. Ród ten był oddawna w zażyłych stosunkach z Zakonem. Odznacza się on również tem, że wszyscy jego członkowie mają jedno i to samo imię Henryk. Pozatem herbarze niemieckie nie znają żadnych innych Plauenów w tym czasie. W Prusach Wschodnich jest wprawdzie miejscowość Plauen, ale znów herbarze pruskie nic nie wiedzą, aby była ona siedzibą jakichś pruskich Plauenów. Przydomek Reuss był wtedy dla Plauenów nabytkiem dość świeżym. Przybrał go jeden z członków tego rodu z młodszej linji, który na przełomie XIII i XIV wieku długo bawił na Rusi i stąd został nazwany Rusinem. Jak już wspomniałem, ród ten chętnie łączył się z Zakonem. Już w połowie XIII wieku jeden z Plauenów był landmistrzem pruskim. W wieku XV znowu widzimy Plauenów na stanowisku wielkiego mistrza. I komtur koprzywnicki nie był poślednim rycerzem, skoro go Wigand nazywa panem, a więc tytułem rzadkim w średniowieczu niemieckiem, a Polacy zwą go nawet księciem. Ród jego nie miał wtedy tego tytułu, dopiero w XV wieku przekształcił swe dziedziczne wójtowstwa w księstwo i zaliczony był w Rzeszy do panujących domów. H. E. Kneschke: *Neues allgem. Adels-Lexikon*, t. 7, 464 — 7. Meyer: *Grosses Konversations Lexicon*, t. 16, 840 — 4. L. Zedlitz-Neukirch: *Neues preuss. Lexicon*. M Janecki: *Handbuch des preuss. Adels.*

Zupełnie zrozumiałym stanie się dla nas wynik starcia z landkomturem, jeżeli przypuścimy, że w zdobytym taborze krzyżackim nie było całej armji polskiej, ale tylko jakiś oddział, pozostawiony dla bezpieczeństwa i utrzymania porządku. Było to rzeczą konieczną, bo tabor, zostawiony bez opieki, mógł się z łatwością rozsypać, zwłaszcza że jeńcy, obecnie oswobodzeni, pragnęli tylko dostać się do swych rodzinnych wsi i miasteczek i chętnieby zapewne użyli do tego wozów, które, być może, stanowiły nawet ich własność. Również, ze względu na pojmanych Krzyżaków, należało straż jakąś zostawić.

Sam Łokietek ze znaczniejszą ilością wojska, gotował się zapewne do dalszej akcji i nie znajdował się na polu walki, gdy pojawili się Krzyżacy i uderzyli na tabor, chcąc odzyskać zdobycz i uwolnić swych jeńców.

W tym momencie prawdopodobnie nastąpiła rzeź jeńców krzyżackich, o której wspominają źródła zakonne. Skoro Polacy dostrzegli, że nie obronią się przed nawałą krzyżacką, woleli wyciąć pojmanych braci, niż oddać ich zadarmo. Dużo tu zaważyć mogła chęć zemsty za straszne zniszczenie Wielkopolski. Jest to jedyny moment bitwy pod Płowcami, z którym logicznie daje się powiązać opowieść o wymordowaniu jeńców, powtarzana przez źródła zakonne, a przedewszystkiem wielkiego mistrza w znanym nam liście. W i g a n d o rzeź tę wręcz obwinia Łokietka. Zginąć miało wtedy 56 braci zakonnych, między innymi wielki komtur Otto von Bonsdorf, komturowie elbląski i gdański [1]). Ocalał marszałek zakonny i jakaś ilość jeńców, których później odstawiono do Krakowa [2]).

Ten rzekomy postępek króla polskiego wywołał prawdziwe wybuchy oburzenia u kronikarzy zakonnych. Niema jednak bezpośrednich przekazów źródłowych, stwierdzających ten fakt. Zjawia się ta wiadomość dopiero w kronice W i g a n d a i późniejszych źródłach krzyżackich [3]). Natomiast nie wie o tem nic wielki

[1]) *Script. rer. Prus.*, II, 481.

[2]) *Mon. Pol. Hist.*, II, 856.

[3]) Przytem W i g a n d w dość osobliwy sposób, opisuje rzeź jeńców. Na ich widok Łokietek miał zapytać się, co to są za ludzie, a gdy mu odpowiedziano, że są z wojska niemieckiego, kazał ich wymordować. Niesłychanie dziwne wydaje się takie pytanie, godne rzymskiego cezara w stosunku do pojmanych barbarzyńców, w ustach Łokietka, który przecie dobrze znał Krzyżaków i ich wojska. Cała ta dramatyczna opowieść i teatralne nieco pytanie króla robi wrażenie frazesu, wzorowanego na starożytnych pisarzach. D ł u g o s z, bardziej obeznany z rzymskiemi dziejami, kazał nawet Łokietkowi wygłosić pod Płowcami całą przemowę do rycerstwa.

mistrz i w swym liście, pisanym wkrótce po bitwie, wspomina tylko o rzezi jeńców, ale nie przypisuje jej wcale Łokietkowi, chociaż szczególnie podkreśla jego wiarołomny charakter i nienawiść do Zakonu. Gdyby tylko król polski winien był tej rzezi, wielki mistrz z całą pewnością nie oszczędzałby go, tymczasem nic w tej sprawie nie zarzuca mu, nie mając widocznie podstaw.

Cała ta relacja o mordowaniu jeńców na rozkaz królewski wydaje się legendą, ukutą przez krzyżackich kronikarzy, dla których Łokietek, jako zacięty wróg Zakonu, był wcieleniem wszelkiego zła. Podstawę stanowić tu mógł rzeczywisty fakt mordowania jeńców przez rycerstwo polskie. Należy pamiętać, że ludzie ówcześni byli bardziej impulsywni, niż my. Nie panowali nad swemi uczuciami i pasjami; jednako byli krańcowi w grzechu i pokucie. Fakty mordowania jeńców zdarzały się wszędzie i w czasach znacznie późniejszych. Nie stanowią one wcale jakichś wydarzeń wyjątkowych.

Poza tym epizodem, który właściwie nie wpłynął wcale na przebieg bitwy, a zasługuje na uwagę tylko dzięki temu, że mógłby niesłusznie rzucić ujemne światło na Łokietka, o napadzie Luterberga na tabor niewiele wiemy. Najpewniej szczupły stosunkowo oddział polski nie dotrzymał pola przeważającym siłom Krzyżaków, co najwyżej stawiając im tylko słaby opór. Źródła nie przekazały nam żadnych szczegółów tego starcia, prócz uporczywie w kronikach zakonnych powtarzającej się wersji o ucieczce królewicza Kazimierza [1]). Mógł on być wtedy w taborze i razem z innymi uchodził, ale nie do Krakowa, jak chce relacja mu wroga, lecz do swego ojca, z którym razem na pole boju powrócił [2]).

Byłoby to drugie starcie pod Płowcami. Miało ono miejsce w każdym razie dobrze po godzinie 15-ej. Do niego odnoszą się wszelkie wzmianki źródeł zakonnych o krzyżackiem zwycięstwie i ucieczce Polaków, do czego pośrednio przyznaje się polski rocznik T r a s k i, pisząc, że gdyby wielu rycerzy nie zbiegło z szyków polskich, żywa noga nie uszłaby z Krzyżaków [3]). Jest to bardzo znamienną wskazówką, iż, pomimo ucieczki części wojska

---

[1]) „Tunc filius regis primus fugam cepit et uno continuo cursu usque in Cracoviam agitavit et ibi a sexta feria in dominica proxima pervenit". K ł o d z i ń s k i: *Ze studjów...*, 42. „Der junge Kunic Cracou vloch. das er venic den zogil zoch". *Script. rer. Prus.*, II, 7.

[2]) *Mon. Pol. Hist.*, VI, 330.

[3]) „...si plures de Poloniensibus a prelio et de prelio non fugissent, de illorum... multitudine nullus penitus aufugisset". *Mon. Pol. Hist.*, II, 836.

królewskiego, bitwa toczyła się takim trybem, że przecież istniała możność zniszczenia krzyżackiego wojska.

Nasuwa się tutaj pytanie, czemu Łokietek dopuścił do zaskoczenia świeżo zdobytego taboru. Trudno dziś nań odpowiedzieć. Wskazuje to jednak na to, że widocznie nie wysłano podjazdów lub czat w stronę Brześcia, któreby zawczasu doniosły o zbliżaniu się landkomtura. Może nie pozwalała na to szczupłość sił polskich, które trzeba było razem skupić, aby tabor otoczyć. Po zdobyciu taboru było już na to zapóźno.

Owo odbicie przez Krzyżaków zdobytego taboru i ucieczka znajdującej się przy nim części wojska polskiego, wbrew dotychczasowemu mniemaniu, nie były ostatecznem zakończeniem bitwy. Przeczy temu zarówno wzmiankowany przekaz T r a s k i, jak fakt pośpiesznego odwrotu Krzyżaków do Torunia w tym samym dniu, wbrew zwyczajom średniowiecznym, a przedewszystkiem pozostawienie ciał poległych na polu bitwy. Gdyby po odbiciu taboru przez Luterberga armja polska została ostatecznie zegnana z placu boju i zdezorganizowana, tak pośpieszny odwrót Krzyżaków byłby zgoła niezrozumiały i nieuzasadniony. Ma on sens tylko, jako odwrót wymuszony. W takim razie musimy przyjąć, że, po odbiciu przez Krzyżaków taboru, zaszły jakieś nowe okoliczności, które zmusiły ich do pośpiesznego opuszczenia pola walki. Taką okolicznością może być tylko ponowne starcie z niezaangażowanemi w poprzednim starciu oddziałami Łokietka. Pokrywa się to doskonale z wersją T r a s k i, że król polski bliski był ostatecznego zwycięstwa, oraz ze śladami jakichś pogłosek o jego zwycięstwie, znajdującemi się w liście wielkiego mistrza. Spróbujmy odtworzyć, jaki przebieg mogła mieć ta trzecia faza bitwy.

Triumf Luterberga nie mógł trwać długo. Część zbiegów polskich razem z królewiczem Kazimierzem oparła się w wojsku królewskiem, które widocznie oddaliło się już o tyle, że nie zdołało przeszkodzić krzyżackiemu natarciu, część zaś uciekała dalej. W jakim kierunku posuwał się Łokietek, nie wiemy. W każdym razie musiał on natychmiast zawrócić i uderzyć na zwycięskiego landkomtura. Było to zatem trzecie już starcie pod Płowcami [1]).

[1]) Dotychczas w bitwie płowieckiej odróżniano dwa starcia, a raczej dwie fazy. Trudno jednak w takim razie zrozumieć przebieg bitwy i jej wynik. Do pewnego stopnia potwierdzeniem hipotezy o potrójnem starciu służyć mogą słowa wielkiego mistrza: „tribus vicibus illo die hostiliter sunt congressi", które napisał wprawdzie w związku ze starciem marszałka z Polakami, ale

Kiedy się zaczęło, nie sposób określić bliżej [1]). Zapewne Krzyżacy zostali znowu zmuszeni do walki w miejscu, nie mogąc oddalać się zbytnio od swego taboru, musieli go bowiem otoczyć zewsząd i osłaniać przed atakami wroga.

Ta bezładna po tylu zmiennych kolejach losu masa wozów musiała zupełnie skrępować ruchy Krzyżaków i przykuć ich do miejsca, mogli oni myśleć tylko o odpieraniu ataków nieprzyjaciela, nie posuwając się zbytnio za nim, z obawy odsłonięcia taboru. O tem starciu myśli zapewne Długosz, pisząc, że Łokietek starał się otoczyć landkomtura i zachęcał rycerstwo, aby zajeżdżało na tyły krzyżackie [2]).

Jak długo trwała walka z Luterbergiem, nie wiemy. Możliwe, że skończyła się dobrze o zmierzchu po godzinie 17, bowiem w tym czasie mniej więcej zachodzi słońce w końcu września. Przypuszczać należy, że cała walka z Luterbergiem w przeciwieństwie do przygotowanego i obmyślanego polskiego uderzenia na tabory, nie toczyła się w sposób planowy i nosiła nieco bezładny charakter. Krzyżacy nie wiedzieli, ciągnąc z pod Brześcia, w jakiem położeniu zastaną Polaków, ci zaś nie spodziewali się napadu. Jak wspomnieliśmy, walka nie mogła trwać zbyt długo, gdyż kres jej położyć musiała zbliżająca się noc. Ponadto Krzyżacy zmęczeni byli forsownym marszem pod Brześć i z powrotem, Polacy zaś poprzednią walką. Należy również wziąć pod uwagę, że walczono wyłącznie na białą broń, co szybko wyczerpywało siły rycerstwa. Walka bez planu i wyraźnego celu prowadziła tylko do zupełnego wyczerpania. Łokietek wolał swe siły oszczędzać, wojny bowiem z Zakonem nie uważał za skończoną. To też, chociaż nie zdołał opanować pola bitwy, przerwał walkę i stanął opodal z gotowym do dalszej akcji wojskiem. Krzyżacy natomiast, jakkolwiek odparli ostatecznie natarcie króla, czuli jednak doskonale, że odwrót

zwrot „illo die“ wskazuje, że najwidoczniej miał tu na myśli walki całego dnia, a nie jedno starcie. Odrębne stanowisko między naszymi historykami zajmuje ks. Stanisław Kujot, który podaje, że bitwa zaczęła się rzeczywiście koło godziny 9 rano, ale drugie starcie z landkomturem odbyć się nie mogło dla braku czasu. Niema jednak w źródłach dostatecznych argumentów na poparcie tej tezy. Kujot: *Dzieje...*, 157 — 162.

[1]) Prawdopodobnie koło godziny 16, gdyż Łokietek daleko odejść jeszcze nie mógł, skoro dopadł Krzyżaków na polu walki. Być może, widział nawet atak landkomtura.

[2]) „Rex nullum spatium perculsis et fugientibus dari oportere existimans, milites cohortatur magna voce, ut hostes a tergo circumveniant fugientes...“ *Opera omnia,* XII, *151.*

jego nie był porażką, że stoi on groźny i że w następnem starciu zwycięstwo może przechylić się na jego stronę, że atak króla w trakcie ich odwrotu, wykonywanego we dnie, może doprowadzić do zupełnej klęski. Woleli tedy wykorzystać noc do rozpoczęcia odwrotu.

Pozostaje jeszcze ustalić straty obu stron walczących. Armja zakonna została mocno osłabiona. Blisko stu braci poległo lub dostało się do niewoli [1]). O stratach rycerstwa świeckiego milczą źródła zakonne. Zaznaczyć tu należy, iż w większości swej byli to Polacy, Zakon bowiem ściągnął na wyprawę siły swe przedewszystkiem z dorzecza Wisły, kraju, od wieków zamieszkałego przez ludność polską. To też pod Płowcami ścierali się często Polacy z Polakami, co bynajmniej nie było wtedy uważane za walkę bratobójczą. Świadomość narodowa, w dzisiejszem znaczeniu, zaczynała dopiero kiełkować. Przytłumiana wtedy walkami dzielnicowemi i zaściankową polityką drobnych książąt, nie wchodziła w grę. Podobnie zresztą działo się w całej Europie. W Niemczech walkom poszczególnych panujących nie było końca. We Włoszech ciągle wybuchały zbrojne zatargi między miastami. Nikogo to wtedy nie dziwiło, ani nie gorszyło. Dlatego też w polskich źródłach nie mamy ani jednej wzmianki o obecności Polaków w armji zakonnej, choć było ich tam wielu. Niektórzy z nich zeznają w późniejszym procesie z Krzyżakami po polskiej stronie i mówią, jako o rzeczy zwykłej, że byli z nimi wtedy w Wielkopolsce.

O stratach Łokietka źródła nie przekazały nam żadnej wiadomości. Najbliższą prawdy wydaje się wiadomość W i g a n d a, że biskup kujawski Maciej kazał po bitwie trupy policzyć i pogrzebać. Miało ich być 4.187. Biskup wystawił nawet na pobojowisku kaplicę, o której pisał jeszcze D ł u g o s z [2]). W późniejszych czasach uległa ona zniszczeniu i dziś nie zostało po niej żadnych śladów. Nie wiemy jednak, czy kronikarz zakonny miał na myśli poległych obu stron. Wskutek niejasnej stylizacji można jego tekst różnie wykładać, ale z zestawienia z sąsiedniemi ustępami kroniki wynika, że mowa tu o ogólnej liczbie poległych krzyżackich i polskich. Większość znaczną wśród nich stanowili zakonni. Nic w tem dziwnego, gdyż Krzyżacy walczyli, przeważnie stojąc w miejscu, w położeniu bardzo ciężkiem dla kawalerji nawet rycerskiej, gdy przeciwnik miał swobodę ruchów, a stąd i straty

[1]) K a n i o w s k i: *Uwagi...*, 208.
[2]) *Script. rer. Prus.*, II, 481. D ł u g o s z: I, c. 12, 152.

poniósł stosunkowo mniejsze. Obie strony walczyły niezwykle zajadle. Wyraźnie świadczy o tem duża ilość poległych, a bardzo mało jeńców [1]). Jeżeli nawet przyjmiemy, że tylko połowę poległych stanowili Krzyżacy, to i tak będzie około jednej trzeciej ich armji. Również poważne były straty polskie, chociaż stosunkowo mniejsze. Tem się również tłumaczy, że Łokietek nie ścigał Krzyżaków, ale zatrzymał się gdzieś opodal Płowiec. Zresztą trudno wymagać, by Polacy byli w stanie prowadzić pościg za uchodzącym ku Toruniowi nieprzyjacielem, skoro walczyli z małemi przerwami przez cały dzień.

Krzyżacy, którzy odzierżyli pole bitwy, jak wiemy, nie popasali zbyt długo pod Płowcami. Pozbierali swych rannych i w no-

[1]) Na baczną uwagę zasługuje dziwne milczenie krzyżackich źródeł w sprawie jeńców polskich. Jeden tylko W i g a n d pisze, że landkomtur chełmiński, żalem zdjęty na widok pomordowanych braci, kazał wymordować wszystkich jeńców polskich, czemu sprzeciwili się Prusacy, towarzyszący swym panom na wyprawach wojennych, chcieli bowiem wymienić ich na swych jeńców w niewoli polskiej. Wywiązał się spór dość charakterystyczny dla średniowiecznych pojęć o karności wojskowej. Luterberg wykładał Prusakom, że jeszcze zdobędą tylu jeńców polskich, iż będą mogli zawsze wymienić ich na swych ziomków, zostających w polskiej niewoli. Wmieszał się w to wszystko marszałek Altenburg i kazał pospólstwu zatrzymać 100 lepszych jeńców. Co się stało z resztą, kronikarz nie podaje. *Script. rer. Prus.*, II, 482. Jest bardzo możliwe, że spotkał ich z ręki Krzyżaków los towarzyszy marszałka w niewoli polskiej. Źródła polskie zachowują milczenie w całej tej sprawie. Nastręcza się jedno przypuszczenie, że niewielu Polaków dostali Krzyżacy w swoje ręce, a między nimi z całą pewnością nie było nikogo znaczniejszego, kiedy nie przechowało się w źródłach nazwisko żadnego z jeńców. Niezbyt pewne źródło zakonne t. zw. *Pamiętnik zakonu krzyżackiego o wojnie z królem Łokietkiem i Kazimierzem W.* pisze, że jeńców polskich było 56, a trzymano ich tylko trzy dni, poczem zostali zwolnieni. Skarży się ponadto, że Polacy przetrzymywali zbyt długo w niewoli jeńców zakonnych. *Archiwum Komisji Historycznej,* XI, 251—2. Całe to opowiadanie wydaje się zupełnie fantastycznem, chociaż jeńcy krzyżaccy istotnie przez całą zimę pozostawali w niewoli polskiej, a wobec naprężonych stosunków Łokietka z Krzyżakami i rychłej jego śmierci uzyskać wolność mogli dopiero za panowania Kazimierza. Na wiosnę 1332 r. jeździli w poselstwie do Krzyżaków książę Przemysł kujawski i kanonik Piotr, podkanclerzy kujawski, w sprawie zawarcia nowego rozejmu i w kwestji jeńców, których było 30, ale Krzyżacy wtedy o niczem słuchać nie chcieli, bo szykowali się do podboju Kujaw. *Lites,* I, 390 — 91. Według rocznika T r a s k i miało być jeńców 40. *Mon. Pol. Hist.,* II, 856. Pewną wskazówką służyć tu może fakt uczestnictwa w 1335 r. komtura Henryka Plaucna, zwanego Rusinem, w zjeździe wyszehradzkim. Musiał on przedtem zwolnić się z niewoli polskiej, co mogło stać się na początku panowania Kazimierza W. Ilu było właściwie jeńców z obu stron i jak załatwiono tę sprawę, nie wiemy.

cy jeszcze ruszyli pośpiesznie do Torunia, gdzie stanęli już nazajutrz. Musieli zatem zrezygnować z zamiaru oblegania Brześcia, oraz z podboju Kujaw i myśleć jedynie o bezpiecznym odwrocie. W ten sposób krzyżacki plan strategiczny został zupełnie zniweczony przez bitwę płowiecką. Ponieśli oni tak ciężkie straty, mieli tylu rannych, że, jakem wspomniał, musieli wbrew zwyczajowi zostawić na polu poległych.

Ostatecznie bitwę płowiecką uznać należy za taktycznie nierozstrzygniętą. Strategicznie była ona niezaprzeczalnie zwycięstwem polskiem. Luterberg zamiaru zdobycia Kujaw musiał się wyrzec i szybko cofnął się w kraje zakonne.

Dzięki temu pozbył się król polski złowrogiego widma współdziałania Krzyżaków z Janem czeskim, który ze Śląska trochę później potrafił dotrzeć aż do Poznania[1]). Ewentualne połączenie się z nim armji zakonnej w Wielkopolsce mogło mieć nieobliczalne następstwa dla powstającego dopiero z dzielnicowego rozbicia Królestwa Polskiego.

Doniosłego znaczenia politycznego natomiast Płowce nie mają. Zakon poniósł wprawdzie dotkliwą porażkę strategiczną, ale bynajmniej nie druzgocącą klęskę i już w następnym roku zdołał zagarnąć Kujawy.

Największe znaczenie ma płowieckie zwycięstwo pod względem moralnym. Polacy sami bez obcej pomocy potrafili oprzeć się armji zakonnej, zadać jej ciężkie straty i nawet zmusić ją do odwrotu. Ludzie widzieli nienawistne białe płaszcze, pokryte krwią i kurzawą pod kopytami końskiemi na polach Płowiec. Widzieli ich śpieszny odwrót, byli świadkami zupełnego pokrzyżowania i zniweczenia ich zaborczych planów dzięki swemu zwycięstwu. Mieli wreszcie tych niezwyciężonych i pysznych mnichów w niewoli. Musiało to wywrzeć duży wpływ na impulsywnych ludzi średniowiecza. Ten nastrój radosnego triumfu i ufności we własne siły bije z rocznika T r a s k i, który wręcz pisze, że gdyby część Polaków nie uszła przed bitwą i z bitwy, toby nikt z Krzyżaków nie ocalał.

Szeroko po ówczesnej Europie musiała się roznieść wieść o Płowcach. Niezbyt też pochlebnie dla Zakonu komentowano zapewne wynik bitwy, skoro sam wielki mistrz pisze list do agenta przy Awinjonie, ówczesnej siedzibie papieża, z opisem bitwy, widocznie w celu zdementowania krążących wieści i pogłosek. Sta-

[1]) *Mon. Pol. Hist.*, II, 857.

nowi ten list najlepszy dowód, że jednak nietylko w Polsce traktowano Płowce, jako porażkę Krzyżaków.

Jak już zaznaczyłem na wstępie, nie znalazł Łokietek między współczesnymi historyka, któryby nam przekazał dzieje jego żywota i panowania. Ale za to bardzo prędko z dramatycznemi jego losami, a zwłaszcza z bitwą płowiecką związała się legenda. Już za czasów Długosza rozpowszechnione były w Polsce opowieści o rzekomej zdradzie wojewody Wincentego i Florjanie Szarym. Musiano je z tak dobrą wiarą i głębokiem przekonaniem powtarzać, że wielki nasz historyk nie wahał się ich zapisać. Dzięki nim wieść o bohaterskim królu i krzyżackiej klęsce dotarła do najszerszych warstw narodu. Jednak mimo tej wielkiej popularności nikt nie pomyślał o tem, aby w jakiś sposób uczcić pamięć tej bitwy. Kapliczka biskupa Macieja zniszczała, uległ też zagładzie kościół parafjalny w Płowcach.

Dopiero J. U. Niemcewicz w licznych swych podróżach po kraju zajrzał tam w 1817 roku i na byłym parafjalnym cmentarzu, gdzie wedle podania mieli być pogrzebani komturowie, wystawił skromny pomnik z kamienną tablicą, na której wyryć kazał następujący napis: „R. 1331 d. 27 wrześ. Za Władysława Łokietka króla polsk. miejsce sławne zwycięstwem nad Krzyżakami odniesionem i pochowaniem rycerzów polskich wraz z 20.000 Krzyżakami tu pod Płowcami poległych“ [1]).

---

[1]) Podobiznę tego pomnika umieścił *Tyg. Ilustr.* z 1863 r. T. VII, Nr. 189, str. 180.

WITOLD HUBERT

BITWA POD OLIWĄ
(28.XI.1627)

W XVII wieku floty wojenne składały się z okrętów dwóch rodzajów: żaglowców i wiosłowców. Oba te rodzaje budowano wyłącznie z drzewa, przeważnie z sosny. Żaglowce, prototypy późniejszych okrętów linjowych, posiadały zazwyczaj wyporność, czyli ciężar wody, jaką okręt wypiera, będąc spuszczony na wodę, od 200 do 1000 ton [1]).

W marynarkach angielskiej i francuskiej istniały jednostki, dochodzące do 2000 ton. Burty okrętów sterczały wysoko nad wodą. Na dziobie i na rufie wznosiły się również dość wysokie nadbudówki, t. zw. kasztele. Pokładów było początkowo dwa. Ożaglowanie okrętów, umieszczone na dwóch lub trzech masztach, znajdowało się dość wysoko, co przy wysokich nadbudówkach i płytkiem zanurzeniu, dochodzącem najwyżej do 2 metrów, bardzo źle wpływało na stateczność i zwrotność okrętów podczas wiatru i silnej fali.

Uzbrojenie żaglowca składało się z artylerji oraz z wydłużonego haka, z dzioba, sterczącego nad wodą na 6 do 7 metrów, będącego prototypem późniejszego taranu. Hak służył do dziurawienia okrętów nieprzyjacielskich i zczepiania się z niemi, co dawało możność własnej załodze przejścia na pokład przeciwnika i prowadzenia walki na broń białą. Artylerja składała się z dział średniego i ciężkiego wagomiaru, umieszczonych wzdłuż burty, przeważnie pod pokładami. Do dział średniego wagomiaru należały 3 do 9 funtowe, a do ciężkiego — 12 do 42 funtowe. Ilość dział wahała się od 10 do 100.

Załoga, zależnie od wyporności (pojemności), a więc wielkości okrętów, wynosiła od kilkudziesięciu do paruset, czasami do 1000 ludzi. Składała się ona z właściwych marynarzy, którzy kierowali okrętem, manewrowali żaglami i t. d., oraz z żołnierzy, używa-

[1]) Alfred Stenzel. *Istorja wojny na morie z toczki zrenja morskoj taktiki,* cz. III. Piotrogród 1917, str. 1 — 30

nych wyłącznie do walki, którzy z czasem przekształcili się w piechotę morską. Stosunek marynarzy do żołnierzy, według przepisów angielskich, wynosił 2 : 1, a dochodził czasem do 3 : 1.

Wiosłowce, t. zw. galery [1]), posiadały wyporność do 200 ton, oraz nie miały tak wysokich nadbudówek, ani tak wysokich burt, jak żaglowce, co przy braku ożaglowania, czyniły je bardziej statecznemi i zwrotnemi od tych ostatnich. Miały one po 25 wioseł z każdej burty; wiosła miały po 12 do 15 m. długości i były poruszane przez wioślarzy po pięciu na każde wiosło. Uzbrojenie galer składało się podobnie, jak żaglowców, z haka i artylerji. Ta ostatnia mieściła się na dziobie i składała się z 3 do 5 dział, z których jedno środkowe 36 funtowe, a pozostałe 4 do 6 funtowe. Załoga wielkiej 200 tonowej galery wynosiła 400 ludzi, z których 50 było marynarzy, 100 żołnierzy, 250 wioślarzy. W końcu XVI stulecia galery zaczęły wychodzić coraz bardziej z użycia, ponieważ nie mogły być używane na morzach podczas większej fali i dzięki temu nie były w stanie odbywać dłuższych kampanij. Podczas wojen polsko-szwedzkich można je było spotkać tylko w marynarkach: francuskiej, hiszpańskiej i tureckiej.

Poza temi dwoma zasadniczemi rodzajami okrętów wojennych były jeszcze transportowce, służące dla przewozu desantów i wszelkiego gatunku zaopatrzenia; podobnie, jak obecnie, używano do tej służby zarekwirowanych statków handlowych.

Załogi okrętów wojennych, oficerowie i szeregowi, składały się z najemników, wioślarze na galerach — z przestępców i jeńców wojennych.

Strategja morska owych czasów polegała na blokowaniu portów nieprzyjacielskich i pustoszeniu wybrzeży przeciwnika.

Do boju stawały eskadry w szyku czołowym, w którym okręty płyną szeregiem jeden obok drugiego, i zbliżały się do siebie na wystrzał działowy. Następowały salwy i ciągłe posuwanie się naprzód, w celu zczepienia się z okrętami nieprzyjacielskiemi i przerzucenia swej załogi na pokład przeciwnika. Często też następowały wybuchy amunicji podczas tych zczepień, a oba zczepione okręty szły na dno. O ile walczyły galery, starały się one, przepływając wzdłuż burty, połamać wiosła galery nieprzyjacielskiej. Dla szybkości manewrów każda ze stron walczących starała się wykorzystać siłę wiatru, zajmując stanowisko „z wiatrem“, t. zw. nawietrzne. Wogóle bitwy przeradzały się w szereg

[1]) Stenzel l. c., cz. II. Piotrogród 1918, str. 152 — 6.

pojedynków między poszczególnemi okrętami i nosiły, wobec tego, charakter bezładny.

Podczas przeprawy morskiej wszystkie eskadry ciągnęły zazwyczaj w szyku torowym, w którym okręty płyną rzędem jeden za drugim, przyczem wśród flot bałtyckich był często stosowany t. zw. szyk admirała Trolle[1]), czyli klinu, złożony z trzech kolumn: środkawej — torowej, do której należały najsilniejsze okręty i dwóch bocznych w szyku pelengu, kiedy okręty płyną schodami, do których należały okręty słabsze.

Zygmunt III podczas kampanji pruskiej przystąpił energicznie do tworzenia marynarki wojennej. Nie wydawał on już listów bestalunkowych kaprom, jak było dotychczas w zwyczaju, ale dążył do utworzenia floty regularnej. Zaczęto budować okręty wojenne w Gdańsku, a potem przeniesiono budowę do Pucka. Prace rozpoczęły się w 1622 roku[2]). Budowano nowe okręty pod kierownictwem Szkota, Jakóba Murrey'a. Przyspasabiano też do celów wojennych statki handlowe. W ciągu 3 lat wybudowano i przerobiono 7 okrętów. Jednocześnie był ogłoszony zaciąg do marynarki i piechoty morskiej. Naczelną komendę sprawiał admirał Arend Dickmann[3]). Załogi składały się przeważnie z cudzoziemców, stąd też, choć nie brakło Kaszubów, marynarka przypominała wojska cudzoziemskiego autoramentu. Zaopatrzeniem marynarki zajmowała się, powołana do życia w 1626 roku, Komisja Okrętów Królewskich[4]), na czele której stanął radca Herman von der Becke. Stanowiła ona właściwie dalszy ciąg Komisji Okrętowej Zygmunta Augusta.

Pierwszy chrzest bojowy otrzymała ta flota przy odbieraniu Pucka w 1627 roku. W kwietniu i maju roku następnego, już w składzie 9 okrętów, krążyła po Bałtyku od Kurlandji do Pomorza, przecinając dowóz szwedzki do armji w Prusach. Musiała się ona cofnąć atoli przed przeważającą eskadrą szwedzką admirała Karola Güldenhjelma, który w 25 okrętów stanął pod Gdańskiem, rozpoczynając ścisłą jego blokadę w dniu 18 maja. Należy zaznaczyć, że przeważna część eskadry polskiej, w liczbie 5 okrętów, która nie zdążyła zawinąć do portu Gdańskiego przed Szwe-

---

[1]) Stenzel. l. c., II. str. 253.

[2]) Aleksander Czołowski. *Marynarka w Polsce.* Lwów 1922, str. 116 — 7.

[3]) Tadeusz Korzon. *Dzieje wojen i wojskowości w Polsce,* t. II, Kraków, 1912, str. 245.

[4]) Czołowski. l. c., str. 125.

dami, przerwała się nocą niepostrzeżenie do Gdańska, nie poniósłszy przy tem żadnych strat. Odtąd aż do listopada 1627 roku eskadra królewska stała pod Latarnią, wyczekując odpowiedniej chwili do napadu na flotę nieprzyjacielską.

Flota szwedzka za Gustawa Adolfa dochodziła już do liczby 138 okrętów, w których 80 było wielkich okrętów wojennych. Czuła się ona do tego stopnia bezpieczną, że przewoziła armję desantową pod Rygę i do Piławy, nie troszcząc się o zniszczenie, a w najgorszym wypadku o zablokowanie eskadry polskiej. Zaczęła zwracać na nią uwagę dopiero po maju 1627 roku, kiedy admirał Dickmann jął intensywnie przeszkadzać transportom szwedzkim do Prus Książęcych. Wówczas, jak wspomniałem, admirał szwedzki Güldenhjelm z eskadrą 25 okrętów stanął pod Gdańskiem. Poza blokadą tego miasta miał on jeszcze inne zadanie, mianowicie urządzenie desantu pod Oksywją, która stanowiła najdogodniejsze miejsce do wylądowania[1]).

Próby admirała szwedzkiego zostały udaremnione przez garnizon pucki pod dowództwem Lanckorońskiego. Güldenhjelm wszakże widać lekceważył siłę morską przeciwnika, kiedy niebawem oddał dowództwo viceadmirałowi Niklasowi Sternskjöldowi, a sam na czele 9 okrętów odpłynął w stronę Piławy.

W sierpniu więc blokująca eskadra składała się tylko z 16 jednostek, z których 12 było wielkich, a 4 małe. Stała ona prawie cały czas na kotwicy i do Latarni nie zbliżała się nigdy bliżej ponad strzał działowy. W listopadzie wreszcie zostało na straży tylko 6 okrętów, reszta zaś odpłynęła.

Na tę chwilę czekało dowództwo polskie.

*

Skład i stan eskadr obu przeciwników przedstawiał się w sposób następujący.

Eskadra polska liczyła 10 jednostek[2]), z których dwie: „Święty Jerzy“ i „Król Dawid“ były okrętami o wyporności 400 ton, pięć: „Wodnik“, „Biegnący Jeleń“, „Panna Wodna“, „Arka Noego“ i „Tygrys“ miały wyporność od 200 do 300 ton, a trzy pozostałe: „Syrena“, „Biały Pies“ i „Delfin“, przerobione w ciągu ostatniego roku ze statków handlowych, jako mniejsze, miały znaczenie drugorzędne.

[1]) Dziś tam buduje się port Gdynia. Na zalety morskie tego miejsca zwrócił już uwagę hetman Stanisław Koniecpolski.

[2]) Czołowski, l. c., str. 136 — 7.

Uzbrojenie każdego z nich składało się przeciętnie z 20 dział, których kalibru źródła nie podają. Wnioskując jednakże z niewielkiej stosunkowo wyporności poszczególnych okrętów, należy przypuszczać, że były to działa średniego wagomiaru do 9 funtowych włącznie; możliwe, że „Święty Jerzy“ i „Król Dawid“, jako największe, miały po parę dział ciężkiego wagomiaru, nieprzewyższającego zapewne 18 do 20 funtów. Nie dochowały się również wiadomości o stanach liczebnych załóg, ani, co jest rzeczą ważną wobec szturmu na okręt nieprzyjacielski przy zczepieniu, t. j. przy t. zw. „abordage“, o stosunku między marynarzami a piechotą morską. Opierając się znów na wyporności okrętów i biorąc pod uwagę analogiczne dane z ówczesnej marynarki angielskiej i skandynawskiej (budowniczy całej floty polskiej kapitan Murrey był Szkotem, a dowódca jej, admirał Dickmann — Niemcem z Lubeki), sądzić wypada, że stan załóg wahał się od 100 do 200 ludzi, trzecią część których składała piechota morska. Artylerja zatem liczyła $20 \times 10 = 200$ dział przeważnie 9 funtowych, a załogi, licząc po 150 ludzi na okręt, $150 \times 10 = 1500$ ludzi, z których $1500 : 3 = 500$ morskiej piechoty.

Eskadra stała na kotwicy pod Latarnią, mając mocne oparcie w fortyfikacji tej ostatniej. Podkreślić należy, że okręty polskie stały w porcie Gdańskim, a, zaopatrująca je pod względem uzbrojenia i wszelkich potrzeb, Komisja Okrętów Królewskich znajdowała się w tym samym Gdańsku, co było okolicznością bardzo pomyślną. Pozatem załogi okrętowe nie pełniły tak ciężkiej służby, jak podczas kampanji na pełnem morzu, w dodatku przy najbardziej złych warunkach nawigacyjnych, jakie panują na Bałtyku od października do marca. Naczelne dowództwo sprawował, wyżej wspomniany, admirał Arend Dickmann na admiralskim czyli flagmańskim[1]) okręcie „Święty Jerzy“, a zastępcą jego był kapitan Herman Witt na „Wodniku“.

Eskadra szwedzka liczyła 6 jednostek, z tych dwa okręty typu „Sonne“ o wyporności większej nieco od „Świętego Jerzego“, a cztery pozostałe typu „Pelikan“, odpowiadające mniej więcej „Świętemu Jerzemu“. Artylerja każdego okrętu liczyła przeciętnie 30 dział. Biorąc pod uwagę większą wyporność, mogło być zapewne i więcej dział cięższego wagomiaru: 18 do 20 funtowych; pozostałe, jak na eskadrze polskiej, były prawdopodobnie średniego wagomiaru do 9 funtów. Ze względu na większą wyporność okrętów, musiały być liczniejsze załogi. Opierając się na danych

[1]) Flagman — dowódca zespołu okrętów wojennych w stopniu admirała

z marynarki szwedzkiej z tego okresu, przypuszczać należy, że stan załogi każdej jednostki wynosił do 200 ludzi, znaczną część których stanowiła morska piechota. Ogółem artylerja szwedzka składała się z $30 \times 6 = 180$ dział przeważnie średniego 9 funtowego, a częściowo ciężkiego 18 do 20 funtowego wagomiaru, a załogi $200 \times 6 = 1200$ ludzi, z których $1200 : 3 = 400$ morskiej piechoty.

Eskadra ta, blokując od maja Gdańsk, krążyła po zatokach Gdańskiej i Puckiej, oraz uczestniczyła w nieudanych działaniach desantowych pod Oksywją. Najbliższą podstawą operacyjną eskadry była Piława, położona o 15 mil morskich na północo-wschód, lecz ciągłe pływanie, zwłaszcza ostatnie w ciężkiej porze nawigacyjnej, połączone z nieudatnemi wynikami działań desantowych, mocno dawało się we znaki zmęczonym załogom. Dowództwo eskadry objął, jak było wspomniane, viceadmirał Niklas Sternskjöld, a zastępcą jego był, według wszelkich danych, dowódca „Sonne“ kpt. Forrat. Nazwy flagmańskiego okrętu szwedzkiego typu „Sonne“ historja nie dochowała.

Porównując stan i skład obu eskadr, widzimy, że Polacy górowali nad Szwedami liczebnie, a równi im byli pod względem technicznym.

Dnia 27 listopada flota szwedzka porzuciła zajmowane stanowisko o 3 mile morskie na północ od Latarni i popłynęła w kierunku Helu. Na drugi dzień rano zawróciła ona na dawne stanowisko, lecz nie stanęła na kotwicy, a zaczęła kierować się bliżej ku lądowi, na odcinek między Sopotami a Brzoznem, chcąc prawdopodobnie urządzić znów demonstrację desantową. Szwedzi płynęli podzieleni na dwie grupy. Pierwsza składała się z dwu okrętów, z których jeden był flagmańskim, a druga z pozostałych czterech, między któremi znajdowała się „Sonne“. Odległość między obiema grupami była dość znaczna.

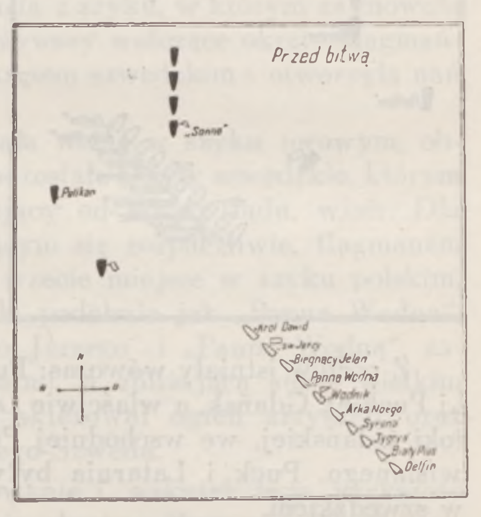
Ranek był mglisty i pochmurny; wiatr dął z lądu ku morzu. O 8 godzinie rozległ się pod Latarnią wystrzał działowy na eskadrze polskiej, która niezwłocznie zdjęła się z kotwicy i wypłynęła w szyku torowym do zatoki Gdańskiej, kierując się na północ, w stronę Pucka.

Okręty płynęły w porządku następującym[1]): 1. „Król Dawid“, dowodzony przez kapitana Jakóba Murrey, 2. „Święty Jerzy“, dowodzony przez admirała Arenda Dickmanna, 3. „Biegnący Jeleń“, dowodzony przez kapitana Ellerta Appelmanna,

[1]) Czołowski. l. c., str. 157.

4. „Panna Wodna“, dowodzona rzez kapitana Adolfa v. Argena, 5. „Wodnik“, dowodzony przez kapitana Hermana Witta, 6. „Arka Noego“, dowodzona przez kapitana Magnusa[1]), 7. „Syrena“, której dowódca jest niewiadomy[2]), 8. „Tygrys“, dowodzony przez kapitana Venturosa, 9. „Biały Pies“ oraz 10. „Delfin“, których dowódcy są nieznani.

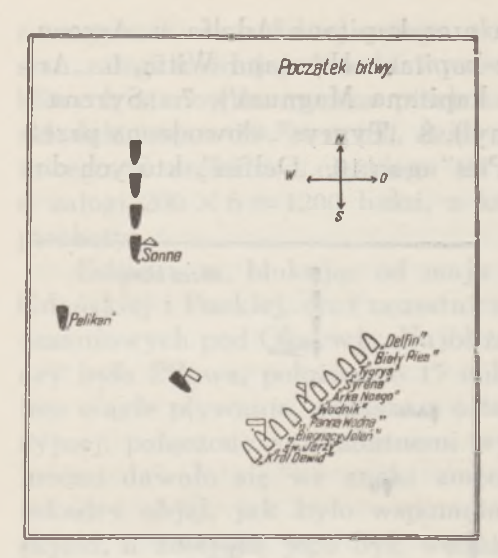
Eskadra polska płynęła wprost na pierwszą grupę szwedzką. Druga grupa szwedzka, widząc niebezpieczeństwo, zagrażające admirałowi, starała się odpłynąć do pierwszej, lecz przeszkadzał jej w tem silny wiatr, wiejący od lądu, który był bardzo na rękę eskadrze polskiej. W dodatku flagmański okręt szwedzki wysunął się jeszcze bardziej na spotkanie eskadry polskiej. Ta ostatnia, gotując się do walki, wyciągnęła się w szyk czołowy, równając się na „Króla Dawida“ i utrzymując dotychczasową kolejność numerów na stanowiskach. Wówczas na „Świętym Jerzym“ rozpoczęła się kanonada na burty flagmana nieprzyjacielskiego, „Święty Jerzy“ wysunął się z szyku czołowego i runął w stronę okrętu Sternskjölda.



Na wysokości Oliwy rozgorzała bitwa.

Zatoka Gdańska, na wodach której odbywała się walka, przedstawia dość wyraźnie zarysowane półkole, którego średnica stanowi prosta, przeprowadzona od Rozywia do Brüsterortu, a obwód — w połowie brzegi stałego lądu (dzisiejsze województwo pomorskie i wolne miasto Gdańsk), w połowie zaś mierzeja wiślana i znów kawałek stałego lądu półwyspu Sambijskiego. Na południo-wschód od Rozywia biegł wówczas szereg wysp, oddzielonych wąskiemi cieśninami; długość tego szeregu wynosiła 18,3 mil morskich, to jest 34 kilometry. Wyspy te dziś tworzą półwysep Hel. Część zatoki Gdańskiej między owemi wyspami, czyli dzisiejszym półwyspem helskim a wybrzeżem pomorskiem, nosi nazwę zatoki Puckiej.

[1]) Adam Szelągowski. *O ujście Wisły*. Warszawa 1905, str. 153
[2]) Czołowski. l. c., str. 148.



Powierzchnia zatoki Gdańskiej wynosi 77 mil morskich kwadratowych, czyli 268 kilometrów kwadratowych, a głębokość jej waha się od 80 metrów na zachód od Piławy do 2 metrów w zatoce Puckiej. Ta ostatnia była i jest mocno zamulona, a posiadała i posiada obecnie tylko jeden szlak żeglowny, po którym mogą płynąć statki o średniem zanurzeniu. Na wschód od zatoki Puckiej mielizny spotykają się wzdłuż mierzei wiślanej.

Z portów istniały wówczas: Puck, u wierzchołka prawie zatoki Puckiej, Gdańsk, a właściwie Latarnia, w zachodniej części zatoki Gdańskiej, we wschodniej Piława, przy wejściu do zalewu wiślanego. Puck i Latarnia były w ręku polskiem, a Piława w szwedzkiem.

Lepsze warunki nawigacyjne przedstawiała naogół wschodnia część zatoki: nad wschodnią częścią panowała szwedzka podstawa operacyjna — Piława, nad zachodnią — polska Latarnia i, broniący wybrzeża przed desantami, Puck. Szwedzi więc rozpoczęli zasadniczą walkę na terenie wodnym gorszym dla siebie.

Jak wspomniano wyżej, bitwa rozpoczęła się od tego, że flagman szwedzki zbliżył się do eskadry polskiej[1]). Wówczas flagmański okręt polski „Św. Jerzy" wysunął się z szyku czołowego, w którym zajmował drugie z kolei miejsce, i podpłynął do burty nieprzyjacielskiej w ten sposób, że okręt Sternskjölda znalazł się między „Św. Jerzym" a resztą eskadry polskiej. Wobec tego admirał Sternskjöld został odcięty nietylko od pozostałej drugiej grupy swych okrętów, którą prowadził jego zastępca kapitan Forrat na „Sonne", lecz nawet od towarzyszącego mu „Pelikana". Oba okręty flagmańskie, po oddaniu salw działowych, zestoso-

[1]) *Wahrhaftiger und eigentlicher Verlauf des harten Treffens so zwischen Ihrer Königl. May. zu Polen und Schweden und Hertzogs Gustawi Adolphi aus Sudermanland Orlogs Schiffen von der Danziger Reide im Jahr 1627 am ersten Sontag des Advents.* Gdańsk 1628.

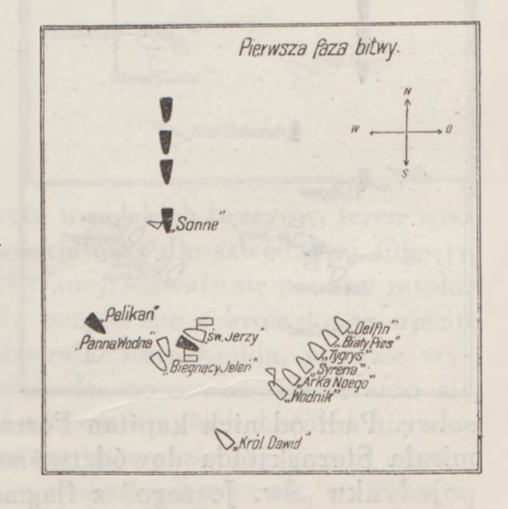
wały się burtami. Wtedy rozpoczęła się zaciekła walka na broń ręczną i białą.

Szczęście odrazu przechyliło się na stronę polską, albowiem admirał szwedzki został śmiertelnie ranny na samym początku walki. Zamieszanie, powstałe dzięki temu, wykorzystała polska piechota morska i wdarła się na pokład nieprzyjacielski. Jednocześnie „Panna Wodna“ wypłynęła z szyku, w którym zajmowała czwarte z kolei miejsce, i, okrążywszy walczące okręty flagmańskie, stanęła między lądem a okrętem szwedzkim i otworzyła nań ogień z całej lewej burty.

Reszta okrętów polskich stała wciąż w szyku torowym, obserwując, starające się zbliżyć, pozostałe okręty szwedzkie, którym przeszkadzał niepomyślny, wiejący od strony lądu, wiatr. Dla rozstrzygnięcia walki z, broniącym się rozpaczliwie, flagmanem szwedzkiem ruszył, zajmujący trzecie miejsce w szyku polskim, „Biegnący Jeleń“. Zrobił on łuk, podobnie jak „Panna Wodna“, lecz, zamiast okrążyć „Świętego Jerzego“ i „Pannę Wodną“, zatrzymał się między temi okrętami, a zbliżającą się z wielkim mozołem eskadrą szwedzką i skierował ogień artylerji oraz broni ręcznej na dogorywającego Szweda.

Silna mgła utrudniała celowanie i, wskutek tego, większość pocisków trafiało na oba polskie okręty. „Biegnący Jeleń“, spostrzegłszy omyłkę, przerwał ogień i ruszył naprzód. chcąc okrążyć „Św. Jerzego“ i „Pannę Wodną“, lecz, przepływając zbyt blisko od tej ostatniej, zawadził swoją kotwicą o jej olinowanie i zatrzymał się na miejscu.

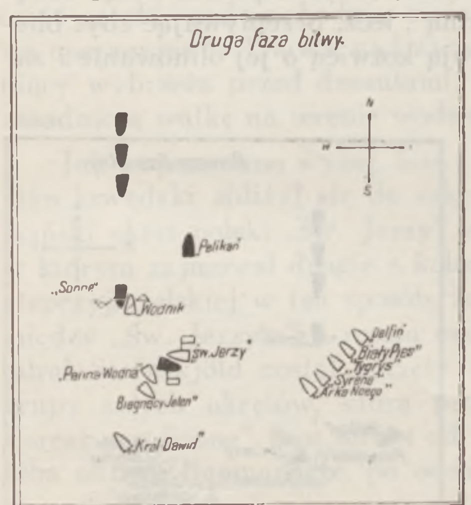
W tej chwili zamieszania dopływały właśnie dwa okręty szwedzkie: „Pelikan“ i „Sonne“. Wówczas szyk polskich, nie biorących dotychczas udziału w walce, okrętów ruszył na wroga. Płynący na czele, „Król Dawid“ przywitał, idącego najpierw, „Pelikana“ silną salwą działową. „Pelikan“ odpowiedział i dotarł wreszcie do „Św. Jerzego“, który kończył zajmowanie flagmańskiego okrętu szwedzkiego.



Admirał Dickmann stał już na pokładzie nieprzyjacielskim, a z wielkiego masztu została zerwana przed chwilą bandera szwedzka. „Pelikan“ dał jeszcze salwę z całej burty w „Św. Jerzego“, lecz artylerja tego ostatniego odpowiedziała tak skutecznie, że okręt szwedzki zawrócił i, wykorzystując dogodny teraz dla siebie wiatr od lądu, wziął kurs na Hel, porzucając pole walki. Przy cofaniu dał on jeszcze ostatnią salwę ze strzelnic rufowych, a kule tej salwy położyły trupem admirała polskiego. Dowództwo objął niezwłocznie jego zastępca, kapitan Herman Witt na „Wodniku“.

Był to moment krytyczny, bo właśnie nadpływał na plac boju „Sonne“ z kapitanem Forratem, który automatycznie po śmierci admirała Sternskjölda objął dowództwo. Choć okręt szwedzki co do wielkości i uzbrojenia górował nad polskim, kapitan Witt jednak chciał dać przykład, że za wzorem admirała Dickmanna gotów był mierzyć się z silniejszym nieprzyjacielem.

Nastąpiła druga faza bitwy. Ze strony polskiej „Św. Jerzy“, „Panna Wodna“ i „Biegnący Jeleń“ skupiły się koło zdobytego flagmańskiego okrętu nieprzyjacielskiego i doprowadzały go do porządku, poniósłszy liczne straty w ludziach i uzbrojeniu. Na straży ich, a jednocześnie w odwodzie stał „Król Dawid“. Sześć pozostałych okrętów polskich z „Wodnikiem“ na czele posuwało się naprzód w stronę eskadry szwedzkiej.



Siły szwedzkie były teraz rozdzielone w sposób następujący: na plac bitwy nadpływał „Sonne“, a trzy pozostałe okręty drugiej grupy nie były w stanie podejść bliżej, „Pelikan“, wracający z pola walki, starał się z temi okrętami połączyć. Jednem słowem u Szwedów panował zamęt, rozstrzelenie i brak wzajemnej łączności.

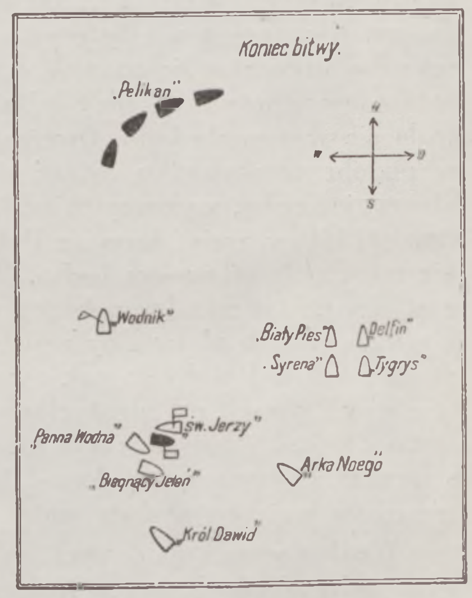
Na spotkanie „Sonne“ wyruszył „Wodnik“. Oba okręty trzykrotnie wymieniły salwę. Padł od nich kapitan Forrat, sprawujący po śmierci admirała Sternskjölda dowództwo nad eskadrą. Po chwili, jak przy pojedynku „Św. Jerzego“ z flagmańskim okrętem szwedzkim,

obaj przeciwnicy zestosowali się burtami i rozpoczęła się walka na broń ręczną i białą.

Śmierć kapitana Forrata i zaciekłość polskiej piechoty morskiej przeważyły szalę zwycięstwa. Szwedzi jednakże walczyli, jak lwy, a nie chcąc oddać w ręce wroga bandery okrętowej i nie widząc żadnego ratunku, wysadzili się prochami.

Zaznaczyć należy, że w tym pojedynku okrętowym kapitan Witt odniósł zwycięstwo bez pomocy pozostałych okrętów polskich, które zajmowały stanowiska obserwacyjne, zwracając tylko uwagę na ruchy pozostałych okrętów nieprzyjacielskich.

Po 10 godzinie nastąpił wybuch na „Sonne", który poszedł na dno; z załogi jego uratowano tylko 14 ludzi. Wybuch ten był zakończeniem bitwy. Eskadra szwedzka, widząc stratę „Sonne", nie starała się już dopłynąć na plac boju, lecz wzięła kurs na Piławę i zniknęła z widnokręgu. Straty szwedzkie wynosiły: 2 okręty, 66 jeńców i około 350 zabitych i rannych.



Eskadra polska wysłała w pościg cztery lżejsze okręty: „Syrenę", „Delfina", „Tygrysa" i „Białego Psa", poczem, gdy te wróciły, zawinęła z triumfem do Gdańska, wiodąc zdobyty okręt flagmański, oraz dwie bandery szwedzkie. Straty polskie wynosiły 25 zabitych i wielu rannych. Bitwa trwała dwie godziny. Strzałów działowych dano 350.

W bitwie tej, która się toczyła u polskich brzegów, teren wód był dogodniejszy dla eskadry polskiej, niż dla szwedzkiej. Okręty admirała Dickmanna, w razie wygranej, stawały się panami zatoki, a w wypadku przegranej miały bezpieczne schronisko w ujściu Wisły pod Latarnią. Okręty admirała Sternskjölda, w razie wygranej, prowadziłyby dalej blokadę, ponieważ wdzieranie się w pościgu do ujścia Wisły pod ogniem artylerji Latarni nie mogło być oczywiście brane pod uwagę, a w razie przegranej musiałyby opuścić zatokę Gdańską i szukać schronienia w Piławie.

Streszczając się, można powiedzieć, że rezultat wygranej szwedzkiej prowadził do status quo ante.

Następnie w bitwie tej admirał polski przez cały czas stosował zasadę ześrodkowania sił, mając wciąż wszystkie swe jednostki razem, admirał zaś szwedzki miał jednostki swe podzielone na dwie grupy. W dodatku, pierwsza grupa, składająca się z okrętu flagmańskiego i „Pelikana", była w tem luźniejszym związku, że jednostki te nie wspierały się nawzajem w chwili pierwszego natarcia. Wynik był taki, że okręty szwedzkie nadpływały kolejno na plac boju: okręt flagmański, „Pelikan" i „Sonne" i kolejno zostały zwyciężone przez, przeważające na tym placu, siły polskie.

Wreszcie admirał szwedzki przeoczył rzecz, w owych czasach dla floty żaglowej najważniejszą: kierunek wiatru, dmącego z lądu ku morzu, według wszelkich danych — południowo-wschodniego. Kierunek ten cały czas znacznie ułatwiał manewrowanie eskadry admirała Dickmanna, wychodzącej na morze, utrudniał zaś manewrowanie eskadry admirała Sternskjölda, która kierowała się wprost do lądu. Ówczesna taktyka morska nakazywała w podobnym wypadku cofnąć się przed nadpływającą eskadrą nieprzyjacielską, wykorzystując kierunek wiatru, t. zn., jak podczas tej bitwy, wziąć kurs na Hel, a tam zatoczyć łuk i wejść na kierunek południowo-wschodni. W ten sposób eskadra szwedzka zaszłaby na tył eskadry polskiej, przez co role by się zmieniły, bo kierunek wiatru ułatwiałby wówczas manewry szwedzkie, a utrudniał polskie. Byłoby to tak zwane „wygrywanie wiatru", dość częste w bitwach eskadr żaglowych. Oczywiście należałoby wyciągnąć eskadrę polską wgłąb zatoki Gdańskiej, by nie znaleźć się samemu między nią a polem działania artylerji z Latarni, czyli nie zostać wziętym w dwa ognie.

Według wszelkich danych, admirał Dickmann, któremu polecono znieść blokadę przez rozbicie eskadry szwedzkiej, a który wiedział o swej przewadze liczebnej i moralnej, nie zawinąłby zpowrotem do Latarni, minąwszy wchodzącego wgłąb zatoki przeciwnika. Cofnięcie się zaś wgłąb zatoki i zatoczenie wielkiego łuku odciągnęłoby eskadrę polską od jej podstawy operacyjnej, którą stanowiła Latarnia, i bitwę przeniosłoby w najlepszym razie w okolice szwedzkiej podstawy — Piławy, a w najgorszym na pełne morze.

I w jednym i w drugim wypadku Szwedzi walczyliby w warunkach daleko dogodniejszych, bo w sąsiedztwie swoich pozycyj

lądowych i na głębszej wodzie, co byłoby znacznem ułatwieniem dla ich okrętów o większem zanurzeniu. Wówczas też przewaga liczebna, jaką posiadała eskadra polska, mogłaby być zrównoważona przezześrodkowanie jednostek szwedzkich, oraz ich lepsze uzbrojenie. Admirał Sternskjöld tego nie zrobił, co też przypłacił klęską powierzonej sobie eskadry i własnem życiem.

Rzecz jasna, były usterki i z polskiej strony. Pierwszą z nich jest skoncentrowanie czterech okrętów: „Św. Jerzy", „Panna Wodna", „Biegnący Jeleń" i „Król Dawid" dokoła zdobytego flagmańskiego okrętu szwedzkiego. Dzięki temu te cztery okręty nie przyjmowały wcale udziału w ostatniej fazie bitwy, kiedy odbywał się pojedynek pomiędzy „Wodnikiem" a „Sonne". Nieużyteczne stały więc dwie największe jednostki bojowe: „Św. Jerzy" i „Król Dawid". Drugą omyłkę polską stanowił demonstracyjny tylko pościg czterech słabszych jednostek: „Syreny", „Delfina". „Tygrysa" i „Białego Psa" za cofającą się i pobitą flotą szwedzką. Flota ta liczyła zaledwie cztery okręty, z których „Pelikan" był poważnie uszkodzony, i eskadra polska miała nad nią widoczną przewagę. Nie należało oczywiście dopuścić do wymknięcia się przeciwnika, za wszelką cenę trzeba było dążyć do zniszczenia go doszczętnie. Kapitan Witt, dowodzący po śmierci admirała Dickmanna, tego nie zrobił. Wykazując dużą odwagę osobistą w spotkaniu z „Sonne", nie potrafił wznieść się na stanowisko dowódcy eskadry. Trzeci wreszcie brak po stronie polskiej stanowiło zbyt słabe wyszkolenie żeglarskie, na co wskazuje wypadek „Biegnącego Jelenia", który daje salwę do własnych okrętów i plącze się w ich olinowaniach. Dowódcy „Panny Wodnej" i „Biegnącego Jelenia" nie stanęli na wysokości zadania.

Porównując działanie stron obu, widzimy po stronie polskiej częściowe niewykorzystanie sił podczas walki i pozwolenie pobitemu przeciwnikowi na ujście z placu boju. Po stronie szwedzkiej rzuca się natomiast w oczy ciągły podział sił i przeoczenie elementarnej zasady ówczesnej taktyki morskiej, tak zwanej zasady „wygrywania wiatru". Błędy więc polskie, czyli strony, która dopiero tworzyła marynarkę, a więc znajdowała się w stadjum organizacyjnem, są bez porównania mniejsze od błędów siły morskiej szwedzkiej, która przyzwyczaiła się walczyć i odnosić zwycięstwa na morzu od wielu lat.

Pozostaje jeszcze poświęcić słów kilka szykom obu eskadr. Rozwiązać to zadanie mogą częściowo tylko źródła, jakie się z tych czasów dochowały, wyżej cytowana, relacja o bitwie, jaka

została wydrukowana w 1628 r. z polecenia Komisji Okrętów Królewskich, i sztychy Jensena i Milwitza, przechowane w gdańskiem Muzeum Miejskiem, oraz szyki stosowane podówczas.

Eskadra polska, jak wiemy, wypłynęła w szyku torowym, mając kurs północno-zachodni. Ujrzawszy przeciwnika, wyciągnęła się w szyk czołowy, równając się na „Króla Dawida", który zajął skrajne lewe skrzydło. „Delfin" zajmował skrajne prawe; pozostałe okręty stanęły pomiędzy temi dwoma, zachowując dawne numery kolejności. Eskadra szwedzka płynęła w dwóch grupach, mając kurs południowy. W pierwszej grupie płynął okręt flagmański, mając na pokładzie admirała Sternskjölda, i „Pelikan", w drugiej grupie — „Sonne", okręt młodszego flagmana, oraz trzy pozostałe. Pierwsza grupa płynęła w szyku pelengu, druga zaś w torowym. Dostrzegłszy eskadrę polską, flagmański okręt szwedzki zmienił kurs z południowego na południowo-wschodni i stanął dziobem do frontu przeciwnika.

Z czołowej linji polskiej wypływały kolejno: „Św. Jerzy", „Panna Wodna" i „Biegnący Jeleń", a wreszcie „Wodnik", wstępując w bój z flagmańskim okrętem szwedzkim, a potem z nadpływającemi: „Pelikanem" i „Sonne", które również zmieniły kurs z południowego na południowo-wschodni.

Po zakończeniu walki cztery prawoskrzydłowe okręty polskie: „Syrena", „Tygrys", „Biały Pies" i „Delfin" zmieniły kurs z północno-zachodniego na północny i w dwutorowym szyku jęły ścigać nieprzyjaciela, dążącego w szyku torowym na Hel i Piławę.

W wyniku bitwy pod Oliwą eskadra szwedzka, blokująca port Gdański, została rozbita i schroniła się do Piławy, gdzie potrzebowała dość długiego czasu, by doprowadzić się do porządku. Ze Szwecji nie zostały wysłane jej na pomoc żadne flotylle. Przez to samo upadła blokada Gdańska i bandera polska znów zapanowała na Bałtyku od Kurlandji do Pomorza Nadodrzańskiego. Miało to, rzecz prosta, ogromny wpływ zarówno na handel gdański, jak i na kontrabandę wojenną do Szwecji. Dzięki więc zwycięstwu oliwskiemu, eskadra polska osiągnęła nietylko cel, jaki wskazało jej naczelne dowództwo polskie, mianowicie: złamanie blokady Gdańska, lecz również odzyskała to, do czego dążono podczas wojen polsko-szwedzkich — panowanie na Bałtyku. Chociaż panowanie to dotyczyło jedynie tej części morza, która omywała brzegi polskie i pruskie, było ono jednak dużym dla nas sukcesem.

JANUSZ STASZEWSKI

GWARDJE NARODOWE W CZASACH KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO[1])

Dzisiejsze przysposobienie wojskowe ma w dziejach organizacyj wojskowych poprzedników w milicjach miejskich. Zorganizowanie wojskowe tych formacyj miejskich przeprowadzono we Francji w 1789 r. podczas Wielkiej Rewolucji. Gwardja narodowa francuska w czasach, gdy krajowi wojny domowa i koalicyjna wielkiem zagrażały niebezpieczeństwem, odegrała rolę poważną, zasilając wyborem swego składu pułki regularne, oraz pełniąc służbę garnizonową i policyjną wewnątrz kraju.

Podobne funkcje w Polsce pełniły milicje miejskie w ostatnich latach Rzeczypospolitej, podczas Sejmu Wielkiego i podczas oblężenia Warszawy przez Prusaków w 1794 roku, kiedy ją piersią własną osłaniały. Ostatni rozbiór położył kres tym formacjom.

Odżyły one, gdy wojsko Napoleona stanęło nad Wisłą. Poznań pierwszy rozpoczął się zbroić w myśl odezw Dąbrowskiego. Warszawa, później opuszczona przez Prusaków, na krótko oddana została w ręce milicji obywatelskiej, której dowódcą od 14 listopada 1806 r. gubernator pruski Köhler mianował, przebywającego w stolicy, generała dywizji dawnego wojska polskiego, Józefa ks. Poniatowskiego. Milicja warszawska, utworzona w celu zabezpieczenia spokoju i porządku w mieście, stała się zaczątkiem późniejszej gwardji narodowej, jaką zreorganizowano później wedle wzorów francuskich, podobnie, jak wedle tychże wzorów zaprowadzono administrację cywilną i wojskową.

Utworzenie gwardji narodowej było zagadnieniem ważnem i pilnem. Wojsko francuskie zajmowało kraj, naogół im sprzyjający; znaczna część ludności, zdolnej do noszenia broni, wstępowała do tworzącej się armji polskiej, lecz wojsko potrzebne było na froncie. Armja francuska wkrótce opuściła kraj, a z nią stanęło

[1]) Oznaczenie skrótów: A. G. — Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie (akta ministra wojny). A. A. D. — Archiwum Akt Dawnych w Warszawie. A. P. P. — Archiwum Państwowe w Poznaniu.

na polu walki wszystko, co było w wojsku polskiem zdatne do boju.

Należało zabezpieczyć ład i spokój po miastach i wsiach, utrzymać bezpieczeństwo komunikacji, dać straż pozakładanym magazynom wojskowym. Nie dziw przeto, że zaraz po zajęciu przez Francuzów departamentu poznańskiego, jednocześnie z formacją wojska regularnego, powołano do służby obywateli miast, polecając im straż bezpieczeństwa w mieście i najbliższym okręgu.

W Poznaniu gwardja narodowa istnieje już w listopadzie 1806 roku, [1]) w miastach prowincjonalnych powstaje w pierwszych miesiącach roku następnego. Władze polskie jeszcze nie zostały ostatecznie zorganizowane, to też pierwsza instrukcja dla gwardji departamentu poznańskiego jest wspólnie układana z dowódcami francuskimi. Instrukcja ta [2]) powołuje do służby wszystkich obywateli bez różnicy wyznania, uwalnia jedynie duchownych i służbę kościelną, kominiarzy i „dozorców sikawek". Do uorganizowanych oddziałów wprowadza wojskową karność i stałą służbę ze względu na ważność chwili i konieczność wart.

W departamencie płockim samorzutnie powstała gwardja narodowa celem obrony własnego mienia. Szef jej, wiceprezydent miasta Szymon Dobrowolski [3]) raportuje: „w czasach przechodu wojsk francuskich broniłem, sam na czele stając, kilkakrotnie mieszkańców miasta tego od rabunków i wyrządzanych gwałtów".

Tak powstałe oddziały formacyj obywatelskich zostały ujęte w formę prawną przez dekret Komisji Rządzącej, utworzonej z początkiem 1807 roku w Warszawie. Wydała ona w dniu 24 kwietnia tegoż roku reskrypt o utworzeniu gwardji narodowej w Warszawie [4]), powołując na członków ludzi osiadłych, mających własność nieruchomą, jakoteż kupców, zapisanych w konfraterniach rzemieślników w cechach, tudzież czeladź, o ile jest synami właścicieli nieruchomości; księża, niezajęci dozorem parafij, lub szpitali, uważani byli jako członkowie i mieli uiszczać opłaty na rzecz gwardji. Wiek powołanych określono na lat 18 — 50; mundurować się mieli oni sami; poborem kierować miała komisja specjalna, władzą gwardji miało być dowództwo, wyzna-

[1]) A. A. D. Rada Stanu v. 209 k. 56 — 69.

[2]) A. G. X. W. v. 266 k. 65 — 70, patrz niżej w miscellaneach: *Rozporządzenia o gwardjach narodowych*, I.

[3]) A. G. X. W. l. c.

[4]) Michał R o s t w o r o w s k i: *Materjały do dziejów Komisji Rządzącej z r. 1807*, t. I. Kraków 1918, str. 614 i n., oraz Bronisław G e m b a r z e w s k i: *Wojsko Polskie 1807 — 14.* Warszawa 1912 str. 283 — 4.

czone przez Komisję Rządzącą. Etat oficerów był taki, jak w pułkach linjowych, płatni jednak byli tylko niektórzy oficerowie, a mianowicie ci, którzy byli używani jako instruktorzy, a w gwardji nosili tytuły majora pułku, kapitanów-adjutantów przy bataljonach, poruczników-adjutantów tam, gdzie tworzono półbataljony, a podporuczników-adjutantów przy każdej kompanji; ponadto płatni byli dobosze. Musztra i karność miały być stosowane, jak w wojsku linjowem, a służba wojskowa i garnizonowa była wymagana w mieście oraz w promieniach 2 mil od niego; za dalsze komenderowanie gwardziści pobierać mieli żołd, żywność i furaż, jak wojsko regularne; w granicach, wyznaczonych ustawą, pełnili służbę bezpłatnie i o własnem utrzymaniu.

Dowódcą gwardji [1]) w stopniu pułkownika był najpierw Aleksander Potocki, a gdy tenże objął ministerjum policji, miejsce jego zajął Piotr Łubieński; majorem pułku został Józef Krasiński, wyniesiony na tę godność z podporucznika szwoleżerów; drugim majorem był Józef Wiłucki, dawny żołnierz, ale nazbyt opanowany przez nałóg pijaństwa. Naogół oficerowie, zwłaszcza płatni — zdaniem Krasińskiego — nie odznaczali się wybitnemi zaletami, niektórzy przecie z nich, jak Rokicki, Noffok, Krasiński dzielnie się później sprawiali w kampanjach i doszli do znaczniejszych stopni wojskowych.

Organizacja gwardji nadawała tytularną władzę dowódców bataljonów i kompanij obywatelom miasta, wybieranym na te godności, istotna jednak władza spoczywała w ręku oficerów płatnych, byłych wojskowych, i od ich wartości moralnej i militarnej zależała wartość powierzonego im oddziału.

Z początkiem czerwca roku 1807 zamierzała Komisja Rządząca [2]) rozszerzyć na cały kraj organizację gwardyj narodowych, „chcąc, aby bezpieczeństwo i porządek w miastach jaknajmocniej zawarowanemi zostały, gdy dotąd dla rozmaitych przyczyn gwardje narodowe ustanowionemi być nie mogą, a codzienne doświadczenie wskazuje potrzeby jakowejści straży po miastach". Zakazywano jednak użycia na ten cel funduszów miejskich i potrzeby straży miały być pokrywane z dobrowolnych składek.

Dekret z dnia 22 czerwca 1807 roku [3]) rozciąga organizację gwardji narodowej na cały obszar Księstwa Warszawskiego.

[1]) Józef Krasiński: *Ze wspomnień...* w *Bibljotece Warszawskiej,* 1912, II. str. 422 i n.

[2]) A. P. P. Pref. bydg. A. III-i 6[1] k. 3.

[3]) Rostworowski l. c. str. 706 i n.

Wydany on został na wniosek Poniatowskiego, który, będąc w zasadzie przeciwnikiem tego rodzaju organizacyj wojskowych, widział jednak jej nieodzowną konieczność. Nowe rozporządzenie powtarzało główne zasady dekretu z 24 kwietnia, wprowadzając jednocześnie pewne zmiany i uzupełnienia.

W miastach, mogących wystawić 1.200 ludzi, stanowiono bataljon, tam, gdzie gwardzistów było tylko 600 — półbataljon, dla 120 tworzono kompanję, a gdzie i tej liczby nie dało się osiągnąć, organizowano oddział pod komendą porucznika z płatnym adjutantem podoficerem. Gwardziści czuwać mieli nad bezpieczeństwem miasta i pomagać w posługach publicznych, do ćwiczeń używani być mogli tylko w dni świąteczne. W czasie służby obowiązywać miała karność wojskowa. Gwardja każdego miasta stanowiła jednostkę samodzielną bez żadnego związku z gwardją miasta sąsiedniego. Wprowadzono nadto przepis o podwójnej odpowiedzialności gwardzistów: jako gwardja podlegać mieli ministrowi wojny, a jako obywatele ministrowi spraw wewnętrznych. Niefortunny ten przepis stał się w przyszłości źródłem wielu nieporozumień.

Wedle tych przepisów tworzono lub przetwarzano już zorganizowaną gwardję. Organizacja jednak poszła sprawnie jedynie tam, gdzie była w ręku wojskowych, a więc w Warszawie, zwłaszcza zaś w departamencie łomżyńskim, gdzie ją przeprowadzono i utrzymywano z wojskową bezwzględnością [1]), ale też jedynie w tym departamencie dobrze się ona sprawiała i można było na nią liczyć.

Departament łomżyński organizował dowódca pułku 4 piechoty Feliks Potocki [2]) z rozkazu marszałka Davout'a. Zastał on już tutaj, wysłanych przedtem, oficerów-organizatorów. Nie był z nich jednak zadowolony, bo skoro „stali się wielowładnemi rządami miasteczek, nie trzymają się żadnego pewnego prawidła, wybrali pewną ilość młodzieży, których kosztem miasta ubrać kazali i tych bez żadnego zamiaru, powinności ciągle do pełnienia służby niewolili..., (a)... nie mając sami z czego się utrzymać, składki na pensję dla siebie nakazywali i wymuszali". Potocki samowolę szybko ukrócił i zaprowadził porządek wedle życzeń Komisji Rządzącej; oddał też komendę nad powiatami litewskiemi pułkownikowi Stögetinowi, a nad mazurskiemi pułkownikowi Cetysowi, obu z dawnego wojska litewskiego.

[1]) A. G. X. W. v. 266, passim.
[2]) A. G. X. W. v. 266 k. 2 — 6.

Niesprawiedliwem wydawało się Potockiemu, że po myśli dekretów z 24 kwietnia i 22 czerwca żydzi wolni byli od służby, proponował więc obłożyć ich daniną pieniężną taką, by starczyło na opłacenie oficerów. Środek ten tembardziej koniecznym zdawał się Potockiemu, że, zdaniem jego, na stanowiska oficerskie niemożliwem było powoływać miejscowych obywateli, ponieważ „prawie wszędzie pozachowywano burmistrza i pocztmistrzów Prusaków z powodu tylko, że pisać i czytać umieją, tak gruba jest nieumiejętność nierównie znaczniejszej części rodowitych miasteczek tych obywateli. Smutny ten obraz ciemnoty jest jednak prawdziwym, a to z powodu oderwanych przed kilkunastu laty podziałem 1795 roku wszystkich miast powiatowych, w których były szkoły wydziałowe i podwydziałowe, w kordon moskiewski, oraz usilność zeszłego rządu pruskiego przeistoczenia wszystkich krainy tej mieszkańców na Niemców, do czego jednym z najdzielniejszych zdało mu się środkiem wykorzenienie języka krajowego, żadnych więc szkół, ani szkółek nawet w tym nie postanowił. Komuż z podobnych ludzi powierzyć można komendę jednej, a nawet dwóch kompanij? Komu bardziej jeszcze powierzyć rozkład pieniężnych składek?"

De nomine projekt Potockiego nie został potwierdzony, ale wobec przytoczonych warunków, de facto wszedł w życie w tym departamencie.

W pozostałych departamentach, gdzie gwardję tworzyły władze administracyjne, organizacja utknęła na samym wstępie. Spisywano i powoływano obywateli do służby, nigdzie jednak gwardja nie stała się tem, czem być powinna, to jest rezerwą, gotową do działania w każdym czasie i w każdej potrzebie. Organizacja taka, przez wzgląd na ciężkie okoliczności, wymagała dużych ofiar od ludności cywilnej i dużego poświęcenia.

Najgorzej działo się w departamencie bydgoskim,[1]) bo tam władza wprost nie chciała przystąpić do organizacji z uwagi, że mieszkańcy byli wrogami ówczesnego rządu, „czyż więc należało im dawać oręż w rękę i powierzyć ich pieczy spokojność tej części kraju?" Z czasem jednak i tutaj zabrano się do organizacji, ale w spóźnionym terminie.

Charakterystyczne motywy wysuwa deputacja województwa chełmińskiego i ziemi michałowskiej, prosząc ministra wojny w piśmie z 23 października 1807 roku o nominację dla b. kapitana

---

[1]) A. P. P. Pref. bydg. v. A. III-i 6[1] k. 4.

Witta, bo „znajomość służby wojskowej i kolebka jego, wiążąc ogniwa harmonji i jedności z krewnych w tem mieście z nim obywateli, może znacznie przyłożyć się w doprowadzeniu urządzenia tej milicji ku dobru Ojczyzny". [1])

Naogół biorąc, widać wszędzie tylko pojedyncze próby i starania, ale niema całkowicie i jednolicie przeprowadzonej organizacji, to też pierwszy etap w rozwoju gwardji narodowej od 1806 do 1809 roku stworzył dwa tylko ogniska: jedno w Warszawie, drugie w departamencie łomżyńskim, a i te dwa ośrodki nie były wolne od poważnych usterek.

Dowódca gwardji narodowej w Warszawie Łubieński z końcem roku 1808 donosi: „Podczas parady piątkowej żołnierze linjowi zaczęli szydzić z gwardzistów, których oficerowie zaledwie wstrzymali od zemszczenia się za uczynione obelgi. Wczoraj, gdy się zgromadzała gwardja na musztrę, podobnież żołnierze z drugiego pułku postąpili sobie, wstrzymałem sam zapalczywość gwardzistów, obiecując, iż satysfakcja uczynioną będzie, a przestępnych żołnierzy odesłałem komendantowi placu. Kłótnie podobne często wyniknąć mogą, a z nich niemiłe skutki, jeżeli Wasza Książęca Mość nie rozkaże, żeby gwardzista jak żołnierz linjowy był uważany. Każdemu miły jest honor, zwłaszcza tym, którzy w usługach kraju żadnej innej nie żądają nagrody. Dziwić się nie będzie można niepełnieniu obowiązków przez gwardzistów, jeżeli ciż, zamiast zasługi i zaszczytu, wzgardą od towarzyszów broni, jednej służących Ojczyźnie, nagrodzeni będą". [2])

Nadto skarży się dowódca na brak subordynacji; próbował on zapobiec temu łagodnemi środkami, nie osiągnął jednak rezultatu, a stosować środków surowych nie może, bo komenderuje „bezpłatnymi obywatelami", którzy rozzuchwaleni „nietylko, że służby odbywać nie chcą, lecz wcale się nie myślą mundurować i mowami swemi bunty wzniecają pomiędzy gwardzistami, których wielka ilość, zapatrując się, iż nieposłuszeństwu żadnej nie wyznacza się kary za ich przestępstwo, wzbrania się i nie chce chodzić na parady". Z tych względów domaga się Łubieński wprowadzenia w gwardji wojskowej karności i nakazu stosowania się do takowej. Z początkiem roku 1809 prosi Łubieński ministra Poniatowskiego o przyznanie gwardji narodowej warszawskiej orłów pułkowych; zaszczyt ten nadałby więcej powagi tej organizacji, bowiem „zamkną się usta wszystkim przeciwnikom, gdy

[1]) A. P. P. Pref. bydg. v. A. III-i 6[1] k. 1 — 2.

[2]) A. G. X. W. v. 384 k. 94 — 5.

ujrzą oznaki, pod któremi zgromadzić się winni, niechętni mundurować się zaczną..., milszemi będą do znoszenia trudy wojskowe". Projekt ten jednak w życie nie został wprowadzony.

Pozatem w departamencie łomżyńskim jaskrawo uwydatniły się nieporozumienia między władzami cywilnemi a wojskowemi. Prefekt wydał reskrypt, aby gwardjom ulżyć w służbie i położyć kres dużym wymaganiom komendantów, motywując swoje stanowisko tem, iż do niego należy zwierzchnia władza nad gwardją w departamencie i on powołuje ją do służby. [1]) Komendant gwardji pułkownik Stögetin nie mógł się zgodzić ze stanowiskiem, zajętym przez prefekta, i wystosował obszerne pismo, prosząc, aby dla dobra służby nie poddawać gwardji władzom cywilnym, co jedynie może sprawę pogmatwać i przytaczał gorszące zajście między adjutantem 3-go bataljonu Hamelbergiem a podprefektem powiatu kalwaryjskiego Iwaszkiewiczem o układanie list i lustrację gwardzistów. Zdaniem komendanta należy gwardję uzależnić zupełnie od ministra wojny, a władzom cywilnym zabronić bezpośredniego wtrącania się w sprawy tej organizacji. [2])

Nie bez racji było zdanie pułkownika Stögetina. Gdyby istotnie minister wojny zażądał kategorycznie oddania gwardji pod swe wyłączne rozkazy, a komendy po miastach powierzył wojskowym, cała sprawa przybrałaby zupełnie inny obrót. Trudno jednak oczekiwać było takiego kroku ze strony Poniatowskiego, który w „ruchawkę" nie wierzył, chciał mieć wojsko regularne, a nie „obywatelskie" i który zapomnieć nie mógł obywatelom, że ci go zdrajcą zwali w roku 1794, a i teraz odnosili się doń z niechęcią. Jako naoczny świadek załamania się programu milicji z czasów powstania kościuszkowskiego, był on wyraźnym przeciwnikiem systemu użycia gwardji narodowej jako pomocy w działaniach wojennych, choć godził się z istniejącym stanem rzeczy, ale popierać go nie chciał, jak świadczą o tem późniejsze jego memorjały. Pozostawał więc twór gwardji narodowej zawieszony w powietrzu, uzależniony de nomine od dwóch ministerjów, a właściwie pozbawiony de facto władzy kierowniczej i nie mający danych do rozwoju.

Groźba wojny z Austrją ożywiła sprawę gwardji narodowej. Mała liczebność oddziałów regularnych dla obrony kraju czyniła konieczną wprost służbę pomocniczą w kraju. Poniatowski, choć przeciwny gwardji, oceniał jednak jej konieczność, skoro w dniu

[1]) A. G. X. W. v. 384 k. 93, oraz v. 541 k. 319 — 21.

[2]) A. G. X. W. v. 384 k. 87 — 8.

30 marca 1809 roku przedstawiał Radzie Stanu, że „gwardja narodowa w politycznej teraźniejszej postaci rzeczy jest przedmiotem, pilnego zastanowienia Rady Stanu wartym. Minister wojny nietylko przez posłuszeństwo wyraźnemu rozkazowi Jego Królewskiej Mości, ale i przez rozwagę, że Księstwo Warszawskie nie jest w stanie utrzymać tyle wojska, ile go wyciąga bezpieczeństwo kraju i zasłona jego granic wężykowatych“, przychyla się i sprawę tę przedkłada. Zarządzona interpelacja po owem przedłożeniu Poniatowskiego wykazała, że w kraju było ogółem 24.557 gwardzistów, z czego w Warszawie 1.973, w departamencie poznańskim 12.306, w kaliskim 7.332, w łomżyńskim 2.880; przyczem organizacje w Poznańskiem i Kaliskiem wiele wykazywały braków. W Chełmnie departamentu bydgoskiego było zgłoszonych 66 gwardzistów [1]). Poniatowski jednak liczył, że po innych miastach gwardje „znajdą się gotowe“, ale złudna to była nadzieja; wysłano wprawdzie na gwałt organizatorów, jednak akcja ta została zaraz stłumiona przez wkraczające wojska austrjackie [2]).

Różnorodne były losy gwardji podczas wojny. Gwardja warszawska po bitwie raszyńskiej stanęła na szańcach warszawskich, ale była ona pod względem wojskowym słaba [3]). W czasie okupacji stolicy gwardziści w myśl konwecji pozostali pod bronią i pełnili służbę policyjną, choć w chwili ustąpienia wroga, miejscami doszło nawet do starć ulicznych, były to jednak walki drobne i bez większego znaczenia, kierowane przeważnie przez dawnych wojskowych.

Z innych gwardyj łomżyńska stale pełniła służbę straży pogranicznej, płocka maskowała obronę Księstwa na prawym brzegu Wisły, czyniąc udatne wypady, z których jeden, por. Rumpera był może najudatniejszym, ponieważ zniszczył dubas na 500 ludzi, uprowadził młyn pływający i zabrał 117 wołów [4]). Gwardja poznańska, pod dowództwem pułkownika Kęszyckiego, z której utworzono pułk piechoty, ucierała się z wrogiem pod Pyzdrami, niezbyt jednak chlubnie dla siebie [5]); był to później pułk 4 piechoty „galicyjsko-francuskiej“. Lepiej popisała się gwardja częstochowska z departamentu kaliskiego, zasługując sobie liczne

[1]) A. A. D. Rada Stanu v. 208 k. 50.

[2]) A. P. P. Pref. bydg. v. A. III-i 6^1 k. 70 — 108 oraz A. III-a 9^1 k. 59.

[3]) Krasiński l. c. *Bibl. Warsz.* 1912 t. II. str. 428 — 9; A. G. X. W. v. 936 k. 19.

[4]) A. A. D. Rada Stanu v. 293-a.

[5]) Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk rkps. 514.

pochwały z czasu oblężenia twierdzy jasnogórskiej, walcząc na równi z wojskiem linjowem. [1])

Naogół jednak gwardja jako całość zbyt słabo była zorganizowana i przygotowana, by mogła w wojnie odegrać ważniejszą rolę, to też została zepchnięta na drugi plan przez nakazane pospolite ruszenia i powstania. W departamencie bydgoskim wprost zaproponowano, aby zamiast powołania gwardji do czynnej służby frontowej dostarczyć rekruta lub b. żołnierzy pruskich, jako iż gwardje „nie są niczem innem, tylko, że pewna liczba mieszczan, uzbrojonych w halabardy i piki, utrzymuje straże po miasteczkach i tylko w względzie policyjnym, nigdy zaś wojskowym użytą być może“. [2]) Użyteczność gwardji w czasie wojny okazała się minimalną i to było powodem, że prefekci poczęli większą zwracać uwagę na jej ćwiczenie i umundurowanie; to jednak nie podobało się obywatelom do tego stopnia, że z tego powodu powstał zatarg między municypalnością Bydgoszczy a prefekturą, który znalazł zakończenie na sesjach Rady Stanu. [3])

Zwierzchnia władza Księstwa, Rada Stanu starała się w toku wojny zreorganizować gwardję i w tym celu referendarz Woyda składał jej w tej mierze memorjały, w których projektowane były następujące zmiany i uzupełnienia: spisani być mają wszyscy zdolni do służby; fornale i stangreci tworzyć będą oddziały konne; organizacja ma być tajną; każdy winien mieć przygotowany zawczasu i przechowywany mundur; ćwiczeń nie należy odbywać i dopiero w razie potrzeby nakazany będzie pobór masowy [4]). Takie postawienie sprawy wywołane było narzekaniem ogólnem, że gwardja przeciążona jest służbą. Zastępca prefekta departamentu warszawskiego Nakwaski skarży się, że przez to „upada rzemiosło i przemysł“ [5]). Podobnie prefekt łomżyński żali się, że do gwardji wciągnięto osiadłych i nieosiadłych, a zbyt przeciążono ich służbą i mundurowaniem, że stan taki wywołuje masowe ucieczki za kordon, czemu należy zapobiec. Woyda, pisząc 26 sierpnia do Poniatowskiego, wyliczał, że na służbie marnuje czas 4093 ludzi, jeśli więc robota ich warta jest 2 złote, to państwo przez rok traci 2.136.546 zł. [6])

[1]) Dziennik Departamentu Kaliskiego 1809 nr. 19.

[2]) A. P. P. Pref. bydg. v. A. III-i 6¹ k. 84.

[3]) A. A. D. Rada Stanu v. 208 k. 53 — 4; A. P. P. Pref. bydg. v. A. III-i 6¹ k. 1 — 47 oraz A. III-i 6² passim.

[4]) A. A. D. Rada Stanu v. 293-a.

[5]) A. A. D. Rada Stanu v. 209 k. 45 — 50.

[6]) A. A. D. Rada Stanu v. 209 k. 44.

Z przytoczonych zdań widoczne jest, że w gwardji chciano widzieć rezerwę na czas wojny, wolną jednak od służby w czasie pokoju i niepociągającą za sobą ofiar pieniężnych. Podobnie zapatrywał się na tę sprawę generał Hebdowski w ministerstwie wojny, który radził odrzucić adjutantów płatnych, będących instruktorami musztry; twierdził on, że znajdą się i wśród obywateli tacy, którzy musztrę znają, a znajomość głównych jej zasad wystarczy, skoro gwardja w czasie wojny miała być przeznaczona „do przestrzegania bezpieczeństwa wewnętrznego, do konwoju transportów amunicji i żywności, do przeprowadzania i strzeżenia więźniów, nakoniec do pilnowania brzegów jakiej rzeki..., nie potrzebuje (przeto) nauki wojskowej systematycznej, będzie dosyć uczoną, kiedy potrafi strzelać celnie, a ta jest wrodzoną Polakowi".[1])

To też i sekcja wojny i deputacja Rady Stanu, wyznaczona w osobach Poniatowskiego, jako ministra wojny, oraz radców Linowskiego, Kochanowskiego, Sobolewskiego, Wielhorskiego i referendarza Morawskiego,[2]) uważała, że nie należy kłaść nacisku na umundurowanie i ćwiczenia, ale na gotowość do obrony;[3]) odrzucano więc obowiązek ćwiczeń, gdyż lepiej mieć w razie wojny do czynienia z żołnierzem zupełnie niewyćwiczonym, niż z wyszkolonym źle; ażeby zaś społeczeństwo zapoznawało się z musztrą, uważano za stosowne wprowadzić musztrę wojskową w szkołach, a wśród starszych popierać stowarzyszenia w rodzaju wielkopolskich bractw strzeleckich. Nie było to jednak jednomyślne zdanie sekcji, ponieważ Poniatowski wypowiadał się za zmilitaryzowaniem gwardji, a w razie wojny uważał za wskazane wcielenie gwardzistów do wojska conajmniej na rok, ponieważ wcielenie na czas krótszy wprowadzałoby zamięszanie w administracji.

Przy tej różnicy zdań dyskutowano nad projektem nieomal przez dwa lata,[4]) zanim wreszcie uchwalono projekt dekretu, raczej po myśli władz cywilnych, niż wojskowych,[5]) a więc

---

[1]) A. A. D. Rada Ministrów v. 150 k. 7.

[2]) A. A. D. Rada Stanu v. 208 k. 55 — 69.

[3]) A. A. D. Rada Stanu v. 209 k. 15 — 8.

[4]) Koniec 1809, 1810 i początek 1811; podstawą rozważań były projekty, dostarczone przez Woydę (A. A. D. Rada Stanu v. 208 k. 43 — 49) i Morawskiego (A. A. D. Rada Stanu v. 208 k. 55 — 68).

[5]) Memorjał w aktach ministerstwa wojny (A. G. X. W. v. 932 k. 33 — 59) dąży do zupełnego zmilitaryzowania całego społeczeństwa, dzieląc je na kategorje, które możnaby nazwać żołnierzami na urlopie.

sprzeczny z intencjami Poniatowskiego. W tym czasie mniej-więcej uruchomiono we Francji gwardje narodowe, [1]) których zasady były nieco podobne do naszych, zwłaszcza że uwydatniały się również dwa rodzaje gwardji.

W dniu 23 marca 1811 roku odbyła się ostatnia sesja Rady Stanu, na której postanowiono wysłać projekt do zadekretowania królowi. [2])

Wedle ostatecznej redakcji dekretu, do służby w gwardji narodowej obowiązani byli wszyscy mężczyźni od 20 do 50 roku życia, wyjąwszy duchownych, nauczycieli i kalek. Gwardję samą dzielono na trzy kategorje: gwardję nieruchomą, ruchomą i gwardję płatną. Gwardję nieruchomą składali posesjonaci, urzędnicy, kupcy i rzemieślnicy, opłacający patent, nadto włościanie, posiadający ziemię powyżej pół włóki chełmińskiej; gwardję zaś ruchomą formowali czeladnicy, drobni włościanie i wszyscy, którzy nie wchodzili w skład gwardji nieruchomej.

Gwardja nieruchoma miała za zadanie zapewnienie porządku i obronę przed wrogiem w obrębie własnej gminy, przyczem w miastach zamożniejszych część nieruchomej gwardji, umundurowana własnym kosztem i podzielona na kompanje wzorem wojska linjowego, służyć miała nadto do parady podczas uroczystości w okręgu swojej gminy. Do tej części gwardji nieruchomej przydawani byli w miarę potrzeby oficerowie i podoficerowie z wojska regularnego.

Gwardja ruchoma używana być mogła w całym kraju, o ileby zaszła potrzeba odparcia napaści nieprzyjacielskiej. W czasie pokoju podzielona ona być miała na legje, chorągwie i roty, a w czasie wojny, gdy zawezwana zostanie do uzupełnienia siły zbrojnej, zostawać ma pod zwierzchnością ministra wojny i wówczas podzielona będzie na kompanje i bataljony pod dowództwem oficerów z wojska linjowego, a skoro wyrusza poza granicę swojego departamentu, otrzymywać ma płacę narówni z wojskiem aktualnem.

Trzeci rodzaj gwardji — gwardja płatna — uzasadniony został w sposób następujący: „Teraźniejsza gwardja narodowa od początku swej egzystencji używana bywa w departamentach i powiatach do wszelkich posług policyjnych, a w niedostatku garnizonu zastępuje i wojskowych. Odrywanie takowe ludzi od rzemiosł i zatrudnień domowych, oraz wybieranie arbitralne

[1]) *Correspondence de Napoleon I* — Paryż 1864, t. XX, str. 518 — 22.
[2]) A. A. D. Rada Stanu v. 209 k. 149 — 50; Gembarzewski l. c.

składek rozmaitych na sztaby, mundury i muzykę tejże gwardji narodowej z niemałym miejskich mieszkańców jest uciskiem, tamuje postęp przemysłu narodowego. Dla zaradzenia tej uciążliwości oraz dla ochrony wojska linjowego od potocznej służby policyjnej, przydany jest szczególny oddział żandarmerji pieszej płatnej, złożony z ludzi pewnych, dobrowolnie zaciągnionych z takich najszczególniej, którzy, w wojsku linjowem czas zamierzony wysłużywszy, uzyskają świadectwo dobrego sprawowania, dodając im oficerów reformowanych i weteranów, do służby zdatnemi jeszcze być mogących". Oddział ten utrzymywany i opłacany być miał z podwyższenia podatku osobistego o 15 procent.

Cały ten projekt nowej organizacji gwardji narodowej, opracowany pod kątem widzenia potrzeb ludności cywilnej, nie zadowolnił Poniatowskiego, który, pomimo potwierdzenia królewskiego i ogłoszenia projektu, jako dekretu z dnia 10 kwietnia 1811 roku, zażądał zawieszenia jego wykonania; zwracał się on nawet o poparcie w tej mierze do marszałka Davout'a, tłomacząc, że gwardje mogły być straszakiem dla Austrjaków, gdyż ci nie znali ich wartości, ale na nie zupełnie liczyć w razie potrzeby nie można.[1]) Również i rezydent francuski Bignon, który w dużym stopniu posiadał zmysł spostrzegawczy, nie wierzył w powodzenie projektu, tak długo opracowywanego przez Radę Ministrów, i nawet gdy nadeszło względnie dość prędko potwierdzenie królewskie, przepowiadał, że projekt zawiedzie, bo władzy wykonawczej, t. j. w tym wypadku ministrowi spraw wewnętrznych Łuszczewskiemu, brakuje energji i stanowczości w wykonaniu; które to defekty powiększała jeszcze chroniczna opieszałość.[2])

Nie omylił się w tym względzie Bignon. Na tem tle powstało kompletne zamięszanie. Mimo istnienia nowej ustawy, wedle której należało przeforsować istniejące już oddziały gwardji, nie wykonywano postanowień ogólnych i stosowano częściowe powołanie gwardji ruchomej,[3]) uważając za taką sformowaną już gwardję, którą polecano ćwiczyć w niedzielę i święta i obowiązkowo mundurować. Wbrew obowiązkowi powszechnej służby

---

[1]) Adam M. Skałkowski: *Korespondencja ks. Józefa,* t. III (w rękopisie).

[2]) Marceli Handelsman: *Instrukcje i depesze rezydentów francuskich w Warszawie,* Kraków 1914, t. I, s. 318, 323 — 4.

[3]) A. P. P. Pref. bydg. v. A. III-i 6³ k. 42 — 3.

w gwardji dopuszczano wyręczanie się zastępcami, a wybór ludzi powierzano prefektom.

W dniu 7 maja ministerjum wojny nakazało powołać w Warszawie 1.200 gwardzistów pod dowództwem pułkownika Łubieńskiego, w Kaliskiem 1.200 pod dowództwem pułkownika Biernackiego, w Radomskiem i Krakowskiem po 1.000 pod dowództwem majora Krasińskiego, w Łomżyńskiem 1.000 pod dowództwem pułkownika Stögetina, w Poznańskiem 3.000 pod dowództwem pułkownika Garczyńskiego, w Bydgoskiem 1.500 pod dowództwem starosty Łachockiego, w Płockiem 300 pod dowództwem Poletyłły.[1]) W dniu 22 maja powołano gwardję narodową w departamencie lubelskim z 400 ludzi i siedleckim z 200, oddając komendę Wieniawskiemu. Przy tworzeniu tych oddziałów polecono prefektom jak np. bydgoskiemu, aby mianowali oficerów i podoficerów na przedłożenie dowódcy bataljonu, a bractwa strzeleckie włączali do kompanij woltyżerów; broń w miarę możności miały dostarczyć magazyny wojskowe.

Trzecie to już było z kolei organizowanie gwardji narodowej, wprawdzie do formowania oddziałów użyto teraz w większości wypadków byłych wojskowych, zajmujących stanowiska burmistrzów lub innych urzędników, skutkiem jednak niejasnego postawienia sprawy, a głównie skutkiem przyjęcia za podstawę starego dekretu z dnia 22 czerwca 1807 roku, uzupełnionego tylko dekretem nowym z dnia 10 kwietnia 1811 roku i licznemi wskazówkami ministerjum wojny, różne starcia, scysje i nieporozumienia stałem bywały zjawiskiem. Między innemi sprawa uczestnictwa żydów w gwardji niejeden wywołała konflikt. W departamencie poznańskim np., gdzie żydzi stanowili wedle obliczeń pułkownika Garczyńskiego 1/4 ludności, sam Garczyński kilkakrotnie interwenjował w tej sprawie,[2]) zaś w departamencie bydgoskim doszło do tego, że żydzi inowrocławscy z pominięciem prefekta zwrócili się wprost do ministra spraw wewnętrznych i uzyskali zwolnienie od służby.[3])

Mimo wielu przeszkód i trudności, niektóre jednak departamenty wykonały swe zadanie zadawalniająco. Departament bydgoski już w końcu czerwca miał swą gwardję jakotako zebraną; we wrześniu departament kaliski gwardję swoją zorganizował i umundurował. W departamencie poznańskim natomiast sprawa

[1]) A. G. X. W. v. 266 k. 38.
[2]) A. G. X. W. v. 952 k. 62.
[3]) A. P. P. Pref. bydg. v. B. III-e 4 k. 29—30 i 39—40.

szwankowała. Komendant Garczyński miał tutaj liczne spory z prefektem o wybór ludzi, powierzony burmistrzom i radom miejskim, co budziło w nim obawę, że przeznaczą mu „karykatury, hulaki, hultajów“, w czem nie mylił się bardzo, bo w powiecie gnieźnieńskim naprzykład potraktowano gwardję jako instytucję poprawczą.[1]) Zgłosił wprawdzie komendant swój objazd na własny koszt, aby przyspieszyć organizację, ale nie doszło do tego, bo zaledwie sformował z początkiem września gwardję w powiecie krotoszyńskim, gdy przyszło od prefekta zarządzenie, zawieszające organizację.[2]) Rozgoryczony tem, komendant zwraca się 2 sierpnia 1811 r. o protekcję do generała Fiszera, skarżąc się na podział władz odnośnie do gwardji: „W roku 1806 w cztery niedziele 400 ludzi konnych wystawiłem i z nimi do obozu poszedłem, bo organizacja od wojskowości samej zależała, teraz już szósta dochodzi, a początku nie masz, tylko same na piśmie debaty, że już porządne akta są, ale żadnego gwardzisty nie masz, bo cywilność się wtrąca“.[3])

W departamencie radomskim i krakowskim tworzył gwardję major Józef Krasiński, mając sobie dodanych do pomocy kilku oficerów, których sam wybrał z gwardji narodowej warszawskiej. W maju sformował on gwardję w departamencie radomskim[4]) mimo że w kilku miejscach nietylko nie doznał poparcia u władz cywilnych, ale spotykał się nawet z dużemi utrudnieniami;[5]) pozostawił on tu następnie jako zastępcę swego adjutanta majora Chrzanowskiego, sam zaś udał się do Krakowa, gdzie wkrótce pod komendą podpułkownika Rokickiego stanęła gwardja dobrze ubrana i uzbrojona, a nadto ożywiona dobrym duchem. Natomiast w departamencie radomskim z wyjazdem Krasińskiego stosunek do gwardji pogorszył się bardzo. Chrzanowski narzeka na brak współpracy ze strony władz administracyjnych, przez co wkradać się zaczęło rozluźnienie.[6]) Podczas jednej z lustracyj zaszły nieporozumienia co do układania list, które fatalny miały oddźwięk w szeregach. Brakło też zainteresowania wśród oficerów. Mieli oni pod kierunkiem komendanta zaznajamiać się z obowiązującemi przepisami, tymczasem niedługo to trwało, „ponieważ oficerowie nie mają ochoty; szcze-

[1]) A. P. P. Pref. pozn. 1815.
[2]) A. G. X. W. v. 952 k. 119—120.
[3]) A. G. X. W. v. 952 k. 62.
[4]) A. G. X. W. v. 952 k. 118.
[5]) Krasiński l. c. *Bibl. Warsz.* 1912, t. III. str. 49.
[6]) A. G. X. W. v. 936 k. 35—6.

gólniej tylko pan Gros bywał prawie codziennie z podoficerami; nareszcie i to ustało, więc przymuszony został(em) zawiesić te ćwiczenia". Narzekał też Chrzanowski na brak funduszów, tak iż dobosze chodzą „boso i nago", a on sam od dwóch miesięcy żołdu nie otrzymał, wobec czego zwracał się do dowódcy o zaspokojenie potrzeb.

Z powyższego przedstawienia stanu gwardji w różnych departamentach kraju jasnem jest, że naogół formacja zawiodła; brakło stanowczości i sprężystości w wykonaniu zaleceń. Już 25 września 1811 r. Poniatowski zwraca uwagę Fryderyka Augusta na to, że gwardje narodowe nie odpowiadają swemu zadaniu i nie zbiorą się na czas w razie potrzeby; lepiej więc będzie z tych istniejących już oddziałów wcielić część do wojska regularnego, co odda istotną usługę. [1]) Projekt ten daje się wyczuć jeszcze z raportu Poniatowskiego do cesarza, złożonego w dniu 30 kwietnia 1811 roku. [2])

Przedstawienie to musiało zostać przyjęte przychylnie, choć po pewnem wahaniu, skoro 18 grudnia t. r. Poniatowski zarządził wzamian dalszej egzystencji gwardji narodowej czynnej dostawę rekruta, co przy poborze miało być potrącone. [3]) Jeden tylko departament łomżyński został tu wyłączony, tam bowiem gwardja, jak wspomniałem, stale pełniła służbę straży pogranicznej. Zarządzenie to uwalniało gwardję od posług wojskowych, jedynie dla użytku prefektów do służby policyjnej pozostać miały małe oddziały gwardji.

Tymczasem zbliżał się rok 1812, w którym ważyć się miały losy Polski. Zastał on gwardję narodową niezorganizowaną, raczej nawet zdezorganizowaną. Znaczna część winy za ten stan rzeczy spada na Poniatowskiego, który, acz w najlepszej intencji, zawiesił wykonanie dekretu i zastąpił go zbyt ogólnikowemi wskazówkami.

Teraz gorączkowo zabrano się do sprawy. Na skutek reklamacji Łuszczewskiego w dniu 17 marca 1812 r. [4]) nakazano rozpocząć formację gwardji nieruchomej i przystąpić do spisania gwardji ruchomej, a to w terminie do 1 kwietnia. [5]) Był to okres zbyt krótki, by w nim coś poważnego można było zdziałać. Z or-

[1]) A. M. Skałkowski l. c.
[2]) A. M. Skałkowski l. c.
[3]) A. G. X. W. v. 266 k. 44.
[4]) A. A. D. Rada Ministrów v. 100 k. 1.
[5]) A. P. P. Pref. bydg. v. A III-i 6[3] k. 203.

ganizacją gwardji płatnej polecono się jeszcze wstrzymać. W dniu 15 kwietnia polecono zebraną uprzednio jeszcze w 1811 r. gwardję czynną zatrzymać i traktować jako gwardję ruchomą, powołaną do służby; zatrzymani być mieli również oficerowie, przy niej zatrudnieni, a na żołd dla nich miała być zebrana przez prefektów składka.[1])

Przystępowano więc znów do organizacji w chwili, kiedy gwardja powinna była sprawnie już funkcjonować, obejmując służbę garnizonową w kraju, ogołoconym z wojska. I znów nie wprowadzono w życie dekretu w całej pełni, a zadowolniono się doraźnemi zarządzeniami, tworząc oddziały gwardji i żandarmerji konnej dla zapewnienia bezpieczeństwa i poskromienia maruderów. Zarządzenia te były plasterkiem angielskim na przeciętą arterję.

W czerwcu z braku wojska wezwano do służby stałej garnizonowej w Warszawie tamtejszą gwardję, dopuszczając do niej żydów i czeladników;[2]) jednocześnie formowano kordon wzdłuż granicy południowo-wschodniej z tamtejszych gwardyj, przeciw zagrażającym już z tej strony wojskom rosyjskim. Dowódcą tego kordonu został generał Kosiński, któremu oddano pod rozkazy pułk 13 piechoty z Zamościa, część zakładów, oraz gwardję narodową, której oddziały zaczęto powoływać z całego kraju. Rada Ministrów projektowała w tym względzie, aby każdy departament wystawił pułk jazdy i bataljon piechoty,[3]) narazie jednak uruchomiono tylko gwardję narodową. W Puławach miała się zebrać gwardja lubelska i siedlecka, krakowska i radomska naprzeciw Rachowa, kaliska w Stężycy, płocka i poznańska w Górze Kalwarji.[4]) Wśród oddziałów panowała masowa dezercja zarówno z braku ochoty do wojny, jak i z powodu niedostatecznych funduszów, żywności i odzienia. Nie było też z oddziałów tych korzyści,[5]) tembardziej, że wymagający Kosiński pragnął wystawić z owych „obywatelskich“ gwardyj V dywizję etatową i postawić ją pod względem zewnętrznego wyglądu na poziomie wojska regularnego i często odsyłał całe oddziały dla braku prezencji. Ponadto oddziały te nie były dostatecznie wyekwipowane i przy-

[1]) A. P. P. Pref. bydg. v. A. III-i 6³ k. 226 — 30.

[2]) A. A. D. Rada Ministrów v. 150 k. 41 — 2 z 15 czerwca 1812 r.

[3]) A. A. D. Rada Ministrów v. 149 k. 10.

[4]) A. A. D. Rada Ministrów v. 149 k. 11.

[5]) Juljusz Falkowski: *Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce.* Poznań 1886, t. IV. str. 271 i n.; Juljusz Willaume: *Gen. Józef Wielhorski.* Poznań 1923, str. 58.

gotowane do znoszenia trudów wojennych. To też wbrew zamierzeniom nad Bugiem nie działały gwardje z całego kraju, lecz jedynie pułk 13 piechoty i tylko część gwardji krakowskiej. Reszta, porozpraszana lub nieużywana, marnowała się bez pożytku. Również i na Litwie, gdzie, po zajęciu jej przez Francuzów, zaczęto energicznie bardzo formować gwardję, rychło się ta organizacja rozpadła, [1]) gdy z południa zagroziło jej wojsko rosyjskie, a wkrótce „Wielka Armja" opuściła terytorjum Litwy.

W takiem położeniu rzeczy nowy minister spraw wewnętrznych Mostowski nakazał pobór gwardji, [2]) wzorując się na Francji, po jednym człowieku z każdych 20 dymów wsi i miast. [3]) Pobór przeprowadzić mieli burmistrze i wójci, starając się brać ludzi wolnych, przyczem od obowiązku mundurowania zwalniano wszystkich, byle przywdziali taśmę trójkolorową. Nacisk główny położono na uzbrojenie, a władzę nad zebranemi w departamentach siłami oddano prefektom, po powiatach podprefektom. Otrzymaną w ten sposób siłę zbrojną uważał Mostowski za zdolną do stawienia oporu nieprzyjacielowi, jak również do utrzymania porządku w kraju. Zdawał sobie jednak dobrze sprawę z trudności wprowadzenia w życie tego zarządzenia, skoro 2 listopada przedkładał Radzie Ministrów: [4]) „oskarżamy urzędników o ich niedbałość w wykonaniu rządowych rozkazów, ci nawzajem wołają do rządu o wskazanie sobie środków do egzekwowania". Tymczasem czas mijał, wróciły szczątki „Wielkiej Armji", wrócił Wódz Naczelny, a gdy 25 stycznia 1813 roku nadeszło od Króla [5]) potwierdzenie zarządzeń Mostowskiego i nakaz wprowadzenia ich w czyn, zapóźno było już na jakiekolwiek działanie gwardji; wróg posuwał się za ustępującą armją i zalewał stopniowo kraj cały.

Aby ratować materjał ludzki, Poniatowski z Wielhorskim projektowali wcielenie gwardji do szczątków wojska regularnego, które użyte być miały jako kadry; ale zawiodło i to. Część tylko gwardji i powstańców weszło w skład wojska, a i z tych powstanie kaliskie w lutym prawie całkowicie rozbite zostało pod Stawiszynem. Jedynie z krakowskiego pozostał ślad istotny w sformo-

---

1) Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk rkps. 181.

2) A. P. P. Pref. bydg. v. A. III-i 6⁴ k. 19—22; patrz niżej w miscellaneach *Rozporządzenia o gwardjach narodowych* II.; *por. Correspondence de Napoleon I.* Paryż 1868, t. XXIII, str. 281—5.

3) A. A. D. Rada Ministrów v. 150 k. 43—4.

4) A. A. D. Rada Ministrów v. 150 k. 52—5.

wanym pułku krakusów. Większość powstań, tworzonych z formacyj gwardyj narodowych, rozpierzchła się za zbliżeniem się wroga.

Gwardja narodowa jako taka nie przestała jednak istnieć. Wróg po zajęciu kraju niektóre czynności policyjne kazał jej nadal spełniać, pod ścisłym jednak nadzorem ze strony naczelników wojennych: powiatowych i departamentowych.

Dopiero wprowadzenie ustaw Kongresu Wiedeńskiego położyło kres istnieniu gwardyj narodowych we wszystkich trzech zaborach.

Takie były dzieje tej organizacji, która mogła być pożyteczną i dać skuteczną pomoc wojsku Księstwa Warszawskiego, która jednak zawiodła na całej linji, stając się tworem właściwie bez większego znaczenia i korzyści.

Liczne i różnorodne były tego przyczyny. Brak rdzennie polskiego mieszczaństwa, nędza kraju, wyniszczonego bezustannemi działaniami wojennemi, powolność w komunikowaniu się z władzą najwyższą, rezydującą w Dreźnie; chęć uzależnienia tej formacji od siebie ze strony władz administracyjnych, a dążenie do podporządkowania się jedynie ministerjum wojny ze strony jej dowódców, wszystko to znacznie utrudniało i opóźniało działania organizacyjne. Najważniejszą jednak przyczyną był brak zdecydowanej linji wytycznej i brak skoordynowanego, a zarazem konsekwentnego działania ze strony władz wyższych. Ciągła zmiana zarządzeń, szereg sprzecznych decyzyj, zawieszanie obowiązujących nakazów musiały dezorjentować władze wykonawcze i wprowadzać chaos i zamęt wśród ludności.

Dlatego też pomimo usiłowań, pomimo wysiłku ze strony całego kraju, polska gwardja narodowa miała tylko rozliczne dekrety organizacyjne, zmierzające do utworzenia z niej armji wewnętrznej. Gwardje narodowe francuskie, [1]) stale i umiejętniej używane, oddały pomoc wojsku i mogły je w całym szeregu wypadków zastąpić, ale u nas litera prawa pozostała literą, życie bowiem wypaczyło ją i nie pozwoliło wprowadzić w czyn.

---

[1]) *Correspondence de Napoleon I.* t. XXIII, str. 281 i 253.

PLANY WOJNY PRUSKIEJ PRZECIW ROSJI Z 1790 i 1791 R.

Plany operacyjne pruskie: 1) z 6 października 1790 roku, podpisany przez generała Favrata i 2) z 12 stycznia 1791 r., podpisany przez generała Henckla, są zachowane w archiwum Generalnego Sztabu w Berlinie pod Sign. E II 17.

Pruski Sztab liczył się z koniecznością wojny z Rosją, zwłaszcza po zmuszeniu Austrji do ustępstw w Reichenbachu. Rosja nie okazując żadnej chęci do uległości wobec Prus, prowadziła dalej wojnę z Turcją. Wprawdzie rozpoczynały się konferencje w Sistowie, ale wynik ich był niepewny. Trzeba było liczyć się z koniecznością zbrojnej akcji. Sztab pruski przygotowywał skrupulatnie plan kampanji. Położenie stawało się w październiku 1790 roku jeszcze bardziej naprężone. Prusy przekonały się, że samemi demonstracjami nie zmuszą Rosji do zrzeczenia się swych zdobyczy w Turcji. W porozumieniu z Anglją, która miała posłać flotę na Bałtyk, Prusy liczyły się po wielu wahaniach z tem, że zbrojna akcja będzie nieunikniona. Do tego momentu odnosi się drugi plan z 12 stycznia 1791 r.

Przedstawiłem polityczne położenie w swej książce *Polska na przełomie*. Lwów. 1913 r. W szczególności odwołuję się do rozdziału „W przededniu czynu". O planach strategicznych wspominam na str. 423, przypiski str. 561 — pod Nr. 60.

I.

PLAN OPERACYJNY GENERAŁA FAVRATA z r. 1790.

Essai sur les opérations des Prussiens contre les Russes dans la Samogitie, la Courlande, l'Estonie et la Livonie [1]).

Si nous voulons faire la guerre aux Russes avec succès dans les provinces ci dessus montionnées, il faut que les Anglais envoyent une grande flotte à même de combattre celle des Russes afin que nous puissions faire transporter nos magasins de bouche et de guerre par mer, tant pour le siége de Riga que pour nos opérations dans l'Estonie et dans la Livonie etc. Dans ces cas, nos grands magasins de ressource pour nos armées pourraient être établis à Königsberg, Pilau, Memel, Liebau et Window en Courlande, Mittaw et à Riga après sa reduction Mais comme les Suédois ont présentement fait la paix avec la Russie, et qu'il est à présumer que les Anglais n'entreront pas dans la Baltique dans les vues de forcer l'Impératrice de Russie à faire la paix et encore moins pour favoriser nos opérations contre les Russes, de façon qu'étant entièrement privés des avantages de la mer, pour les transports de nos maga-

[1]) Francuszczyzna generałów pruskich nie jest zbyt poprawna, składnia jest często błędna, liczne są usterki językowe Zachowując pierwotny tekst, poczyniliśmy niezbędne drobne poprawki. Duże trudności przedstawiały nazwy miejscowości.

sins de bouche et de guerre, il est donc question, que si nous voulons faire la guerre à la Russie, qu'il nous faut faire d autres dispositions relativement à nos magasins, à nos marches et à nos opérations, vu que les Russes étant entièrement les maîtres de la mer Baltique, ils ruineront non seulement nos magasins, si nous les établissions, comme jai dit ci devant, à Window, Liebau, Memel, Pilau et même à Königsberg, mais encore ils pourraient tenter avec leur grande flotte et celle de leurs galères des descentes depuis Memel jusqu'à Stettin et ravager nos côtes avec 15 à 20 m. hommes... C'est à dire, si nous ne prenons pas toutes les précautons nécessaires pour les empêcher, tant par divers corps, detachés et retranchés sur les dites côtes que par des grandes batteries et surtout composées de mortiers et d'obusiers afin de les empêcher par ces arrangements toutes les, descentes qu'ils pourraient préméditer sur nos côtes, l'on voit donc que les Russes, étant entièrement les maîtres de la mer Baltique, à combien de dangers nous sommes exposés en leur faisant la guerre dans les pais lointains et surtout par la difficulté de transporter par terre nos magasins de bouche et de guerre..., et surtout si l'on examine et pèse mûrement tout ce que nous pouvons faire et entreprendre sur nos ennemis, et ce que nos ennemis peuvent préméditer et exécuter sur nous. Mais enfin, s'il est question de faire la guerre aux Russes, il la leur faut donc faire brusque, courte et avec des forces supérieures surtout en cavalerie, afin de les intimider par nos premiers exploits et les forcer par là à faire une paix aussi glorieuse pour le Roi que pour ses armées, mais pour y réussir, voici ce qu'il me semble le plus convenable:

Premièrement il faut supposer que les Russes en continuant la guerre avec les Turcs sont encore à même de nous opposer 100 m. h.. Par conséquent nous devons au moins leur en opposer autant, puisque nous pouvons compter 30 m. h. tant pour l'escorte de nos convois que pour nos magasins.

N. B Je sais d'avance que l'on trouvera exorbitant les 30 m. h. que j'ai destinés pour la garde de nos magasins..., mais quand on réflechira mûrement et militairement qu'il n'y a aucune forteresse en Prusse ni dans la Samogitie, ni dans la Courlande et que par conséquent nous devons former nos magasins dans de misérables bicoques de ville ouverte de tous côtés, l'on sera pour lors assez convaincu qu'il nous faut au moins des troupes que j'ai destinées à chaque endroit pour la garde des magasins... elles pourront à la vérité rentrer dans leuers armées respectires dès que les magasins nécessaires y seront arrivés et formés.

Néanmoins il reste encore 32 bataillons, détachés des trois armées pour la garde de leurs magasins.

Secondement: Il me semble pour faire la guerre aux Russes avec vigueur, il nous faut commencer nos opérations avec trois armées,

Savoir:

Une grande armée de 60 000 m h. y compris six bataillons d'infanterie legère, six regiments de dragons et 4 regiments d'hussards, destinée à prendre Riga et combattre les Russes de se côté-là, cette armée dirigera sa marche par Tilsit, Miedniki [1]), Kursani [2]) et Mittaw..

La seconde armée sera composée de 20 m. h. y compris 3 bataillons d'infanterie legère, 2 regiments de dragons et 2 regiments d'hussards laquelle dirigera sa marche par Georgenburg [3]), Bejsagola, Szadoski [4]) et Selburg où il passera la Dwina ou la Duna, selon les circonstances de nos opérations et des mouvemets des ennemis.

La 3-me armée sera composée de 20 m. h y compris 3 bataillons d'infanterie legère, 2 régiments d'hussards laquelle dirigera sa marche par Kowno, Siesisz [5]), Kadol, Satuli [6]) et Dubenna afin d'être à même de passer la Duna

[1]) Miedniki — Medeniszki, pow. rosieński, parafja Szylele, około 70 km. na północny zachód od Rosień.

[2]) Kursani — Kurszany pow. Szawelski.

[3]) Georgenburg — Jurborg.

[4]) Szadoski — Szadowiszki, pow. rosieński, gm. Kielmy.

[5]) Siesisz — Siesiki pow. wilkomierski.

[6]) Satuli — Sałaty pow. wołkomierski na pograniczu Kurlandji.(??)

près de Dubenna, selon les circonstances de nos opérations et des mouvemens des ennemis.

Voilà donc 30 mille hommes qu'il nous faut pour les gardes de nos divers magasins et pour l'escorte de nos divers magasins...

Vu que nous ne pouvons d'aucune façon naus fier aux Polonais puisque cette lâche et perfide nation au lieu de nous soutenir, sont (!) capables de brûler eux mêmes nos magasins et nous trahir de toutes façons, principalement si nous venions à perdre une bataille contre les Russes. C'est pour lors qu'ils mettraient au grand jour leurs perfidies et tâcheraient d'aider les Russes à nous écraser dans nos retraites.

Réflexions, dignes de la plus grande attention militaire.

Dès que nos trois armées seront arrivées sur les bords de la Duna, c'est pour lors qu'il faudra se décider et voir s'il est possible de passer cette rivière pour attaquer et combattre avec force et avantage les Russes, vu que n'ayant point l'avantage de la mer pour les transports de nos magasins de bouche et de guerre, il n'est guère possible de pouvoir entreprendre avec succès le siège de Riga.

Les Russes apprenant que nous marchons contre eux avec trois armées, il est probable qu'ils rassembleront toutes leurs forces pour former aussi trois armées, tant pour nous observer que pour nous empêcher le passage de la Duna et occuperont probablement les camps suivants:

1. Leur grande armée se campera et se retranchera probablement près de Riga, appurant sa droite près de cette ville et la gauche près do Kirholm ayant la Duna en front ou peut être leur grande armée se campera et se retranchera entre Mittaw et Riga afin de couvrir cette place.

2. La seconde armée se campera et se retranchera probablement près de Kakelhuse [1]) ayant la Duna en front.

3. Leur 3-ième armée se campera et se retranchera probablement près de Kreutzburg ayant la Duna en front...

Les dispositions pour le passage de la Duna dans l'ordre suivant:

Notre grande armée passera la Duna au dessus d'Ixkulle et sera campée sur le flanc gauche de la grande armée russe appuiant la gauche de l'armée à la Duna tant pour couvrir ses ponts que pour forcer les Russes à abandonner leurs camps retranchés entre Riga et Kircholm et de pouvoir les combattre dans leurs retraite.

2.

Notre troisième armée passera la Duna au dessous de Dunabourg et s'ira camper sur les flanc droit de teur seconde armée, appuiant sa droite a la Duna, tant pour couvrir ses ponts que pour forcer cette armée à abandonner son camp retranché près de Kakelhuse et la combattre dans sa retraite.

3.

Notre troisième armée passera la Duna au dessous de Dunabourg et s'ira camper sur les flancs gauches de la troisième armée russe, appuiant sa gauche à la Duna tant pour couvrir ses ponts que pour forcer cette armée à abandonner son camp retranché près de Kreutzbourg et la combattre dans sa retraite.

Mais si par hasard, ils étaient retranches de manière à ne pouvoir ni les attaquer dans leurs camps, ni les forcer à la retraite, dans ce cas nos trois armées, s'étant aussi retranchées hors de toutes insultes, détacheront en même tems toute la cavallerie dont les généraux en chef des dites armées pourront se passer avec des corps de grenadiers tant pour combattre et défaire la cavalerie des trois armées russes, que pour ruiner entièrement tous les magasins qu'ils, pourront avoir établis sur leurs derrières pour la subsistance de leurs armées, et si ce grand coup réussit les trois armées russes seront forcées faute de vivre d'abandonner leurs positions inaccessibles et l'avantage à nos armées de les attaquer et de les defaire en partie dans leur retraite de manière à n'oser de longtemps reparaître devant nous et par là nous mettre peutêtre même de nous emparer des trois provinces de la Livonie.

---

[1]) Kakelhuse — Kakenhuse — Kokenhausen.

C'est à dire si elles sont encore à même de nous fournir assez de subsistance pour le besoin de nos armées qui pour lors pourront s'avancer vers Narva en laissant 8 mille hommes près de Riga, pour bloquer en partie cette place et en détachant les corps suivants,

Savoir:

2 m. h. vers Pernau
2. m. h. vers Huppsal
4. m. h. vers Reval
2. m. h. vers Tolsbourg.
Et un corps de 6 m. h. vers Pleskow.

1.

Mais si contre toute attente ces grands projets ne réussissaient pas, pour lors il ne nous resterait d'autre parti à prendre que de répasser avec nos armées la Duna pour prendre des camps avantageux sur la gauche de cette rivière, tant pour observer les Russes que pour épuiser entièrement la Courlande, la Samogitie et une partie de la Lithuanie de toutes leures denrées superflues afin de compléter par là entièrement nos magasins de bouche et en priver les Russes, et que vers l'arrière saison nos armées respectives puissent se replier d'un magasin à l'autre pour revenir succesivement prendre leurs quartiers d'hiver sur les frontières de la Prusse, sans que les Russes puissent nous y suivre faute de subsistance... vu qu'il sérait militairement impossible à nos armées de rester dans des pais entièrement épuisés de tout et dont les habitations sont si isolées, les unes des autres, inconvenient qui occasionnerais infailliblement dans les quartiers d'hiver la ruine de nos armées tant par la difficulté d'avoir des vivres que par les continuelles alarmes que les Russes ne manqueraient pas de nous faire de ce côté là.

Ordre et dispositions pour les retraites de nos armées...

Réflexions sur nos opérations contre les Russes.

N. B. Comme les généraux Russes se font peu de cas de sacrifier mal à propos des milliers d'hommes tant aux assauts des places que celles des camps et postes retranchés, par conséquent cette inhumanité russe nous prouve assez combien de soin, de précaution et de solidité nous devons donner à nos camps et postes retranchés afin d'en pouvoir bien punir ces rustiques, si en cas ils avaient l'audace de vouloir les attaquer par leures forces. En conséquence tous nos ouvrages retranchés doivent être doubles et même triples avec de bons parapets et des fosses larges et profondes et les redoutes fermées et détachées de manière que leurs feux se croisent afin de foudroier et d'ancantir tous les ennemis qui voudraient s'en approcher.

L'essentiel est de prendre des camps avantageux par la nature, lesquels on rend invincibles par l'art, et surtout lorsqu'ils sont défendus par des Prusiens.

Je sais d'avance que l'on sera bien surpris de 100 m. h. que je propose pour faire la guerre aux Russes, outre les 60 bataillons et 10 escadrons, pour couvrir nos côtes depuis Memel jusqu'à Stettin, et qu'il n'y a guère d'apparence que Sa Mté accorde toutes ces forces aussi nécessaires pour sa gloire et pour celle de ses armées.

J'ai déjà dit, comme on l'a vu ci devant, qu'il fallait au moins 30 m. h. tant pour la garde de nos divers magasins que pour les escortes de nos grands convois, et surtout si nous voulons nous avancer dans la Samogitie et la Courlande sur les frontières de la Livonie.

J'ai aussi dit quelle force que les Russes peuvent employer contre nous, ainsi que leurs situations avantageuses pour nous faire la guerre, tant par terre, où ils ont la facilité et la commodité d'avoir tous leurs magasins de bouche et de guerre en abandance que par mer où leures flottes peuvent porter le ravage et la désolation sur nos côtes depuis Memel jusqu'à Stettin, si nous négligions de garder les dites côtes par des corps de troupes bien retranchées et par des batteries bien établies...

Je suppose donc que nous voulions commencer la guerre avec les Russes, avec 50 et 60 m. h., partagés en plusieurs corps d'armées, et avec ces corps d'armées s'avancer par la Samogitie et la Courlande sur les frontières de la Livonie pour y combattre les Russes. Cette guerre ne peut être que très languissante et aussi coûteuse que ruineuse en toute façon, tant par la difficulté de former et de couvrir nos magasins dans ces provinces éloignées que d'escorter nos convois, comme je l'ai déjà allégué ci devant. De façon qu' en déduisant les troupes pour les gardes des dits magasins en question, d'une armée de 60 m. h. à peine nous en resterait-il une de 40 m. pour nos opérations.

De manière que si nous venions à perdre une bataille sur le bord de la Duna ou que l'un ou l'autre de nos corps détachés fût battu et en partie defait, dans ce cas nous devrions faire de nouveau nos retraites, sur les frontières de la Prusse où à peine pourions nous faire face aux Russes victorieux et surtout après un tel affront qui découragerait autant nos troupes qu'elle inspirerait de gloire et de courage aux Russes, dont les essaims de Calmuck et de Cosack que cette nation peut employer contre nous, pourrait tomber sur nos derrières et porter l'effroi et la désolation en Prusse avant que nous puissions arriver sur les frontières pour les en empêcher de façon que le Roi pour redresser ces échecs malheureux serait forcé de rendre de nouveau une armée mobile de 40 m. h., ce qui coûterait des sommes considérables et un retardement au moins de deux mois jusqu'à ce que cette nouvelle armée puisse rejoindre l'armée délabrée sur les frontières de la Prusse et si c'était dans l'arriére saison, ces armées réunies ne pourraient opérer que la campagne suivante...

Aussi combien de soldats et de sommes immenses n'en coûterait-il pas au Roi pour cette guerre malheureuse et languissante.

...il est nécessaire d'agir contre les Russes avec une armée de 100 m. h. pour nous mettre à l'abri de tous les échecs malheureux de la guerre que pour conserver notre gloire et déconcerter par là nos ennemis et les forcer à la paix...

Au reste je suis bien persuadé que nous batterons les Russes dans toutes les occasions qui pourront se présenter et même avec forces inférieures.

Mais dès que l'on fait des plans d'opérations, il est question de les faire avec toute la circonspection possible, afin de ne pas se précipiter témerairement dans les illusions trop flatteuses et présomptueuses qui peuvent devenir par la suite funestes à l'Etat, aux armées, aux généraux qui les commandent, ainsi pour s'en mettre à couvert. Il faut toujours prendre les choses au pire afin de pouvoir dans les occasions critiques surmonter avec gloire et succès tous les revers des malheurs qui peuvent arriver pendant le cours d'une guerre.

Ah! Si nous avions la mer pour le transport de nos magasins de bouche et de guerre quelle guerre heureuse et glorieuse ne pourrions nous pas faire contre les Russes, en allant, successivement humiliés, jusqu'à Pétersbourg dans les circonstances présentes, mais toujours avec une armée de 100 m. h.

Réfexions sur la guerre que nous pouvons prémediter en Pologne contre les Russes joint aux dangers qu'il y a de s'y engager, tant par rapport à la subsistance de nos armées q'au peu de confiance que nous devons avoir envers les Polonais lesquels n'ont aucune place de guerre de ce côté là pour former des magasins suffisants, tant pour l'entretien de nos armées que pour celle de leurs propres troupes.

Si nous prenions trop légèrement la résolution d'entrer avec une armée en Pologne. dans les vues d'y soutenir les Polonais, et qu'il nous arrivât quelque échecs malheureux de ce côté-là, notre armée serait exposée à périr faute de subsistance et de munitions de guerre. Au reste il me semble que nous ne devons point nous régler sur les fausses démonstrations des Russes lesquels ne cherchent qu'à nous obliger à laisser nos États de Prusse à découvert afin de pouvoir plus facilement faire des descentes sur nos côtes avec leurs flottes et y porter le ravage et la désolation et à nous attirer dans les déserts de la Po-

logne dans les vues d'y faire périr nos armées tant par la famine que par la désertion, approchant comme celle de Charles XII après la malheureuse affaire de Poltawa.

Il me semble donc que nous devons plutôt forcer les Russes à régler leurs opérations sur les nôtres. En conséquence je suppose encore qu'ils rassemblent des corps de troupe du côté de Polock, Smolensk et Mohilow, ils menacent les États de Pologne et non les nôtres. C'est donc à cette nation à défendre leurs États comme nous devons défendre les nôtres et d'ailleurs, si les Polonais ont 60 à 70 mille hommes, comme ils l'assurent qu'ils en fassent marcher 20 mille sur les bords du Niestr (!) pour donner jalousie aux Russes de se côté là, cette armée peut subsister des magasins qu'ils pourront former à Kamieniec.

2.

Qu'ils fassent marcher une autre armée de 20 mille hommes vers Kijow afin de ruiner les grands magasins que les Russes ont dans cette ville.

3.

Qu'ils fassent marcher une autre armée de 20 mille hommes vers Mohilow ou vers Polock, je réponds (par ces trois diversions) qu'ils donneront assez de tablature aux Russes de ce côté là, ce qui facilitera les Turcs dans leurs opérations ainsi que les notres vers la Livonie. Outre cela dès que les Russes apprendront que nous avons pénetré avec 3 armées par la Samogitie et la Courlande pour nous avancer en force sur les frontières de la Livonie, je réponds que ses divers corps russes feront toute la diligence possible afin de se porter dans la Livonie tant pour couvrir cette florissante province qui leur est de la plus grande importance que pour nous empêcher d'y pénetrer, ce qui leurs sera facile, et surtout si les Anglais ne viennent pas à notre secours par mer, et qu'il ne nous soit pas possible de passer la Duna qu'entre Selburg et à Jocobstadt, quoiqu'il me semble qu'à deux lieues au dessus de Riga, près de Kircholm, il y a des grandes îsles dans la Duna qui partagent cette rivière en plusieurs bras où notre grande armée pourrait facilement y passer, soit par des pontons ou des ponts à chevalets, avantage qui serait de la plus grande importance pour les succès de nos armées, d'autant plus que si nous étions forcés pour nos opérations de passer cette rivière entre Selburg et Jakobstadt qui sont à 14 milles du dessus de Riga dans les vues de pénetrer dans la Livonie et de nous avancer vers Riga.

Ce projet ainsi que celui de pénetrer en Pologne me parait entièrement destitué des vrais principes militaires par les raisons suivantes:

1) N'ayant point la mer pour les transports de nos magasins de bouche et de guerre quel avantage pouvons nous donc espérer en entrant dans la Livonie de ce côté là et surtout par la difficulté de pouvoir former nos magasins de bouche et de guerre sur les bords gauches et droits de la Duna pour le soutien de nos opérations dans cette province et les dangers où nos armées s'exposeraient en s'y enfonçant trop.

2) Je suppose encore que nous puissions établir nos magasins de bouche et de guerre à Kreutzburg sur la droite de la Duna, il nous faudrait un corps considérable pour garder ces magasins par ce que les Russes ne manqueraient pas de tout tenter pour les ruiner ainsi que nos convois.

3) Je suppose encore que nous voulions former nos grands magasins à Selburg sur la gauche de la Duna, au lieu de les former à Kreutzbourg, comme je l'ai dit, il faudrait aussi un corps de troupes pour les garder, et si nos ponts de communication sur la Duna venaient á être ruinés par les bombes et obus des ennemi ou à se rompre par le gonflement des eaux de pluies dont la Duna est si susceptible par le nombre infini des rivières qui s'y déchargent, pour lors dans ce cas nos ponts ruinés et la communication de nos magasins coupée, joint à la difficulté de rétablir les ponts, exposerait notre armée, enfoncée dans la Livonie, à une disette aussi dangereuse que ruineuse, ce qui ne pourrait pas nous arriver, si nous pouvions établir nos ponts sur la Duna entre Riga et Kircholm ou près d'Uxkull, comme je l'ai déjà dit. Raison qui prouve assez la déffectuosité de passer si haut la Duna et de vouloir pénetrer avec une armée en Pologne.

Ah! faut-il donc que le meilleur des Rois veuille (!) ruiner ses belles troupes et épuiser ses trésors pour une nation aussi perfide qu'ingrate, telle que le sont les Polonais.

Org. sign. de Favrat
Du Cantonnement de Gumbinnen.

le 6 Octobre 1790.

II.

PLAN WOJNY PRUS Z ROSJĄ z r. 1791.

Si l'interêt du Roi demanderait de faire une guerre offensive contre la Russie laquelle ne seroit proprement qu'en faveur de son allié, la Porte Ottomane, sans aucun esprit de conquête, lequel ne peut pas avoir lieu dans ces circonstances et simplement par honneur et pour prouver à l'Impératrice de Russie qu'elle n'est pas despotique sur l'Europe, et que ce n'est que la désunion des puissances et leurs fausses vues qui lui ont permis de s'agrandir, comme elle a fait.

Il seroit nécessaire d'être préalablement assuré des Polonois (!) qu'ils feront cause commune avec nous pour nous prêter la main et de pouvoir se flatter sans faute que les Anglais enverront une flotte dans la mer Baltique laquelle, en couvrant nos côtes de la Prusse et de la Pomérainie de toute insulte, se porterait en même temps sur Riga, Reval et Cronstadt; assuré sur deux points, il ne s'agirait en tout que de faire un plan d'opération avec des forces supérieures qui ne laissent aucun doute pour la décision (puisque dans une guerre que l'on ne fait que pour prouver sa supériorité, il ne faut pas marchander) et lequel couvriroit en même temps les provinces du Roi.

La plus grande difficulté qu'on rencontre est l'ignorance du local des pais où l'on veut faire la guerre dont il n'y a que des notions superficielles par des mauvaises cartes géographiques. Ce le grand éloignement de notre pais, la difficulté des subsistances et l'impossibilité de les faire suivre par eau.

Aucune place d'armes ni dans la Prusse ni en Pologne ou dans la Courlande, l'obligation par conséquent d'en établir, en chemin à faire, du travail pour y établir ces depôts et hopitaux, des chemins quasi impraticables... sans ponts dans un pais, coupé partout par des rivières et ruisseaux qu'on ne trouve sur aucune carte et qu'on rencontre à chaque pas, des forêts immenses à passer, d'abord dans la Samogitie qui ne permettent aucune communication d'un corps, d'une colonne avec l'autre... peu ou point de villages, dans ces immenses pais, encore moins d'habitants, aucune assistance... n'usant qu'un chariot, comme nos brouettes auxquelles ils attèlent deux petits chevaux, peu ou point de moulins, les habitants faisant leure farine entre deux pierres qu'ils nomment *qurrl* (!) de sorte qu'il sera de nécessité que les compagnies aient des petits moulins sur leurs chariots de munition.

Après avoir fait mention des difficultés qui se présentent, passons aux moiens de les lever, s'il est possible. Je n'indiquerois qu'en gros ceux qui se présentent à l'imagination et en y touchant je ne m'émanciperois pas de fixer le nombre des troupes qu'il faudra ni leurs dispositions et détails que j'abandonne aux lumierés et (à la) volonté du Général Commandant.

Pour agir avec une probabilité de succès, il paraît que la situation des pais demande qu'on y aille en 3 corps, dont celui du milieu soit supérieur à tout ce qu'il recontreroit et pour passer et forcer le passage de la Duna.

Le corps à gauche seroit pour couvrir le flanc du corps du milieu pour tenir en échec les troupes ennemies près de Riga, pour masquer le passage du tête de pont ennemie et pour faire un détachement le long de la côte vers Libau et Window afin que l'ennemi ne fasse voler des trouppes légères, le long des côtes pour ravager nos pais.

Il sera difficile à ce corps de joindre la grande armée à son passage de la Duna, puisqu'il sera dans un éloignement de l'autre de 18 á 20 milles qu'il ne pourra pas aisement dégarnir son poste et que la vis à vis de Riga ou Mitau derrière la rivière. Da... il n'y a que des bois à passer jusqu'à Dunabourg.

La Colonne de la droite couvrira le flanc droit de l'armée, il lui sera plus facile de la joindre, s'il n'y a pas d'ennemi qui la tienne en échec en passant près du lac de Moltiling (!?), longeant la rivière de Disna (!?), elle en sera toujours couverte, et si les Polonais agissent comme de bons alliés, il ne leur sera pas impossible d'envoier leurs troupes legères et toute leure cavalerie, vers Mohilow et Smolensk pour y faire une diversion et ravager tous les environs, ce qui mettrait toute l'expédition sur la Duna hors d'échec.

Comme il n'est pas possible de prévoir le proiet des Russes, si (!) ils resterout derrière la Duna, pour nous y attendre ou s'ils la passeront pour aller à notre rencontre, dans l'idée de porter la guerre en Pologne pour y vivre et nous éloigner de l'entrée de la Livonie en risquant une bataille peut-être dans un poste que malheureusement nous ignorons, conaissant mieux le pais que nous, il faudra marcher avec la précaution nécessaire pour ne pas manquer de vivres et fourages en cas que nous sommes obligés de nous arrêter avant de pouvoir nous décider, s'il y a moien de tourner l'ennemi, sans trop nous éloigner de notre train et bagage ou s'il faut l'attaquer.

Le corps principal ne poura guère être moins de 36.000 h., étant obligé de détacher pour couvrir ses entrepôts et porter des communications de l'un à l'autre.

Celui de la droite de 12.000 h., étant obligé de pourvoir à la sûrete du magasin qui pourroit s'établir à Braslaw le seul endroit que les officiers ont trouvé d'une situation à pouvoir s'y établir étant comme une péninsule.

Celui à gauche doit être au moins de 8.000 h. non seulemement pour prendre un poste conveneble, pouvoir détacher à gauche vers la mer et garder les ports, mais pour couvrir notre pais de ce côté, entretenir une communication avec notre pais, l'armée et pourvoir á la surete des dépôts, qu'on établiroit sur nos derrières.

Il faudrait garder le poste de Cauen [1]) avec 4.000 h. et y établir un depôt, placer 2.000 h. à Prenn [2]), pour être maître du passage de la Memel et y faire établier une tête de pont peut-être ne seroit il pas mal de mettre de la garnison à Memel et d'y faire étabir une redoute ou deux bataillons pour garder les ponts de Tilsit et quelque cavallerie pour faire des patrouilles, un corps au moins de 4 bataillons et 500 hommes de cavalerie pour prendre un camp couvert entre Schalken [3]) et Crort (!?) afin de se porter là où le besoin le demanderoit pour obéir à une descente.

Il faudroit au moins 2 bataillons de garnison à Pillau, et 4 bataillons pour Koenigsberg.

Il faudra des pontons pour chaque corps afin qu'il ne soit pas arrête dans la marche, la Pologne étant coupée par plusieurs fleuves, comme l'on voit par les itinéraires topographiques des officiers.

Comme nous ne passons que par des pais amis jusqu'à la Duna que par conséquent il n'est pas permis de fourager, que cependant il sera impossible de trouver d'abord les fourages nécessaires, jusqu'à ce que nos commissaires s'arrangent avec ceux de la Pologne et de la Courlande, il faudra au moins pour huit jours les amener avec nous sur des chariots des paisans selon un calcul fait par le commissariat, il faut pour ce corps seul ici, qui a été chez moi jusqu'ici 1214 chariots à 4 chevaux.

On travaille à un état de défence près des côtes. Les officiers qui lèvent du terrain entre Libau et Pillau ne sont pas encore de retour.

Insterbourg le 12 Janvier 1791.

Henckel, podp. org.

Podał *Bronisław Dembiński.*

---

[1]) Cauen, Kauen, Kowno.
[2]) Prenn — Preny, niedaleko Marjampolu.
[3]) Szaki na lewym brzegu Niemna.

ROZPORZĄDZENIA O GWARDJACH NARODOWYCH KS. W.

Niżej podane dokumenta służą jako ilustracja i uzupełnienie artykułu mego *Gwardje narodowe w czasach Księstwa Warszawskiego.* [1]) W przytoczonych dokumentach pisownia została zmodernizowana. Zaznaczam, że dekrety z 24 kwietnia i 22 lipca 1807 r. są drukowane w Rostworowskiego *Materjałach do dziejów Komisji Rządzącej z roku 1807.* (Kraków 1918), dekret z 11 kwietnia 1811 r. jest publikowany w Gembarzewskiego *Wojsko Polskie 1807 — 14.* (Warszawa 1912). Niniejsze zarządzenia są więc uzupełnieniem wyżej wspomnianych dekretów organizacyjnych.

I. PIERWSZE PRZEPISY O ORGANIZACJI GWARDJI NARODOWEJ.

Gwardja nacjonalna, czyli straż miejska. [2]) Informacja do wspomnianej organizacji.

1) Powinno być zrobione jako najdokładniejsze wypisanie wszystkich mieszkańców miasta.

2) Z takiej listy należy wyciągnąć imiona i nazwiska tych, którzy mają lat szesnaście skończonych i tych, co nieskończonych sześćdziesiąt.

3) Wymienieni w poprzedzającym artykule są z powinności członkami gwardji nacjonalnej, czyli straży miejskiej.

4) Lista onych ma być cyrkułami wypisana osobno z wyszczególnieniem imion, nazwisk, ulic, numerów.

5) Z listy członków gwardji nacjonalnej składających, robi się z organizacji gwardji podług informacyj i kompanij bataljonów i regimentów infanterji linjowej francuskiej.

6) Uskutecznia się organizacja przez wyznaczenie nazwiska osób, które w jakim stopniu i randze mają być umieszczonemi i pełnić swe funkcje podług przepisów, regułami francuskiemi dla wojska wydanych.

7) Członek gwardji nacjonalnej może się zastąpić dać tylko przez drugiego członka z tejże samej gwardji, w tejże samej randze, co on jest podanym w organizacji i ogłoszonym w całej miasta tego gwardji.

Wszystkie obowiązki, jakie pełnią wojskowi w garnizonie, pełnić musi gwardja nacjonalna w swem mieście bez żadnej płacy i wymagania żadnego, tudzież o dwie i pół mili od miasta. Gdyby zaś dalej był użytym który członek z gwardji nacjonalnej jak o półtrzecia mil polskich, ma prawo do płacy, furażu i żywności każdy w swej randze, tak jakby był linjowym wojskowym.

9) Karność, posłuszeństwo starszym i uszanowanie toż samo, co w wojsku.

Dan w Poznaniu, dn. 16 Novembris 1806 roku.

Dąbrowski.
Zgodne z oryginałem: Hauke.
Pułkownik szef sztabu.

Na fundamencie uniwersalu JW. IM. Pana generała dywizji Dąbrowskiego de dato 17 novembris a. p. i reskryptu prześwietnej izby administracji publicznej de dato 16 februarii a. c. zebrała się krótka instrukcja dla gwardji nacjonalnej, od wszystkich komendantów francuskich we wszystkich punktach zrewidowana i podpisana, z której każdy kapitan dla swojej wiadomości kopję brać powinien. [3])

---

[1]) *Przegląd Historyczno-Wojskowy* Nr. 1 str 99 — 116.

[2]) Archiwum Państwowe w Poznaniu — Kościan v. 37 k. 1 i 2 — kopja.

[3]) Archiwum Główne X. W. v. 266 k. 65—70, o tej instrukcji raportuje izba administracji publicznej departamentu poznańskiego dyrektorowi departamentu wojny w dniu 29 maja 1807 r., że podług niej „wszystkie milicje departamentu uformowane zostały".

§ 1. Wszyscy mieszczanie tak chrześcijanie jako i żydzi należą z powinności do gwardji nacjonalnej lub straży miejskiej i nikt od tego obowiązku nie jest wolny, prócz osoby magistratowej reprezentacji miasta, słudzy kościelni, oficjaliści, kominiarze i dozorcy sikawek i starsi żydoscy. Jednakowoż wolno jest każdemu z tych być, jeżeli chce, członkiem gwardji.

§ 2. Zwierzchność najwyższa upewnia gwardje nacjonalne, iż jedynie dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa miejscowego się to dzieje i że nigdy ani w części lub całkowicie gwardje nacjonalne do służby wojskowej użyte być nie mają.

§ 3. Gwardja nacjonalna jest podzielona na kompanje i składa się każda podług przepisu z 60 ludzi, 1 kapitana, 1 porucznika, 1 podporucznika, 1 chorążego, 4 sierżantów, 4 unteroficerów, 1 feldfebla, 1 junkra i 4 doboszów.

§. 4. Z majętniejszych w mieście wybierze się kompanja wyborowa grenadjerów lub strzelców.

§ 5. Gwardziści kompanji wybornej podług przepisu muszą być ludzie, na ziemi polskiej urodzeni.

§ 6. W miastach, gdzie więcej kompanjów formowano, kapitan kompanji wybornej ma najwyższą komendę.

§ 7. Żydzi, gdzie liczba ich jest taka, aby można formować, więc powinni mieć swoich oficerów, jeżeli ich zaś tyle niema, aby kompanję formować mogły, wtedy między insze kompanje podzieleni być powinni, wyłączywszy ich od kompanji wybornej, lecz ostrzega się, aby w dni sabatu i świąt wolni byli od odprawiania warty i każdej służby, jednakowoż samo przez się rozumie się, że równe prawo chrześcijanie w uroczyste święta mają.

§ 8. Przynajmniej kompanja wybrana musi być umundurowana, a to własnym kosztem i że jeżeli dozwala majątek, drugie kompanje także się umundurować mają. Kolor mundurn to jest starego municypalnego koloru — granat z seledynem.

§ 9. Jeżeli nie mogą być uzbrojone wszystkie kompanje, to przynajmniej kompanja wyborna uzbrojona być powinna i do tego, gdzie są bractwa strzeleckie, broń tychże użytą być powinna. Każdy członek bractwa strzeleckiego odbiera za oddaną broń kwit magistratu z wyszczególnieniem, w jakim stanie broń się znajduje i czy dość warta, i gdyby broń swoją miał nie odebrać, wtedy z kasy mieszczan, do której się wszyscy składać mają, zapłaconą być powinna.

§ 10. Gdyby broń bractwa strzeleckiego nie miała być dostarczająca do uzbrojenia wszystkich lub kompanji wybornej, wtedy magistraty udadzą się, jeżeli we szlacheckich dobrach podług reskryptów do swych dominjów, aby im broń od gmin odebrana oddana była, a gdyby żadnej broni nie było, powinni się tymczasowo uzbrajać pikami lub halabardami.

§ 11. Wszyscy gwardziści powinni spełniać swoje obowiązki wiernego mieszczanina, jako też rozkazy oficerów, ekscesu zaś pod ciężką odpowiedzialnością unikać.

§ 12. Karność, posłuszeństwo i uszanowanie toż samo jak w wojsku, jednakowoż powinnością będzie oficerów obchodzić się z ludźmi pod swoją komendą z jaknajwiększą łagodnością i dobrocią, lecz gdyby który winną pokorność posłuszeństwa i uszanowania przeciwko oficerowi wykroczył, wtedy mają oficerowie moc w następujący sposób ukarać: 1) pierwszą razą, gdy członek gwardji zapomina o reskrypcie i posłuszeństwie, które winien oficerowi, 24 godzinnym aresztem na odwach skazanym być powinien; 2) za drugą razą, gdy w ten sam sposób wykroczy, 24 godzinnym aresztem w kajdankach na odwach skazanym będzie; 3) za trzecią razą już więc, gdy już wspomniane kary żadnego skutku nie uczyniły, wtedy w kajdankach powinien być transportowanym do Poznania i do ukarania wojsku być oddanym.

§ 13. Jednakoż nie wolno kapitanowi samowładnie ukarać i powinnością jego jest w takowym przypadku donieść o tem magistratowi i czekać jego rezolucji, czyli go osądzi być winnym kary; w dwóch pierwszych przypadkach może magistrat dać rezolucję egzekwowania kary, co się zaś

tyczy trzeciej kary powinien donieść do oficium poborowego i oczekiwać stamtąd rezolucji.

§ 14. Wszystkie obowiązki, co pełni wojsko w garnizonach, członek gwardji nacjonalnej każdy pełnić musi tak w miejscu lub odległości od miasta milę, lub dwie, bez wymagania zapłaty. Gdyby zaś dalej był użytym. to jest o półtrzecia mili polskiej lub więcej, wtedy ma prawo podług ustawy JW. IM. Pana gen. dyw. Dąbrowskiego do płacy, furażu i żywności, każdej podług swej rangi, tak jakgdyby był w linjowem wojsku.

§ 15. Członek gwardji nacjonalnej może się dać zastąpić w swojej służbie od innego, lecz też musi być z tego miejsca i tej samej rangi, jak on.

§ 16. Co się tyczy służby, w następujący sposób odbyta być powinna. a) Każdy kapitan codziennie wyda parol i ordynans, w jaki sposób służba odbyta być powinna; dla tej przyczyny codziennie oficer i feldfebel lub unteroficer u niego meldować się powinni. b) Każdy wieczór unteroficer, który trzyma wartę, przyjdzie z raportem do kapitana, co się działo w dniu, i rano raportować powinien, co się przez noc działo. c) Kapitan codziennie odebrany raport, po obluzie warty podpisawszy go, odda magistratowi miasta i odbiera w przypadkach, w których instrukcja nie wspomina, informację, jak się w takowych przypadkach zachować. Jeżeli zaś w którem mieście jest francuski, lub polski komendant, wtedy nietylko raport do magistratu, lecz też komendantowi być oddanym powinien, chyba że od tego kapitan ów uwolni, i ma zawsze najwyższą komendę. d) Przy pryncypalnych wjezdnych ulicach miasta, jako też przy magazynach, kasach, gdzie się takowe znajdują, jako też przy odwachu powinna stać warta, która się co dwie godziny jako i wszystkie odluzować powinna. e) Z tej przyczyny trzeba, aby co 24 godzin codziennie o godzinie 10 z rana z potrzebną bronią na odwachu według potrzeby i ilości szyldwachów warta zaciągała. Kapitanowie dadzą baczenie, aby warta w porządku zaciągała, i wydadzą parol, czyli hasło; powinnością jest, aby każdy dzień zaciągał porucznik, lub podporucznik, albo chorąży i lubo niepotrzebny zostać ma na odwachu, jednakże w mieście zostać powinien, aby w przypadkach zawsze mógł być na warcie. Podczas jarmarku zaś powinien oficer, zaciągający wartę, zostać na odwachu i warta powinna podwójnie zaciągać, w niedostatku broni zaś powinna zaciągać warta, uzbrojona w piki lub halabardy. f) Feldfeblowie powinni codziennie raport zrobić i podać listę kapitanowi, wyrażającą ilość ludzi, codziennie na wartę zaciągać ma, i przykaże unteroficerom, aby wyznaczoną ilość ludzi wieczorem wprzód na wartę obstalowali i podzielona została dla tego kompanja w równe części między unteroficerów. g) Szyldwachy na wszystko to, co się dzieje, pilnie baczność dać powinni. Unteroficerom zaleca się, aby wszystkich przejezdnych i przechodzących wyegzaminowali, imiona ich kontrolowali i oficerowi, wartę trzymającemu, podali do zrobienia raportu, jak się ad c) pisało. h) Tak we dnie, jak w nocy kapitanowie powinni codziennie często kazać kontrolować przez oficera, wartę mającego, aby się przeświadczyć, czy gwardzista nacjonalny każdy na swojej wyznaczonej warcie i gdyby się okazało, że który szyldwach nie na swojem miejscu, natychmiast trzeba go kazać odluzować i aresztować, aby go podług § 12 i 13 za zezwoleniem magistratu dać ukarać. W nocy osobliwie powinien być unteroficer warty często dwiema gwardzistami patrolować, jako też rontem obchodzić. i) Żadnej warcie nie wolno się z przeznaczonego miejsca dalej jak 30 kroków oddalić się i w przeciwnym razie kary. k) Do odluzowania szyldwachów za każdą razą unteroficer lub gefrajter powinien zaprowadzić wartę i, odluzowawszy ich, z nimi na odwach wrócić się powinien. Szyldwachy co dwie godziny powinny być zluzowane. l) Skoro szyldwach w nocy co spostrzeże lub usłyszy, natychmiast zawołać powinien „kto idzie", gdy nikt na to nie odpowie, lub się pokaże co podejrzanego, natychmiast powinien go zatrzymać, lecz nie powinien oddalić się od swego miejsca, tylko powinien dać znać oficerowi na warcie o takowym przypadku. Także powinien być każdy, niespokojność czyniący, tak we dnie, jako i w nocy, aresztowanym.

§ 17. U każdego kapitana powinny być złożone ładunki z kulami dla kompanij, które jednakowoż nie prędzej, jak w potrzebie między gwardzistów podzielone być powinny.

§. 18. Podczas niedziel i świąt po nabożeństwie po obiedzie, każdy kapitan powinien swoją kompanję, wyjąwszy tych na warcie, w rynku zgromadzić i uczyć ich początków musztry, gdyby zaś kompanja miala się ćwiczyć w strzelaniu, wtedy powinny wymaszerować za miasto i na wolnym placu się musztrować, lecz samo przez się się rozumie, iż ładunki bez kul być powinny.

§ 19. Nareszcie nie wolno żadnemu gwardziście pod najsurowszą karą w mieście, lub w ulicach strzelać, albo bronią jaką szkodę bądź komu chce uczynić. Także powinni gwardziści nacjonalni wstrzymać się uczynków przeciw dobremu porządkowi policji.

§ 20. Na słup alarmowy, czyli lermstange, który przy mieście, jako też przy wsiach warta baczenie dać powinna i skoro spostrzeże, iż w miejscu lub w sąsiedztwie słup takowy się pali, natychmiast dać znać kapitanowi, który pod osobistą odpowiedzialnością każe zabębnić i zadzwonić na gwałt i kompanją z nabitą bronią w tę stronę, gdzie się takowy słup pali, na pomoc dążyć powinien; za każdego przy takowym razie złapanego 10 talarów nagrody odbiorą.

§ 21. Nakoniec jest powinnością magistratu i kapitana co miesiąc przysłać generalny raport oficium poborowemu, który okaże, co się nowego w mieście stało, czyli warty w należącym porządku się odprawiały, czyli nadzwyczajne warty i transporta były, czyli który podług subordynacji wykroczył i dość mundurów i broni przybyło.

Podług tej instrukcji, tak kapitani, jako oficerowie, unteroficerowie i gwardziści powinni się zachowywać i w niedopełnieniu mają najsurowszą karę do oczekiwania.

Dan w Kargowie, dn. 9 marca 1807.

Oficium poborowe międzyrzeckiej inspekcji:
(podp.) Unrug.

II. OSTATNIE ROZPORZĄDZENIA MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Minister Mostowski do prefekta departamentu bydgoskiego. Warszawa, 22 października, 1812 roku.[1])

Gdy z planów obrotów wojennych ks. Schwarcenberga, korpusami wojsk austrjackich komenderującemu, wypadło było usunąć na jeden punkt wojska swoje i tym sposobem odsłonić kraj, między Bugiem a Wisłą leżący, kozaki chciwi łupów, ośmieleni popłochem naszych mieszkańców, nie znajdując nigdzie najmniejszego oporu, rozbiegłszy po departamencie siedleckim, a nawet części lubelskiego, zwykłym wojowania swego sposobem, pomnażali trwogę, rabując bezbronnych mieszkańców, wybierając kontrybucje i niszcząc pożogami niektóre osady.

Dziwić się należy, że dwóch, kilku, czy kilkunastu kozaków zdołało w największej zrobić zamieszanie, przywieść postrach i wystraszyć kontrybucje, smutne to, lecz istotne doświadczenie wskaże potrzebę użycia środków, ochraniających kraj od podobnych nadal napadów. W tym celu Minister spraw wewnętrznych zaleca W-mu Prefektowi: 1) Ażeby w samym Departamencie Gwardję Narodową urządził, uzbroiwszy w broń tymczasowo taką, jaką kto mieć może, nawet w piki i kosy. 2) Do Gwardji Narodowej Miejskiej powołani bydź mogą wszyscy czeladnicy, służący, po miastach będący, tudzież wszyscy ludzie luźni, po wsiach znajdujący się, nadewszystko zaś ochotnicy, strzelcy i gajowi, celnie strzelać umiejący. 3) Nie przepisuje się W-mu Prefektowi liczbą osób formować się mającej Gwardji, bo ta zbyteczną bydź nie może, dla czego W-ny Prefekt i Pp. Podprefekci przyłożą się gorliwie, ażeby, ile bydź może, liczba największa Gwardji utworzoną była. 4) Gwardja, formująca się w Departamencie, podzieloną bydź powinna na kompanje. W-ny Prefekt i Podprefekci przydadzą do każdej kompanji oficera, z szczególniej w służbie polowej będących lub z teraźniejszej służby wyszłych, bez czynności zostających. 5) W-ny Prefekt oznaczy kilka punk-

[1]) Archiwum Państwowe w Poznaniu v. A. III-i 6⁴ k. 1 i 2.

tów w swym Departamencie, w które pomienione kompanje Gwardji zgromadzone bydź mają i w też punkta one wciągnie, gdzie one w takim przysposobieniu i gotowości mieć będzie: ażeby one do ważniejszych czynności wojennych, gdyby tego była potrzeba wezwanemi bydź mogły. 6) Życzyćby należało, aby dla nabierania postawy wojskowej, ażeby Gwardja przyzwoicie ubraną była, nagłość jednak czasu, nawet wielu niemożność są powodem do uwolnienia członków Gwardji od sprawienia sobie mundurów. 7) Gwardja Narodowa w powiatach pod zwierzchnictwem i dyspozycją podprefekta w Departamencie pod rozkazami W-go Prefekta zostawać będą. 8) W-ny Prefekt, w przypadku zagrożenia granic jego Departamentu przez małe oddziały, czyli podjazdy nieprzyjacielskie, wyszle natychmiast z Gwardji Narodowej dostateczną siłę, dla oparcia się pojedynczym napaściom i rabunkom, a nawet, gdzie to bydź może, dla wpadnięcia w tył, lub we flanki nieprzyjaciół, przerywania im komunikacji i wprawienia ich w niespokojność. 9) W-ny Prefekt przesyłać będzie Ministrowi Spraw Wewnętrznych każdej poczty raporty, wykazując ilość kompanij, utworzonej w jego Departamencie, Gwardji, ilość głów, w każdej kompanji będących, gatunek broni, w jaką są opatrzeni, ilość amunicji i naboje, wszelakie obroty i poruszenia tej Gwardji. 10) Żywność dla Gwardji, tak jak dla regularnego wojska, w punktach jej zgromadzenia się z magazynów wydawaną będzie. 11) Byłoby dowodem, ażeby dla utrzymania ciągłej komunikacji z nadgranicznemi Departamentu brzegami W-ny Prefekt miał pewną liczbę konnej Gwardji, tak jednak przez zachęcenie jedynie ochotników własnych kosztem wyekwipowanych i uzbrojonych utworzonym bydź może. 12) Minister Spraw Wewnętrznych będzie miał ukontentowanie przedstawić do łaski Najjaśniejszego Pana tych Prefektów i Podprefektów, którzy najskuteczniej do utworzenia i uzbrojenia się Gwardji przyłożą. 13) Lubo zaś Departament Bydgoski nie jest zagrożony napadem wojsk nieprzyjaciela, przecież W-ny Prefekt Gwardję utworzy, oraz uzbroi i trzymać się będzie w pogotowiu w pewnych punktach, przysyłając o onej Ministrowi Spraw Wewnętrznych raporta w punkcie 9 przepisane.

T. Mostowski

Minister Mostowski do prefekta departamentu bydgoskiego. Warszawa, 29 października 1812 roku.[1])

Minister Spraw Wewnętrznych, w skutku reskryptu swego, w dniu 22 b. m. wydanego, potrzebę organizacji gwardji narodowej wskazującego, otrzymał już od niektórych prefektów raporta i jakie przedsięwzięli dla dopełnienia onego środki. Chcąc ile możności jednostajność w uformowaniu tejże gwardji na cały kraj rozciągnąć z podanych sobie od niektórych prefektów myśli następującą dla wszystkich przepisuje instrukcję:

Artykuł I. Z każdego 20 dymu tak z miast, jako i ze wsiów jeden pieszy gwardzista ma być dostawiony.

Art. II. Miasta gwardji ani wsie zastępców, już dostawionych pod komendę generała Kosińskiego na obronę granic Księstwa Warszawskiego, z liczby artykułu 11 przepisaną, potrącać nie mogą.

Art. III. W miastach burmistrze, po wsiach wójci, lub dominia ludzi do gwardji przeznaczać lub dostawiać mają.

Art. IV. Wybierać należy na gwardje, ile możności, ludzi ochoczych, luźnych bezżennych, a szczególniej strzelców, gajowych, strzelać umiejących, wreszcie czeladników i służących nie starszych nad lat 35.

Art. V. Każdy gwardzista, któryby lub sam, lub kosztem gminy umundurowany być nie mógł, ma mieć z materji wełnianej lub lnianej trójkolorową taśmę w długości cali trzy, na ramieniu zwierzchniej sukni przyszytą, kolory te zastosowane będą do munduru gwardji narodowej — granatowy, błękitny i biały; bokowe taśmy Wielmożny Prefekt z funduszu ad extreaordinaria zakupi i gwardzistom rozda.

Art. VI. Każdy gwardzista swym lub gminy kosztem uzbrojony być powinien w strzelbę, proch i kule, w niedostatku tej broni w pikę i kosę.

[1]) Archiwum Państwowe w Poznaniu — t. III-i 6[4] k. 19 — 23.

Art. VII. Tak uzbrojeni gwardziści zgromadzeni będą w mieście powiatowym i tam pozostaną w gotowości do dalszego powołania, ćwicząc się w sztuce robienia bronią.

Art. VIII. Gdyby miasta powiatowe w bliskości granic lub spodziewanego napadu nieprzyjacielskiego zostawały, oddaje się roztropności podprefektów oznaczyć w głębi swego powiatu inne w miasto, w którem gwardja narodowa ma być zgromadzona.

Art. IX. Podprefekt w każdym powiecie oznaczy skład na prochy i kule, do którego zgromadzeni gwardziści przyniesione z sobą złożyć powinni, takowa amunicja pod dozorem podprefektów zostawać ma i tylko za uznaniem przez tego potrzeby rozdaną gwardzistom będzie.

Art. X. Gwardja narodowa zostawać będzie w miastach powiatowych pod rozkazami podprefektów w mieście zaś departamentowym pod szczególnemi rozkazami, a w całym departamencie pod ogólną dyspozycją prefekta dopóty, dopóki wyższa władza inaczej urządzić nie uzna być potrzebą.

Art. XI. Gwardja w powiecie podzieloną będzie na kompanje, sto ludzi na jedną rachując, gwardja zaś w całym departamencie podzieli się na bataljony, każdy z sześciu kompanij składać się mające. Trzy bataljony jeden pułk formować będą.

Art. XII. Podprefekci z pomiędzy zebranej gwardji wybiorą podoficerów i przydadzą do każdej kompanji podporucznika, porucznika i kapitana z liczby dawnych polskich oficerów, teraz w nieczynności zostających, albo dotychczasowych oficerów gwardyj miejskich, a gdyby tych nakoniec nie wystarczyło, z ochoczych i gorliwych obywateli.

Art. XIII. Podoficerowie, ile możność dozwoli, oficerowie zaś koniecznie czytać i pisać umieć powinni.

Art. XIV. Szefów bataljonu prefekt mianować będzie z osób, służbę wojskową znających.

Art. XV. Gdy gwardja skompletowaną i na bataljony podzieloną będzie, Minister Spraw Wewnętrznych, za zniesieniem się z Ministrem Wojny, majorów i pułkowników dla każdego prześle pułku.

Art. XVI. Oprócz pieszej gwardji, każdy powiat wystawi 10 gwardzistów konnych. Ci powinni być własnym kosztem umundurowani, ekwipowani, w pistolety, pałasz, karabinek opatrzeni i na własnym koniu.

Art. XVII. Na gwardzistów konnych powołani być mają ochotnicy, pisać i czytać umiejący, dobrych obyczajów mający zaświadczenie.

Art. XVIII. Gwardziści konni w departamencie składać będą jedną kompanję, pod rozkazami Prefekta zostającą, z tej przy każdym podprefekcie sześciu ludzi, reszta zaś kompanji przy Prefekcie zostawać będzie.

Art. XIX. Wielmożny Prefekt do kompanji gwardji konnej mianować będzie oficerów i podoficerów inclusive kapitana z zachowaniem przepisów, w art. 12 zawartych.

Art. XX. Dla szczupłości funduszów skarbowych, żołd dla gwardji pieszej i konnej, dopóki tę służbę w własnym departamencie odbywa, płaconym nie będzie. Żywność jednak i furaż, tak dla wojska regularnego, z magazynów krajowych wydawaną im zostanie.

Art. XXI. Zapewnia się gwardzistom konnym pierwszeństwo umieszczania ich w żandarmerji narodowej, w przyszłości uformować się mającej. W liczbie gwardzistów konnych mają być umieszczeni woźni konni, teraz przy podprefektach będący, a fundusz, dla nich służący, na wszystkich gwardzistów ma być podzielony.

Art. XXII. Obowiązkiem będzie gwardzistów konnych wszystkie rozkazy, od Wielmożnego Prefekta lub od właściwych podprefektów sobie dane, natychmiast i jaknajprędzej dopełnić, przeto bądź od granicy departamentu, czy powiatów wiadomości onym udzielać, napadu granic kraju swego od wojsk nieprzyjacielskich z pomocą gwardji pieszej na rozkaz swej zwierzchności bronić, wszelkie poruszenia wojska nieprzyjacielskiego i jego obroty śledzić i o nich Prefektowi donieść. Złoczyńców krajowych dochodzić i wyszukiwać, onych chwytać i władzy miejscowej przystawiać, przestrzegać porządku w przechodach wojsk sprzymierzonych i krajowych.

Art. XXIII. Wielmożny Prefekt i podprefekci używać będą gwardzistów konnych do egzekwowania podatków, żywności i furażów i wykonania wszelkich urządzeń administracyjnych i policyjnych.

Art. XXIV. Ustanowione będą dla gwardzistów nagrody tak za egzekucje, dla egzekwowanych, do których wysłani zostaną, jako też za wynalezienie złoczyńców z odebranych kradzieży.

Art. XXV. Do Prefektów jako naczelnych gospodarstwa swego departamentu należy przewidzieć i zważać, w jakim czasie i w jakiej ilości użycia gwardji narodowej pieszej potrzebować będą, a zatem wiele i kiedy z onej rozpisać mogą, stosownie do rozmaitych celów, powyżej wyszczególnionych, zachowując w powołaniu jej porządkową kolej i czyniąc Ministrowi Spraw Wewnętrznych raporta ciągłe o stanie swej gwardji.

T. Mostowski.
Netrebski.

Podał *Janusz Staszewski.*

POLSKI WYWIAD PRZED KAMPANJĄ 1812 ROKU [1])

W wojsku polskiem doby Księstwa Warszawskiego wywiad o nieprzyjacielu był urządzony bardzo prymitywnie. W łonie sztabu generalnego nie było jakiegoś specjalnego do tej pracy organu. Wiadomości o nieprzyjacielu dostarczali bądźto dowódcy oddziałów kawalerji, rozłożonych wzdłuż granicy dla jej strzeżenia, bądź też prefekci pogranicznych przeważnie departamentów. W ważniejszych tylko wypadkach, jakichś większych ruchów wojsk w ościennych państwach, gdy wywiad miejscowy nie wystarczał, wysyłano za granicę obrotniejszych oficerów dla zasięgnięcia bliższych w tym względzie informacyj. Działo się to zwykle pod rozmaitemi pozorami — poszukiwania dezerterów, zakupów koni, lub wreszcie pod pokrywką urlopów w rodzinne strony, ponieważ nie brak było w wojsku polskiem oficerów, pochodzących z Galicji, czy z tak zwanych prowincyj zabranych. W nadzwyczajnych wypadkach, misji takiej podejmowali się nawet generałowie. Znane są np. relacje o zbrojeniach austrjackich, złożone w przededniu kampanji 1809 r. ministrowi wojny ks. Poniatowskiemu przez generałów Rożnieckiego i Sokolnickiego, którzy specjalnie dla zbadania sytuacji wyjeżdżali do Galicji. Pomijam tu okres samych działań wojennych, gdyż wtedy posługiwano się najrozmaitszymi szpiegami i „emisarjuszami“, wśród mieszkańców danych okolic przygodnie zwerbowanymi. Zresztą ludność wiejska okazywała dużo w tym kierunku dobrej woli. Oddziały nasze posługiwały się, zwłaszcza Rożniecki i Sokolnicki, nieraz z dobrym skutkiem żydami, podczas gdy Austrjakom duże często usługi oddawali, zamieszkali w Polsce, Niemcy.

Taki skromny stan naszego wywiadu nie był w epoce Księstwa czemś rażącem, ponieważ Napoleon miał na miejscu swój aparat wywiadowczy, zrazu w sztabie marszałka Davouta, a gdy on w drugiej połowie 1808 roku Księstwo opuścił, funkcje te prze-

[1]) Zaznaczyć muszę, że w artykuliku tym nie mam zamiaru wchodzić w szczegółową analizę rodzaju i wyniku prac naszego wywiadu w tym okresie. Chcę tylko najogólniej przedstawić ówczesną jego technikę i organizację.

jął francuski rezydent w Warszawie Serra, oraz najwybitniejsza w tym względzie osobistość, pułkownik francuskiej żandarmerji, Saunier. On bowiem pełnił funkcje komendanta placu miasta Warszawy, a zarazem w swojem ręku skupiał wszystkie nici wojskowego wywiadu. Raporty zaś przysyłał wprost do Davouta. Zaraz jednak z początkiem kampanji austrjackiej opuścił wraz z całem swem biurem Księstwo i do niego już nie powrócił.

Skutkiem tego, po wojnie 1809 roku prócz rezydenta francuskiego Serry, którego z początkiem 1811 roku zluzował Bignon, wywiadem musiały się też zająć znacznie intensywniej władze polskie, a przedewszystkiem wojskowe. Lecz i wtedy jeszcze daje się odczuwać brak odpowiedniego wykładnika tej służby w sztabie generalnym. I dopiero groźba najazdu rosyjskiego, którego zapowiedzi zaczęły się okazywać od początku 1811 roku, przymusiła władze, do większego zajęcia się sprawami wywiadu i jego organizacją, zwłaszcza, że w tym kierunku bardzo energicznie naciskał Davout.

Pierwszych wiadomości o agresywnych względem Księstwa Warszawskiego zamiarach cesarza Aleksandra udzielił Napoleonowi Poniatowski w raporcie z dnia 18 lutego 1811 roku. Ponieważ sam dowiedział się o nich wprost od Adama Czartoryskiego, więc, nie chcąc zdradzać źródła ich pochodzenia, mówił tylko ogólnie o planach rosyjskich i środkach, jakie są przeznaczone do jego przeprowadzenia, ale wyraźnie zaznaczał, że „il m'est impossible d'entrer dans le détail des moyens dont je me suis servi pour surprendre le secret de ce dessein", ręczył jednak swym honorem za prawdziwość tych wiadomości [1]).

Ale Napoleon, choć niemal równocześnie otrzymał również i od komendanta Gdańska, generała Rappa, raport podpułkownika d'Héricourta, donoszący o nastrojach wojennych Rosji przeciw Francji, przecież zrazu im nie dowierzał. Do Davouta nawet w swym liście z 24 marca wyrażał się, że to, co Polacy piszą, „sont des bêtises" [2]).

Mimo to jednak, choć Napoleon przypuszczał, że Rosja jest obecnie zbyt zajęta wojną z Turcją, by mogła w najbliższym czasie wystąpić zaczepnie przeciw Księstwu, a zwłaszcza przeciw Francji, przecież w gruncie rzeczy liczył się z możliwością wojny i z tego powodu nakazał zaraz z początkiem marca, a więc tuż po otrzymaniu listu Poniatowskiego, wzmocnić znacznie załogę Gdańska, a wkrótce potem 4 kwietnia, po otrzymaniu za pośrednictwem marszałka Davouta raportu Poniatowskiego z 12 marca, wydał rozkazy, by cała armja t. zw. niemiecka, pozostająca pod dowództwem Davouta, była z dniem 1 maja 1811 roku w zupełnej gotowość do marszu — naturalnie na wschód [3]). Powoli bowiem

---

[1]) Askenazy Szymon: *Ks. Józef Poniatowski.* Poznań 1913, str. 241—2 i LXIX, oraz Margueron: *Campagne de Russie.* Paryż, t. II, str. 49 i nast.

[2]) Margueron II, str. 52—4 i 106.

[3]) Margueron II, str. 68, 93, 109, 130—1.

zaczęły napływać i od Rappa z Gdańska, i od generała Romeufa z Wiednia i z różnych innych stron, wieści, potwierdzające słuszność alarmów warszawskich. Zresztą już wkrótce, mógł Poniatowski osobiście przekonać Napoleona, gdyż w kwietniu przybył do Paryża w oficjalnej misji złożenia cesarzowi powinszowań z powodu urodzin króla rzymskiego.

Również i Davout, który otrzymał od Poniatowskiego w ciągu marca i z początkiem kwietnia szereg raportów o zbrojeniach rosyjskich, był zrazu bardzo sceptycznie względem ich treści nastrojony. Uważał je za mocno przesadzone, głównie, zdaje się, z tego powodu, że Poniatowski podawał w nich tylko ogólne wiadomości o grożącem Księstwu niebezpieczeństwie, ale nie wyliczał dokładnie sił rosyjskich, ich składu, ordre de bataille i sił, które już miały stać między Kowlem a Grodnem, gotowe w każdej chwili do marszu na Księstwo [1]). To też Davout już 31 marca polecał Poniatowskiemu wysłać w różne miejsca osoby zaufane, celem sprawdzenia tych wiadomości i to nietylko odnośnie do wojsk, zbierających sie w najbliższym sąsiedztwie Księstwa, ale też przychodzących z Turcji [2]).

Zanim jednakowoż rozkazy te nadeszły do Warszawy, już generał Fiszer, jako szef sztabu generalnego, z własnej inicjatywy poczynił odpowiednie zarządzenia. Mianowicie wysłał pułkownika Krukowieckiego do Lwowa, celem wywiadów wzdłuż granicy galicyjskiej i od strony tureckiej, pułkownika Tyszkiewicza na pogranicze litewskie, a majora Dziekońskiego w strefę od Tykocina na południe po Kryłów [3]). Co więcej, generał Zajączek, zastępujący Poniatowskiego w naczelnej komendzie, przesunął z początkiem kwietnia ku wschodowi na prawy brzeg Wisły, w okolice Lublina sześć pułków kawalerji, zostawiając je w rejonie Siedlec, Lublina i Ostrołęki, a dowództwo nad niemi powierzył generałowi Rożnieckiemu, który równocześnie też objął główny ciężar wywiadu i będzie odtąd nietylko systematycznie donosił o ruchach wojsk rosyjskich, ale równocześnie będzie kształcił i rozwijał swoje duże w tym kierunku zdolności, by ich potem użyć na szkodę sprawy polskiej.

W kwietniu więc dopiero poczęto organizować w Warszawie aparat wywiadowczy. Nic dziwnego, że zrazu nie działał on dość sprawnie i że raporty, nadsyłane w tych sprawach przez generała Zajączka, naogół nie zadawalały Davouta, gdyż były niejasne. Marszałek więc żądał dokładnych wiadomości o jakości i ilości wojsk nieprzyjacielskich, szczegółowego wyliczenia dywizyj, pułków, nazwisk dowodzących generałów, rozmieszczenia po-

---

[1]) Margueron II, str. 128—9.

[2]) Archiwum Główne Akt dawnych w Warszawie. Dział aktów Księstwa Warszawskiego, Rkp. Nr. 2024. Korespondencja ks. Józefa Poniatowskiego z Davoutem.

[3]) Handelsman Marceli: *Instrukcje i depesze rezydentów francuskich w Warszawie.* Kraków 1914. T. I, str. 310—1, Margueron II, str. 245 i 247 oraz Skałkowski Adam M.: *O cześć imienia polskiego.* Lwów, 1908 str. 368—9, 372—3.

szczególnych oddziałów, magazynów i t. p. Ponadto zalecał utworzenie specjalnego biura, które by w tym kierunku badało wszystkich przyjezdnych z Rosji i dezerterów [1]). Gdy zaś żądane wiadomości nie nadchodziły dość rychło, Davout się niecierpliwił i surowo krytykował nadesłane relacje. Tak np. 29 kwietnia wytyka generałowi Zajączkowi: ...„Tous les rapports sont contradictoires. On voit bien, qu il-y-a une partie des troupes de Walachie, qui sont en marche pour se porter sur les frontiéres du Grand Duché mais ou sont ces troupes maintenant? Je n'ai encore entendu que des on dit à cet égard. Personne ne dit avoir vu. Le rapport de votre officier de Tykocin... contredit presque tous les autres" [2]).

I potem jeszcze, choć coraz rzadziej, gani nadsyłane mu raporty. Ale w każdym razie znać już coraz więcej poprawy co do ich treści. Wywiad działał coraz to sprawniej. Jest to w dużej mierze zasługa generała Rożnieckiego, który niemal codziennie przysyłał relacje, coraz to lepiej i dokładniej redagowane. Ale prócz Rożnieckiego i jego aparatu, władze wojskowe otrzymywały stale szereg raportów od różnych osób postronnych, głównie z nad granicy: Łomży, Marjampola, Augustowa, Terespola, Kryłowa i to nie tylko od oficerów komenderujacych posterunkami pogranicznemi, ale też i od urzędników i innych osób. Niestety, niemożliwą jest obecnie rzeczą zbadać, z jakich sfer one pochodziły, gdyż w aktach wojskowych Księstwa, z wyjątkiem pokaźnej ilości raportów generała Rożnieckiego, nie zachowały się jakiekolwiek pisma i relacje innych wywiadowców. Archiwa paryskie posiadają coprawda dość dużo wyciągów z takich relacyj, nadsyłanych do Napoleona lub Davouta, jako załączniki do raportów Poniatowskiego lub generała Zajączka, lecz nie mają one podpisów [3]).

Mam wrażenie, że jeżeli Davout w późniejszych czasach podkreśla niejednokrotnie jeszcze sprzeczności w nadsyłanych mu z Warszawy raportach, to winę tego bodaj w pewnej mierze, ponosi nasz sztab generalny, ponieważ nie układał z różnych nadsyłanych mu sprawozdań — po porównaniu ich ze sobą — jednego ogólnego raportu, lecz przesyłał je bez opracowania w stanie surowym, wprost Davoutowi. Z tego powodu tę robotę naszego sztabu, musiał marszałek powierzyć jednemu ze swych adjutantów, który te wszystkie relacje porównywał i wykrywał sprzeczności, a te dopiero następnie trzeba było w Warszawie jeszcze raz przepracowywać i sprawdzać [4]).

W każdym bądź razie usterki już były rzadsze, choć we

[1]) Davout do Zajączka, Hamburg 24 kwietnia 1811. Rkp. Nr. 2024.
[2]) Davout do Zajączka, Hamburg 29 kwietnia 1811. Rps. Nr. 2024.
[3]) Raporty Rożnieckiego w dość znacznej ilości drukowane są u Marguerona, ponadto za czas od 17 sierpnia 1811 do końca maja 1812 r. znajdują się w tece Nr. 2032 Arch. Gł. Margueron też ogłosił szereg relacyj innych osób — jako załączniki do pism ks. Józefa Poniatowskiego i Zajączka.
[4]) Davout do Zajączka, Hamburg 17 lipca. Rkp. Nr. 2024 i Margueron III, str. 110.

wrześniu zakres czynności wywiadowczych znacznie się zwiększył, musiano bowiem wobec zbrojeń pruskich bacznie śledzić ruchy i z tej strony.

Z początkiem drugiej połowy września 1811 roku wrócił Poniatowski z Paryża. Davout ponawia swoje wskazówki i żądania co do dokładnych informacyj o siłach rosyjskich, przyczem ostrzega Poniatowskiego przed wszystkimi wiadomościami, jakieby otrzymał za pośrednictwem ministra policji Aleksandra Potockiego — ponieważ on nie stoi na wysokości zadania. Równocześnie zaleca mu otworzenie biura wywiadowczego, mającego badać przyjezdnych z Rosji i dezerterów oraz przysyła mu nawet wzór protokółów, który przedstawiał się w sposób następujący:

Déclarations des déserteurs et voyageurs.

Noms et prénoms des déserteurs	Grades	Noms et N-ros des régiments	N-ros des		Uniforme des régiments	Date		Dans quels lieux etaient en garnison ou cantonnement au moment de la désertion			Depuis quel temps étaient dans a garnison ou cantonnement			Quels étaient les garnisons ou cantonnements qu'ils occupaient auparavant et depuis quelle époque	Quelle est la force		
			bons	Cies		de la désertion	de l'arrivée dans la place	le régiment	le bataillon	la compagnie	le régimt	le B-on	la Comp-ie		du Régt.	du B-on	de la C-ie

De combien de compagnies de grenadiers et fusiliers est composé le régiment?

Des déserteurs ayant répondu à ces différentes demandes, Mrs. les Commandants de place les questionneront sur l'emplacement du régiment dans le cas où il ne serait pas réuni dans la même garnison, et tâcheront d'obtenir les plus grands détails sur cet article: quels sont les régiments qui sont en garnison avec celui d'où ils sont désertés? Quels sont ceux qui pourraient être dans les environs? soit infanterie, soit cavalerie? leur force approximative, quel est le nom des colonels et des généraux qui commandent? S'ils sont désertés d'une place forte, travaille-t-on aux fortifications? La place est-elle forte ment armée, les magasins en tout genre sont-ils considerables? ont-ils rencontré dans leur route des troupes en marche, des convois de munition, de vivres, d'artillerie? S'ils en ont rencontrés, quelle espèce d'armes? La force des colonnes, la quantité des pièces et de charriots, d'où venaient ces troupes ou ces convois? Sur quelle route les ont ils recontrés? de quel côté se dirigeaint-ils, si les déserteurs ne peuvent pas dire positivement leur destination? Que dit-on des nouvelles publiques? que désire le militaire que désire l'habitant? quelles sont les places où sont établis les magasins de vivres et de fourrages etc.

Mrs. les Commandants ajouteront à ces questions toutes celles que les réponses des désertuers pourront leur suggérer ou qui pourraient naître des localités.

Nota. Beaucoup de régiments autrichiens changent de propriétaire et par conséquent de nom: on ne saurait trop recommander à Mrs les Commandants de faire attention à cette observation, et de questionner les déserteurs de manière à être certain que ce cas n'existe pas. S'il avait lieu, ils devront faire mention du nouveau et de l'ancien nom, afin qu'on puisse s'y reconnaître.

Mrs. les commandants ne changeront rien au présent modèle [1]).

[1]) Davout do Poniatowskiego, Hamburg. 20 listopada 1811 Rkp. Nr. 2024.

I rzecz charakterystyczna, mimo, że rezydent warszawski Bignon starał się parokrotnie u Davouta podawać w wątpliwość wartość raportów polskich o Rosji, zdaje się głównie ze względów konkurencyjnych, gdyż sam prowadził przy pomocy Aleksandra Sapiehy również specjalne biuro wywiadowcze, jednak nie wiele wskórał pod tym względem, gdyż Davout, choć nieraz jeszcze wykrywał różne sprzeczności w raportach polskich, przecież już nabrał do nich zaufania[1]).

I nic dziwnego, gdyż nasz wywiad teraz sprawniej już działał. Generał Rożniecki coraz sprytniej się urządzał — tak, że np. w lutym 1812 roku donosi, iż ma swoich ludzi w dywizjach rosyjskich, wchodzących w skład korpusu Essena, którzy go zawiadomią o każdym ruchu tego korpusu, oraz że nawiązał, mimo wielkie trudności w przekraczaniu granicy rosyjskiej, stosunki z Białą Rusią — i dalej na południe położonemi prowincjami[2]).

Podał *Bronisław Pawłowski*, ppłk.

---

[1]) Margueron III, str. 208 217.

[2]) Rożniecki do Poniatowskiego, 9 lutego 1812 roku. Rkp Nr. 2032.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE I POLEMIKA

JÓZEF SIEMIEŃSKI.

W SPRAWIE ORGANIZACJI HISTORJI WOJSKOWEJ.

BADACZE I ARCHIWA.

Aktualność nie jest bynajmniej przywilejem dziennikarstwa. Jej wymaganiom, powiedzmy nawet — prawom, podlega bodajże wszystko. Dowodem jest, że nauka, arcykapłanka kultury, jest od niej zależna. Oczywiście, nie goni za aktualnością, jak prasa, ani się nawet na nią nie ogląda, ale przecież zależy.

Hasło „nauka dla nauki", ani bezinteresowność badaczy nie znaczą wcale, aby produkcja naukowa nie podlegała prawu podaży i popytu. Uczony nie kieruje się w wyborze przedmiotu studjum żadnemi widokami na korzyść, nawet na taką, jak poczytność rozpraw na te czy owe tematy, ale uczony wychodzi ze społeczeństwa, udzielają mu się prądy powszechne, a wśród nich i zainteresowania. Te zaś są w ścisłej niewoli u aktualności.

Uczony pracuje, aby zdobyć odpowiedź na zagadnienia, jakie mu się nasuwają. Pracuje, aby nowemi prawdami przysłużyć się społeczeństwu, pracuje, bo twórczość naukowa jest najwznioślejszą z rozkoszy. Ale te zagadnienia przynoszą mu czasy, w których żyje, niejednokrotnie nasuwa mu je jaskrawy krzyk jednodniowej aktualności.

Dlatego to w epoce awjatyki odgrzebano studja Leonarda da Vinci nad maszyną do latania, dlatego podjęto liczne prace nad sztuką japońską po zwycięskiej wojnie Nipponu z Rosją, a niejedno studjum egiptologiczne zawdzięcza swoje powstanie... pismom ilustrowanym, które skierowały myśl badacza ku krainie Tutankhamona.

Uczony pracuje nie po to, aby dać żer ciekawości tłumów, ani po to, aby dać polityce nową broń do ręki, ale uwagę jego zwróci z tysiąca zagadek raczej ta, która się świeci znaną mu barwą codziennych zainteresowań otaczającej społeczności.

A nadto — nauka nie jest wolna od wpływów utylitaryzmu. Wszystkie jej wysiłki, zmierzające do jednego celu, do wykrycia prawdy dotychczas nieznanej, mają także znaczenie praktyczne dla życia jeżeli już nie współczesnych, to następnych pokoleń. Te korzyści dla życia, to jakgdyby uboczne produkty pracy nau-

kowej. Z teoretycznych badań przyrodniczych korzystają najprzód wynalazcy, potem przemysłowcy, potem ogół. Systemy filozoficzne wpływają na pojęcia etyczne, historja — na polityczne nastroje. Dlatego ludzie z poza nauki popierają prace badawcze, rozumiejąc, że ich wyniki przenikną drogami często nie do przewidzenia, często niedocieczonemi, ale z pewnością przenikną w społeczeństwo i podniosą jego kulturę umysłową i moralną. Nietylko przenikną i podniosą poziom, ale i zabarwią w sposób sobie właściwy. I oto znów aktualność wdziera się w zacisze pracowni naukowych: Liga obrony powietrznej butuje instytut aerodynamiczny, a Liga pokoju — instytut prawa narodów, oto dynastja podupadająca popiera studja nad epoką swojej świetności, a rząd wyznawców Marksa dostarcza środków naukom „praktycznym", krzywdzi pozostałe.

Dlatego nie dziwna, że historja wojskowa była u nas w zaniedbaniu aż do ostatnich dziesięcioleci, zwłaszcza historja wojskowości. Bowiem historja wojen, dzieje polskiego oręża nie mogą się uskarżać na brak uwagi ze strony badaczy. Natomiast te same zdarzenia, które znamy ze strony politycznej, jako wysiłki zbiorowe narodu i jako zwroty w dziejach państwa, te same zdarzenia nie były należycie oświetlone z punktu widzenia sztuki wojennej.

Naród nie miał nadziei wojować. Lignica, Grunwald czy Beresteczko zajmowały uczonych polskich jako zderzenia ras, kultur moralnych i materjalnych. Ze strony militarnej dość nam było wiedzieć, że zwycięstwo dała liczba, sprawność, czy „serce" żołnierza, badaliśmy, czy przeważyła dyscyplina, czy świadomość celów walki, posłuszeństwo, czy patrjotyzm ofiarny. Ważyliśmy, czy Cecora miała znaczenie Termopylów polskich, a nie czy tabor Żółkiewskiego był szyku zwykłego czy szczególnego. Badaliśmy, czy kraj zrobił wszystko dla wojny, na co go stać było, a przechodziliśmy lekko nad zagadnieniem, jakiemi metodami wojsko było szkolone.

Nie było wojska polskiego. Nie było tych, coby się interesowali przeszłością swojego zawodu, nie było dla innych pobudki do badania przeszłości nieaktualnej dziedziny życia narodowego, nie było dla kogo szukać wzorów dla zadań przyszłości.

Było wprawdzie wielu Polaków w armji rosyjskiej i austrjackiej, ale ci nie wytworzyli polskiej literatury wojskowej. To też kiedy K o r z o n przystąpił do swego wielkiego dzieła — znalazł zaledwie paru monografistów.

Natomiast już najwcześniejsze początki polskiej siły zbrojnej skierowały umysły ku historji wojskowej. Nie moją jest rzeczą i nie tego artykułu kreślenie historji tych usiłowań. Dość powiedzieć, że jeszcze strzelcy i drużyniacy, że legjoniści na pierwszych urlopach zaczęli badać dawne regulaminy, zaczęli pisać o dawnych bitwach z punktu widzenia wojennego kunsztu.

Usiłowania te znalazły odrazu opiekę i poparcie odradzającego się i odrodzonego państwa. Powstaje Wojskowy Instytut Nauko-

wo-Wydawniczy, w poważnej mierze poświęcony studjom historycznym, powstaje przy Oddziale Operacyjnym Naczelnego Dowództwa sekcja badań historji wojny ostatniej, która z czasem rozrosła się w dzisiejsze Wojskowe Biuro Historyczne, powstaje pismo wojskowe *Bellona*, redagowane przez historyka, rozmaite jednostki wojskowe zarządzają studja nad swoją historją. Ludzie mogą pracować, a to, co napiszą, nie czeka na druk.

A jednak w lat kilkanaście po powstaniu polskiej siły zbrojnej, a w dziesiątym roku niepodległości wyniki są — powiedzmy — mniejsze, niżby się można było spodziewać po zakładowym, że się tak wyrażę, kapitale w ludziach, t. j. w historykach, którzy się znaleźli w wojsku i w niem pozostali, oraz biorąc na uwagę środki, jakiemi wojsko rozporządza. Badaczy prawie że nie przybywa, prac ściśle naukowych, a szerszego pokroju, zwłaszcza z okresu dawnej Rzeczypospolitej — również. Największa monografja z tego okresu nie oddziela własnych wniosków od powtarzanych, zapewne ze względu na niefachowego czytelnika, poświęca ściśle naukowy charakter pracy, mieszając oryginalny dorobek naukowy z tłumem kompilacyjnym. Pisana też była „ku serc pokrzepieniu".

Ponieważ nie ulega wątpliwości, że ci sami ludzie mogliby osiągnąć wyniki znaczniejsze, nastręcza się pytanie, czy nie przeszkadza im wadliwa organizacja i czy nie zadużo sił zużywają na cele nauce tylko bliskie, ale nie naukowe.

Pytania te nasuwa wydana właśnie nakładem Wojskowego Biura Historycznego broszura pod tytułem *Badania dawnej polskiej historji wojskowej*, [1]) a pod nim dwa artykuły: majora Ottona Laskowskiego, kierownika referatu dawnej historji wojskowej — *Zadania pracy nad dawną historją wojskową* i podpułkownika dr. Bronisława Pawłowskiego, dyrektora Archiwum Wojskowego — *Stan i charakterystyka źródeł do polskiej historji wojskowej*, z wykładem i uzasadnieniem zadań, jakie sobie stawia ta instytucja. Mamy tedy autentyczny materjał.

Pierwszy, kreśląc „program i plan" dla polskiej historji wojskowej, oświadcza na wstępie (str. 11), że „dla historyka wojskowego, decydujące są... przedewszystkiem potrzeby wojska, a zpośród zadań historji wojskowej przedewszystkiem jej dydaktyczne i wychowawcze zadania".

Dodajmy, że autor drugiej części programu — ppłk. Pawłowski, wymienia jako „znamienne" bitwy w pierwszym okresie Legnicę, Płowce, Grunwald, Orszę i Obertyn, więc tylko jedną przegraną, w drugim mówi już tylko o „świetnie pomyślanych" wyprawach Batorego i o szeregu wspaniałych zwycięstw. Widoczna, że obydwa te programowe na przyszłość wskazania mają źródło wspólne w nacisku na owe „dydaktyczne i wychowawcze zada-

[1]) Mjr. Otton Laskowski i ppłk. dr. Bronisław Pawłowski: *Badania dawnej polskiej historji wojskowej. Zadania pracy i ogólna charakterystyka źródeł.* Warszawa, 1927, nakł. Wojskowego Biura Historycznego, str. 47.

nia" polskiej historji wojskowej, a wśród nich jeszcze w nacisku na zadania wychowawcze.

Otóż dydaktyczne zadania powinna mieć książka w szkole i w czytelni publicznej, literatura zaś naukowa może mieć tylko zadania naukowe. Trzeba wybierać, bo pogodzić się te zadania nie dadzą. Prawda — zwłaszcza prawda naukowa, więc ukazująca się często w postaci niepełnej, w postaci badań próbnych i zaczątkowych — często bywa niezdatna do celów dydaktycznych i szkodliwa pedagogicznie. Dydaktyka zaś i wychowawstwo mają tyle tylko wspólnego z badaniami naukowemi, że się ich wynikami posługują, same zaś dla nauki nie mają żadnego znaczenia. Jeżeli te dwa żywioły połączyć — jeden cierpieć musi, mianowicie jeżeli dać przewagę wychowaniu, to badania będą omijały całe pola, wymagające naukowej uprawy, a nadto nieraz cierpki owoc prawdy będzie zafałszowany słodyczą rozmaitych względów.

Przechodząc do samego programu, mjr. Laskowski ustala takie tematy i taki ich porządek:

1) Poszczególne kampanje; 2) życiorysy wielkich wodzów, a w szczególności ich metody prowadzenia wojny; 3) organizacja dawnego wojska w związku z ustrojem państwa; 4) historja poszczególnych broni; 5) polska sztuka wojenna.

Program ten jest niewątpliwie zbyt szczupły, nawet jeżeli odsunąć na dalszy plan zagadnienia, wymagające uprzednich prac wstępnych.

Nie uwzględnia nadto zupełnie historji powszechnej. Wprawdzie formalnie nie można tego wymagać od „zadań pracy nad polską historją wojskową". Jednakże cały wywód czyni wrażenie, że Autor ma na myśli całokształt pracy polskich historyków. A tym nie należy zacieśniać widnokręgu do historji polskiej wyłącznie, bo sztuka wojenna poszczególnych narodów zbyt ściśle jest współzależna w swoim rozwoju. Rozumiem, że długo jeszcze będziemy mieli za mało sił na to, aby współzawodniczyć poważnie w pracy twórczej nad historją wojskową innych państw i narodów, ale przecież nie powinniśmy się zasadniczo i całkowicie usuwać od pracy na polu wspólnych zainteresowań wszystkich narodów. Powinna być i u nas pielęgnowana właściwa historja wojskowa powszechna. Więc tematy takie, jak:

1. Znaczenie w wojny dziejach, jako sposobu wywoływania zmian w stosunkach, wojna jako zjawisko — jej przyczyny i skutki w ogólności.

2. Okresy w metodach wojowania, czyli okresy w historji sztuki wojennej.

3. Porównawcza historja wojskowa.

4. Prawo wojny (w prawie międzynarodowem).

A i w historji wojskowej polskiej nie widzę powodu do zacieśniania się w granicach owych pięciu punktów. Nie myślę tu kreślić własnego programu dla historji wojskowej. Wolno mi

jednak zaznaczyć, że nawet laikowi nasuwa się odrazu potrzeba szerszego programu. Wyobrażam go sobie naprzykład tak:

I. Zagadnienia ogólne.

1) Wojna w dziejach Polski. 2) Okresy w historji polskiej sztuki wojennej.

II. Zagadnienia szczegółowe.

1. Historja wojen. Powinna objąć nietylko poszczególne kampanje, ale sprawy szersze i węższe, mianowicie:

a) Całe okresy wojenne. Takie okresy, jak choćby wojny Bolesława Chrobrego w pierwszej i wojny jego w drugiej połowie panowania, jak t. zw. „potop" II-ej połowy XVII wieku wymagają zbadania i oświetlenia wojskowego, jako — że tak powiem — zespoły wojen. Chodzi o okresy, w których państwo prowadziło całe szeregi wojen, będących ze sobą w związku, szeregi wojen niewątpliwie współzależnych. Nietylko polityka je wywoływała, nietylko polityka miała je sobie narzucone. I wodzowie mieli tu wiele do powiedzenia i wiele — do wzięcia na uwagę. Musieli jedne kończyć z myślą o drugich, drugie prowadzić z myślą o niebezpieczeństwie trzecich. Zarówno decyzja wojny jak i sposób jej prowadzenia inne musiały być w tych okresach, a inne wtedy, kiedy państwo jedną tylko wojnę miało na widoku. Wielkie to pole dla historyka wojskowego, bo tylko historja wojskowa może odpowiedzieć na szereg pytań, które się tutaj nasuwają. Nie zdoła tego uczynić ani historja dyplomacji sama, ani historja wojen sama, ani historja ogólna;

b) historja poszczególnych wojen. Temat ten uzasadnienia nie wymaga;

c) historja poszczególnych kampanij — na której Autor tak wyłącznie skupił uwagę;

d) poszczególnych bitew;

e) różnych pomniejszych epizodów wojennych, wszystko jużto w całości, jużto w fragmentach, jużto w opracowaniu całkowitem, jużto w przyczynkowem.

2. Składniki siły zbrojnej: a) wodzowie, b) dowódcy, c) żołnierze.

3. organizacja wojska: a) poszczególnych broni, b) służb, c) władz;

4. sprawy wojskowe w organizacji państwa: a) dostarczanie ludzi do wojska, b) dostarczanie środków na prowadzenie wojny,

5. narzędzia walki: a) broń, b) pomocnicze środki techniczne, c) fortyfikacje;

6. zaopatrzenie;

7. metody strategiczne i taktyczne;

8. polskie prawo wojenne, a to: a) prawo czasu wojennego, b) przywileje osób wojskowych, c) prawo karne wojskowe, d) prawo administracyjne wojskowe i e) prawo okupacyjne.

Oczywista, że znaczna część tych punktów nie mieści się w tych pięciu, jakie sformułował major L a s k o w s k i, choć niektóre z tych jego punktów obejmują po parę mniejszych.

Te zaś wszystkie wymagają wyłącznie albo conajmniej także fachowego wojskowego traktowania, wymagają oświetlenia z punktu widzenia wojskowego.

Dlaczego historjografja wojskowa nie stawia sobie wszystkich zadań, jakie jej dziedzina nastręcza, dlaczego niejako wybiera tylko niektóre — niezależnie od ich znaczenia metodycznego w całokształcie, do którego dążyć musi historja wojskowa jako nauka?

Sprawa jest ważna. Od jej dalszego rozwoju zależy, czy instytucje wojskowe będą uprawiały — obok prac wychowawczych i dydaktycznych — także czystą naukę historji wojskowej ścisłej, czy też pójdą w kierunku, któremu z instytucyj cywilnych służą rozmaite towarzystwa miłośników historji.

Tak jak dzisiaj rzeczy stoją, historji wojskowej grozi zacieśnienie horyzontu i poświęcenie pogłębienia badawczego dla względów bardzo ważnych, ale z punktu widzenia ścisłej nauki — ubocznych.

Zachodzi pytanie, jakie są tego przyczyny?

Pierwszą jest niewątpliwie wyodrębnienie się historji wojskowej nietyle rzeczowe, ile personalne. Tak jakby wyodrębnienie historji wojskowej polegało przedewszystkiem na tem, aby nad nią pracowały osoby wojskowe w instytucjach wojskowych. A przecież nie o to chodzi i nie to jest cechą charakterystyczną historji wojskowej. Dowodem D e l b r ü c k.

Pracownikami w zakresie historji wojskowej nie muszą być sami wojskowi, a czytelnikami, dla których się pisze, nie powinni być ludzie nieprzygotowani do lektury naukowej — chociażby wojskowi.

Za wyodrębnieniem personalnem, stanowem, idzie i wyodrębnienie w pracy, odosobnienie pracowników i samej pracy nad historją wojskową, jej tendencja do samowystarczalności, za czem idzie brak łączności nietylko z innemi gałęziami wiedzy, ale nawet i z metropolją — z nauką historji, której wojskowa jest tylko jedną z części i to uboższą w warunki do samodzielnego bytu.

Poszczególne nauki, a w obrębie nauk poszczególne ich działy różnią się pomiędzy sobą nie czem innem, jak metodami. Jeżeli rozmaite przedmioty są badane temi samemi metodami, jeżeli temi samemi metodami mogą być osiągane rozmaite zadania, to całą pracę obejmie jedna nauka. Więc historja prawa zajmuje się prawami wszystkich ludów i wszystkich epok, bo jedna jest metoda prawnicza dla badań nad kodeksem Hammurabiego, nad dziesięciu tablicami i nad ustawodawstwem Kazimierza Wielkiego, a nawet i Lenina. Natomiast archeologja powstała dla badań nad pozostałościami przedhistorycznemi, bo te wymagają innych metod, niż historja sztuki i etnologja, badające te same zjawiska innych czasów. Ze względu na własne metody posiadła własną osobowość naukową socjologja, choć bada te same zjawiska, co etnologja, prawo i historja.

Historja wojskowa zaczyna się tam, gdzie potrzebne są metody szczególne, kończy się tam, gdzie jej metody są bezsilne, gdzie konieczne jest użycie metod, wyrobionych przez inne nauki. Jej wyodrębnienie nie może wykraczać poza wyodrębnienie jej metod. A zważmy, jakie są ich granice na tle materjału, jakim operują, i celów, do których zmierzają.

Przejdźmy drogę od surowego materjału rękopiśmiennego do tej jego postaci, którą trzeba — że tak powiem — dostarczyć historykowi wojskowemu, aby go zaczął opracowywać swojemi — obcemi innym historykom — metodami.

Stwierdzić potrzebę poszukiwań archiwalnych musi — bibljografja, znaleźć materjał — archiwistyka, ewentualnie odczytać — paleografja, a ustalić autentyczność i szereg innych cech — dyplomatyka, dobrze jeżeli bez szczególnej pomocy sfragistyki i heraldyki, czy numizmatyki, wreszcie żeby go wydać drukiem — trzeba znać metodologję wydawnictw.

Na podstawie tak przygotowanego materjału trzeba umieć krytycznie ustalać fakty.

Wszystko to osiąga się metodami, wyrobionemi i wciąż wysubtelnianemi przez historyków rozmaitych innych specjalności, dotychczas metody historji wojskowej w grę jeszcze nie wchodzą.

Żeby przystąpić do skonstruowania historji wojny trzeba poznać jej przyczyny, tkwiące w sytuacji międzynarodowej, często i w wewnętrznej państwa — społecznej, ustrojowej, gospodarczej, finansowej etc. Żeby zrozumieć nieraz ważne bardzo posunięcia wojskowe trzeba również zdawać sobie sprawę z warunków zewnętrznych i wewnętrznych państwa, a wreszcie żeby ocenić wyniki wojny — trzeba je też umieć zbadać we wszystkich tych dziedzinach. I tutaj również potrzeba użyć metod, wyrobionych poza historją wojskową.

I tylko część pracy — jak widzieliśmy — środkowa: gotowość państwa do wojny w chwili zarysowania się konfliktu, przygotowanie, prowadzenie wojny i walka sama — wymagają do opracowania swego metod szczególnych historji wojskowej, wymagają od pracownika wykształcenia historyczno - wojskowego. Podobnie jak na każdą specjalizację naukową, składać się musi na nie: 1) wykształcenie historyczne ogólne — oczywiście wyższe i 2) wykształcenie wojskowe, też oczywiście wyższe, bo bez niego historyk wojskowy miałby wyższość nad cywilnym zaledwo w zakresie zagadnień taktycznych i to drobnych.

Inaczej w historji wojskowej przewagę osiągną przyczynki oraz aktualizowanie, tłómaczenie na język dzisiejszych terminów wojskowych tego, co inni już powiedzieli językiem potocznym historji ogólnej.

Ale i całkowite wykształcenie historyczno - wojskowe pracowników nie powinno ich pobudzać do tworzenia „państwa w państwie“ historyków. Jak widzieliśmy, historja wojskowa

mniej niż którakolwiek inna specjalność historyczna może stać na uboczu: metody jej własne rozstrzygają samodzielnie tylko zagadnienia bardzo szczegółowe, natomiast zakres jej chronologiczny przechodzi poprzez wszystkie wieki, a przedmiot zazębia się o wszystkie prawie inne. Nie dotyka tylko, ale zazębia się i to głęboko — że wymienię tylko stan rycersko - ziemiański w dawnych wiekach, a przemysł chemiczny i metalurgiczny obecnie. Dlatego historyk wojskowy więcej niż którykolwiek inny starać się powinien o kontakt i współdziałanie — jużto w postaci współpracy ścisłej, jużto w postaci rad i informacyj — historyków rozmaitych innych specjalności.

Czy idziemy w tym kierunku?

Historja wojskowa jest u nas zabardzo zmilitaryzowana, a co za tem idzie — odosobniona. Nauka zaś nie znosi odosobnienią, jako że nikt nie jest w stanie znać się na wszystkiem.

Praca naukowa potrzebuje innej organizacji i innej atmosfery.

Wprawdzie praca naukowa, jako praca twórcza, jest pracą indywidualną, ale każdy badacz potrzebuje ciągłego kontaktu z innymi pracownikami, ciągłego z nimi naukowego obcowania. W odosobnieniu pracują dobrze arcywyjątki. Dzieło naukowe, odpowiadające wszystkim wymaganiom dzisiejszym metody, niejako przerasta siły jednostki. Niejako, bo nie chodzi tu o ścisłą współpracę, jeno o to, że samemu, li tylko z książek, trudno się ustrzec luk w świadomości („ewidencji") opracowań, źródeł i metod, w odosobnieniu niepodobna wykonać tej całej pracy krytycznej i dostrzegawczej, do której pobudzi wymiana myśli, rozprawa, spór. A już w żaden sposób nie można stanąć na wysokim poziomie naukowym, zamknąwszy się na całe życie naukowe w murach jednej bibljoteki czy archiwum, nie korzystając z pomocy naukowej rozmaitych instytucyj.

A wreszcie dla utrzymania i rozwoju horyzontu naukowego, dla postępu w metodach badawczych konieczny jest kontakt z innemi działami wiedzy — przedewszystkiem z pokrewnemi, ale do pewnego stopnia ze wszystkiemi.

Dlatego nie wystarczają nam liczne zrzeszenia naukowe specjalne — historyków, filozofów, chemików i t. d. Służą głównie do organizacji niejako zawodowej poszczególnych grup pracowników, do gromadzenia funduszów na cele specjalne, do popularyzacji i popierania studjów regjonalnych. Dla czystej nauki, dla popierania prac kwalifikowanych, — tworzymy zrzeszenia o t. zw. charakterze akademickim, w których — na tym najwyższym poziomie — łączą się wszystkie odgałęzienia wiedzy, od przyrodników do humanistów. W obrębie takiej almae matris mamy bardzo nieliczne działy, decydujące o całych wielkich połaciach nauki, omawiające prace konstrukcyjne w kołach bardzo różnorodnych specjalistów, a ściślejsze komisje mamy tylko do spraw szczególnych.

Tak ścisła specjalność, jak historja wojskowa, nie powinna się zamykać całkowicie w osobnej organizacji.

Wojsko ma wogóle tendencję do wyodrębniania się, do tego, co w dziedzinie towarzyskiej nazywa się przenośnie kastowością. U nas może mniej niż gdzieindziej, mniej właśnie pod wpływem ludzi, którzy przed wojną zajmowali stanowiska w społeczeństwie cywilnem. Ale też teraz trzeba myśleć o tem, żeby się ta wada nie zakorzeniła, oczywiście jeżeli ją uznamy za wadę.

Zwolennicy wyodrębnienia zapewne popierają je argumentem atmosfery rozkazu. Istotnie jest to cenny bardzo żywioł także poza wojskiem. Człowiek, przejęty ideologją rozkazu, potrafi wydobyć z siebie więcej pomysłowości, a może i twórczości, więcej pilności i uwagi, więcej — słowem — wysiłku, a więc i dobrej pracy, niż obywatel, skłaniany do podobnej pracy przez warunki umowy, upodobanie, czy widoki korzyści bezpośrednich.

Wszystko to prawda, ale... w dziedzinie nauki zbyteczne. To nie jest dziedzina umów, zachceń ani korzyści. To jest dziedzina powołania. A to jest siła prawdziwie wyższa, silniejsza nad rozkaz ludzki, chociażby był hetmański. Ci ludzie, którzy twórczo pracują w nauce, mają do zwalczenia tyle przeszkód, mają tyle wyrzeczeń, tyle poświęceń i tyle wysiłków za sobą, ile ich żaden rozkaz nie wydobędzie z człowieka, który powołaniu jest obcy.

Do pracy naukowej potrzeba atmosfery, wytworzonej przez ludzi, którzy to wszystko przeszli i przezwyciężyli, potrzeba atmosfery powołania. Tę atmosferę wytworzyły w organizacjach cywilnych pokolenia historyków, pracujących z zaparciem się siebie — zwłaszcza w Warszawie, pod zaborem rosyjskim. Pobudki zewnętrzne zastąpił tu całkowicie nakaz wewnętrzny. Bez powołania niema historyka. Rozkaz go nie zastąpi. A wojskowy, mający powołanie naukowe, również nie potrzebuje rozkazu, ani też nie straci nic ze swojej karności przez zetknięcie, a nawet i przez ścisły związek ze środowiskiem historyków cywilnych. Bo i tu zetknie się z hierarchją. My mamy swoich wodzów i dowódców, rozkazodawców i subalternów, bo mamy niezależne od wszelkich względów czysto naukowe autorytety, mamy swoją starszyznę.

Nasi przewódcy mają nawet swoje naszywki i gwiazdki — pilnie znaczone w bibljografjach i w rocznikach szkół i zrzeszeń naukowych, mają je wyhaftowane w sercach uczniów — znanych i nieznanych, uczniów przez słowo i uczniów przez dzieło, a wreszcie uczniów przez przykład zaparcia się w pracy. I odbierają stale honory należne starszyźnie.

Z pewnością wie o tem dobrze dzisiejsza starszyzna naukowo-wojskowa, wyszedłszy sama z „cywila“ w wieku dojrzałym.

Uznawanie i poszanowanie autorytetów nie przeszkadza nam w swobodzie pracy i, co nie mniej ważne, w swobodzie

krytyki. Krytyce służą w znacznej części łamy czasopism naukowych. Krytyce nie mniej niż pomocy służą nasze zebrania dyskusyjne.

Pracy naukowej, pozbawionej szerszego współżycia badaczy, a nadto opartej wyłącznie na organizacji wojskowej grozi biurokracja. Wykonywanie pracy naukowej, wyznaczonej przez zwierzchnika, nie zastąpi wolnej pracy dla nauki bezpośrednio, a cenzura zwierzchnika nie zastąpi wolnej, niezależnej krytyki.

Zaznaczam zresztą, że mjr. L a s k o w s k i w pracy swojej wyraża życzenie pewnej współpracy ze światem naukowym cywilnym. Ale w postaci pomocy — że tak powiem — zzewnątrz, pomocy bez praw. „Konieczna jest tutaj — powiada — współpraca wyższych uczelni, konieczna inicjatywa prywatna i pomoc instytucyj naukowych". Na innem miejscu mówi o potrzebie uwzględniania tematów wojskowych w seminarjach uniwersyteckich. Seminarja nie są wytwórniami naukowemi, jeno pedagogicznemi, a pomoc instytucyj nie zastąpi najważniejszego czynnika — pracownika naukowego i udziału historyków wojskowych w pracach instytucyj ogólnych (nie nazywam ich cywilnemi, bo nie wyłączają wojskowych).

Wojsko, jeżeli chce, aby historja wojskowa nie poprzestała głównie na popularyzacji historji wśród wojskowych i na komentowaniu militarnem faktów, ustalonych przez historyków cywilnych, jeżeli chce, aby historja wojskowa była w całem tego słowa znaczeniu nauką, aby rozwijały się samodzielnie badania historyczno-wojskowe, musi się strzedz odosobnienia i samowystarczalności... nieosiągalnej. Natomiast powinno raczej:

1. popierać pracę nad historją wojskową wszędzie, gdzie ta praca może powstać, więc zarówno w wojsku samem, jak i poznniem; 2. nawiązać najściślejszą łączność pracowników wojskowych z cywilnymi i organizacyj naukowych wojskowych z ogólnemi, bo organizacje naukowe nie są z istoty swojej ani cywilne, ani wojskowe, są naukowe i tylko naukowe; 3. prace wojskowych zgłaszać w zrzeszeniach naukowych ogólnych; 4. starać się o współpracę uczonych cywilnych w instytucjach naukowych wojskowych.

Tyle co do pracy konstrukcyjnej.

Dla postępu tej pracy konieczna jest wytężona praca wydawnicza. Mówię oczywiście nie o drukowaniu prac konstrukcyjnych, bo to się rozumie samo przez się, ale o wydawaniu źródeł do historji wojskowej. Wprawdzie źródła takie były wydawane narówni z innemi i dotychczas, ale przecież jest wiele materjałów, szczególnie ważnych dla historji wojskowej, których dotychczas nie wydano dlatego, że brakło sił i środków, albo że nie mają znaczenia ogólniejszego. Że wymienię tylko dawne mapy i plany oraz obrazy bitew, trudne do „odczytania" taktycznego dla ludzi bez wykształcenia wojskowo-historycznego, wymagające dla reprodukcji dużego nakładu i znów umiejętności, któremi rozpo-

rządzają instytuty wojskowe. Zamierzenia w dziedzinie wydawnictwa źródeł, niestety, nie są uwzględnione w „programie ramowym“ mjr. L a s k o w s k i e g o.

Natomiast autor drugiej części tejże programowej publikacji ma szerokie plany w dziedzinie archiwalnej, oddawna już zorganizowanej przez archiwistów cywilnych.

Ppłk. dr. P a w ł o w s k i podjął się charakterystyki stanu źródeł do historji wojskowej, oraz przedstawienia „dezyderatów i zamierzeń Archiwum Wojskowego“ w tej mierze.

Na samym wstępie mamy tu nieporozumienie: Autor cytuje z podręcznika L a n g l o i s i S e i g n o b o s zdanie: „szukanie i zbieranie źródeł jest logicznie pierwszem i jednem z najważniejszych zadań historyka“ i drugie, że „bez źródeł niema historji“, poczem od siebie już stwierdza, że należy „po sprecyzowaniu tematu przystąpić do poszukiwań archiwalnych“, dodając jeszcze, że te poszukiwania, według prof. H a n d e l s m a n a, „są konieczną częścią wszelkich poszukiwań naukowych“. Wynikałoby z tego, że niema innych źródeł, jak archiwalne i że do każdego tematu trzeba robić poszukiwania w archiwach!

Otóż „temat“ naukowy, to zagadnienie. Żeby je rozstrzygnąć, trzeba mieć materjał źródłowy. Bywają tematy, do których cały materjał mieści się w wydawnictwach drukowanych, bywają takie, do których źródła rękopiśmienne są w bibljotekach.

Trzeba tedy zanotować, że Autor przez „źródła“ rozumie wyłącznie źródła archiwalne. Ta okoliczność znakomicie ogranicza Jego temat.

Na drugiej stronicy mamy drugie nieporozumienie: „Od roku 1765 po rok 1865 posiadaliśmy odrębne archiwum wojskowe“, którego „działalność... głównie skierowana była na utrzymanie w porządku aktów bieżących... o gromadzeniu przez te instytucje urzędowe aktów dawniejszych okresów... mowy nie było...“ Otóż w roku 1765 nie powstała żadna instytucja, którąby można nazwać „odrębnem archiwum wojskowem“. Powstały Komisje wojskowe, koronna i litewska i oczywiście przechowywały swoje akta, zwalone po trzecim rozbiorze do tak zwanego „Archiwum po Komisji Skarbu Koronnego“ — wraz z archiwami późniejszych władz wojskowych i niektórych cywilnych.

Ministerjum Wojny Księstwa nie przejęło tego archiwum, tak że żadnej ciągłości pomiędzy archiwami Komisyj Wojskowych dawnej Rzeczypospolitej, a archiwum Ministerjum Wojny Księstwa i Komisji Rządowej Wojny Królestwa niema. Te ostatnie również nie utworzyły archiwum - instytucji, jeno oczywiście przechowywały tylko swoje akta u siebie.

Że różnoimienne ministerja wojny Rzeczypospolitej, Księstwa i Królestwa nie gromadziły archiwaljów z dawnych wieków, to nie dziwota, bo nie były to przecież archiwa, jeno urzędy, a przy nich archiwa-registratury, czyli zbiory akt ich własnych i bezpośrednich poprzedników, przechowywane osobno dopóty, dopóki nie zostały oddane do archiwów-instytucyj. Natomiast w czasach,

o których Autor pisze, mianowicie w roku 1808 powstało Archiwum Główne, przeznaczone do przechowywania akt wszelkich władz dawnej Rzeczypospolitej, między innemi oczywiście i wojskowych. Do tego też archiwum oddano niebawem archiwum po Komisji Wojskowej.

Nieporozumienie polega na tem, że Autor nie rozróżnia składnic akt, pozostających narazie przy urzędzie, który je zebrał w toku swojej działalności bieżącej i rzeczywiście „odrębnych" instytucyj, jakiemi są archiwa, powołane szczególnie i wyłącznie do przechowywania akt dawnych.

Wraz potem trzecie nieporozumienie: po roku 1865 „największy kompleks aktów wojskowych uległ rozbiciu i dotąd znajduje się aż w trzech archiwach państwowych, tworząc w nich odrębne działy, nie wiążące się zresztą z całością przechowywanych tam aktów".

Że akta wojskowe „tworzą odrębne działy" po archiwach państwowych, to jest naturalne i wcale nie wyjątkowe. Takie same działy tworzą w tych archiwach akta wszystkich innych poszczególnych dykasteryj. A wiążą się z tą resztą zupełnie tak samo, jak ta cała reszta pomiędzy sobą. Więc akta Komisji Wojskowej wiążą się doskonale z aktami Komisji Skarbu, bo jedne i drugie są aktami ministerjów Rzeczypospolitej.

Że są rozbite, to prawda, ale dlatego, że wtedy, kiedy podziału dokonywano, niejednakowy był jeszcze stopień ich nieaktualności. Teraz możnaby je połączyć — oczywiście tak, żeby akta wojskowe z czasów Księstwa były razem w jednem archiwum z innemi aktami Księstwa i raczej nie razem z aktami Komisyj Wojskowych dawnej Rzeczypospolitej, bo te wiążą się ściślej z innemi aktami tego ustroju, niż z aktami wojskowemi późniejszych epok.

A wreszcie czwarte, a najważniejsze i najbardziej nieoczekiwane nieporozumienie: wykładnia zasady proweniencji i wnioski z niej wysnute.

Rozproszenie akt utrudnia badania. Przeto „rzeczą zasadniczą... jest... skupienie w Centralnem Archiwum Wojskowem wszystkich tych aktów, które się znajdują rozrzucone w innych zbiorach państwowych. Domagają się tego względy archiwalne i naukowe". Powołuje się przytem Autor na mój referat o „scalaniu archiwów" i na referat b. dyrektora naczelnego archiwów państwowych, prof. P a c z k o w s k i e g o, mianowicie na jego zdanie, że „zasada proweniencji... nie godzi się z pozostawianiem w danem archiwum aktów, które do niego nie należą". Konkluzja: „opierając się na tej zasadzie, muszą też być akta wojskowe skupione w jednem archiwum, nie tworzą one bowiem w innych zbiorach t. zw. zespołu archiwalnego... tworzą tylko oddzielne fragmenty akt, stanowiące luźne zupełnie części, powyrywane z całości. Dopiero po złączeniu tych grup na nowo w Archiwum Wojskowem, a więc w miejscu ich proweniencji, skąd je ongiś gwałtem usunięto, utworzą... całość archiwalną". Nie waha się Autor dodać: „w ten sposób stanie się zadość zasadom nowoczesnej

archiwistyki", a jeszcze, że powrócą do „prawowitego ich właściciela, t. j. wojska".

Zasada prowenieneji jest istotnie podstawą nowoczesnej archiwistyki, ale nie na tem polega.

Zasada pochodzenia archiwalnego i kancelaryjnego powstała w przeciwstawieniu do dawniejszych systemów gromadzenia i układania akt. Te systemy polegały głównie na łączeniu akt, dotyczących tego samego tematu, pomyślanego historycznie, albo tej samej sprawy, pomyślanej prawniczo. Dzięki temu akta rozmaitych władz, dotyczące jakiegoś wielkiego wydarzenia historycznego, wyjmowano z akt tych poszczególnych władz i łączono w osobny zbiór. Albo np. akta, dotyczące spraw spadkowych, wyjmowano z akt rozmaitych władz i znów łączono razem. Podobnie i w obrębie jednej dykasterji układano np. akta ministerjalne, kuratorjów i samych szkół w grupy, dotyczące każda innej szkoły, i grupy te układano alfabetycznie. Nadto wyodrębniano zwykle dyplomy ze wszystkich archiwów składowych w jeden zbiór osobny. Bywało i tak, że akta jakiegoś urzędu, ułożone kiedyś w tym urzędzie według spraw, układano wszystkie chronologicznie, tak że obok siebie znalazły się powiedzmy dwa równoczesne zamówienia, a sprawozdania z wykonania osobno i każde gdzieindziej.

Tej zasadzie przeciwstawiono zasadę prowenienoji, która nakazuje:

1. W archiwach złożonych, t. j. w archiwach, przechowujących akta rozmaitych władz — przedewszystkiem posegregować je tak, żeby powyodrębniać akta poszczególnych władz w te same zespoły, które te akta stanowiły kiedyś, kiedy pozostawały przy urzędach, jako akta spraw przez nie prowadzonych. Proweniencja oznacza w tym przypadku nie pochodzenie od wystawcy, jeno pochodzenie z akt urzędu, który je prowadził, inaczej przynależność kancelaryjną do tych akt.

2. W obrębie akt poszczególnych władz i urzędów, prowadzących akta samodzielnie — ułożyć akta tak, jak były ułożone pierwotnie w urzędzie, który je gromadził w toku urzędowania.

Z punktu widzenia tej zasady nieścisłem jest samo pojęcie „akt wojskowych", jeżeli nie rozumieć przez to akt, prowadzonych przez wojsko. Akta, dotyczące wojska, nie mogą być według zasady proweniencji grupowane osobno, bo wszak wojska dotyczą akta rozmaitych władz tak wojskowych, jak cywilnych, że wymienię tylko akta władz ustawodawczych i akta samorządów.

„Miejscem proweniencji" akt nie jest w żadnym razie Archiwum żadne, wyjąwszy dla akt samego archiwum, które ono wytwarza jako urząd (np. korespondencja archiwum).

Tak zwany „zespół archiwalny", na który się Autor powołuje, nie oznacza też akt pokrewnych przedmiotem traktowania, jeno grupę akt jednej i tej samej władzy — według jednych (bo termin ten jest jeszcze sporny) ogół akt jednej władzy czy urzędu, o ile prowadził własne akta — według innych także działy takich akt a także grupy Zespołami są tedy niewątpliwie akta poszcze-

gólnych pułków i poszczególnych P. K. U., zespołem można nazwać akta wszystkich władz i urzędów podległych ministerjum wojny. Natomiast w żadnym razie do zespołu akt wojskowych nie będą należały akta wydziału wojskowego magistratu miasta Warszawy, chociaż dotyczą wyłącznie spraw wojskowych.

To też jeśli pisałem o „scalaniu" archiwów, to nie aby nawoływać do dzielenia archiwów na wojskowe i cywilne, a konsekwentnie dalej na sądowe, administracyjne i t. d., jeno aby akta po jednej władzy przechowywane były zawsze w jednem archiwum, żeby np. kilka ksiąg rachunkowych żup solnych nie pozostawało w Poznaniu, podczas gdy ogół tych ksiąg jest w Warszawie.

Wreszcie o wojsku, jako o „prawym właścicielu" akt „wojskowych" w przeciwstawieniu do widać „nieprawego" — archiwów państwowych, nie czas mówić w epoce nowoczesnego prawa publicznego. Wojsko nie może być właścicielem niczego, bo nie jest osobą prawną. Natomiast właścicielem akt jest państwo, oddające akta w zarząd właściwemu organowi. Tym zaś — o ile chodzi o akta t. zw. dawne, z których nie korzysta już administracja bieżąca — są archiwa państwowe.

Te archiwa mogą być scentralizowane lub nie. To znaczy, że poszczególne dykasterje mogą oddawać akta dawne zarządowi archiwalnemu, jednemu dla wszystkich rodzajów akt, albo tworzyć archiwa akt dawnych dla poszczególnych dykasteryj pod zarządem zwierzchnim ich władz. Nowoczesna archiwistyka wypowiada się za centralizacją.

Centralizacja zaś polega:

1. Na tem, że akta wszelkich władz są gromadzone razem — już to wszystkie, już to tak, że akta władz centralnych sa w jednem archiwum, akta zaś władz partykularnych z poszczególnych okręgów — w archiwach okręgowych. Zawsze tak, żeby archiwum stanowiło całokształt akt urzędów współzależnych, ponieważ sprawy poszczególne znajdują odbicie w aktach nie jednego, ale paru takich urzędów i władz, ponieważ badacz głębszy potrzebuje akt tych władz jednocześnie. Wyodrębnienie akt poszczególnych dykasteryj w osobne archiwa dogadzałoby tylko badaczom szczegółów funkcjonowania tych dykasteryj. Więc np. wyodrębnienie akt wojskowych — badaczom szczegółów organizacji wojskowej. Żadnego szerszego tematu, nawet historji żadnej kampanji nie możnaby na podstawie takiego archiwum napisać.

2. Zasada centralizacji wymaga poddania archiwów państwowych pod jednolity specjalny fachowy kierunek. Archiwistyka jest jedna — nie dzieli się na wojskową i cywilną, na wewnętrzna, zewnętrzną, skarbowa i t. p. Natomiast urzędnicy tych wydziałów nie potrafiliby obsłużyć własnych swoich kolegów, o ile chodziłoby o akta dawne. Na to trzeba znać nietylko pismo dawne, ale i język dawny, i biurowość dawną i prawo dawne, na to trzeba być archiwistą.

Wprawdzie archiwistyka w ścisłem znaczeniu nie jest przedmiotem rozległym, natomiast wymaga znajomości całego szeregu innych nauk i umiejętności. Dlatego archiwistą może zostać tylko człowiek o pewnem wykształceniu specjalnem po dłuższej pracy w archiwum.

Dodajmy, że są kraje, w których urzędy „żyjące" akt swoich nie przekazują do archiwów ogólnych, więc kraje, w których zasada centralizacji nie jest wykonywana w stosunku do urzędów i władz, istniejących bez przerwy. W tych państwach powstały archiwa ministerjów wojny, ale przeznaczone do przechowywania wyłącznie tylko akt tych ministerjów. Nie do wyławiania akt. „dotyczących" wojskowości, z archiwów innych władz, a nawet nie do wyławiania akt władz wojskowych innych, istniejących przed powstaniem dziś istniejącego ministerjum.

Np. we Francji istnieje archiwum ministerjum wojny, ale akta różnych innych władz wojskowych mieszczą się wraz z aktami władz cywilnych w Archiwum Narodowem.

Gdybyśmy tedy zasadę centralizacji, obowiązującą w Rzeczypospolitej, znieśli — mogłaby być mowa o utworzeniu osobnego archiwum, powołanego do przechowywania, powstających od lat 10 i nadal powstać mających, akt dzisiejszego Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Żeby zgromadzić w jedno archiwa dawnych władz wojskowych — trzebaby obalić cały ustrój archiwalny polski.

Inna rzecz, że nie jest określone u nas, jak długo akta mają pozostawać przy tej władzy, przy której powstały, że nie jest określone, jakie akta należy uważać za „dawne".

Atoli w żadnym razie nie można mówić o tem, jakoby ściągnięcie „akt wojskowych", a choćby tylko akt władz wojskowych dawnych do Archiwum Wojskowego na cytadeli miało być powrotem tych akt tam, „skąd je ongiś usunięto". Archiwum Wojskowe na cytadeli jest tworem nowym i to nietylko co do jednostki, ale i co do rodzaju. Jest instytucją osobną, a takiej nie było dawniej. Nie jest dalszym ciągiem żadnego polskiego archiwum, ani nie nawiązuje do żadnej tradycji. Polski ustrój zna archiwa specjalne, m. in. i archiwa przy ministerjach wojny, ale przeznaczone tylko do przechowywania akt, wyprodukowanych przez swoje ministerjum. Archiwum Wojskowe nie stanowi archiwum dzisiejszego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Pozatem polski ustrój zna tylko archiwa ogólne, przeznaczone do przechowywania akt wszystkich dykasteryj. Dlatego akta Komisyj Wojskowych dawnej Rzeczypospolitej nigdy w archiwach wojskowych XIX wieku nie były (wyjąwszy jedną drobną grupę o skomplikowanej historji).

Ale wyobraźmy sobie, że powstaje, nieistniejące obecnie, ani też nigdy w przeszłości, osobne „polskie archiwum wojskowe" i zastanówmy się, czy ustanowienie takiego archiwum byłoby z pożytkiem dla sprawy, której byłoby powołane służyć?

Powstałoby to archiwum jako podległe Ministerstwu Spraw Wojskowych, a wedle niewątpliwych zasad archiwistyki zawierałoby conajwyżej akta wszystkich — choćby najdawniejszych — władz wojskowych. Bo przecież nie wrócimy do czasów z przed zasady proweniencji i nie będziemy wyławiali spraw wojskowych, załatwianych przez inne władze z akt tych władz po rozmaitych archiwach. Nie będziemy ich wyławiali z Metryki Koronnej, ani z Archiwum Koronnego, z dawnych archiwów skarbowych, z akt Rady Nieustającej. Straży Praw, z akt rządu powstańczego Kościuszki, z akt Komisyj Porządkowych cywilno - wojskowych i t. d. Zgromadzilibyśmy w niem akta ministerjów wojny i urzędów im podległych — jakkolwiek się dawniej nazywały. Więc akta Komisyj Wojskowych dawnej Rzeczypospolitej, akta Ministerjum Wojny Księstwa Warszawskiego i Komisji Rządowej Wojny Królestwa Polskiego, akta twierdz, zakładów, sztabów i oddziałów wojskowych. Nie sięgnęłyby jednak wstecz poza rok 1765 i ktokolwiek chciałby studjować historję wojskową dawniejszą, nie miałby po co chodzić do tego archiwum.

Atoli i historji wojskowej nowoczesnej nie możnaby studjować wyłącznie w archiwum wojskowem. Wprawdzie niejedna praca przyczynkowa, niejedna monografja o najszczuplejszym zakresie — jakaś historja pułku naprzykład, jakieś opracowanie epizodu wojennego — da się wykonać na podstawie akt władz czysto wojskowych. Ale żadna praca o szerszym zakresie, żadna monografja o szerszem tle, o szerszym oddechu naukowym — nie da się opracować bez akt innych dykasteryj, bez akt rządu — więc bez akt wydziału spraw wewnętrznych, bez akt rady ministrów, bez akt naczelnika państwa. Archiwum władz czysto wojskowych nigdy nie stworzy całości samowystarczalnej. Ale wytworzyć może z ł u d z e n i e samowystarczalności, którego szkodliwości nie potrzebuję dowodzić, a wywołać musi zacieśnienie horyzontu historyków wojskowych, zaszkodzić zwłaszcza musi temu, co nazwałbym świadomością archiwalną — zdolności do obejmowania myślą w każdej potrzebie całokształtu źródeł, jakie archiwa do tematów wojskowych zawierają.

Zatem ze względu na swój skład archiwum wszystkich władz wojskowych XIX wieku nie będzie tem idealnem skupieniem, nie usunie „rozproszenia" akt potrzebnych historykowi wojskowemu po rozmaitych archiwach. Obecnie główne zasoby źródeł archiwalnych do historji wojskowej przechowywane są w Warszawie w Archiwum Głównem akt dawnych i w Archiwum akt dawnych. Jeżeli zabierzemy stamtąd akta władz wojskowych — historyk wojskowy będzie musiał pracować w nowoutworzonem Archiwum Wojskowem i... po dawnemu w Archiwum Głównem, a. d. i w Archiwum a. d. (administracyjnych), a jeżeli tego nie będzie czynił — obniży poziom swoich prac.

Ale ppłk. dr. P a w ł o w s k i, wymieniając akta, które Archiwum Wojskowe ma na widoku, wylicza nietylko akta od r. 1765. Wymienia regestry popisów od r. 1474, rachunki od r. 1472, rolle

od r. 1652 i t. d. — wszystko tak, jakby to były akta władz wojskowych, a nie — tak jak jest — akta, pochodzące z dawnych archiwów podskarbińskch, albo jakby akta skarbowe stanowiły „zespół“ z aktami władz wojskowych, o ile są źródłem dla historyka wojskowego, nie bacząc na ich proweniencję skarbową i na ich znaczenie dla historyka skarbowości polskiej.

Niezależnie od względów na prawdziwie nowoczesną archiwistykę z jej zasadą proweniencji — inny argument może przetnie dyskusję na ten temat.

Żeby te akta opracować, trzeba je przedewszystkiem umieć odczytać i to jaknajswobodniej i jaknajpewniej. Tymczasem na znalezienie paleografów wśród wojskowych trudno liczyć, jak tego zresztą dowodzi doświadczenie już dziesięcioletnie. Oczywista, że można na posady w Archiwum Wojskowem przyjąć ludzi. którzy pracowali przedtem w archiwach cywilnych. Ale na czem będzie wówczas polegał charakter wojskowy tego archiwum? A zresztą archiwum istnieje nie dla urzędników, jeno dla pracowników. Wypadłoby tedy, że tworzy się archiwum wojskowe. obsługiwane przez oficerów, ale odwiedzane — o ile chodzi o dział akt dawnych — tylko przez „cywilów“.

Spytajmy jednak, czy może dla akt późniejszych właściwsza jest opieka archiwisty wojskowego, niż cywilnego.

Zdaje mi się, że tu zachodzi wielkie nieporozumienie. Byłoby tak, gdyby archiwa były pracowniami, przeznaczonemi dla archiwistów. Gdyby archiwiści byli powołani w pierwszym rzędzie do opracowywania akt, pozostających pod ich dozorem. Tak nie jest. Archiwisty powołanie nie polega na badaniu akt, jeno na ich udostępnianiu badaczom. Archiwista sam powinien być uczonym i powinien brać pewien udział w pracy konstrukcyjnej i w pracy wydawniczej — ponieważ potrzebna mu jest kultura badawcza, potrzebne mu jest zrozumienie potrzeb badacza. Ale źle byłoby, gdyby się zbytnio zajął korzystaniem z akt dla swoich prac. Bo jego robota główna, to konserwacja i administracja zbiorów archiwalnych, to badanie akt z punktu widzenia archiwalnego. ustalanie, jakie zespoły posiada, jaka jest ich proweniencja, to praca nad tem, jak je uczynić przejrzystemi, jak ogółowi badaczy wykazać, co się w tych aktach zawiera — z punktu widzenia wszystkich najróżnorodniejszych zagadnień, jakie tylko się dadzą na podstawie tych akt rozwiązać, czy ku rozwiązaniu posunąć. Archiwistyka jest specjalnością naukową samą w sobie. I niema archiwistyki cywilnej i wojskowej. Jest jedna tylko.

Archiwista, mający pieczę nad archiwaljami wojskowemi nie musi bynajmniej być wojskowym, nie potrzebuje wykształcenia wojskowego. Mówię znów o wykszałceniu wojskowem wyższem. bo jeżeli chodzi o zwykłe oficerskie, to urzędnicy archiwalni w znacznej większości już teraz — a częściej jeszcze w przyszłości — są i będą oficerami w rezerwie, więc mieli tyleż do czynienia z wojną, co i przeważna część archiwistów wojskowych, którzy od czasu przejścia z linji do archiwum, oddają się przecież także

pracy pokojowej. Archiwiście tyle potrzeba z żołnierza, co z finansisty, inżyniera, czy z lekarza. Akta władz skarbowych, kolejowych i sanitarnych również nie wymagają archiwisty, obznajmionego z praktyką tych władz merytoryczną, jeno umiejącego ustalić ich praktykę kancelaryjną. Natomiast archiwum wymaga istotnie opieki uczonego archiwisty, specjalisty w zakresie archiwistyki.

Ten tylko będzie wiedział, nie jak się bitwę prowadzi, czy dokonywa wywiadu, ale jak się konserwuje, ustawia i wykazuje akta według władz i urzędów i jak się w nich znajduje żądaną sprawę.

Wątpliwa rzecz, aby takich archiwistów wojsko wyrobiło sobie w odosobnieniu lepszych, niż ogólno-państwowa służba archiwalna. Bo nie trzeba się łudzić tem, co dziś mamy. Toć trzeba było wielkiej wojny, potrzeba było Legjonowej Sprawy, aby profesor uniwersytetu Jagiellońskiego wstąpił do wojska, aby bibljotekarz bibljoteki Jagiellońskiej jeden, a Uniwersyteckiej Lwowskiej drugi — obydwaj nadto uznani już historycy — znaleźli się na służbie wojskowej. Ani p. T o k a r z, ani p. K u k i e l, ani p. Ł o d y ń s k i, ani p. P a w ł o w s k i nie byli wojskowymi zawodowymi za czasów pokoju. Byli to pracownicy naukowi, których wielkie wypadki przeniosły z „cywila“ do wojska.

Natomiast w archiwach państwowych położenie jest wręcz odmienne. W tej chwili większość stanowisk archiwalnych zajmują ludzie, którzy się nie sposobili do zawodu archiwalnego. Powołano ich na archiwistów, ponieważ mieli wykształcenie i wyrobienie w naukach, stanowiących podstawę całości i większość składników wykształcenia archiwisty fachowego. Im dalej, tem więcej będziemy mieli ludzi, specjalizujących się zgóry na archiwistów. Tak więc w archiwach ogólnych mamy przypływ elementu coraz ściślej fachowego — w wojsku zaś coraz trudniej będzie znaleźć adeptów czystej, niepodzielnej nauki. Wypadek chyba rzadki zdarzy, że ktoś odkomenderowany do pracy w archiwum, okaże się archiwistą z powołania. A praca archiwalna tego wymaga, jeżeli ma być należyta, t. j. jeżeli ma być twórczą pracą naukową.

Dlatego twierdzę, że historycy wojskowi, potrzebujący obsługi naukowej i pomocy fachowej archiwalnej, raczej znajdą tę obsługę i pomoc dobrą w archiwach państwowych ogólnych, niż w specjalnych, które tem tylko różnić się będą od ogólnych, że będą miały akta, nadające się tylko do niektórych prac specjalnych, oraz urzędników ze stopniami oficerskiemi w „stanie czynnym“, a nie w rezerwie.

A dodać trzeba, że dalsze istnienie oficerów służby naukowo-oświatowej bynajmniej nie jest pewne. Niedawno mieliśmy urzędników wojskowych, w przyszłości może nie będziemy mieli wcale wojskowych na stanowiskach, nie wymagających walki.

Toć są przykłady służby cywilnej, wymagającej takiej pewności ludzi i takiej dyscypliny, jak w wojsku. W Szwajcarji np. są odcinki kolei, ze względu na szczególne niebezpieczeństwo

wypadków, jak tam mówią, „zmilitaryzowanie". Znaczy to zapewne, że obsługa linji poddana jest karności na wzór wojskowej i odpowiada za zaniedbania według przepisów, wzorowanych na prawach czasu wojennego. A przecież ani zawiadowca nie chodzi tam przy szabli, ani maszyniści, nie mówiąc już o maszynistkach, nie noszą się po wojskowemu. Choć niewątpliwie z pewnego rodzaju dumą spoglądają na funkcjonarjuszy innych linij, niczem nasi intendenci na „cywilów".

A co będzie z archiwami wojskowemi, jeżeli nie stanie wojskowych archiwistów, a pozostanie zwierzchnictwo wojskowe? Co zyskają na wyodrębnieniu?

Toć już teraz poddane zostało Archiwum Wojskowe pod władzę instytucji wprawdzie naukowej, ale nie archiwalnej i nie historycznej właściwie: Wojskowe Biuro Historyczne ma zadania aktualne i archiwum wojskowych akt dawnych, a w niem akta najdawniejsze, tak ważne naukowo, a tak mało ciekawe dla wojskowych XX wieku — zawsze będzie przy niem szanownym, ale tylko dodatkiem raczej honoris, niż utilitatis causa. Na czele biura stoi dziś człowiek światły i nietylko biegły w sztuce wojowania, ale i zajmujący się jej historją. Ale cóżbyśmy powiedzieli, gdyby zmienić projektowane role tak, aby nie archiwa akt dawnych włączać do instytucji, na której czele stoi generał, jeno całe Biuro Historyczne jako instytucję naukową poddać — Departamentowi Nauki w Ministerswie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, jak również gdyby na czele archiwów państwowych stanął najświatlejszy lekarz, albo inżynier, albo profesor chemji, czy ekonomij? Powiedzielibyśmy, że archiwa są poddane innej, z punktu widzenia archiwistyki niefachowej dykasterji.

Nie jest to bylejakie niebezpieczeństwo. Archiwa państwowe ogólne istnieją na podstawie ustawy. Nie mogą być zniesione, przeniesione, ani zmienione co do swego składu inaczej, jak w trybie ustawy. Archiwum Wojskowe istnieje na podstawie rozkazu ministerjalnego. Dziś jest na cytadeli za miastem. Jutro może będzie w salonach podchorążówki, pojutrze gdzieindziej, gdzie wstęp dla historyka-cywila będzie tylko za przepustkami. A za lat dziesięć może być rozkazem Ministra Spraw Wojskowych przeniesione np. do Modlina. Oficerów i tam można odkomenderować, a miejsce dzisiejsze może być z punktu widzenia wojskowego bardziej potrzebne np. na szkołę sztabu generalnego, albo choćby na archiwa władz wojskowych ostatnich dziesięcioleci. Co będzie wtedy? Czy dzisiejsi archiwiści wojskowi gotowi są przyjąć odpowiedzialność za ryzyko usunięcia tych archiwaljów z użytku nauki niewojskowej? Czy akta wojskowe zawierają materjał li tylko dla historyków, noszących mundur wojskowy? Czy wolno im utrudniać dostęp do nich historykom innych specjalności, a nawet historykom wojskowym — tyle, że ze swojej specjalności, a nie z przynależności do korpusu oficerskiego?

Pozostaje jeszcze jeden argument. Archiwum Wojskowe ma wykonywać w stosunku do historyków wojskowych czynności

seminarjów uniwersyteckich, ma im pomagać, kierować w początkach, aż do wskazywania bibljografji i literatury, udzielać im porad „nietylko w zakresie metody poszukiwań archiwalnych, ale i w pewnej bodaj mierze w samej konstrukcji pracy".

Na to trzeba odpowiedzieć stanowczo: archiwum nie ma i nie może mieć zadań pedagogicznych. Kto potrzebuje wskazówek co do literatury, niech idzie do bibljoteki, a kto potrzebuje pomocy wszelakiej — wskazówek co do źródeł, literatury i wyzyskania tego wszystkiego, niechaj idzie najprzód na uniwersytet, do uniwersyteckiego seminarjum. Inaczej — łatwo się może wyrobić na typ w nauce najszkodliwszy — na takiego, któremu będzie się tylko zdawało, że może zabierać głos w sprawach naukowych.

Archiwum nie jest w stanie zastąpić uniwersytetu. Przedewszystkiem i głównie dlatego, że nie będzie uczyło swoich adeptów latami. Nadto — nie wyobrażam sobie archiwum, któreby mogło się mierzyć siłami z uniwersytetem. Trzeba zważyć, że młody „cywil", zanim dostanie ostrogi pracownika naukowego, musi przesiedzieć lat cztery na uniwersytecie, przez których to lat cztery wgaduje w niego mądrość cały szereg profesorów, docentów i asystentów, że przez te cztery lata, a najczęściej jeszcze dłużej, przyszły historyk poznaje rozmaite metody, wystawiony jest na rozmaite wpływy — wszystko dlatego, żeby wreszcie znalazł własną drogę. Nadto uczy się na błędach swoich kolegów seminaryjnych i na swoich własnych, kiedy prace członków seminarjum analizowane są i krytykowane przez kolegów i nauczycieli.

Dr. P a w ł o w s k i sądzi, że tę rolę spełni w stosunku do oficerów — zarząd Archiwum Wojskowego. Jestem przekonany, że dr. P a w ł o w s k i się łudzi. Bo jest różnica pomiędzy przyspieszonem wyszkoleniem na wojnę, a przygotowaniem do pracy naukowej. Tam można dokazać, że żołnierz po 6 tygodniach będzie się jednak bił, a dowódca będzie pamiętał, że ten oddział ma wyszkolenie słabsze i odpowiednio go użyje. W nauce rzecz zrobiona źle, najczęściej lepiej, żeby nie była zrobiona wcale. Bo wprowadza w błąd. Minęły czasy, kiedy dyletanckie prace oddawały pewne usługi. Minęły czasy, kiedy dobrze było, że się ogół czegośkolwiek dowiedział o zgoła nieznanej dziedzinie. Teraz obejmujemy już wzrokiem całokształt i potrzeba nam ścisłego opracowania szczegółów i głębszego, ściśle metodycznego ujęcia coraz to jaśniej się zarysowywującej całości. Archiwum może być szkołą i bywa nią. Szkołę może stworzyć nawet jeden archiwista, ale szkołę, złożoną tylko z najbliższych współpracowników, którzy korzystać będą z jego kierownictwa czas dłuższy. Archiwum może wiele bardzo pomagać pracownikom przychodnim — i to nietylko początkującym, ale i wcale wytrawnym — w ich pracach poszczególnych. Ale uczyć ludzi, mających dopiero kwalifikacje słuchaczy uniwersyteckich — może skutecznie tylko uniwersytet.

Oczywista, że jeżeli historja wojskowa ma się opierać w swoim rozwoju na oficerach, którzy przygodnie podejmują opracowanie jakiegoś szczegółu — niepogłębionego, jakiejś kro-

niki (kroniki, nie historji) pułkowej, jakichś zestawień liczbowych i t. p., to urzędnicy archiwalni mogą znakomicie podnieść swoją pomocą wartość takiej pracy. Ale jeżeli mowa o historji wojskowej, jako o nauce, jeżeli mowa, o rozwoju naukowych badań w tej dziedzinie — trzeba jaknajrychlej skończyć z uważaniem takich prac za robotę naukową. Nie znaczy to, żeby nie miały być potrzebne, żeby nie miały nawet wielkich i ważnych zadań. Ale co innego jest np. praca kółek krajoznawczych, a co innego praca geografów uczonych. Co innego są notowania meteorologiczne stacyj doświadczalnych rolniczych, a co innego meteorologiczne badania instytutów naukowych. Jedne i drugie są potrzebne, ale nie trzeba narzucać instytutom naukowym, jakiemi są archiwa, zadań popularyzacyjno-użytkowych, a zwłaszcza łudzić się, że będą miały istotne znaczenie dla rozwoju nauki w ścisłem słowa znaczeniu.

Udzielanie wskazówek pracownikom na wszelkie tematy choćby tylko wojskowe, ale z wszystkich czasów, wymaga podziału pracy, zwykle bywa zbyt trudne dla jednego człowieka. Próbka, jaką nam dają wskazówki, zawarte w publikacji Biura Historycznego, nie wypadła dodatnio. Możnaby podnieść szereg zarzutów tak co do okresu najdawniejszego, średniowiecznego, jak i co do czasów nowożytnych. Natomiast nie wątpię, że wskazówki w zakresie wieku XIX są bez zarzutu, jako że autor jest badaczem tej epoki. To też powtarzam tylko: kierownictwo studjów w zakresie historji wojskowej wymaga większej ilości specjalistów, niż ich może posiadać jedno archiwum wojskowe.

Nie mogę tu pominąć jeszcze jednego argumentu rzekomo przemawiającego za skupieniem akt wojskowych w archiwum wojskowem. Argument ten nie był przez p. Pawłowskiego wypowiedziany, ale narzuca się czytelnikowi, skoro na stronie 29 czytamy: „Akta wojskowe są nietylko rozbite... ale co gorsza... przeważnie nieuporządkowane. Wprawdzie w Archiwum Akt dawnych Czykin starał się... posegregować... akta Komisji Rządowej Wojny, lecz... wprowadził tylko jeszcze większe zamieszanie. Próby ułożenia aktów z epoki Księstwa Warszawskiego, podjęte przez dyrektora Archiwum Głównego podczas okupacji niemieckiej i przeprowadzone dowolnie bez jakiejkolwiek metody naukowej i archiwalnej, wprowadziły tylko chaos, ponieważ akta niczem niezwiązane ze sobą zostały oprawione razem tak, że przy systematycznem porządkowaniu trzeba będzie te okładki zrywać i całą robotę na nowo zaczynać... Owóż po scaleniu tych wszystkich materjałów, w programie prac Archiwum Wojskowego na pierwszem miejscu położyć należy ich systematyczne i metodyczne ułożenie i zinwentaryzowanie".

Słowa te narzucają wniosek, że akta wojskowe są w Archiwum Głównem pod opieką nieumiejętną, Archiwum zaś wojskowe zrobi w nich porządek.

Zarzut ten nie mnie dotyczy. Wszelako nie umniejsza to mojego obowiązku odparcia go, o ile nie jest słuszny. Na podstawie

znajomości rzeczywistego stanu sprawy oraz szczególnego dochodzenia, w którem złożyli świadectwa wszyscy urzędnicy archiwum, jużto pracujący przed i podczas okupacji w Archiwum, jużto badający ten dział obecnie — stwierdzam:

1) Żadne akta władz wojskowych, ani wogóle żadne akta wojskowe z epoki Księstwa Warszawskiego nie były w Archiwum Głównem wogóle — ani przed, ani podczas, ani po okupacji poddawane żadnej próbie nowego układania. Natomiast były około tego czasu oprawione, ale bez zmiany układu na chronologiczny, a nawet z przywróceniem pierwotnego, o ile był zaburzony przy oddawaniu z archiwum po Komisji Rządowej Wojny. Cała bieda, że przy oprawianiu zatracono „języczki" zeszytów, co jednak tylko utrudnia, a nie uniemożliwia orjentacji, ponieważ zachowało się i liczbowanie i tytuły zeszytów.

2) Stosunkowo drobna grupa akt władz wojskowych, ale nie z czasów Księstwa, była przez ś. p. W i e r z b o w s k i e g o ułożona wbrew zasadzie prowenienoji, mianowicie chronologicznie, więc nie „dowolnie bez jakiejkolwiek metody naukowej", jeno wedle metody dawniejszej, dziś uznanej za błędną przez archiwistów, rządzących się zasadą prowenienoji. Nie sądzę, żeby było słusznem czynić z tego powodu ówczesnemu dyrektorowi zarzutów zbyt surowych. Był to człowiek starej daty, pamiętał wojnę 70-go roku, nie dziwna, że jego metody archiwalne wyglądają przy dzisiejszych, jak Werndle przy Mannlicherach. Co ważniejsza, rychło porzucił te metody i przeszedł do właściwych — właśnie przy porządkowaniu akt Księstwa Warszawskiego.

Nie sądzę też, żeby zapowiedź prucia akt Księstwa była pocieszająca, zwłaszcza skoro ją słyszymy ze strony źle o nich poinformowanej. Nie wątpię, że układ pierwotny tych akt ma wady, że uległ przed 64 r. i podczas wydawania tu i ówdzie zaburzeniu. Ale poprawianie takiego układu jest rzeczą bardzo niebezpieczną i raczej wskazane jest uzupełnienie inwentarza wskazówkami co do przypuszczalnych przemieszczeń późniejszych i błędów w pierwotnym układzie.

Wniosek: czy nie byłoby lepiej, gdyby Archiwum Wojskowe zamiast myśleć o wypruwaniu akt z archiwów ogólnych a potem i z opraw dotychczasowych, raczej ograniczyło się do zadań, które mu są wskazane w rozkazie obowiązującym. Czytamy tam między innemi: „A) gromadzenie, inwentaryzowanie i przechowywanie akt, które posiadają znaczenie dla historji wojskowości... B) rejestracja akt wojskowych w archiwach i bibljotekach państwowych oraz publicznych i prywatnych".

Oczywista, że Archiwum Wojskowe powołane jest tym rozkazem do „gromadzenia" tych akt, które nie znajdują się obecnie w zbiorach naukowo prowadzonych, natomiast akta z tych zbiorów powinno Archiwum Wojskowe rejestrować. „Gromadzenie" w ten sposób, żeby przenosić akta z jednego archiwum do drugiego, — nie zdaje się, odpowiadać bynajmniej intencji rozkazu.

A tyle jest w kierunkach, w rozkazie wskazanych, do zrobienia!

Rejestracji Archiwum Wojskowe przez 9 lat swojego istnienia nie zdołało widocznie przeprowadzić tak, aby z niej można było łatwo korzystać w potrzebie. To co mamy na stronie 3 podane jako najważniejsze grupy źródeł do dziejów wojskowości polskiej, razi brakami. Że wymienię tylko jeden najcięższego kalibru: brak Komisyj Wojskowych (autor zawsze pisze tak, jakby była tylko jedna) i jeden lżejszego: akt Korpusu Kadetów. A przecież Autor o jednych i o drugich dawniej pisał, gdzie się znajdują (w *Militariach polskich w warszawskich archiwach rządowych*).[1])

Bodaj, że jeszcze pilniejsze jednak jest wydobywanie na jaw akt ukrytych, odwołanie się do patrjotyzmu jednych posiadaczy, wywarcie nacisku na innych. Najcenniejsze akta z czasów dawnej Rzeczypospolitej — akta hemańskie — przechowywane są przeważnie w familijnych archiwach rodzin hetmańskich, niedostępne dla badaczy, ukrywane poprostu przed narodem, którego siłami rozporządzali hetmani, narażone na zniszczenie po zamkach, pałacach prowincjonalnych i po mieszkaniach miejskich, narażone też niewątpliwie na zniszczenie z braku umiejętnej konserwacji. Są i akta, zabrane przez osoby prywatne z archiwów państwowych dawnej Rzeczypospolitej i wcielone bezprawnie do zbiorów prywatnych.

Oczywista łatwiej jest powiększyć zbiory Archiwum Wojskowego przez przeniesienie doń akt z innego archiwum państwowego, niż wydobyć inne z rąk prywatnych. Oczywiście łatwiej jest wyjednać dekret, zaprowadzający zmianę wewnątrz administracji archiwalnej, niż ustawę, zabezpieczającą spuściznę hetmańską przed... kądzielą. Ale czy nie lepiej byłoby zamiast zwalczać dzisiejszych kolegów cywilnych wytykaniem błędów rosyjskiego archiwisty C z y k i n a — podjąć wraz z nimi walkę ze złem aktualnem, po epoce zaborów pozostałem, ze złem, grożącem naprawdę zagładą tylu archiwaljom?

Kiedyśmy organizowali pierwszy w Niepodległej Rzeczypospolitej zjazd historyków polskich, historycy wojskowi wystąpili wobec nas jako grupa zorganizowana. Sądziliśmy, że im to potrzebne dla lepszego uwydatnienia, że historjografja wojskowa polska powstała i działa sprawnie. Uznaliśmy w zupełności samorząd grupy wojskowej i udzieliliśmy jej przedstawicielowi miejsca honorowego w szeregu najbardziej zasłużonych z pośród nas. Nie przypuszczał wówczas zapewne nikt, że potem przyjdzie odosobnienie programowe na stałe, że archiwiści wojskowi wystąpią przeciw podstawowej zasadzie archiwistyki nowoczesnej, stawiając na jej miejsce zasadę separatyzmu wojskowego.

Powtarzam. Czy zamiast zmuszać nas do pisania „my" i „wy", nie lepiej pójść razem i zasłużyć się sprawie wspólnej?

---

[1]) *Bellona*, 1918, I. 9, str. 661—73.

RECENZJE I SPRAWOZDANIA

Edward Maliszewski: Bibljografja pamiętników polskich i Polski dotyczących. (Druki i rękopisy). Warszawa, Tow. Miłośników historji. Skład główny: Dom Książki Polskiej, 1928, stron X + 447 + 2 nl.

Spore dzieło bibljograficzne, liczące prawie pół tysiąca stronic druku w dwie kolumny, wydane przez zasłużone warszawskie „Towarzystwo miłośników historji", budzi podziw dla ogromu włożonej w nie pracy, wdzięczność za liczne i dokładne informacje, ale zarazem żal głęboki z powodu, że autor, złożywszy niepowszedni dar ów nauce polskiej, odszedł nagle i niespodziewanie w pełni wieku męskiego, wyrwany gwałtownie z pośród założonych na długie jeszcze lata robót, najbardziej pożądanych, najpożyteczniejszych i najlepiej przez niego wykonywanych.

Działalność publicystyczna i naukowa ś. p. Edwarda Maliszewskiego, z każdym rokiem bogatsza, bardziej intensywna i rozleglejsze, odznaczała się nie często u nas spotykaną dokładnością i precyzją. „Nie da się to wszystko ująć bibljograficznie" — odpowiada mi dr. Emil K i p a na zapytanie o Maliszewskim i jego produkcji naukowej, — są to dosłownie setki pozycyj drukowanych broszur i artykułów, głównie dotyczących Kresów naszych, map, wykresów i t. p. Obok tego anonimowa żmudna praca przy ustaleniu granic województw, powiatów, starostw, przy redagowaniu i drukowaniu epokowego *Spisu miejscowości R. P.*, wydawanego przez Gł. Urząd Statystyczny i t. p., i t. p. Gdzie potrzeba najpilniejsza, aby rzecz była gotową na czas, aby odpowiadała wszystkim wymaganiom nie tylko z pozoru, lecz w istocie swojej — tam powołany Maliszewski nie czyni zawodu pokładanemu w nim zaufaniu. Od licznych artykułów w pismach aż do, wydanego razem z Bolesławem O l s z e w i c z e m, *Podręcznego słownika geograficznego,* od zarysów *Polski dzisiejszej,* aż do wielkiej ściennej mapy etnograficznej Europy powojennej — wszędzie pracownik na wielką miarę europejską.

Po wydawnictwach krajoznawczo-statystycznych, po skrupulatnem policzeniu w krainach kresowych rzeczywistych sił polskich, ścisłem określeniu granic Polski, przeszedł, nie opuszczając swojej metody do badań historycznych nad rokiem 1863, naprzód na „Kresach Mohilewskich", rychło swoim zwyczajem rozszerzając widnokręgi na całe dzieje powstania styczniowego. Stanął wobec materjału olbrzymiego, ale nieuporządkowanego, który usiłował dopiero przez poznanie „organizacji" powstania, przez wybór najważniejszych aktów i dokumentów, przez nakreślenie programu prac, który przedłożył zjazdowi historyków w Poznaniu r. 1925, ująć w ramy poważnego. naukowego przedsięwzięcia. Sam począł zbierać pamiętniki z tych czasów i niebawem kolek-

cjonerstwu temu oddał się z zapałem i systematycznością sobie właściwą.

Nie omylę się może, szukając w niem początków tej bibljografji, którą ukoronował swoje zabiegi naukowe i pozostawił trwały i piękny pomnik swojej chwały. Chociaż sam nazywa ją w przedmowie „owocem czteroletniej pracy", czyni ona wrażenie długich, życiowych wprost usiłowań, zbierania notatek do kartoteki przy każdej sposobności, przejrzenia całego materjału osobiście, zapisywania spostrzeżeń natychmiastowego i t. d. Dlatego prawdopodobnie nie daje szczegółowego wykazu przejrzanych czasopism — czem utrudnia kontrolę, ale wprost zadziwia wymienieniem pism zgoła niespodziewanych, jak I. N. Gniewosza z Oleksowa *Strażnicy polskiej,* albo wnikaniem aż w tekst lub noty dzieł rozmaitych jak *Cmentarz Powązkowski* Wójcickiego, dzieł Askenazego i t. p. Spełnia w zupełności to, co zapowiada w przedmowie: „grupuje możliwie obfity materjał pamiętnikarski", drukowany i rękopiśmienny i dozwala zorjentować się w nim swobodnie i łatwo. Bibljografja jego, wypowiada to wręcz: „nie rości sobie bynajmniej pretensji do zupełności", chodzi jej o danie maximum uporządkowanych informacyj — a to jest istotnie jedynie możliwy do osiągnięcia cel takiej publikacji.

Przedmowa krótka, treściwa, nie traci wielu słów na określenie sposobów zbierania i grupowania materjałów, ale jest zupełnie wystarczająca dla użytkujących. Definicję pamiętnika traktuje „możliwie rozciągliwie, włączając do Bibljografji wszystko, co tak lub inaczej związane jest z pamiętnikarstwem". Zatem również listy, opisy podróży, zwłaszcza obcych po ziemiach polskich, relacje nuncjuszów i t. p., chociaż, rzecz ściśle biorąc, pamiętnikiem nazwać ich trudno. Wskutek tego Bibljografja, poczęta od Jana z Czarnkowa — w wieku zatem XIV — zyskała liczne pozycje, wzbogaciła się i stała się bardziej użyteczną. W pierwszej grupie, t. j. w „drukach", podaje 4477, w drugiej, w rękopisach, 966 numerów.

Pierwszy rozdział mieści dzieła bibljograficzne i wydawnictwa zbiorowe, rozpisane w poszczególnych rozdziałach, tu uporządkowane chronologicznie, podług dat wydania, od zbioru Pistoriusa (1582) aż do najnowszych (1928). Potem idą na 17 rozdziałów podzielone „pamiętniki", w okresach krótszych i dłuższych: na czele „wieki XIV i XV", po nich panowanie królów od Zygmunta II do Stanisława Augusta, poszczególnych lub po dwóch razem (do rozdz. XII); wkońcu sześć rozdziałów od upadku Polski aż do wskrzeszenia państwa i po rok 1928, zatytułowanych używanemi powszechnie nazwami, jak rewolucja listopadowa, powstanie styczniowe i t. p. W obrębie tych rozdziałów poszczególne jednostki bibljograficzne są ułożone abecadłowo podług nazwisk autorów pamiętników, albo też wydawców lub nawet pierwszych wyrazów tytułu, jak to ma miejsce w katalogach bibljotecznych.

Przy wielkiej, niewątpliwie, dogodności takiego mechanicz-

nego układu alfabetycznego, nie dadzą się uniknąć pewne utrudnienia: ci sami autorowie powtarzają się w kilku po sobie następujących rozdziałach, pod autorem nie są zebrane wszystkie jego dzieła i t. p. Zawsze należy przejrzeć cały rozdział, a odsyłaczy szukać w kilku pobliskich okresach. Jednakże szybkie odszukanie danego tytułu jest o wiele łatwiejsze, niż przy układzie chronologicznym, który sprawia układającemu autorowi wiele kłopotu. Wszystkim wątpliwościom zaradza dokładny indeks nazwiskowy.

Autor, który przejrzał, przepracował, rzec można, dużą bibljotekę, mnóstwo czasopism przekartkował, setki wspomnień przeczytał, sam badacz wnikliwy, nie mógł pozostać tylko zupełnie objektywnym registratorem. Do wielu pozycyj, zwłaszcza w dziele rękopisów, który jest szczególną jego zasługą, sięgającą ponad dotychczasowe bibljografje, poczynił krótkie ale bardzo cenne swoje uwagi. Kierował się przy nich nie tyle jakąś regułą metodyczną, jakimś szablonem, ile instynktem, jeśli tak powiedzieć wolno, bibljograficznym, t. j. odczuciem trafnem tego, o co przedewszystkiem badacz-historyk pytać, na co poszukiwać będzie odpowiedzi.

W ogólności: pomimo przestrzegania reguł bibljograficznych, skrupulatnego podawania wydań, stron lub numerów pism czasowych i t. p., wybija się z całości sumiennych zestawień jakiś niezmiernie pożądany i sympatyczny rys subjektywny, szerokie i żywe zainteresowanie się dla drogich pamiątek narodowych, niejako wkładanie siebie samego, oddawanie najlepszej części swojej istoty duchowej tej pracy mozolnej, a na oko prawie schematycznej. Wielka wdzięczność należy się autorowi od wszystkich badaczy przeszłości narodowej i dlatego nie wahałem się dać jej wyrazu w tej recenzji, mimo tyle zaszczytnej dla mnie dedykacji dzieła.

Ludwik Finkel.

Wacław Tokarz: Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa z 44 ilustracjami i 3 planami. Warszawa — Kraków, 1925. Gebethner i Wolff, str. 275.

Historjografja nasza, poświęcona dziejom Królestwa Kongresowego,[1]) dopiero w ostatnich latach zainteresowała się zagadnieniem wybuchu powstania listopadowego i jego genezą. Zagadnienie to było wprawdzie poruszane w mniej lub więcej szczęśliwy sposób przez wszystkie prawie dawniejsze prace, omawiające całokształt powstania, natomiast nowsze opracowania monograficzne do niedawna pomijały je milczeniem. Tłumaczy się to zapewne w znacznej mierze tem, że podstawowy materjał źródłowy, jaki stanowią akta Najwyższego Sądu Kryminalnego i Ko-

[1]) Krytyczny jej przegląd dał Ryszard Przelaskowski w artykule *Stan badań nad dziejami Królestwa Kongresowego* (w *Księdze Pamiątkowej ku uczczeniu 25-letniej działalności naukowej prof. Marcelego Handelsmana.* Warszawa, 1929).

misji Rozpoznawczej oraz raporty policji Schleya i Macrotta, był dawniej dla badaczy niedostępny, a przeważna jego część, wywieziona do Rosji, zaledwie przed kilku laty powróciła do kraju.

To też dopiero w latach 1925 — 1926 ukazały się dwie prace, traktujące o spisku powstańczym i nocy listopadowej, a mianowicie prof. Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa,* oraz dr. Harbuta *Noc listopadowa w świetle i cieniach procesu przed Najwyższym Sądem Kryminalnym* (Warszawa, 1926), trzecia zaś prof. Handelsmana *Francja — Polska 1795 — 1845. Studja nad dziejami myśli politycznej* (Warszawa 1926), porusza między innemi zagadnienie genezy powstania (w rozdziałach „Liberalizm polski" oraz „Romantyzm polityczny we Francji i Polsce").

Chociaż więc monografja prof. Tokarza ukazała się przed trzema z górą laty, jednak przypuszczam, że ze względu na jej temat, coraz więcej nabierający aktualności w związku ze zbliżającą się setną rocznicą powstania listopadowego, będzie rzeczą wskazaną omówić ją na łamach *Przeglądu Historyczno-Wojskowego.*[2])

Praca składa się ze wstępu, dającego tło ogólne przedstawianych wypadków oraz dwóch części: I — Sprzysiężenie i II — Noc z 29-go na 30-ty listopada.

We wstępie zwraca uwagę doskonała charakterystyka starszej i młodszej generacji Królestwa Kongresowego oraz istniejącego między niemi rozdźwięku, który próbowali usunąć dawni członkowie Towarzystwa Patrjotycznego i Wolnych Polaków, objęci przez autora wspólnem mianem epigonów Towarzystwa Patrjotycznego. Ludzie ci, zgodnie z dawną ideologją Łukasińskiego i jego towarzyszy, nie chcieli bynajmniej powstania, byli to rewolucjoniści, odrzucający nieuniknioną konsekwencję ruchu — rewolucję. Wprawdzie lewy ich odłam, z inicjatywy którego utworzył prawdopodobnie Wysocki sprzysiężenie podchorążych, zdawał sobie sprawę z bezcelowości oporu na drodze legalnej, ale i on, wznawiając akcję spiskową, nie miał żadnego programu działania.

Część pierwszą rozpoczyna autor od zwięzłego obrazu Szkoły Podchorążych, podkreślając, że siłą rzeczy musiała ona stanowić pierwiastek rewolucyjny, gotowy zawsze do wybuchu, wymagający jednak odpowiedniego kierownictwa.

Następnie przechodzi prof. Tokarz do skreślenia wizerunku przywódcy spisku podchorążych Piotra Wysockiego, charakteryzując go jako oficera i działacza politycznego. Otrzymujemy plastyczny obraz człowieka wielkiej prawości i godności

---

[2]) Ze sprawozdań z tej pracy, jakie się dotychczas ukazały, znane mi są: Edmunda Oppmana w Nr. 3 *Nowin Naukowych* z 1925 r., Józefa Dutkiewicza w zesz. 1 *Kwartalnika Historycznego* z 1926 r. oraz Juljusza Kozolubskiego w *Myśli Narodowej* z 1927 r. (krótkie omówienie w związku z artykułem autora o organizacji spisku listopadowego).

osobistej, ale nie posiadającego ani energji, ani incjatywy, ani programu działania, tak nieodzownych przecież kierownikowi rewolucyjnej organizacji spiskowej.

Mówiąc o założeniu przez Wysockiego Związku na terenie Szkoły Podchorążych, autor daje doskonałą jego definicję: „...jedyne w swoim rodzaju sprzysiężenie bez ideologji własnej, którego celem miała być rewolucja, posiadająca sankcję kierowników jawnej, legalnej polityki narodu, rewolucja, której sprawcy z góry zamykali sobie usta i na drugi dzień po wybuchu mieli zniknąć ze sceny...“ (str. 28)).

Statut Związku nadał Wysockiemu wyłączne prawo reprezentowania go nazewnątrz oraz decydujący wpływ na przyjmowanie nowych członków — były to te uprawnienia, do których dążył ongiś Łukasiński. Jest bardzo charakterystyczne, że Wysocki, pozbawiony zupełnie wszelkiej próżności, starał się jednak koniecznie na wzór Łukasińskiego utrzymać w swem ręku dla dobra sprawy kierownictwo samowładne Związku.

Kiedy po paryskiej rewolucji lipcowej nastąpiło połączenie organizacji Wysockiego z istniejącą już poprzednio grupą oficerów Zaliwskiego, chciał on po dawnemu zatrzymać pełnię władzy. Zaliwski jednak, wykorzystując okoliczność, że głoszona przez Wysockiego zasada abnegacji nie trafiała zbytnio do przekonania ambitnej naogół młodzieży spiskowej, potrafił zmusić do wytworzenia systematycznego kierownictwa, opartego na zasadzie wyborów.

Do wyczerpującej zupełnie charakterystyki Zaliwskiego (str. 46—50) chciałbym dorzucić tu jedno sprostowanie, że w czasie wojny 1831 roku, oddany on został pod sąd wojenny nie za Łowicz, lecz za porzucenie w trakcie cofania się naszej armji na przedpole Warszawy swego oddziału, tworzącego w okolicy Mszczonowa skrajne lewe skrzydło ugrupowania polskiego. [1])

Omawiając cywilną organizację spiskową, prof. Tokarz podkreśla rolę, jaką w niej odegrali Maurycy Mochnacki i Ksawery Bronikowski. Na specjalną uwagę zasługuje potajemne wysunięcie przez Bronikowskiego majora Kazimierza Machnickiego na wodza powstania. Należałoby może, o ile naturalnie istnieją do tego materjały, wspomnieć nieco szerzej dlaczego właściwie ani Bronikowski, ani Lelewel nic nie zrobili w trakcie rozpaczliwego poszukiwania wodza w nocy listopadowej, aby wyraźnie postawić kandydaturę Machnickiego. Dalej mamy doskonały, barwny obraz coraz to powiększającego się zamętu w Związku, rozbitym częściowo przez aresztowania. Jak zwykle bywa w takich wypadkach, wystąpiła konieczność przyspieszenia wybuchu, w czem ostatecznie dużą rolę odegrał instynkt samozachowawczy sprzysiężonych.

Na początku części drugiej prof. Tokarz przedstawia za-

---

[1]) Józef Zaliwski *Rewolucja polska 29 listopada 1830 r.* (Paryż 1883) — str. 58—59; Henryk Dembiński *Pamiętniki o powstaniu w Polsce r. 1830—1831* (Kraków, 1877) — t. II, str. 157.

rządzenia alarmowe W. Ks. Konstantego, następnie zaś plan działań związkowych, opracowany przez Zaliwskiego, przyczem nasuwa mu się szereg analogij z kwietniowemi wypadkami 1794 roku.

Plan Zaliwskiego autor poddaje gruntownej krytyce fachowej, podkreślając, że z wojskowego punktu widzenia był on zbyt skomplikowany, jak na powstańcze środki dowodzenia i łączności. Zamiast skierować wszystkie swe siły na północny i północno-zachodni kraniec miasta, w celu rozbrojenia stojącej tam piechoty rosyjskiej oraz opanowania arsenału i mostów na Wiśle, Zaliwski skierował jednocześnie część oddziałów w okolice Łazienek przeciwko kawalerji rosyjskiej. Trudności w uzgodnieniu działań za pomocą skomplikowanego systemu dwóch sygnałów ogniowych oraz zgromadzenie na czas w okolicach koszar jazdy rosyjskiej naszych kompanij wyborczych, rozkwaterowanych od Chmielnej do Dzikiej, zgóry skazywały plan ten na niepowodzenie.

Tak się też i stało — sygnał ogniowy w południowej części miasta zawiódł całkowicie. Doskonale przedstawia autor zachowanie się prowizorycznego wodza powstania Zaliwskiego, znajdującego się w owej chwili na czele 2 kompanij wyborczych pułku 5 piechoty lin. w okolicach arsenału. Gdy sygnału ogniowego na Solcu nie było widać, zaczęli przybywać doń związkowi po rozkazy. Jak to często bywa z ludźmi, pozbawionymi zdolności szybkiego orjentowania się w nowowytworzonem położeniu i powzięcia natychmiastowej decyzji, Zaliwski nie wiedział, co począć i kazał czekać. Dopiero po dwugodzinnem prawie wyczekiwaniu zdecydował się na danie sygnału ze swej strony, marnując przez to bezpowrotnie możność zaskoczenia piechoty rosyjskiej w jej koszarach.

W dalszym pełnym dramatycznego napięcia obrazie wypadków tej nocy, widzimy bohaterską walkę Szkoły Podchorążych z kawalerją rosyjską, stoczoną po napadzie Szkoły na koszary tej kawalerji, uratowanie arsenału przez II bataljon pułku 4 piechoty lin., marsz Podchorążówki pod arsenał, naznaczony śmiercią generałów Trębickiego, Haukego, Nowickiego i płk. Meciszewskiego, rozdanie broni ludowi.

Całkowite załamanie się planu powstania zdyskredytowało jego dotychczasowych przywódców Zaliwskiego i Wysockiego. Przez pewien czas nie było żadnego dowództwa, poczem ujęła je w swe ręce samorzutnie zaimprowizowana Rada wojenna oficerów związkowych.

Na tle tego ogólnego chaosu nader korzystnie odbija się postać mjr. Kiekiernickiego, dowódcy kompanij wyborczych pułku 1 piech. lin., który, jedyny z poszczególnych dowódców spiskowych, wykonał wszystko, co doń należało, opanowując obydwa mosty, magazyn prochowy na Pradze i przecinając oddziałom rosyjskim drogę odwrotu na Modlin.

Strona przeciwna była również całkowicie zaskoczona i zde-

zorjentowana. Próby zorganizowania oporu powstaniu, podjęte przez gen. Stanisława Potockiego na Placu Bankowym i gen. Siemiątkowskiego na Placu Saskim, zakończone śmiercią obu tych generałów, nie dały żadnego poważniejszego rezultatu, wskutek zachowania się Konstantego, który stracił zupełnie głowę i pod pozorem, że powstanie jest wewnętrzną sprawą polską, do której Rosjanie nie powinni się mieszać, zachował się całkowicie biernie.

To też rankiem 30 listopada powstańcy byli panami sytuacji. Teraz jednak zemścił się na nich brak własnego programu i kierowniczej organizacji, z której możnaby było wyłonić rząd. Wytworzyła się sytuacja tego rodzaju, że władza właściwie leżała na ulicy, czekając na tego, kto ją podniesie. Człowiek taki znalazł się. Był nim minister Lubecki, który uskutecznił to przez zwołanie Rady Administracyjnej i dokooptowanie do niej szeregu ludzi o znanych i popularnych w kraju nazwiskach jak Czartoryski, Niemcewicz, Chłopicki.

Monografja prof. T o k a r z a, a właściwie jej wstęp, nasuwa mi kilka uwag. Autor powiedział tutaj na siedmiu stronach (str. 5—12) bardzo dużo, sądzę jednak, że niektóre zagadnienia należałoby potraktować obszerniej, a przez to cały wstęp musiałby się znacznie rozrosnąć. Do zagadnień tych należy w pierwszym rzędzie moment gospodarczy, o którym autor tylko krótko wspomniał, a który niewątpliwie odegrał bardzo poważną rolę w kształtowaniu się ideologji tych żywiołów, które sprzysiężenie inspirowały.

Dominującym czynnikiem w życiu ówczesnem Królestwa Kongresowego, jak zresztą prawie wszystkich w tym czasie krajów, jest rozwój przemysłu.[1]) Lubecki, uświadamiając sobie dobrze znaczenie rozwoju ekonomicznego, starał się energicznie o uniezależnienie rynku polskiego od przemysłu pruskiego przez konsekwentne popieranie rozwoju naszego przemysłu. Dzięki poparciu rządowemu i przychylnej polityce celnej Rosji, przemysł nasz, zwłaszcza tkacki, rozwinął się szybko. Przytoczę tutaj kilka cyfr, jako wymowną ilustrację tego.

Tak np. w r. 1825 wywieziono do Rosji sukna za 1.865.012 rb. asygnacjami, a w r. 1830 — za 7.050.077 rb. Produkcja przemysłu bawełnianego wynosiła w r. 1826 — 1.511.397 łokci a w r. 1829 już 3.707.047 łokci, czyli że w ciągu trzech lat powiększyła się zgórą dwukrotnie. Podobne zjawisko zauważymy w dziedzinie przemysłu lnianego, produkcja którego w latach 1826 — 1829 wzrosła z 1.607.612 łokci do 2.970.630 łokci. O rozwoju ekonomicznem Królestwa świadczy również fakt, że ludność jego w latach 1816 — 1830 wzrosła o 52 procent.

Uprzemysłowienie kraju, niwelując różnice stanowe, odegrało rolę czynnika demokratyzującego — powtarzało się u nas

[1]) Współzależność czynników gospodarczego i politycznego w dziejach Królestwa Kongresowego przedstawił znany historyk rosyjski prof. Aleksander P r i e s n i a k o w w pracy swej *Ekonomja i politika w polskom woprosie naczała XIX wieka* (czasopismo *Bor'ba Klassow*, Nr. 1—2, Leningrad, 1924).

w pewnej mierze to, co działo się w Anglji i Francji. W ten sposób wytworzyło się podłoże, na którem kształtowały się hasła liberalne, odgrywające poważną rolę wśród cywilnych spiskowych. Rozdrobnienie własności ziemskiej powoduje, że znaczna ilość małorolnej i bezrolnej szlachty idzie na rękę tym dążeniom demokratyzacyjnym. Zdeklasowana ta szlachta staje się inteligencją miejską, która nietylko przejmuje hasła liberalne mieszczaństwa, lecz nadaje im pewien odcień radykalny i narodowy. Inteligencja, ta, krępowana w swoim rozwoju położeniem politycznem Królestwa, widzi pomyślne widoki rozwoju we własnem państwie, przez co musi wysunąć wyraźnie sprawę niepodległości. Niepodległość bowiem stanowi nieomal dogmat polityczny ówczesnej demokracji polskiej. Widzimy to wyraźnie poprzez Towarzystwo Republikanów Polskich, Wolnomularstwo Narodowe, Towarzystwo Patrjotyczne, aż do sprzysiężenia podchorążych, którego stanowi ona jedyną rację bytu. Jednym z zasadniczych przejawów postulatu niepodległościowego jest apologja wolności, z którą znowu połączony jest pewien radykalizm polityczny tych grup. Mochnacki, Bronikowski. Ostrowski, Żukowski i inni walczyć chcą o Polskę nietylko niepodległą, ale i radykalną.

Zdaje mi się, że uwzględnienie tego momentu przyczyniłoby się prawdopodobnie do wyjaśnienia ideologji sprzysiężenia, jak i do powiązania go z tą walką liberalizmu z reakcją, którą obserwować można było w owym czasie w Anglji i Francji. Już niektórzy ze współczesnych zdawali sobie sprawę ze znaczenia czynnika gospodarczego w wybuchu powstania, jak np. Mochnacki, który wspomina o tem w swojej *Historji Powstania Narodu Polskiego,* oraz Mikołaj I, mówiący, że rozwój przemysłu Królestwa Kongresowego przygotował wybuch powstańczy.

Oprócz większego uwydatnienia czynnika ekonomicznego zasługiwałaby, mojem zdaniem, również na podkreślenie wyraźna świadomość swej odrębności narodowej, wyrażająca się w skrystalizowanem już poczuciu potrzeb narodowych narodu polskiego. Wtenczas gdy w Europie zachodniej, częściowo pod wpływem haseł wieku oświecenia, wszelkie prądy wolnościowe nosiły zabarwienie kosmopolityczne, w Polsce zabarwienie to jest narodowe. Przykładem może służyć Wolnomularstwo Narodowe, Towarzystwo Patrjotyczne, Wolni Polacy i t. d. Wolnomularstwu, noszącemu charakter międzynarodowy, nadał u nas Łukasiński tendencje dość wyraźnie narodowe. Polska może wskutek tego, że wcześniej od innych krajów wytworzyła warstwę radykalnej inteligencji, jak również wskutek swej sytuacji politycznej, wcześniej przeszła drogę rozwoju świadomości narodowej, która na zachodzie musiała jeszcze przejść przez węglarstwo, ażeby znaleźć pełny swój wyraz w Młodej Europie Mazziniego.

Wreszcie trzecia i ostatnia uwaga, jaką mi nasuwa świetna monografja prof. Tokarza — zdaje mi się, że autor winien

był nieco szerzej uwzględnić dawniejsze spiski, z których bierze swe źródło sprzysiężenie podhorążych. Przez to byłby jaśniejszy związek pragmatyczny, zachodzący pomiędzy niemi a organizacją Wysockiego.

Stanisław Płoski.

Dr. J. St. Harbut: Noc listopadowa w świetle i cieniach procesu przed Najwyższym Sądem Kryminalnym. Warszawa, 1926 r., str. 526.

Recenzja książki niniejszej jest bardzo spóźniona. Pewien jednak rozgłos tej „monografji", jej stosunkowo duża poczytność, późna fachowa ocena (R. P. w *Szańcu* z lipca 1927 r. i dr. Józefa Dutkiewicza w 3-im zeszycie *Kwartalnika Historycznego* z 1928 r.), duża rozbieżność między wstrzmięźliwą conajmniej krytyką fachową, a prawie entuzjastycznemi recenzjami publicystów (Zdzisław Dębicki, Irena Pannenkowa, Aleksander Świętochowski). treść i poruszane zagadnienia, a nadewszystko charakter pracy wytwarzają okoliczności, które poniekąd usprawiedliwiają opóźnienie.

Celem książki dr. Harbuta jest dać monografję Nocy Listopadowej i procesu jej uczestników. Rozpada się więc dzieło powyższe z tytułu swego założenia na dwie zasadnicze części: na opis wypadków listopadowych i obraz procesu. Nie przestrzega jednak autor tego podziału w toku pracy, miesza ze sobą dwie te kwestje, jakby ich nie odróżniał, co nader ujemnie wpływa na przejrzystość monografji, która i bez tego konstrukcyjnie wypadła dość oryginalnie. Jej cechą zasadniczą jest brak jednolitej linji, brak spoistości i ciągłości. Zawiera mnóstwo fragmentów i wypadków nocy listopadowej, oraz danych z organizacji Sądu Kryminalnego, jak również charakterystyk poszczególnych osób, pomieszanych ze sobą zupełnie dowolnie, nie stanowiących jednolitej całości. Autor zaczyna od spisu, dość przytem fantastycznego, związków Królestwa Kongresowego, przeplatając to zresztą swemi oryginalnemi, lecz niekoniecznie trafnemi uwagami o masonerji zagranicznej i polskiej; przechodzi do zamiarów Mikołaja względem Francji i Belgji; podaje następnie charakterystykę wielkiego księcia Konstantego, wspominając jednocześnie o zamierzeniach Katarzyny II w stosunku do Konstantynopola i przytaczając dosłownie list St. Aug. Poniatowskiego do carowej; omawia potem stosunki w Królestwie Kongresowem, co zresztą już uprzednio we wstępie zrobił: zajmuje się obliczeniem sił zbrojnych polskich i rosyjskich przed nocą 29-go listopada, podając przy okazji hipotezę możliwości zorganizowania w czasie wojny trzystotysięcznego wojska; po tem wszystkiem przechodzi autor do komisji śledczej z 1822 roku, by zająć się znowuż związkami przedpowstaniowemi, jak związkiem „Wolnych Polaków", Krzyżanowskiego i Umińskiego i przerzucić się do związku „Kawalerów Narcyza", dając przy sposobności wyrwane wiadomości z dziejów włoskich XVI w.; przechodzi do wpływu Francji na towarzystwa tajne

Królestwa; podaje w dalszym ciągu charakterystykę władz Uniwersytetu Warszawskiego, zajmując się szczegółowo prof. Krzyżanowskim; omawia potem sprawę denuncjacji Kruszelnickiego, Zagrabińskiego i Petrykowskiego oraz areszty listopadowe 30 roku. Zajmuje się następnie analizą i charakterystyką konstytucji Królestwa Kongresowego i Statutu Organicznego; opisuje organizację Najwyższego Sądu Kryminalnego, którą przerywa biografją prokuratora Poklękowskiego; omawia zeznania Wysockiego, streszczając je bezkrytycznie na trzydziestu stronach; przechodzi do charakterystyki Szkoły Podchorążych; przedstawia poszczególne epizody nocy listopadowej, powtarzając w dużej mierze zeznania Wysockiego; zajmuje się szczegółowo życiorysem Chłopickiego, nie pominąwszy wyliczenia w jakich okazjach i ile rózeg otrzymał przyszły dyktator od rodziców i władz szkolnych w swem dzieciństwie; wraca do wypadków 29-go listopada i kontynuuje opis nocy listopadowej; omawia potem akt oskarżenia i regulamin sądu, przyczem daje historję porównawczą adwokatury w Polsce i na zachodzie Europy; skreśla obronę Wysockiego i innych oskarżonych; powtórnie przechodzi do charakterystyki prok. Poklękowskiego; zajmuje się znowuż wolnomularstwem oraz zagadnieniem już przedtem poruszanem wpływu masonerji na wybuch powstania; opisuje następnie zachowanie się Rady Administracyjnej wobec wypadków listopadowych; omawia rolę Chłopickiego w powstaniu; daje ogólną charakterystykę ruchu powstańczego i przyczyn upadku; następnie przechodzi do losów Wysockiego po 1831 roku, do dalszego ciągu życiorysu Poklękowskiego, do życia Chłopickiego po powstaniu; kończy zaś znowuż na losach Wysockiego po 1833 roku.

Pracę swoją dr. Harbut oparł przeważnie na materjałach archiwalnych, przechowywanych w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie — na aktach Najwyższego Sądu Kryminalnego. Popełnia przytem autor błąd zasadniczy, uważając, iż w aktach tych noc listopadowa „odbija się niemal w pełni" (str. 4 i n.), podczas gdy dają one raczej tylko jednostronny zewnętrzny i niekoniecznie pełny obraz wypadków listopadowych, a to ze względu na brak zeznań najbardziej skompromitowanych uczestników ruchu listopadowego, jak również i ze względu na specyficzny charakter zeznań wogóle, tych zaś w szczególności z powodu specjalnych zainteresowań Sądu Kryminalnego.

O krytycznej ocenie materjału, o zestawieniu go ze sobą niema w tej pracy mowy. Stąd pomieszanie wypadków i ludzi, dochodzące nieraz do komizmu, gdy np. na podstawie jednego z aktów dr. Harbut stwierdza samobójstwo kpt. Dobrogoyskiego w więzieniu, co nie przeszkadza mu nieco dalej na podstawie innego znowuż aktu opisywać losy tegoż kapitana dwa lata później (str. 14), lub gdy, spotkawszy się w zeznaniach Wysockiego z dwoma wzmiankami o spotkaniu gen. Stanisława Potockiego z powstańcami, z których jedna mówiła o spokojnym odjeździe generała, druga zaś o jego śmierci, — miast zestawić ze sobą obie te

wiadomości, by przekonać się, czy to o dwa różne chodzi spotkania, czy też inne przedstawienie jednego i tego samego faktu. postąpił znacznie prościej: obie te wzmianki połączył, co złożyło się na oryginalne zdanie, iż „Wysocki nie szedł na czele Szkoły Podchorążych, ale z tyłu, z powodu czego nie mógł być świadkiem śmierci gen. Potockiego, który, odmówiwszy prośbom podchorążych o objęcie nad nimi dowództwa, puszczony wolno na rozkaz Wysockiego, odjechał do Belwederu, do Wielkiego Księcia" (str. 117).

Dr. Harbut w polemice swej z prof. Tokarzem zarzuca temu ostatniemu „błędy a nawet grzechy", co słuszne jest, lecz tylko w odniesieniu do samego p. Harbuta. Tak więc słyszał prawdopodobnie autor *Nocy Listopadowej* coś o tajemniczej legendzie, związanej ze śmiercią Aleksandra, bez wahań też podaje, że Aleksander tak jak Paweł został zabity (str. 8). Opisując rolę Hauków podczas wybuchu powstania, dr. Harbut nie omieszkał wspomnieć i o ich krewnym Józefie, co pod pseudonimem Bosaka, odznaczył się na pobojowiskach 1863 roku i dodać, że jest to syn tego Haukego, który zginął w 1870 roku pod Dijon, podczas, gdy dwie te, różne u autora postaci, stanowią w rzeczywistości jedną i tę samą osobę (str. 330: zwrócił na to już uwagę recenzent *Szańca*). Podobnemi skandalicznemi wprost pomysłami, demaskuje autor daleko idącą ignorancję w dziedzinie historji i to odnośnie do zdarzeń znanych ogólnie.

Z generała Fenshave uczynił autor (str. 89 i 233) aż trzy odrębne osoby, odpowiednio przekręcając nazwisko (wytknął to już R. P.). Osobiste dane, co do Bema (str. 31) także są, jak stwierdził dr. Dutkiewicz, mylnie podane. Na czele policji Sztabu Głównego napewno nie stał gen. Siemiątkowski (str. 24), był on tylko szefem Sztabu. Krzyżanowski posiadał rangę podpułkownika, a nie pułkownika (str. 91). Petrykowski nie był narówni ze Schley'em naczelnikiem jednej z policyj tajnych (str. 25), a tylko podrzędnym agentem Schley'a. Pułk 4 piechoty był w całości skoszarowany (str. 29), a t. zw. przez autora kompanje „wyborowe" są to przecież kompanje wyborcze. Cichowski z *Dziadów*, według historyków literatury nie przedstawia Cichowskiego belwederczyka, jak to sobie Autor wyobraża (str. 381), lecz majora Machnickiego, o którym zresztą na str. 188 wspomina, iż był po powstaniu sędzią, co także zupełnie jest niezgodne z rzeczywistością. W chronologji również wkradły się pewne błędy, z których w pierwszym rzędzie należy odniesienie wypadków w Grecji do czasów po wypadkach francuskich i belgijskich. Dziwne również jest chronologiczne pomieszanie kolejności śmierci Trębickiego i Haukego (str. 117). Lecz są to raczej omyłki drugorzędne, które nie każdy czytelnik dostrzeże.

Są błędy o wiele poważniejsze. Tak, np. Łukasiński nie założył Towarzystwa zw. Patrjotycznem, jak twierdzi dr. Harbut na str. 33, lecz chodzi tu o wolnomularstwo Narodowe. Wysocki redaktorem *Nowej Polski* nigdy nie był, jak myśli autor (str. 322).

a wspomniana w książce sprawa ataku *Nowej Polski* na Niemcewicza jest pomieszaniem wypadków grudniowych 1830 roku z artykułem Mochnackiego z 27 stycznia, wymierzonym przeciw sejmowi; zwrócić przytem należy uwagę, iż *Nowa Polska* wychodzić zaczęła dopiero 4 stycznia, w grudniu więc nie mogła atakować Niemcewicza. Twierdzenie następnie, że odezwy Rady Administracyjnej zaraz po wybuchu uspokoiły związkowców (str. 331), jest nie słuszne, związkowcy te odezwy źle bardzo przyjęli, na względny ich spokój natomiast wpłynęła zmiana składu Rady Administracyjnej. Nie do przebaczenia również jest twierdzenie, iż Zaliwski w przysiężeniu był „sterowany przez Lelewela" (str. 321), jak również, iż Mochnacki był Lelewela „prawą ręką" (str. 323).

Szersze hipotezy autora są zawsze podejrzane, a niekiedy ich nielogiczność rzuca się odrazu w oczy. Tyczy się to w pierwszym rzędzie kwestji masonerji zagranicznej i wpływu jej na związki polskie. Charakterystyczną dla metody uogólniania dr. H a r b u t a jest jego koncepcja związku między sprzysiężeniem Wysockiego a Wolnomularstwem Narodowem poprzez osobę samego Wysockiego. Twierdzi dr. H a r b u t mianowicie (str. 319 i n.), iż Wysocki należał do Towarzystwa zw. Patrjotycznem, a na dowód tego przytacza znaleziony w aktach Sądu Kryminalnego spis członków Towarzystwa Patrjotycznego, gdzie figurowało i nazwisko przywódcy podchorążych. Nie zwrócił tylko autor *Nocy Listopadowej* uwagi na to, iż spis ten tyczył klubu „Towarzystwo Patrjotyczne", utworzonego dopiero po wybuchu powstania i niemającego nic wspólnego z organizacją Krzyżanowskiego. Zresztą i umieszczenie Wysockiego na liście członków tego klubu było niesłuszne: dokonane zostało pod presją opinji władz śledczych, które powierzyły sporządzenie tej listy Stankiewiczowi.

Autor, zamierzając dać wyczerpującą i obszerną pracę o dziejach wybuchu powstania listopadowego, nie uważał za stosowne nawet przejrzeć materjału drukowanego, ograniczając się przeważnie do aktów Najwyższego Sądu Kryminalnego (nota bene pobieżnie przerzuconych). Nie mógł więc dr. H a r b u t bodajby w części odtworzyć strony ideologicznej spisku.

Ta nieznajomość druków powoduje także dotkliwe nieporozumienia. Broszury H o f f m a n a p. t. *Wielki Tydzień Polaków* nie wypada cytować tylko z aktów, do których została dołączona (str. 146). Tajemniczo przedstawiona na podstawie papierów, zabranych przez władze rosyjskie Niemojowskiemu, scena spotkania Francuza M. z p. K. i ich rozmowa (na co zwrócił już uwagę R. P., a za nim dr. D u t k i e w i c z) wyjaśniłaby się zupełnie, gdyby autor dokładnie przejrzał był B a r z y k o w s k i e g o, na którego się zresztą w innych miejscach powołuje, gdzie na czterech stronach miałby o tem relację, lub K o ź m i a n a, właśnie samego „p. K.", albo wspomnienia posła francuskiego w Petersburgu Bourgoing'a (B o u r g o i n g *Souvenirs...*, Paryż, 1864, str. 331). Przy znajomości też literatury epoki odpadłyby i inne nieporozumienia.

jak sprawa stosunku Kongresu Wiedeńskiego do kwestji polskiej, lub sprawy „carte blanche“ Konstantego w stosunku do konstytucji Królestwa Kongresowego (str. 7; kwestje te omówił D u t k i e w i c z w swej ciekawej recenzji), jak przyjęcie nigdy niezrealizowanego projektu Dembińskiego za fakt urzeczywistniony i twierdzenie, iż „w samem krakowskiem stanęło pod dowództwem kpt. Henryka Dembińskiego, późniejszego gen. dywizji 60.000 kosynierów“ (str. 30—31). Gdyby autor zapoznał się z literaturą przedmiotu, inaczejby także wypadły u niego charakterystyki poszczególnych osobistości, np. Szaniawskiego, jak również jaśniej odzwierciadliłyby się role niektórych wybitnych spiskowców, Roślakowskiego np.

Ocena powstania listopadowego, jaką autor niepotrzebnie zresztą podał (str. 322 i n.), bo nie łączy się z omawianym tematem, odznacza się dużą pretensjonalnością i nie wykazuje bynajmniej znajomości przedmiotu; przypisywanie Chłopickiemu wszystkich błędów powstania jest conajmniej niesłuszne, a obrona przed rzekomym zarzutem zdrady bynajmniej niepotrzebna, gdyż nikt takiego zarzutu jednak mimo pewnych pozorów nie stawiał. Zagadnienie, czy powstanie było „rewolucją“, niedość, że ujęte jest nader mglisto, jest ponadto tylko chyba nieporozumieniem, wynikającem z ignorowania chociażby tylko opracowań, poruszających sprawę powstania listopadowego.

Pracę ponadto cechuje ogromna przesada i pretensjonalność, nie liczące się z poczuciem rzeczywistości: niemożliwością jest uwierzyć, by Konstanty pozował na Marka Aureljusza, przesadą jest także jaskrawą nazywanie Konstantego „Neronem Belwederskim“ (str. 23), jak i twierdzenie, że „gorzej było w konstytucyjnej Polsce, niż w samej Rosji (str. 11). Nawiasem mówiąc, nieznajomość rosyjskiego języka, doprowadza nawet do komicznych sytuacyj, gdy np. autor, przytaczając rosyjskie zdanie „nariażeny rużja“, podaje je jako „narażona roża“ (pysk).

Praca dr. H a r b u t a, choć obfituje w ciekawe dane o organizacji Sądu Kryminalnego, o przewodzie sądowym, o życiu Chłopickiego i Wysockiego, ze względu na swój charakter, nie wzbogaca poważnej literatury historycznej, pozostaje tylko żywym przykładem, jak książek pisać nie wolno, ma więc wartość, że tak się wyrażę, pedagogiczną. To też właściwie nauce historycznej wyrządza ona niedźwiedzią przysługę, wytwarza bowiem sytuację, że opierać się na publikacji nie można, należy natomiast wrócić do akt, aby uniknąć skandalicznych błędów i nieznośnego bałamuctwa.

Jednem z zagadnień centralnych u dr. H a r b u t a jest postać Wysockiego, w sprawie oceny którego polemizuje on z poważnym historykiem, autorem świetnej monografji *Sprzysiężenie Wysockiego i Noc listopadowa.* Wysocki prof. T o k a r z a jest dobrym subalternem, wielkim patrjotą, człowiekiem bezwzględnie uczciwym i bezinteresownym, lecz oficerem dość ograniczonym, bez zdolności organizacyjnych i szerszego politycznego widnokrę-

gu. Wysocki zaś dr. H a r b u t a urasta do olbrzymich rozmiarów bohatera narodowego. Uwielbienie dla Wysockiego u niego przechodzi w jakąś chorobliwą manję, której wyrazem jest cała mglista rozprawa końcowa o Wysockim, jako mickiewiczowskim „44“. Dowodów konkretnych, usprawiedliwiających taki stosunek do Wysockiego dr. H a r b u t nie przytacza, a gdy czasem rzuca niepozbawione pewnej słuszności uwagi, to czyni to w formie tak dziwnej, że raczej zdaje się popierać tezy prof. T o k a r z a.

Stanowczo książka ta nie powinna była ujrzeć światła dziennego. I jeśli poświęciłem jej tyle miejsca, to tylko gwoli ostrzeżenia czytelników i przestrogi dla domorosłych „pisarzy“.

Edmund Oppman.

M j r. O t t o n L a s k o w s k i i S t a n i s ł a w P ł o s k i: K a m p a n j a w ł o s k a 1859 r o k u. K u r s h i s t o r j i w o j e n, tom IV. Warszawa, 1928. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Str. 4 nlb. + 115 oraz 12 szkiców poza tekstem.

I.

Bezpośrednio przed wojną światową, wojskowi, uzupełniający brak doświadczenia wojennego studjami dawnych wojen, zapewne nie zwróciliby uwagi na wojnę austrjacko-francuską 1859 roku.

Dziesięciotygodniowe walki, niewystarczające przygotowanie obu przeciwników, dwie tylko duże bitwy, małopouczająca, jak się zawsze zdawało, działalność wodzów, ulegających ciągłym wahaniom i budujących wszystkie swe przywidywania nie na podstawie położenia faktycznego, lecz na rozwiązywaniu zadań za nieprzyjaciela — wszystko to nie czyniło z wojny austrjacko-francuskiej 1859 r. ciekawego lub pouczającego przykładu, zasługującego na studja. Pozatem zasłoniły ją późniejsze wojny, poczynając od amerykańskiej secesyjnej. a kończąc na ostatniej przed wojną światową, wojnie bałkańskiej. Nic więc dziwnego. że np. w rosyjskiej Akademji Sztabu Generalnego wojna 1859 r. nie stanowiła przedmiotu wykładów, a tylko jeden z tematów. dawanych do opracowania słuchaczom, aby wprowadzić pewną rozmaitość do ogólnego cyklu prac historyczno-wojskowych, wykonywanych na kursie uzupełniającym.

Obecnie jednak wojna ta, której wyrazem były bitwy pod Magentą i Solferino, uzyskała pewne znaczenie, zwłaszcza w dziedzinie działalności wodzów. Odbyła się jej rewizja i przewartościowanie. Myśli, przypuszczenia i rozkazy obydwóch wodzów. Napoleona III i feldcechmistrza Gyulaia zostały uznane za pouczające, chociażby w ujemnem znaczeniu, jako drogowskazy, ostrzegające przed obraniem błędnej drogi. Za szczególnie pouczające uznano spostrzeżenia i wnioski, które poczynił obserwator tej wojny, ówczesny szef pruskiego Sztabu Generalnego gen. Moltke. Dążąc do uniknięcia w przyszłości błędów, popełnionych

w tej wojnie przez obu przeciwników, zainteresowany w poznaniu i ocenie obydwóch stron, gdyż odradzające się Niemcy oczekiwały nieuniknione kolejne wojny z Austrją i Francją. Moltke potrafił wydobyć z doświadczeń wojny włoskiej wszystko to, co z takim powodzeniem zastosował później w czasie przygotowań do wojen 1866 i 1870 r. oraz na polach Sadowy, Gravelotte i Sedanu.

Jeżeli wojna 1859 r. odegrała rolę jakgdyby objawienia dla Moltkego, była dlań pracownią naukową, gdzie się uczył, sceną, na której nie słowami lecz naocznemi przykładami pokazywano, jak wojny nie należy prowadzić, to i dzisiaj, jako jedną z kart ewolucji sztuki wojennej, może ona wzbudzić zainteresowanie, chociażby ze względu na pracę wodzów, o której wiedziano, że była bezwarunkowo ujemną.

Dlatego też należy powitać z uznaniem książkę Laskowskiego i Płoskiego, którzy wysunęli na plan pierwszy właśnie najbardziej pouczającą stronę tej kampanji i uskutecznili swe zadanie w zwięzłej, a jednocześnie wyczerpującej formie. Licząc się z ewentualnością nieuniknionego pytania, po co wprowadza się do kursu historji wojen starą kampanję, zapomnianą wśród szeregu innych, nowszych wojen, autorzy dali w przedmowie do swej pracy zupełnie wyczerpujące, zdaniem mojem, wyjaśnienie.

W książce tej znalazłem dużo bardzo trafnych ustępów. Przedewszystkiem dobre są te, w których autorzy zatrzymują się nad zagadnieniami, prowadzącemi do zasadniczego celu ich książki — przedstawienia zadziwiających wahań myśli operacyjnej, zarówno Napoleon III, jak i Gyulaia. Jeżeli jeszcze wahania Gyulaia łatwo tłumaczy jego nastawienie myślowe na jak najprędszy odwrót za Mincio, z którem objął on dowództwo, to analogiczne wahania cesarza Francuzów są z jednej strony jakgdyby cechą przyrodzoną, charakteryzującą niedoświadczonych i nieudolnych wodzów, z drugiej zaś stanowią właściwość tak trudnej, złożonej i odpowiedzialnej pracy, jaką jest sztuka wojenna wogóle, a dowodzenie w szczególności.

Niestety — zarówno wskutek charakteru swej pracy, jak i jej rozmiarów, autorzy nie mogli przytoczyć, chociażby w wyciągach dokumentów, wykazujących te ustawiczne wahania obydwóch wodzów. Sądzę, że gdyby była możność zrobienia tego, nikt nie mógłby twierdzić, że wnioski pracy są do pewnego stopnia gołosłowne, a obraz wahań myśli operacyjnej stałby się jeszcze barwniejszy.

Bardzo dobrze wyłożyli autorzy plany obydwóch stron i chwilę, gdy Gyulai, mając przeciwko sobie tylko armję sardyńską, nie potrafił z nią skończyć przed przybyciem na teatr działań wojennych Francuzów. Kto mógłby przypuszczać, że znany oportunista Szwajcar, Jomini, „genjusz“ strategiczny, pozostający w epoce kongresu wiedeńskiego na usługach św. Przymierza, przyda się do opracowania planu wojny bratankowi tego cesarza, którego zdradził w początkach kampanji jesiennej 1813 r.

Doskonale przedstawiona jest dezorjentacja obu wodzów po zagadkowej dla nich walce pod Montebello, jak również, co zawsze stanowi pewną trudność, przebieg bitew pod Magentą i Solferino. Nawet wygrawszy bitwę pod Magentą, Napoleon III przez całą noc nie wiedział, że odniósł (przynajmniej formalnie) zwycięstwo i nie chciał wierzyć w odwrót Austrjaków. Jeżeli wówczas, kiedy tereny starć były tak niewielkie, możliwa była tego rodzaju nieświadomość, to jak wyraźnie daje się ona odczuwać dzisiaj, wobec rozległości pól bitew, mnóstwa ognisk dzisiejszej walki i masowych armij. Na tle ogólnych wahań autorzy wysuwają spokój i stanowczość, panujące w obozie sardyńskim i w szczególności wykazane przez króla Wiktora Emanuela II.

Nasuwają mi się, rzecz prosta, i pewne uwagi oraz uzupełnienia w stosunku do omawianej pracy. Zatrzymam się na najbardziej istotnych.

Na miejscu autorów nie bardzobym napadał na plan sardyński (str. 19), ponieważ przyjęte przezeń ugrupowanie sił było niebezpieczne wobec energicznego nieprzyjaciela, a takim nieprzyjacielem Austrjacy nie byli; mówiąc inaczej plan sprzymierzeńców Francuzów był dostosowany do jednej z danych, wchodzących w zakres pojęcia o sytuacji.

Uwagi (str. 94) należałoby ułożyć w porządku kolejności ich znaczenia. Niewątpliwie, że stary grzech austrjackiego systemu dowodzenia — dążenie do kierowania operacjami z Wiednia, odległego około 1.000 km. od teatru działań wojennych, było poważniejszą przyczyną niepowodzeń, niż ta lub inna liczebność taborów. A tymczasem o podwodach jest mowa wcześniej, aniżeli o wskrzeszeniu porządku z czasów Hofkriegsrathu.

Nie mogę się stanowczo zgodzić z autorami, gdy radzą oni Gyulaiowi wycofać się z Magenty i zająć na południe od drogi do Medjolanu stanowiska, flankujące marsz sprzymierzonych w kierunku tego miasta. Przecież pozycje flankujące już nieraz doprowadziły do katastrofy, ale tych którzy je obsadzili. Wodzowi austrjackiemu, niezorjentowanemu jeszcze dostatecznie w sytuacji, trudno było stanąć frontem na północ tylko dlatego, że z południa ciągnęły ku niemu VIII i IX korpusy, dywizja Urbana i artylerja odwodowa (str. 72). Działania ze stanowisk flankujących należą do bardzo trudnych i wątpliwem jest, czy Gyulai i jego najbliżsi pomocnicy daliby sobie z niemi radę. Zagadnienie, czy Gyulai winien był przed uderzeniem na armję sardyńską wyjaśnić drogą rozpoznania ogólną sytuację, jest, zdaniem mojem, sprawą sporną. Uważam, że sytuacja Gyulaia w pierwszych dniach wojny była analogiczna z sytuacją jednego z przeciwników, rozpoczynających walkę spotkaniową. W tym wypadku niema się przeważnie czasu na wszechstronne rozważania, a trzeba szybko podjąć decyzję i bez wahania, nie szukając lepszych rozwiązań, wykonać ją. Nie zapominajmy, że Gyulai znajdował się w odległości zaledwie 40 km. od Sardyńczyków, t. j. w dwóch przemarszach, że mógł uderzyć na

nich niespodzianie i że każdy dzień był dlań drogi. Nie wynika z tego naturalnie, żebym usprawiedliwiał jego ewentualne czołowe natarcie, lecz chcę tylko zaznaczyć, że zanim mówić o rozpoznaniu, należałoby w sposób możliwie wszechstronny ocenić sytuację, w jakiej znajdował się wódz austrjacki (str. 30 i 34). Pozwolę sobie przypomnieć, że prowadzenie kawalerji z tyłu, z czego autorzy robią zarzut Gyulaiowi, wynikało niewątpliwie z ducha czasu, kiedy nie myślano o wykorzystaniu kawalerji jako „oczu i uszu“ wojska, lecz tylko jako narzędzie szarży. Przecież i u Moltkego dywizje kawalerji szły bardzo często z tyłu, podobnie jak u Gyualai. Nawet podczas wojny światowej widzimy to samo zjawisko na przykładzie korpusu kawalerji rosyjskiej Chana Nachiczewańskiego w Prusach Wschodnich, lub uralskiej dywizji kozackiej w okresie odwrotu Niemców i Austrjaków 1914 roku.

Autorzy wyrażają jakgdyby zdziwienie, że wojna, prowadzona pod hasłem zjednoczenia Włoch, nie wywołała w Lombardji tego wielkiego entuzjazmu, na jaki liczyli wodzowie sprzymierzonych (str. 97). Zdaje mi się, że ludność miejscowa pamiętała jeszcze dobrze nieudaną próbę 1848 — 49 r., za którą musiała krwawo zapłacić.

Rozważając, o ile ofensywa Gyulaia w tym lub innym kierunku była celową w pierwszych dniach wojny, nie można przytaczać rozważań o bezpieczeństwie lub niebezpieczeństwie tego rodzaju ofensywy, na podstawie danych, których Gyulai nie mógł posiadać. Nie wiedział on np., że Sardyńczycy nawet nie myślą o posuwaniu się naprzód przed przybyciem oddziałów francuskich. Nie mógł również wiedzieć o tych niebezpieczeństwach, jakie groziły mu przy marszu wprost na Turyn, a które teraz post factum wskazali autorzy. Uważam, że decyzje wodza winny być rozważane tylko z punktu widzenia tych danych, które posiadał, i że można go winić tylko za ich brak, czyli nieorjentowanie się w sytuacji (str. 36).

Przytaczając zupełnie słuszne rozważania o bezcelowości dla Austrjaków bitwy pod Montebello, autorzy oparli się na Moltkem. Otrzymuje się wrażenie, że jest to coś nowego, tymczasem tę niewątpliwą prawdę, że forsowne rozpoznanie, które prowadził gen. Stadion, ma rację bytu tylko wtedy, jeżeli zaraz po nim nastąpi natarcie sił głównych — znaleść można obecnie już w każdym podręczniku taktyki, to też po zrobieniu krótkiej wzmianki o tem, cała 50-ta strona wydałaby się autorom prawdopodobnie zbędną.

Podając krótkie informacje o generałach francuskich, autorzy powinniby dodać, że wszystkie wojny, w których brali oni udział przed rokiem 1859, nawet wojna krymska, nie mogły im dać doświadczenia w dowodzeniu większemi jednostkami broni połączonych (str. 9). Autorzy zaznaczają tę właściwość dopiero na str. 97 i to tylko pod adresem naczelnych wodzów.

W opisie teatru działań wojennych należałoby podkreślić, że w kierunku swoich sprzymierzeńców Sardynja miała tylko jedną

linję kolejową, dochodzącą do Suzy, a więc niepołączoną z siecią kolei francuskich (str. 16).

To co powiedziałem niema bynajmniej na celu pomniejszenia wartości omawianej przeze mnie pracy, lecz tylko wykazanie uwagi, jaką jej poświęciłem, a na którą zasługuje ona całkowicie.

Autorzy wykorzystali cały drukowany materjał do historji tej kampanji i tylko spóźnione ukazanie się II tomu pracy A. Świeczina *Evolucja wojennago iskusstwa*, gdzie na str.77—122 omówiona jest wojna włoska, przeszkodziło im widocznie wykorzystać w większym stopniu niektóre ciekawe dane tej pracy, a zwłaszcza jej pierwsze strony.

Wszystkie szkice wykonane są bardzo dokładnie, a całą książkę cechuje staranność, właściwa wydawnictwom Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego.

P. Simanskij.

II.

Wojna, o której większość młodej generacji naszego korpusu oficerskiego prawie nic nie słyszała. Prawie, bo wiadomo jest dzięki wykładom z historji powszechnej w szkole średniej, że w 1859 r. doszło między Francją a Austrją na tle kwestji włoskiej do orężnego konfliktu, który jednak w krótkim stosunkowo czasie został zażegnany i na ogólną konstelację europejską w bezpośredniem następstwie nie wywarł zbyt wielkiego wpływu. Z punktu widzenia sztuki wojennej kampanja wydawała się niezbyt ciekawą, gdyż w historji wojskowej, znanej ogółowi naszych oficerów, nie brak wzmianki o przeobrażeniach, spowodowanych przez kampanję 1859 r. Jednak studjum jej dla celów krytyczno-porównawczych może być dla nas nadzwyczaj owocne.

We wstępie podają autorzy, jakiemi się kierowali pobudkami, przystępując do opracowania tej kampanji. Ciekawe wywody i słuszne poglądy można streścić słowami „uczymy się przez błędy — chociażby popełnione przez innych".

Do tego ważkiego argumentu, w całem opracowaniu jedno z głównych miejsc zajmującego, chciałbym od siebie na podstawie studjum pracy dodać jeszcze inne momenty, dzięki którym zyskuje ona jeszcze bardziej na znaczeniu. Z jednej bowiem strony dziełko, nacechowane szczerą tendencją ku objektywnemu odtworzeniu wojny, między Austrją a francusko-sardyńską koalicją prowadzonej, ostrzega czytelnika wojskowego przed zbyt pochopnem wyciąganiem wniosków korzystnych dla zwycięskiej armji; jest to ostrzeżenie bardzo cenne, gdyż laury w małej tylko części zasłużone mogą zwycięzcę nakłonić do przeceniania własnej wartości tembardziej, iż ogół, niezajmujący się analizą wydarzeń wojennych, a uwzględniający jedynie wynik końcowy, skłonny jest do utwierdzenia go w zgubnem mniemaniu. Wielkie wobec tego posiada znaczenie dzieło, które na każdym prawie kroku wykazuje, że zwycięstwo częstokroć mogło

się przemienić z łatwością w klęskę, gdyby nie horendalne błędy, popełnione przez drugą stronę.

Pozatem praca jest silnym bodźcem do porównania naszych, na okres niewoli przypadających, czynów orężnych ze zbrojnemi wysiłkami narodu włoskiego, zmierzającego do zjednoczenia i niepodległości w warunkach naogół o wiele korzystniejszych. Studjując uważnie rok 1859, możemy śmiało powiedzieć, że niezaprzeczalnie większa była w naszem społeczeństwie gotowość do ofiar krwi i że wodzowie nasi z owiele trudniejszemi zadaniami musieli się uporać w 1830/31 r. i w 1863/4 r., niż ci wojskowi italscy, którzy w tej wojnie naczelne zajmowali stanowiska. (Dodatnie jednak wrażenie wywołuje tu król Wiktor Emanuel II, który zachowuje naogół równowagę wewnętrzną i zimną krew w przeciwstawieniu do dwóch innych monarchów - wodzów).

Dzięki charakterowi pracy Laskowskiego i Płoskiego niejedną możemy przeprowadzić paralelę między naszemi a obcemi dziejami wojennemi. Nasuwa się tu przykładowo kilka tematów, których opracowanie dla słuchacza szkoły oficerskiej i młodszego oficera, zajmujących się bliżej historją wojenną, nie napotykałoby na zbyt wielkie trudności: obrona Warszawy w 1809 r. — obrona Turynu w 1859 r.; mobilizacja polska w zimie 1830/31 r. — mobilizacja sardyńska wiosną 1859 r.; wpływ polityki na strategję: rok 1809 i rok 1859; mała wojna: Garibaldi — powstanie 1863/4 r. i jego wodzowie, a głównie Traugutt.

Należy podnieść, że *Kampanja włoska 1859 roku* zawiera doskonały opis terenu, któremu autorzy poświęcili osobny, zwięźle napisany rozdział. Również w innych rozdziałach, mających za przedmiot zagadnienia strategiczne i taktyczne tej kampanji, wpływ terenu na tok działań wojennych jest należycie uwzględniony.

Opracowanie przykładowo podanych jakoteż innych pokrewnych tematów jest ułatwione przez to, że autorzy zaopatrzyli dzieło swoje w liczne szkice, oraz podjęli się gruntownego odtworzenia genezy planów wojennych, sumiennego rozważania poszczególnych operacyj strategicznych i posunięć taktycznych, wreszcie charakterystyki wodzów w związku z ich poczynaniami.

Co do szkiców, uważałbym za wskazane powiększenia ich skali, a to ze względu na konieczność porównywania i zestawiania poszczególnych rysunków, co wymaga większej przejrzystości.. Zarazem umożliwiłoby to przedstawienie poszczególnych faz bitew, co w odniesieniu do Magenty i Solferino jest postulatem nieodzownym.

Doskonale ujęty został pierwszy okres kampanji, uwydatniający odrazu charakterystyczne dla każdej strony wady. Wpływ polityki, znaczenie sprawności mobilizacyjnej, wystąpienie teoretyków wojskowych, rola kolejnictwa i przedewszystkiem fatalne skutki postawienia na czele armji austrjackiej człowieka, pozbawionego mocy charakteru — wszystko to znalazło uwzględnienie. Gyulai, austrjacki wódz, posiadający w tym okresie pełną swo-

bodę działań, możność zaskoczenia wroga i pobicia jego oddziałów częściami, jest przez szereg tygodni bezczynny, względnie wykonuje ruchy, nieuwieńczone żadnym rezultatem, a jednak nużące wojsko, gdy tymczasem przeciwnik, mimo poważnych grzechów administracyjnych i operacyjnych, przeprowadza koncentrację swych sił. Generał ten, zasklepiający się w hipotezach i rozważaniach i niestarający się o zorganizowanie intesywnej służby rozpoznawczej, przeżywa ogrom zmagań psychicznych, na skutek czego okazuje się w decydującej chwili niezdolnym do czynu. wynikającego w dużej części z podświadomego procesu myślowego.

Nasz regulamin, który silnie podkreśla znaczenie woli, inicjatywy i ducha zaczepnego, przez *Kampanję włoską 1859 roku* otrzymał wyśmienity komentarz, posiadający znaczną liczbę pouczających przykładów i przekonywujących argumentów. Pod tym kątem widzenia wyświetlają też autorzy walki pod Montebello, Palestro, Magenta, Melegnano i Solferino — wszystkie niepomyślne dla austrjackiego oręża.

Z tego również powodu książka powinna znaleźć jak największe rozpowszechnienie w naszym korpusie oficerskim. Moralne walory głównie dopomogły armji francuskiej (sardyńska nieco podrzędną odgrywała rolę) do zwycięstwa nad austrjacką, sparaliżowaną na skutek obawy przed małą wojną, braku wiary w lojalność niektórych z pośród reprezentowanych w sile zbrojnej narodów, a wreszcie pod wpływem zbytnicj skłonności do biernej obrony. Wprawdzie nie brak chlubnych wyjątków w wojsku rakuskiem, czego autorzy nie omieszkują nadmienić. podnosząc m. in. świetne szarże, wykonane pod Magentą i Solferiną przez Edelsheima na czele pułku huzarow. Jednak objawy zaczepnego ducha nie są wykorzystane przez wyższe dowództwo i to mimo sprzyjających okoliczności.

Co się tyczy służby rozpoznawczej, to poziom jej był bardzo niski po obu stronach — nieco wyższy u Francuzów. Autorzy stale wskazują na brak orjentacji naczelnych dowództw podczas całej kampanji i tym sposobem tłumaczą czytelnikowi liczne niezrozumiałe napozór zjawiska. Jest to jeszcze jedna przyczyna, dlaczego książka ta powinna się znaleźć w rękach młodszego oficera — zapoznaje się on ze skutkami zaniedbania tego ważnego działu służby polowej.

Nie chcąc się wdawać w szczegółową ocenę poszczególnych rozdziałów, pragnąłbym zwrócić uwagę na opis bitwy pod Solferino. Chodzi tu przedewszystkiem o dość dziwne — wedle Delbrücka — zachowanie się marszałka Canroberta, dowodzącego prawoskrzydłowym korpusem armji francusko - sardyńskiej. Słynny niemiecki historyk i zarazem teoretyk wojskowy utrzymuje, że bezczynność Marszałka w czasie bitwy spowodowana była alarmującą wieścią, otrzymaną od zwykłego woźnicy, wedle której groziło Francuzom oskrzydlenie ze strony 30-to tysięcznej masy austrjackich wojsk, nadciągających z Mantui. Austrjacki

ten korpus, który w rzeczywistości był o wiele słabszy, sam uważał się za zagrożony z flanki i przez to na czas nie przybył, przecież jednak Canrobert uważał rzekomo przez cały czas bitwy pogotowie, celem odparcia oczekiwanego ciosu, czyli bezczynność, za swój obowiązek. Daje też D e l b r ü c k do zrozumienia, że antagonizm, zachodzący między Nielem dowódcą sąsiedniego, w bardzo krytycznem położeniu znajdującego się korpusu, a Canrobertem wpływał na osobliwy sposób pojmowania obowiązków dowódcy skrzydłowej jednostki.

Autorzy *Kampanji włoskiej 1859 roku* zupełnie inaczej tłumaczą przyczyny postępowania Canroberta. Nie mógł on odrazu skierować swych oddziałów do walki, gdyż korpus jego dłuższą od sąsiedniego odbył drogę i przeprawa przez rzekę Chiese zajęła bardzo dużo czasu. Mimo to wysłał przecież jedną dywizję na pomoc swojemu koledze.

Przyznaje to również D e l b r ü c k, lecz dodaje, że dywizja ta faktycznie niczem nie przyczyniła się do poprawienia położenia. L a s k o w s k i i P ł o s k i twierdzą przeciwnie, że właśnie po otrzymaniu sukursu Niel zakomunikował drugiemu sąsiadowi, marszałkowi Mac Mahon, że może już zrezygnować z jego pomocy, to znów ułatwiło Napoleonowi III przełamanie centrum austrjackiego.

L a s k o w s k i i P o s k i, zajmujący się głównie — jak wspomniałem — zagadnieniami natury taktycznej i operacyjnej, oraz wysuwający na pierwszy plan walory moralne generalicji obydwóch stron, nie zapomnieli jednak o licznych innych sprawach. Dotyczy to także służby intendenckiej i saperskiej. Lakoniczne naogół ujęcie ostatniej jest zupełnie uzasadniowe wobec obfitości materjału, gdyż na drugiej stronicy natrafiamy na ciekawe momenty. Nie uwalnia to jednak historyków - saperów naszej armji od bardzo wdzięcznego zadania. Zarówno strona techniczna, jakoteż taktuczna poszczególnych zagadnień i na tem tle dopiero strategiczna doniosłość wyników służby saperskiej wymagają gruntownego omówienia. Budowa i zniszczenie mostów, zniszczenie i naprawa kolei, budowa stałych i polowych umocnień, dowóz materjału saperskiego i t. p. — oto szereg prac, towarzyszących bezustannie operacjom wojennym, wyjawiających zamiary wodza i wpływających na możność lub sposób wcielenia jego decyzyj w czyn.

Zupełnie niezależnie od kwestyj, interesujących intendanta, sapera i artylerzysty można wyczuć, że autorzy *Kompanji włoskiej 1859 roku* chcieli i mogli nam o wiele więcej jeszcze powiedzieć, niż to uczynili. Innemi słowy, uważałbym za pożądane, żeby szczupłe ramy pracy doznały rozszerzenia, chociażby tylko w postaci przypisów, przez co czytelnik, głębiej się zastanawiający nad różnemi fazami i zjawiskami kampanji, otrzymałby conajmniej wskazówki w zajmującym go przedmiocie.

Przykładowo jedynie nadmieniam kilka punktów.

Napoleon III, jako monarcha i wódz, dla którego walka zbrojna bynajmniej nie jest jedynym środkiem zgniecenia wroga

i który w dużej mierze liczy na skuteczność hasła prawa samostanowienia narodów, sam będąc jakby poprzednikiem Wilsona, gotów jest wysunąć w razie potrzeby kuzyna swego, księcia Napoleona, celem poruszenia haseł społecznych. Nie mogąc dorównać wielkiemu Korsykaninowi (autorzy bardzo dobrze opisali nieudałą próbę powtórzenia operacji Bonapartego pod Lodi), musi on nadrabiać zdolnościami w dziedzinie konspiracji.

Również charakterystyka wyczerpująca cesarza Franciszka Józefa, jako wodza i monarchy wydaje się konieczną w opracowaniu kampanji, na której przebieg zewnętrzna i wewnętrzna polityka Austrji wywierały pewien wpływ i której rezultat utorował drogę przeobrażeniom wewnątrz monarchji rakuskiej. Duży respekt austrjackiego naczelnego dowództwa (Gyulai, następnie Franciszek Józef z gen. Hessem) przed małym niezbyt wartościowym oddziałem powstańczym Garibaldiego, ogromna obawa o własne tyły, przesadna skłonność do walki obronnej, ułatwiającej nadzór nad szeregowym wielojęzycznej armji i wiele jeszcze innych zjawisk zostałoby w zupełności wyjaśnione, gdyby autorzy jeszcze bardziej, niż to w tym opracowaniu miało miejsce, uwypuklili tło polityczne wydarzeń wojennych.

W pewnym związku z powyższemi momentami, również znaczenie śmierci popularnego w armji i sławnego w Europie Radetzky'ego w roku, poprzedzającym wojnę, mogłoby ewentualnie znaleźć uwzględnienie.

Wreszcie na pierwszej już stronicy dzieła możnaby było umieścić dane co do polskiego udziału w zrealizowaniu italskiej idei państwowej i to począwszy od Henryka Dąbrowskiego. Służyłoby to głównie do „zaaklimatyzowania" naszego czytelnika, który — jak to zaznaczyłem na wstępie — małe zdradza naogół zainteresowanie się tą wojną.

Ponieważ książka ta nadaje się par excellence na lekturę dla młodszych oficerów, byłoby ze względów wychowawczych wskazane, żeby cały nawet rozdział miał za przedmiot krytyczne porównanie między młodym oficerem francuskim a austrjackim w wojnie 1859 r. Znacznie niższy, niż u przeciwnika, poziom ostatniego pod względem kwalifikacyj zawodowych był jedną z przyczyn przegranej, podczas gdy szeregowy austrjacki, posądzany często o tendencje buntownicze, maszerował z pustym żołądkiem całemi dniami, nie naruszając dyscypliny, mimo beznadziejnego położenia i braku kierownictwa. Przykład mamy w samorzutnej całonocnej obronie miejscowości Magenta, oraz w bitwie pod Solferino, do której szedł głodny. W tej ostatniej ponadto przedwczesna utrata wartości bojowej przez niektóre oddziały daje się wytłumaczyć niedostatecznym wpływem subalterna na podkomendnych.

Rezygnując wobec braku miejsca z przytoczenia licznych innych nasuwających się mi uwag, kończę recenzję z przekonaniem, że zachęci ona niejednego czytelnika do przestudjowania tej ciekawej pracy.

Otton Dąbrowski por.

KRONIKA

Sekcja Historyczna Towarzystwa Wiedzy Wojskowej. Od jesieni roku ubiegłego Sekcja Historyczna T. W. W. pod przewodnictwem mjr. Ottona Laskowskiego, wznowiła swoje posiedzenia dyskusyjne. Odbywają się one raz na miesiąc w lokalu Centralnej Bibljoteki Wojskowej. Pierwsze posiedzenie odbyło się dnia 25 października 1928 roku pod przewodnictwem dr. Józefa Siemieńskiego, dyrektora Archiwum Głównego, na którem dr. Marjan Małuszyński wygłosił referat p. t. „Bitwa pod Płowcami". Po zagajeniu posiedzenia przez generała Stachiewicza, prezesa Zarządu Głównego T. W. W., autor, opierając się na pracach Kaniowskiego i Kłodzińskiego, poświęconych tej bitwie oraz na materjale źródłowym, ustalił podział bitwy na dwa okresy. Pierwszy z nich zakończył się zwycięstwom polskiem, drugi zaś z chwilą przybycia posiłków krzyżackich — rozbiciem Polaków, zajętych rabowaniem zdobytego taboru. Pomimo to, w ostatecznym swym wyniku bitwa zakończyła się pospiesznym odwrotem krzyżaków do Torunia. Co się tyczy przebiegu pierwszego okresu walki, dr. Małuszyński ustalił, że Łokietek przygotował nieprzyjacielowi zasadzkę, która spowodowała zaskoczenie zarówno oddziału, jak i wodza krzyżackiego. W dyskusji, jaka się wywiązała, zabrał głos mjr. Laskowski, którego obszerny koreferat uzupełnił tezy, wysunięte przez referenta. Rozpoczynając od zagadnienia liczebności przeciwników, major Laskowski wykazał całkowitą dowolność obliczeń zarówno Kaniowskiego, jak i Köhlera. Jedyną rzeczą, jaka daje się ustalić w tej sprawie, jest to, że Krzyżacy posiadali przewagę liczebną. Ponieważ na czele wyprawy stał landkomtur chełmiński, a nazwiska zabitych, rannych i wziętych do niewoli nie wychodzą poza linję Wisły — Gdańsk — Elbląg — rz. Drwęca, była to zatem silna wyprawa lokalna. Co do celów strategicznych wyprawy, to tezy Kłodzińskiego i Kaniowskiego, jakoby akcja krzyżacka miała być uzgodniona z Janem Luxemburskim, choć jest bardzo prawdopodobna, nie można uważać za udowodnioną. Natomiast daje się zauważyć dążność Krzyżaków do opanowania Kujaw, na co między innemi wskazywałby również ich projekt oblężenia Brześcia. W organizacji pościgu Łokietka za Krzyżakami mjr. Laskowski podkreśla jego systematyczną i celową organizację (stopniowa koncentracja nadciągających sił polskich) oraz wielką ostrożność króla, na co wskazuje wycofanie się z walki pod Koninem, zawiązanej wbrew jego woli. Śledząc Krzyżaków, król wykorzystuje moment, kiedy dzielą oni pod Radziejowom swoje siły i uderza 27 września pod Płowcami na jeden z ich oddziałów. W pierwszej fazie bitwy, która rozpoczyna się o godzinie 9-ej, Krzyżacy zostają rozbici; następuje zdobycie taboru krzyżackiego, kapitulacja wielkiego marszałka oraz wymordowanie przez Polaków jeńców wziętych do niewoli. Około godziny 14-ej na pole walki nadciąga z pod Brześcia landkomtur chełmiński (godzina ta została obliczona na podstawie możliwości marszowych). Niespodziewane ukazanie się nowych sił krzyżackich wywołuje popłoch wśród Polaków. Wkrótce jednak wznawiają oni walkę, przebieg której jest nieznany. Kończy się ona jednak pospiesznym odwrotem Krzyżaków do Torunia i zaniechaniem planu oblężenia Brześcia. Odwrót ten jest porażką strategiczną. Bitwa pod Płowcami oprócz moralnego znaczenia, jako pierwsze większe zwycięstwo polskie nad Krzyżakami, miała duże znaczenie strategiczne, gdyż skutkiem jej było zwolnienie sił polskich przeciwko Czechom oraz załamanie się planu krzyżackiego podboju Kujaw. W dalszej dyskusji zabrał głos płk. Załęcki, który przeciwstawił się wysuniętemu przez mjr. Laskowskiego poglądowi, jakoby dowodzenie ówczesnemi wojskami nasuwało jakieś specjalne trudności z powodu braku organizacji. Kpt. Kozolubski uważa, że bitwę należy właściwie podzielić na trzy okresy, t. j. oddzielić okres popłochu, jaki powstał w szeregach polskich po nadciągnięciu na plac walki landkomtura chełmińskiego, od ponownego

podjęcia przez naszych, działań zaczepnych. W sprawie terminu rozpoczęcia bitwy zabrał głos mjr. Hniłko. Ppłk. dr. Łodyński uważa za konieczne szersze, aniżeli to miało miejsce, uwzględnienie podłoża politycznego; pozatem stawia wniosek, ażeby na przyszłość przed posiedzeniami tego rodzaju były rozdawane ich uczestnikom teksty źródłowe. Dyrektor Siemieński zwrócił uwagę na potrzebę przeprowadzenia specjalnych studjów nad taktyką średniowieczną, oraz ówczesnemi możliwościami marszowemi. Wymordowanie jeńców, jakie miało miejsce po zdobyciu taboru krzyżackiego, wskazywałoby na krytyczną sytuację, w jakiej w pewnym momencie znaleźli się Polacy, gdyż w owych czasach jeniec stanowił cenny łup, którego nie pozbywano się lekkomyślnie. Na końcu przemawiali jeszcze mjr. Laskowski, który odpowiedział na zarzuty, wysunięte w dyskusji pod adresem jego koreferatu, oraz dr. Maluszyński, precyzując, co właściwie nowego wprowadza jego referat w stosunku do prac już istniejących.

Posiedzenie z 8 listopada 1928 roku. Na posiedzeniu tem, które odbyło się pod przewodnictwem dyrektora Centralnej Bibljoteki Wojskowej, ppłk. dr. Łodyńskiego, wygłosił kpt. Stefan Pomarański referat p. t. „Przebieg służby wojskowej Traugutta". Referent przedstawił tutaj nieznany dotychczas 17-letni okres życia Traugutta, spędzony w wojsku rosyjskiem, a w szczególności jego udział w wojnach węgierskiej, tureckiej i krymskiej. Wysunął on przytem m. in. tezę, że Traugutt, wstępując do wojska rosyjskiego, powodował się wyraźnie chęcią walki o Polskę, a pobyt swój w służbie rosyjskiej traktował jako szkołę, w której miał się nauczyć sztuki wojennej dla wyzyskania nabytego doświadczenia w służbie krajowi. W dyskusji zabrał głos p. Płoski, który wysunął pogląd, że teza referenta, jakoby głównym motywem wstąpienia Traugutta do wojska rosyjskiego był pewnego rodzaju walenrodyzm, nie znajduje w referacie należytego uzasadnienia. Mjr. Laskowski, podtrzymując zastrzeżenia wysunięte przez p. Płoskiego, uważa, że na podstawie odznaczeń otrzymanych przez Traugutta trudno wnosić, ażeby wykazał się on jako świetny oficer bojowy, jak to twierdzi autor referatu, gdyż odznaczenia, jakiemi był on dekorowany, nie należały do kategorji wysokich. W sprawie odznaczeń Traugutta zabierał głos kpt. Łoza, wyjaśniając, że w czasach wojen węgierskiej, tureckiej i krymskiej nie istniała jeszcze specjalna kategorja orderów z mieczami, dawanych wyłącznie za odznaczenie się na polu walki. Prof. Dzwonkowski uważa, że dla wyjaśnienia szczegółów przebiegu służby Traugutta należałoby zbadać materjały, znajdujące się w Archiwum Wojskowem w Moskwie, oraz porusza szerzej udział Polaków w wojsku rosyjskiem za czasów mikołajowskich i stosunek ich do sprawy polskiej. Dr. Przelaskowski staje na wręcz odmiennem od referenta stanowisku w sprawie decyzji życiowej Traugutta. Uważa on, że Traugutt początkowo niezbyt wierzył w irredentę. Niema żadnych danych, stwierdzających jego udział w przygotowaniach powstańczych. Nawet po wybuchu powstania nie bierze on początkowo w niem udziału i dopiero powziąwszy tę decyzję, całą swą energję i niezwykłą siłę charakteru poświęca sprawie. Dr. Przelaskowski uważa, że dla należytego zrozumienia psychiki Traugutta konieczne jest uwzględnienie jego głębokiej religijności, z której wynikał szereg właściwości jego charakteru. W zakończeniu dyskusji kpt. Pomarański zaznaczył, że referat jest pierwszym zarysem służby wojskowej Traugutta, która dotąd była prawie zupełnie nieznana. Kwestja genezy decyzji wstąpienia do wojska rosyjskiego, jak również zagadnienie stosunku jego z organizacjami niepodległościowemi są hipotezami autora, których narazie nie może jeszcze w całej rozciągłości udowodnić.

Posiedzenie z 7 grudnia 1928 roku. Porządek dzienny tego posiedzenia, odbytego pod przewodnictwem płk. dr. Zembrzuskiegoi, stanowił referat p. Stanisława Płoskiego, p. t. „Działalność Zaliwskiego w wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r.". Referent postawił sobie zadanie wyjaśnienia roli Zaliwskiego, jako dowódcy oddziału partyzanckiego w tej wojnie, działalność w czasie której posłużyła dlań jakgdyby za legitymację do objęcia dowództwa wyprawy partyzanckiej do Polski w r. 1833. Przedstawiwszy w krótkim zarysie przebieg służby wojskowej Zaliwskiego przed wybuchem

powstania listopadowego, autor starał się dać możliwie szczegółowy obraz działalności jego oddziału partyzanckiego w czasie wojny. O ile Zaliwski wywiązywał się nagół nieźle ze swej roli partyzanta, przynajmniej w tej skali partyzantki, jaka była stosowana w wojnie 1831 r., to użyty do działań o charakterze regularnym, zawsze zawodził. Do zalet jego, jako dowódcy partyzantów, należała wielka ruchliwość, natomiast jedną z kardynalnych wad był brak wszelkiej subordynacji i skłonność do intryg, wynikająca z jego ogromnej ambicji. W dyskusji zabrał głos dyr. Łopaciński, który poruszył sprawę bardzo małego jak dotąd oświetlenia działań partyzanckich w czasie tej wojny. Dr. Lewak i ppłk. Korniłowicz zwrócili uwagę na popularność Zaliwskiego, której wiele czynów, mocno go dyskredytujących, nie zdołało zaszkodzić. Płk. Zembrzuski podkreślił sprawę braku bliskiego kontaktu między społeczeństwem a wojskiem, jaki dawał się zauważyć w czasie wojny 1831 r., a bez którego niemożliwe jest należyte prowadzenie małej wojny. Zagadnienie to zresztą było zawsze widoczne na całej niemal przestrzeni dziejów polskich, aż do dni dzisiejszych. Mjr. Laskowski zwrócił uwagę na to, że Zaliwski, skoro tylko oddział jego znalazł się w krytycznej sytuacji, zawsze gdzieś znikał, co dyskwalifikuje go jako dowódcę. Na zakończenie p. Płoski uzupełnił swój referat krótką charakterystyką partyzantki Zaliwskiego na tle wymagań, jakie stawiane były wówczas oddziałom, prowadzącym małą wojnę.

Polskie Towarzystwo Historyczne. Polskie Tow. Historyczne, które dla rozwoju nauk historycznych położyło ogromne zasługi, ogarnia coraz liczniejsze koła. Pracując przed wojną w Galicji, przeważnie we Lwowie i Krakowie, z chwilą rozszerzenia terenu działania na całą Polskę, zunifikowało ono warszawskie Two Miłośników Historji, które stało się jego oddziałem. Obecnie Two posiada oddziały w Katowicach, Krakowie, Lublinie, Lwowie, Łodzi, Poznaniu, Stanisławowie, Warszawie oraz w Wilnie i liczyło w r. 1927 ogółem 870 członków. Siedzibą Zarządu Głównego jest Lwów, gdzie również od 42 lat wychodzi organ Twa *Kwartalnik Historyczny*. Ponadto niektóre oddziały posiadają własne czasopisma, a więc warszawski *Przegląd Historyczny*, a poznański *Roczniki Historyczne*. Podnieść należy wzrastające zainteresowanie się działalnością Twa wśród oficerów. W ogłoszonym ostatnio spisie członków z pośród wybitnych wojskowych widzimy: marszałka Józefa Piłsudskiego, szefa Sztabu Głównego gen. Tadeusza Piskora, szefa Wojskowego Biura Historycznego gen. Juljana Stachiewicza, inspektora armii gen. Mieczysława Norwid-Neugebauera, dowódcę Wyższej Szkoły Wojennej gen. Tadeusza Kutrzebę i w. in. W dniu 25 i 26 maja roku zeszłego odbyło się we Lwowie Walne Zgromadzenie Towarzystwa Historycznego, na którem między innemi uchwalono nabyć prawa własności *Bibljografji Historji Polskiej* prof. Finkla. Na temże Walnem Zgromadzeniu na wniosek Zarządu Głównego T-wa mianowano marszałka Józefa Piłsudskiego, jedynego dziś badacza wojennych dziejów powstania styczniowego, członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Szósty międzynarodowy zjazd historyków w Oslo. W dniach 14—28 sierpnia 1928 roku odbył się, przy licznym udziale uczonych, szósty międzynarodowy kongres historyków, silnie reprezentowany przez Polaków, którzy zgłosili 42 referaty. Zjazd obradował w następujących sekcjach: pełnej, nauk pomocniczych, popularyzjacji, geografji historycznej, historji starożytnej, wieków średnich, nowożytnej, religii i kościelnej, historji prawa, ekonomji społecznej, literatury, metody historji, historji narodów północnych, wojskowej. Następujący Polacy zgosili (42) referaty: Jan Muszkowski, Stanisław Kot, Józef Paczkowski, Tadeusz Zieliński, Tadeusz Wałek-Czarnecki, Marceli Handelsman, Bronisław Dembiński, Stanisław Arnold, Władysław Semkowicz, Kazimierz Zakrzewski, Stanisław Witkowski, Stefan Czarnowski, Jan Rozwadowski, Jan Dąbrowski, K. Michalski, Jan Sajdak, Wanda Moszczeńska, Franciszek Bujak, Czesław Leśniewski, Andrzej Wojtkowski, Z. L. Zaleski, Wisława Knapowska, Mi-

chał Sokolnicki, Al. Klawek, Oskar Halecki, Wacław Sobieski, Stanisław Kutrzeba, Józef Siemieński, Karol Koranyi, Jedlicki, Kazimierz Tymieniecki, Jan Rutkowski, Natalja Gąsiorowska, Władysław Konopczyński.

W sekcji wojskowej referowali pp.: Claudio Sanchez, Albornez o kawalerji arabskiej, w Hiszpanji za czasów Karola Wielkiego, gen. R. Roseti o wpływie ustroju własności ziemskiej na organizację i strategję armji rumuńskiej XV wieku, Georges Wittrrock o bitwie pod Lützen i por. Gudmund Didrik Schnitler o historji kampanji 1805 roku.

Archiwum Wojskowe. Początek Archiwum Wojskowemu dały zbiory archiwalne wojskowe, które składały się z części rosyjskiego archiwum byłego Sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego oraz z akt I Korpusu Polskiego gen. Dowbora - Muśnickiego i Polskiej Siły Zbrojnej. Zbiory te szybko wzrastały, ponieważ archiwum przyjmowało kolejno akta korpusów wschodnich, Legjonów, armji gen. Hallera, a następnie mniejsze i większe partje akt różnych, likwidowanych z biegiem czasu, jednostek bojowych i urzędów wojskowych, oraz akta wojskowe, pozostałe po okupantach, oraz formacyj zlikwidowanych po wojnie polsko-rosyjskiej. W roku 1922 utworzono przy dowództwach korpusów we Lwowie, w Krakowie, Przemyślu i Poznaniu zarządy archiwalne, które zajmowały się zbieraniem i sumarycznem porządkowaniem materjałów, aby je potem przekazać Centralnemu Archiwum Wojskowemu, jak dawniej brzmiała nazwa Archiwum Wojskowego. Na czele tej instytucji od początku jej istnienia, stoi ppłk. Bronisław Pawłowski. Obecnemu stanowi Archiwum Wojskowego i jego organizacji poświęcimy w jednym z następnych zeszytów osobny artykuł.

Centralna Bibljoteka Wojskowa. Zalążek Centralnej Bibljoteki Wojskowej stanowił skromny księgozbiór, który poczęto gromadzić w 1917 r. przy Komisji Wojskowej Tymcz. Rady Stanu, t. z. Polskiej Siły Zbrojnej; w czerwcu 1919 r. dla księgozbioru tego uzyskano nazwę Centralnej Bibljoteki Wojskowej, której kierownictwo wkrótce powierzone zostało ppłk. Marjanowi Łodyńskiemu. W nowej nazwie instytucji uwidocznił się i nowy charakter zbioru jako głównej ogólno-wojskowej pracowni naukowej, który też pozwolił jej scentralizować wpływ zarówno na te ośrodki wojskowe, które samodzielnie przystąpiły do tworzenia własnych bibljotek, jak i na te, wśród których trzeba było takie bibljoteki dopiero powoływać do życia. Siła łączności ogólnej wiedzy z potrzebami wojny, a temsamem wojska, wciągając czynniki wojskowe w krąg innych zagadnień, jak techniki, medycyny, chemji itd., zmuszająca wojskowość do wejścia w kontakt z cywilnemi ośrodkami nauki, sprawia, że Centralna Bibljoteka Wojskowa, jako centralna instytucja w swoim zakresie, na wzór podobnych instytucyj zagranicą, treść swą odpowiednio rozszerzyć
na wzór podobnych instytucyj zagranicą, treść swą odpowiednio rozszerzyć
musiała. Stosownie do tego Centr. Bibljoteka Wojskowa rozbudowywała się stale i szybko, wchłaniając szereg pierwszorzędnych zapisów, jak po ś. p. mec. Pepłowskim i rejencie Grabowskim, obejmując poza tem dary Misji francuskiej w Polsce, p. Bergmana, bar. Heydlowej, ks. Ussasa oraz wyzyskując w całości lub w części dawne bibljoteki wojskowe, jak Stanisławowskiego Korpusu Kadetów, Szkoły Aplikacyjnej, Elementarnej Szkoły Artylerji, Kaliskiego Korpusu Kadetów, Generalnego Kwatermistrzostwa, Komisji Rządowej Wojny. W ostatnim czasie weszły w skład zbiorów Centralnej Bibljoteki Wojskowej rewindykowane z Rosji bibljoteki. Do tak rozbudowanej bibljoteki przybyły ponadto dwa wielkie zbiory, oddane Centralnej Bibljotece Wojskowej w administrację, mianowicie: 1) Polskie Archiwum Wojenne, zawierające materjały, dotyczące Polski z okresu wojny światowej, 2) Bibljoteka Rapperswilska, zbiór materjałów, dotyczących głównie walk o niepodległość i emigracji politycznej polskiej. W ten sposób rozszerzona stała się Centr. Bibljoteka Wojskowa z małego księgozbioru wojskowego bibljoteką naukową w pełnem tego słowa znaczeniu i ogólnym warsztatem pracy naukowej, co stwierdził ogólno-polski zjazd bibljotekarski w r. 1926, który, uznawszy pełną równorzędność Centralnej Bibljoteki Wojskowej z innemi naukowemi bibljotekami polskiemi, zapewnił jej współpracę i pomoc

przy wykonywaniu wytyczonych zadań. Toteż Centralna Bibljoteka Wojskowa utrzymuje ścisłą łączność z innemi bibljotekami krajowemi, ożywione zaś stosunki z bibljotekami zagranicznemi pozwoliły Centralnej Bibljotece Wojskowej, poraz pierwszy w literaturze bibljotekarskiej, dokonać zestawienia statystycznego, dotyczącego zobrazowania bibljotekarstwa wojskowego w europejskich i pozaeuropejskich państwach. Powyższe materjały ogłoszono w *Komunikacie Bibljograficznym*, a następnie ujęte w tabele, ukazały się w pracy ppłk. Łodyńskiego *Les bibliothèques militaires modernes*. Obecnie księgozbiór objęty administracją bibljoteki, która w 1920 roku liczyła niespełna 2.200 tomów, wykazuje obecnie zgórą 200.000 tomów, przeszło 20.000 rękopisów i autografów, kilkanaście tysięcy map, kilkanaście tysięcy fotografij i t. d. i zatrudnia 21 urzędników. Stopień rozwoju uwidacznia się też we wzroście frekwencji czytelników. Z liczby bowiem 178 czytelników i 1.666 dzieł z r. 1917/18, frekwencja ta po dzień 1 stycznia 1928 r. podniosła się, do 9.413 osób, w czem poważny odsetek stanowią osoby cywilne (60 proc.), czytelnikom wydano 15.763 dzieła. Nad rękopisami pracowało kilkanaście osób. Ze względu na wzrastający wciąż rozwój czytelnictwa — a w ostatnich latach także wzrost ilości osób pracujących na miejscu — przystąpiono do specjalnych prac monograficznych i perjodycznych z zakresu bibljotekarstwa wojskowego i bibljografji wojskowej. Obok więc prac, dotyczących organizacji ogólnego i polskiego bibljotekarstwa wojskowego p. t. *Organizacja bibljotek wojskowych w świetle rozkazów M. S. Wojsk. — Polskie bibljoteki wojskowe. — Polskie bibljotekarstwo wojskowe jako odrębna gałąź ogólnego bibljotekarstwa. — Le bibliothèques militaires modernes*, oraz historji polskich bibljotek wojskowych p. t. *Bibljoteka Kwatermistrzostwa Generalnego Wojska*, wydane zostały bibljografje wojskowe: *Polska Bibljografja Wojskowa, w 2 tomach z suplementem oraz Bibljografja druków dotyczących powstania styczniowego 1863/64*, tudzież obszerna instrukcja, obowiązująca wszystkie bibljoteki wojskowe, p. t. *Instrukcja bibljotekarska dla kierowników bibljotek wojskowych*; prócz tego ukazuje stale *Komunikat Bibljograficzny* (obecnie wychodzi tom IX) i kwartalnie *Wojskowe Wiadomości Bibljograficzne* (obecnie tom VI). W celu wykazania różnorodności i obfitości posiadanych materjałów, a temsamem zachęcenie szerszych kół pracowników naukowych do korzystania z nich, urządza Centralna Bibljoteka Wojskowa od czasu do czasu wystawy poszczególnych części zbiorów, jak z racji dziewięciolecia swego istnienia i otwarcia zbiorów Rapperswilskich, wystawę 1863 roku, materjałów dotyczących gen. Bema, wystawę zbiorów czeskich, na dziesięciolecie niepodległości, wystawę zbiorów Jeża (w styczniu 1929 roku) i t. d. Wspomnieć wreszcie wypada kursy przeszkolenia dla bibljotekarzy wojskowych i cywilnych, urządzane w miarę potrzeby w Centralnej Bibljotece Wojskowej.

Zbiory rapperswilskie, których przeniesienie do kraju w myśl testamentu założyciela Władysława Platera Sejm uchwalił jeszcze w 1921 roku, decyzją rządu z marca 1927 roku, we wrześniu tegoż roku sprowadzone zostały do kraju. Tutaj rozdzielone na zbiory muzealne i bibljoteczne, wcielone zostały do Muzeum Narodowego i do przyszłej Bibljoteki Narodowej. Pod koniec 1927 roku, tak zbiory muzealne jak i bibljoteczne udostępnione zostały publiczności, pierwsze, wystawione na widok publiczny w kamienicy Baryczków, drugie oddano w listopadzie tegoż roku do użytku studjujących w Centralnej Bibljotece Wojskowej, której powierzoną została administracja zbiorów.

Polskie Archiwum Wojenne. W roku 1915 powstało z inicjatywy prof. Władysława Semkowicza, przy poparciu sfer niepodległościowych, Polskie Archiwum Wojenne, mające gromadzić materjał historyczny, dotyczący udziału Polaków w wojnie światowej. Polskie Archiwum Wojenne siecią swej organizacji objęło w czasie wojny wszystkie ziemie polskie oraz utworzyło szereg placówek zagranicznych. Pozostając po wojnie pod opieką Wydziału Archiwów Państwowych, złożone początkowo w Polskiej Akademji Umiejętności, P. A. W. przekazane zostało w 1922 roku Centralnej Bibljotece Wojskowej w charakterze wieczystego depozytu na podstawie uchwały Rady Archiwalnej i specjalnej „umowy", zawartej z komitetem Archiwum Wojen-

nego w dniu 16 kwietnia 1922 roku. Zbiory te obejmują wszystkie dziedziny życia polskiego z czasów wojny: wojsko, politykę, oświatę, literaturę, naukę, sztukę, prasę, gospodarstwo. Podzielone one są obecnie na następujące działy: 1) rękopisy, 2) czasopisma, 3) afisze, odezwy i rozporządzenia władz, 4) prasę okopową, jednodniówki i prasę ulotną, 5) broszury, 6) klisze, pocztówki, mapy itd. Systematyczne porządkowanie zbiorów P. A. W. rozpoczęła C. B. W. jesienią 1927 roku po przeprowadzeniu się do nowego lokalu i po uzyskaniu odpowiednich subsydjów. Zbiór ten oczywiście nie jest kompletny, a rzeczą społeczeństwa jest dopełnienie go, by historyk znalazł w nim wszystko, co do nakreślenia obrazu epoki może być potrzebne i pożądane. Toteż Zarząd Polskiego Archiwum Wojennego w 10 rocznicę odzyskania niepodległości zwrócił się z odezwą do społeczeństwa, aby ze swej strony poparło akcję, mającą na celu zgromadzenie kompletnego — o ile możności — zbioru dokumentów i pamiątek, dotyczących lat wojennych 1914 — 1920. Odezwa zwraca się do wszystkich, którzy posiadają dokumenty i pamiętniki z czasu wojny, aby składali je do Centralnej Bibljoteki Wojskowej dla P. A. W. Niemniej apeluje odezwa do osób, które brały czynny udział w wydarzeniach wojennych lub były ich świadkami, do osób, które miały wpływ na bieg spraw polskich, albo o ważniejszych wypadkach posiadają dokumenty lub informacje, aby swe przeżycia, spostrzeżenia i wiadomości ujmowały w formę pamiętników wspomnień i zapisek. Ponadto dyrekcja C. B. W. sporządziła wykaz prasy ulotnej z 1914 — 1921 roku, wyszczególniając wszystkie posiadane numery danych pism. Wykaz ten wraz z kwestjonarjuszem, dotyczącym składu redakcji, wysokości nakładu, ilości numerów stanowiących komplet, tudzież zaproszenie do nadsyłania posiadanych, a nieobjętych wykazem numerów względnie pism — załączony był do *Bellony* 1928 r.

Towarzystwo Badań nad Historją Powstania Wielkopolskiego 1918/1919, którego zadaniem jest gromadzenie źródeł i materjałów do dziejów powstania oraz opracowanie o niem monografji, powstało na wiosnę 1927 roku w Poznaniu. Inicjatywę w tym kierunku podjął z ramienia Wojskowego Biura Historycznego kpt. Tadeusz Fenrych, referent historyczny D. O. K. VII, który od jesieni 1925 roku rozpoczął działalność organizacyjną na terenie Wielkopolski. Wynikiem tych jego starań było powstanie w styczniu 1926 roku w Poznaniu Centralnego Komitetu do Historji Powstania Wielkopolskiego 1918/1919, który wyłonił Komisję naukowo-finansową, mającą przedewszystkiem przygotować środki finansowe dla prac zamierzonych. Wydana specjalna odezwa do społeczeństwa województw zachodnich obudziła wielkie zainteresowanie zarówno osób prywatnych, jako też władz i instytucyj, które zgłosiły gotowość finansowego poparcia zamierzeń Komitetu. Wreszcie 28 marca 1927 roku zamknięty komitet przekształcił się w towarzystwo, które w krótkim czasie potworzyło koła powiatowe. Kół tych istnieje obecnie 35. W jesieni 1927 roku Wojskowe Biuro Historyczne oddało do dyspozycji Towarzystwa część archiwów wojskowych, odnoszących się do powstania w Wielkopolsce. Współpraca Towarzystwa z Wojskowem Biurem Historycznem daje wyniki bardzo dodatnie. Archiwum udostępniono szerszym kołom badaczy, oraz rozszerzono przez składanie zbiorów prywatnych, pamiętników i t. p. Na czele Towarzystwa stoi Zarząd Główny, w skład którego wchodzą: gen. Stanisław Taczak jako przewodniczący, dr. Stanisław Celichowski, kpt. Tadeusz Fenrych, ppłk. Andrzej Kopa, starosta Kasprzak, mjr. Henryk Lutomski, mjr. Mieczysław Paluch, płk. rez. dr. Bernard Śliwiński. W skład Komisji Naukowej wchodzą: dyr. Kazimierz Kaczmarczyk, jako przewodniczący, dr. Celichowski, kpt. Fenrych, Stanisław Łącki, mjr. Paluch i płk. Rust. O dotychczasowej działalności, zamierzeniach i składzie Towarzystwa informuje osobno wydane Sprawozdanie.

Towarzystwo Badania Historji Obrony Lwowa i Województw Południowo-Wschodnich. Wobec trudności, jakie napotyka centralna instytucja, działająca w stolicy, w akcji poszukiwania materjałów do ostatnich walk bezpośrednio od ich posiadaczy, Wojskowe Biuro Historyczne zainicjowało przed dwoma laty tworzenie lokalnych organizacyj do badań nad historją walk danych dzielnic. W myśl tego, prócz towarzystwa wielkopolskiego, powstało

we Lwowie Towarzystwo Badania Historji Obrony Lwowa i Województw Południowo-Wschodnich. Posiedzenie inauguracyjne odbyło się w dn. 22 września 1928 roku, przy udziale wojewody lwowskiego Gołuchowskiego, dowódcy Okręgu Korpusu VI gen. Popowicza, oraz prezesa T-wa Historycznego prof. St. Zakrzewskiego. Po zagajeniu przez gen. Popowicza i przemówieniu wojewody, delegat Wojskowego Biura Historycznego, por. dypl. Aleksander Kawałkowski wygłosił referat o celach i metodzie pracy. W ożywionej dyskusji, jaką wywołał referat, wyjaśniono między innemi stosunek do istniejących już instutucyj i zbiorów, poczem wybrano Komitet organizacyjny, który po uchwaleniu statutu wybrał dnia 16 listopada Zarząd Główny z gen. Popowiczem, jako przewodniczącym, wice-przewodniczącymi wybrano dr. Eugenjusza Barwińskiego i dr. Antoniego Przygodzkiego, sekretarzem kpt. Stanisława Kraussa, skarbnikiem ppłk. rez. Karola Baczyńskiego, zastępcą mjr. Józefa Klinga. Prezesem Komisji Naukowej T-wa wybrano prof. Zakrzewskiego. Jako pierwszą publikację wydało T-wo broszurę p. t. *Cele i zadania oraz sprawozdanie z działalności Komitetu Organizacyjnego.* Sekretarjat T-wa mieści się we Lwowie przy ul. Bernardyńskiej Nr. 6.

Rejestracja materjałów dotyczących historji wojskowości w Polsce. Wydawnictwa, obejmujące wykazy archiwaljów i rękopisów, znajdujących się w bibljotekach polskich, są nieliczne i niepełne: to też wiele cennego materjału nie jest objęte nawet zewnętrznemi inwentarzami i katalogami, te zaś materjały, które weszły do katalogów, są opisane niejasno i powierzchownie, rękopisy, określone ogólnikowym tytułem, zawierają niejednokrotnie niezmierne cenne niespodzianki. Aby umożliwić studjującym sprawy wojskowości pracę należy przedewszystkiem zebrać dane o istniejących materjałach, a to przez wyławianie militarjów, rozrzuconych po różnych bibljotekach i rejestrowanie ich. Pracę w tym kierunku podjętą z inicjatywy Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego prowadzi Centralna Bibljoteka Wojskowa w porozumieniu z Wojskowem Biurem Historycznem. Od roku 1925 pracę inwentaryzacyjną prowadzi Centralna Bibljoteka Wojskowa przy materjalnem poparciu T-wa Wiedzy Wojskowej, które na pierwszy rok (1925/6) wyasygnowało 4.000 zł.: w roku bieżącym (1928/9) T-wo W. W. subwencjonuje inwentaryzację militarjów sumą 4 200 zł., a Wojskowe Biuro Historyczne sumą 1.200 zł. Rejestracja obejmuje następujące instytucje: Muzeum Czartoryskich i Akademję Umiejętności. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Archiwum Państwowe w Wilnie, Archiwum Państwowe i zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Bibljotekę Krasińskich, Bibljotekę Zamoyskich, Zbiory Rapperswilskie, Archiwum Akt Dawnych i Archiwum Główne Akt Dawnych. Obecnie pracuje nad rejestracją 2 stypendystów w Warszawie i po jednym we Lwowie, Krakowie i w Wilnie. Rejestrację przeprowadza się na podstawie specjalnej instrukcji, wydanej przez Centralną Bibljotekę Wojskową. Jako materjał, podlegający inwentaryzacji, uważa się nie cały rękopis jako taki, lecz, po rozbiciu go na możliwie najmniejsze jednostki, rejestruje się te jednostki, które są militarjami. W ten sposób stwierdzone materjały, skatalogowane chronologicznie i rzeczowo centralizują się w Oddziale Bibljograficznym Centralnej Bibljoteki Wojskowej, gdzie się porządkuje i układa chronologicznie oraz w Samodzielnym Referacie Wojen Dawnych Wojskowego Biura Historycznego. Inwentarz militarjów w dniu 1 stycznia 1929 roku liczył 8.823 tytuły.

Studja nad obwarowaniami w Polsce. Zaniedbany do tej pory, tak pod względem historycznym i wojskowo-technicznym, jak i architektonicznym dział badań nad warowniami dawnej Polski doczekał się obecnie żywszego zainteresowania i gorliwych studjów dzięki prof. Oskarowi Sosnowskiemu, inicjatorowi i kierownikowi Zakładu Architektury Polskiej przy Politechnice Warszawskiej. Instytucja ta, poparta subsydjum Wojskowego Biura Historycznego, prowadzi od dłuższego czasu badania nad budową twierdz i fortyfikacyj w Polsce, uzyskując przeważnie wyniki rewelacyjne, jeżeli się zważy, że z opracowanych w 1928 r. pięciu objektów, aż cztery zostały przez Zakład Arch. Pol. dopiero odkryte — nie podają ich bowiem istniejące w tej

mierze materjały; ze wspomnianych jeden tylko objekt, mianowicie Supraśl, wspomniany jest w publikacji prof. Szyszko-Bohusza. Fortyfikacje, o których mowa, są to: 1) Oporów, w woj. warszawskiem, powiatu kutnowskiego, zameczek z drugiej połowy XV w.; 2) Supraśl, w woj. białostockiem pow. białostockiego, kościół — dawniej cerkiew obronna z XV w.; 3) Czemierniki, w woj. lubelskiem, pow. lubartowskiego, warownia z początku XVII w., szkoła włoska; 4) Danków w woj. kieleckiem pow. częstochowskiego; warownia z początku XVII w., szkoła włoska, ulepszona; 5) Krzepice, w woj. kieleckiem, pow. częstochowskiego, warownia-fort ziemny z końca XVII w., szkoła holenderska ulepszona (może francuska). Zakład Architektury Polskiej przeprowadził pomiary i prace inwentaryzacyjne rzeczonych fortyfikacyj, które obecnie opracowuje rysunkowo.

Wystawa „U kolebki wojska i państwa polskiego". Pod powyższym tytułem Centralna Bibljoteka Wojskowa zorganizowała wystawę na dziesięciolecie niepodległości. Na eksponaty złożyły się częściowo materjały, wypożyczone przez Wojskowe Biuro Historyczne, Instytut Badań nad Historją Najnowszą, oraz przez szereg osób prywatnych, a przedewszystkiem ciekawe okazy ze zbiorów Polskiego Archiwum Wojennego przy C. B. W., a więc prasa: urzędowa okupacyjna i państwa polskiego, prasa mniejszości narodowych; w dziale prasy zwracały uwagę szczególnie grupy czasopism polskich zagranicą oraz prasa okopowa wszelkich formacyj; bogatym był także zbiór druków ulotnych i odezw, tak przedwojennych, jak z okresu walki aż do plebiscytów, podzielonych na grupy: niepodległościową, pierwsze chwile wojny, Legjony, Liga Kobiet, P. O. W., marszałek Piłsudski, Polacy w armji rosyjskiej, oświatowe, gospodarcze, 5 listopada 1916, rok 1917, Rada Regencyjna, pokój brzeski, obrona Lwowa i Małopolski Wschodniej, październik i listopad 1918, rok 1920 (polskie i bolszewickie), plebiscyty, dalej kolekcja materjałów, ilustrująca zbiory Polskiego Archiwum Wojennego pod względem pracy gospodarczej i kobiet podczas wojny; wreszcie rękopisy: pamiętniki, szczególnie uczestników I i II Brygady, oraz wojskowych różnych formacyj, statuty, regulaminy, instrukcje, wykłady wszystkich związków wojskowych przedwojennych i podczas wojny, rozkazy mobilizacyjne z pierwszych chwil wojny wszelkich formacyj. Podczas wystawy funkcjonowały stale dyżury urzędników Polskiego Archiwum Wojskowego, przyczem oprowadzano i objaśniano szczegółowo zarówno zawartość wystawy, jak i samych zbiorów P. A. W.

Archiwum oficerskich dokumentów osobistych. W łonie Wojskowego Biura Historycznego, utworzone zostało, jako instytucja przejściowa, Archiwum Oficerskich Dokumentów, którego zadaniem jest zebranie i zinwentaryzowanie wszystkich dokumentów z lat 1918 — 1921, dotyczących spraw personalnych oficerów W. P. i zestawienie na tej podstawie kart archiwalno-historycznych. Prace Arch. O. D. O. obliczone są na trzy lata.

Archiwalja po Ks. Józefie Poniatowskim. Dr. Głażewski ze Lwowa ofiarował Bibljotece Ossolińskich archiwalja po księciu Józefie Poniatowskim. Zbiór ten, obejmujący 10 voluminów, a zawierający inwentarze i kopjarjusze listów, dotyczących spadku po Stanisławie Auguście i ks. Józefie, pochodzi od gen. Dominika Paszkowskiego, niegdyś pełnomocnika Marji Teresy Tyszkiewiczowej, siostry i spadkobierczyni Ks. Józefa.

Muzeum wojska polskiego. Władze m. st. Warszawy zwróciły się do M. S. Wojsk. z propozycją oddania w pięćdziesięcioletnią dzierżawę części budowanego obecnie gmachu Muzeum Narodowego przy Alei Trzeciego Maja na Muzeum wojska polskiego, w zamian za pożyczkę, mającą być użytą na dokończenie budowy części gmachu. W sprawie tej toczą się obecnie pertraktacje pomiędzy magistratem Warszawy a władzami wojskowemi.

Wykład inauguracyjny prof. Wacława Tokarza. Dnia 17 października 1928 r. odbył się w auli uniwersytetu Warszawskiego wykład inauguracyjny prof. Wacława Tokarza, który w bieżącym roku akademickim kurs swój poświęci wojnie polsko-rosyjskiej 1830/31 roku. Prof. Tokarz, emerytowany

pułkownik, były szef Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego, znany jest szerokim kołom wojskowych jako jeden z najwybitniejszych badaczy wojskowości polskiej XVIII i XIX wieku, a zwłaszcza powstania listopadowego, któremu poświęcił szereg studjów. Wykład swój poświęcił prof. Tokarz analizie dwóch głównych źródeł do dziejów powstania 1830/31 roku *Historji* Mochnackiego i *Pamiętników* generała Prądzyńskiego.

Materjały do historji 2 pułku ułanów Legjonów. Komitet organizacyjny utworzony w celu wydania Księgi pamiątkowej tegoż pułku, poświęconej bojom tegoż, prosi o nadsyłanie odpowiednich danych historycznych pod adresem mjr. rez. Jerzego Rolińskiego, Warszawa, Puławska 41.

Szwajcarskie Muzeum Wojny. Z inicjatywy specjalnego towarzystwa szwajcarskiego powstaje szwajcarskie Muzeum Wojny, które gromadzić będzie materjał uzbrojeniowy z czasów czynnej służby armji szwajcarskiej w czasie wielkiej wojny.

Rosyjskie Tow. Historyczne w Czechach, utworzone w 1925 roku przez historyków rosyjskich, przebywających na emigracji w Czechach, które postawiło sobie za cel wyświetlanie przeszłości Rosji na tle całej słowiańszczyzny, wydaje od roku 1927 *Zapiski,* na które składają się sprawozdania z referatów, wygłoszonych na posiedzeniach Twa oraz niepublikowane rozprawy. *Zapiski* z 1927 roku podają między innemi rozprawę A. Fatjejewa o stanowisku Karamzina wobec Polski i B. Jewreinowa o walkach Moskwy w XVI—XVIII wieku.

Francuska komisja do publikacji dokumentów dyplomatycznych, dotyczących wojny światowej. Dekretem prezydenta Rzplitej francuskiej ustanowiona została specjalna komisja, która ma za zadanie czuwanie nad publikacją dokumentów dyplomatycznych, dotyczących przyczyn wybuchu wojny światowej; komisja, której przewodniczy rektor Akademji Charlety, składa się z historyków, dyplomatów i członków Instytutu.

Redaktor: mjr. OTTON LASKOWSKI.
Sekretarz Redakcji: kpt. STEFAN POMARAŃSKI.

Adres redakcji: Warszawa, Aleje Ujazdowskie 1,
Wojskowe Biuro Historyczne, Tel. Centr. Insp. 43,
Aders administracji: Warszawa, Nowy Świat 69,
Główna Księgarnia Wojskowa, Tel. 202-19.

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona". Warszawa, Nowolipie 2.